

Robbins Harold

Marja, Mary i Maryann

Obywatele Stanu Nowy Jork przeciw

Maryann Flood

Wjechałem na parking położony naprzeciw Sądu Karnego. Zanim zdążyłem wyłączyć silnik, dozorca parkingu już otworzył drzwiczki i czekał, aż wysiądę. Nie spieszyłem się, podnosząc aktówkę z sąsiedniego fotela. Nigdy dotąd nie zasłużyłem sobie na taką obsługę.

— Ładny dzień, panie Keyes — powiedział, doganiając mnie w drodze do wyjścia. Spojrzałem w niebo. Rzeczywiście było ładnie, jeżeli ktoś lubi szare, grudniowe dni.

— Tak, Jerry — przytaknąłem.

Zatrzymałem się i popatrzyłem na niego uważnie. Uśmiechnął się od ucha do ucha. Nie musiał wcale mówić, że już wie. To było widać. Stąd te wszystkie grzeczności.

— Dzięki — powiedziałem i przeciąłem ulicę w kierunku gmachu sądu. Sam dowiedziałem się zaledwie dwadzieścia minut temu. Dwadzieścia minut temu, osiem mil stąd, w sali Szpitala Harkness Pavillon. A tutaj już wiedzieli.

Twarz Starego była szara z bólu na tle poduszki. Stałem w nogach łóżka.

— Będziesz musiał przejąć sprawę, Mike — wyszeptał.

— Nie, John. Nie mogę.

— Dlaczego? — Szept brzmiał niesamowicie.

— Wiesz, dlaczego — odpowiedziałem. Zawahałem się przez chwilę. — Daj ją komuś innemu. Masz dostatecznie wielu asystentów. Dlaczego ja?

Szept Starego nabrał ostrości:

— Bo oni wszyscy odwalają polityczną robotę. Tobie jednemu mogę zaufać, tylko ciebie przyjąłem do pracy sam, dla siebie. Wszystkich innych wepchnięto mi siłą i dobrze o tym wiesz.

Nie odpowiedziałem, chociaż wiedziałem, że nie mówi prawdy. Odkąd Tom Dewey został prokuratorem okręgo-

wym, wydział był zawsze wolny od politycznych nacisków. Jedyną rzeczą związaną z polityką były ambicje Johna DeWitt. Jacksona.

Nie mogłem uniknąć jego wzroku, gdyż patrzył mi prosto w oczy.

— Pamiętasz, jak przyszedłeś do mnie pierwszy raz? Byłeś gliną z dyplomem

prawa w ręce i zadzierałeś nosa. Przedstawiłeś się tym swoim dziwnym imieniem

— Miliard Keyes. Usiłowałeś elegancko się wyrażać. Zapytałem cię — dlaczego do mnie? Pamiętasz, co odpowiedziałeś?

Pamiętałem doskonale. Był to jedyny raz, kiedy nie użyłem imienia, którym wszyscy mnie nazywali — Mike. Ale milczałem.

— Powiem ci, co. — Uniósł głowę na poduszce. — Powiedziałeś: „Jestem gliną, panie Jackson, i istnieje dla mnie tylko jedna strona prawa”. Dostałeś pracę, bo uwierzyłem w twoje słowa.

Głowa Starego opadła bezsilnie na poduszkę, a głos znowu przeszedł w szept:

— A teraz chcesz mnie zostawić.

— Nie zostawiam cię, John — odpowiedziałem szybko. — Po prostu nie mogę wziąć tej sprawy. To nieuczciwe w stosunku do mnie i obawiam się, że nie byłbym uczciwy w stosunku do ciebie. Mówiłem ci o tym od samego początku.

— Wtedy nie martwiłem się o ciebie, tak samo jak teraz — wyszeptał w podnieceniu. Na chwilę odwrócił twarz do ściany. — Niech diabli porwą ten wyrostek! Nie mógł zaczekać parę tygodni?

Mimo woli uśmiechnąłem się. Stary chwytał się każdej sztuczki. Szedł na całość.

— Wiesz, co powiedział lekarz. Tym razem nie można było czekać — rzekłem z odpowiednią dozą współczucia.

Pokiwał smutno głową.

— Tacy są właśnie lekarze. W przededniu najważniejszego procesu w mojej karierze.

Wiedziałem, co ma na myśli. Za parę miesięcy zbiorą się wszyscy ważniacy z całego stanu. Zanim zdążą otworzyć okna, żeby wypuścić dym i opary whisky, nowy gubernator zostanie już wybrany.

Stary sprytnie to sobie obliczył. Nie za wcześnie, żeby zdążyli zapomnieć, ale i nie za późno, kiedy decyzje już zapadną. A teraz się bał. Co było dobre dla niego, było też dobre dla innych. Nie chciał ryzykować.

Spojrzał na mnie z przejmującym smutkiem.

— Mike — szepnął — nigdy nie byłeś taki jak inni. Byłeś dla mnie prawie... prawie jak syn. W tobie moja nadzieja. Z całego cholernego wydziału tylko z ciebie mogę być dumny. Mój chłopak! Nie jestem już młody. Mam swoje plany, ale jeśli nie wypała, to też się z tym pogodzę. Trudno, wola boska.

Prawie niedostrzegalnie wzruszył ramionami okrytymi białą, szpitalną koszulą. Zamilkł na chwilę, a potem powiedział ostro:

— Ale nie chcę, żeby jakiś płaszczący się, pieprzony oportunist awansował moim kosztem.

Zanim znowu przemówił, przez moment patrzeliśmy na siebie w milczeniu.

— Weź tę sprawę za mnie, Mike — błagał. — Daję ci wolną rękę. Jesteś teraz szefem. Możesz robić, co ci się tylko spodoba. Możesz prosić sąd o wycofanie oskarżenia w związku z brakiem dostatecznej ilości dowodów. Możesz nawet zrobić ze mnie idiotę, jeżeli będziesz chciał. Wszystko mi jedno. Tylko nie pozwól żadnemu z nich piąć się w górę moim kosztem.

Nabrałem głęboko powietrza. Przegrałem i wiedziałem o tym. Nie wierzyłem w ani jedno jego słowo, ale cóż to była za różnica? Był podły i przebiegły, gotów wspaniałomyślnie rozdawać lód zimą. Stałem przed nim ze łzami w oczach, świadomy tego, jak go kocham.

On też o tym wiedział, bo zaczął się uśmiechać i zapytał:

— Zrobisz to, Mike?

— Tak, John — przytaknałem.

Sięgnął pod poduszkę i wydobyl plik napisanych na maszynie notatek.

— Jeżeli chodzi o ławę przysięgłych — powiedział już silniejszym głosem — to zwróć uwagę na numer trzeci...

Przerwałem mu:

— Znam skład sądu przysięgłych. Czytałem protokół. — Ruszyłem w kierunku drzwi, otworzyłem je i spojrzałem na Starego. — Poza tym obiecałeś mi wolną rękę, pamiętasz?

Reporterzy napadli na mnie, zanim jeszcze zdążyłem postawić nogę na schodach prowadzących do sądu. Uśmiechałem się ponuro sam do siebie, torując sobie drogę. Stary musiał telefonować, zaraz gdy od niego wyszedłem.

— Słyszeliśmy, że przejmuje pan sprawę prokuratora okręgowego, panie Keyes. Czy to prawda?

Nie otrzymałby odpowiedzi nawet, gdybym miał zamiar jej udzielić. Nie cierpiałem ludzi, którzy wymawiali moje nazwisko jak *Keys*. Miało brzmieć *Keyes* i rymować się ze słowem *eyes*. Nie zatrzymałem się.

Szli za mną zasypując mnie pytaniami. Wszedłem na schody i uniosłem ręce.
— Dajcie mi chwilę oddechu, panowie — prosiłem. — Wiecie, że dopiero dzisiaj rano wróciłem z wakacji.

— Czy to prawda, że prokurator okręgowy wysłał do pana telegram, zanim zabrano go przedwczoraj do szpitala? Czy rozprawę odroczone tylko o tyle, żeby dać panu czas na powrót?

Przepchnąłem się przez obrotowe drzwi, skrzyłem w prawo i minawszy pokój prasy poszedłem w kierunku windy. Błysnęło kilka fleszy i przez chwilę miałem przed oczami tylko purpurowe plamy. Przy windzie odwróciłem się twarzą do reporterów.

— Otrzymacie, panowie, oświadczenie prasowe w czasie południowej przerwy. Od tego momentu będę też starał się odpowiadać na wszystkie pytania. A teraz potrzeba mi kilku minut samotności, zanim wejdę na salę sądową.

Wśliznąłem się do środka i windziarz zamknął im drzwi przed nosem. Wysiadłem na siódmym piętrze i poszedłem do mojego biura przy końcu holu.

Joel Rader już czekał. Podeszedł do mnie z wyciągniętą ręką.

— Powodzenia, Mike.

— Dziękuję, Joel — powiedziałem, ujmując jego dłoń. — Będę go potrzebował. Joel był jednym z tych, o których mówił Stary. Bystry, silny i ambitny, parę lat starszy ode mnie.

— Jak się czuje Stary? — zapytał.

— Znasz go — odpowiedziałem szczerząc zęby. — RzUCA mięSEM.

Podeszedłem do swojego biurka.

— Chłopie, powinieneś go słyszeć tego dnia, kiedy lekarz zakomunikował mu tę smutną wiadomość. Prawie urwał mu głowę.

— Mogę sobie wyobrazić — odrzekłem, rzucając płaszcz i kapelusz na drewnianą ławę stojącą naprzeciw biurka.

Usiadłem i spojrzałem na Joela. — Nie miałem zamiaru mieszać twoich szyków — powiedziałem. Uśmiechnął się nieszczerze.

— Niczego nie mieszasz, Mike — odpowiedział szybko. — Przecież pracowałeś ze Starym w czasie śledztwa. Ja to rozumiem.

Ja też rozumiałem. Z góry się ubezpieczał na wypadek, gdyby coś się nie powiodło. To nie oznaczało oczywiście, że sam nie chciał prowadzić sprawy, lecz wolał nie ryzykować.

— Alec jest? — zapytałem.

Alec Carter był drugim, oprócz Joela, prawnikiem współpracującym ze Starym.

— Znasz Aleca — odparł Joel z kamienną twarzą. — Zostawił ci na biurku notatki Starego.

Znałem Aleca. Miał nerwicę nerek i spędzał w toalecie większość czasu przed wejściem na salę rozpraw. Kiedy już się tam znalazł, dolegliwość mijała, jak ręka odjął.

Spojrzałem na leżący na biurku plik starannie napisanych notatek. Odwróciłem się na powrót do Joela. Uprzedził mnie. Pracował tu pięć lat dłużej niż ja i nie miał zamiaru dać się odprawić.

— Będę u siebie w biurze, gdybyś czegoś potrzebował — powiedział.

— Dzięki — rzekłem, patrząc, jak zamykają się za nim drzwi.

Wyciągnąłem paczkę papierosów z kieszeni i zapaliłem. Dopiero wtedy zerknąłem na papiery na biurku.

Akt oskarżenia leżał na samym wierzchu. Wziąłem go do ręki i długo patrzyłem. Odwróciłem krzesło w ten sposób, że światło z okna za moimi plecami padało wprost na papier. Grube czarne litery układały się w napis:

Obywatele Stanu Nowy Jork przeciw oskarżonej Maryann Flood

Nagły ból ścisnął mi serce. Wszystko miało się rozegrać teraz. To, co zdarzyło się do tej pory, nie powinno się liczyć. Muszę żyć z tą świadomością. Zamknąłem oczy. Niepotrzebnie pozwoliłem Staremu tak się wmanewrować. Korzenie sięgały zbyt głęboko.

Nabrałem w płuca powietrza i czekałem, aż ustąpi ból w piersi. Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek zdołam się od niej uwolnić. Nasze pierwsze spotkanie odbyło się chyba tysiąc lat temu. Tak mi się dziś wydawało. A przecież, nie wydarzyło się to aż tak dawno. Latem 1935 roku.

Pamiętacie te niespokojne czasy? Mężczyźni zagrożeni bezrobociem i żar upalnego lata leżący się na ich ugięte pod ciężarami plecy. Z moim ojcem było to samo. Postarzał się przedwcześnie, pracując przez dwa lata jako dozorca.

Ja też miałem pracę. W kiosku z gazetami na rogu Osiemdziesiątej Szóstej Ulicy i Lexington Avenue. W sobotnie noce i w niedzielne ranki. Składałem w całość gazety. Przychodziłem o 9 wieczorem i pracowałem do 10.30 rano. Miałem

szesnaście lat i mama upierała się, żebym uczestniczył we mszy świętej. Szedłem więc na mszę o jedenastej do Św. Augustyna w drodze do domu.

Ta niedziela niczym się nie różniła od innych. Wpadłem do kościoła na ostatnią minutę, wśliznąłem się do prawie pustej tylnej ławki i gdy już zdążyłem zamknąć oczy, aby się przespać, ktoś trącił mnie łokciem w bok. Przesunąłem się machinalnie, pozwalając nowo przybyłym wejść do ławki. Znowu sójka w bok. Tym razem otworzyłem oczy. Patrzyłem prawie minutę, zanim mój wzrok zaczął rejestrować, co mam przed sobą. Zrobiłem głęboki wdech i kobiety przeszły przede mną. Na pierwszą z nich ledwie spojrziałem. Nie zainteresowała mnie zmęczona twarz i spłowiałe szaroblond włosy. Minęła mnie mruczając pod nosem coś, co wziąłem za przeprosiny. To widok dziewczyny, jej córki, poraził mnie zupełnie.

Popielatoblond słowiańskie włosy, opadające złotą kaskadą wokół twarzy, zmysłowe, szerokie, lekko rozchylone usta pociągnięte szkarłatną szminką, rząd białych zębów, cienki, prawie klasyczny nos o drgających nozdrzach, wydatne kości policzkowe. Obrazu dopełniały oczy podkreślone brązową kreską.

O samych tych oczach można by pisać tomy. Szeroko rozstawione, w tonacji leniwego brązu, z zielonymi cętkami wokół źrenic. Inteligentne, jasne i pełne ciepła, niosły w sobie zapowiedź wielkiej namiętności, której dopiero miałem zaznać. Oczy te przenikały mnie na wskroś i przyciągały jednocześnie.

Spróbowałem zajrzeć w nie głębiej, lecz trafiłem na zapórę nie do przebycia. Nie można dotrzeć do dna brązowych oczu i czytać z nich jak z otwartej księgi oczu niebieskich.

Mijając mnie, dziewczyna odwróciła wzrok, a moje ciało przeszło tysiąc elektrycznych iskier. Jej matka, dwa razy potężniejsza, nie dotknęła mnie przechodząc. Z nią było inaczej.

— Przepraszam — szepnęła ze stłumionym śmiechem.

Wyjąkałem jakąś niezrozumiałą odpowiedź, którą i tak zagłuszył szelest odzieży wiernych klękających w swoich ławkach. Padłem na kolana i znowu na nią spojrziałem.

Kłęczała już ze spuszczonej oczami i poważnie złożonymi do modlitwy rękoma. Za nią matka, oparłszy ciężko głowę na splecionych rękach, modliła się niewyraźnie w jakimś obcym języku. Wróciłem wzrokiem do dziewczyny. Krągłe ciało rozpychało lekką bawełnianą sukienkę, wy-

dzielając ciepły, słodki piżmowy zapach. Widziałem delikatne plamy potu rozszerzające się powoli pod pachami. Zamknąłem oczy próbując się skupić na modlitwie. Uspokoilem się po kilku sekundach. Kiedy oczy miałem zamknięte, nie było tak źle. Nagle poczułem, że dziewczyna przysuwa się do mnie i lekko przyciska swoje udo do mojego. Otworzyłem oczy i spojrzałem. Pograżona w modlitwie, z zamkniętymi oczami, wydawała się nieświadoma tego, co czyni. Odsunąłem się troszeczkę wstrzymując oddech. Nie otwierając powiek przesunęła się za mną. Utknąłem na samym skraju ławki i każdy następny ruch groził mi wypadnięciem na podłogę. Zostałem więc tam, gdzie byłem i usiłowałem skoncentrować się na słowie bożym. Nic z tego. U boku miałem diabła. Wreszcie modlitwa skończyła się i wierni boleśnie podnieśli się z klęczek. Dopiero wówczas ośmieliłem się otworzyć oczy i zerknąć na nią. Nie patrzyła w moim kierunku, ale przezornie wprost przed siebie. Podniosłem się, żeby opuścić ławkę, a ona już przeciskała się przede mną. Cofnąłem się, a wtedy zatrzymała się i cofnęła w ślad za mną. Byłem zbity z tropu, lecz wówczas dziewczyna uśmiechnęła się uprzejmie i przepuściła matkę przed sobą, cofając się i opierając o mnie plecami. Potem zwróciła się twarzą do mnie. Patrzyłem jej w oczy. Śmiały się i drażniły. W życiu czegoś takiego nie widziałem. Dziki, niebezpieczny żar przepelnił moją duszę. Usta dziewczyny rozchyliły się i usłyszałem słowa, chociaż mógłbym przysiąc, że wargi się nie poruszyły: — Ale ubaw, Mike, co? Dopiero po chwili, gdy zniknęła w tłumie ludzi przepychających się między ławkami, zdałem sobie sprawę, że znała moje imię. Powoli poszedłem za innymi, zastanawiając się, kim ona mogła być. Z pewnością moje życie ułożyłoby się lepiej, gdybym się nigdy nie dowiedział. Dosyć wspomnień. Nadal trzymałem w ręce akta sprawy. Musiałem je przeczytać. Za czterdzieści minut rozpocznie się rozprawa. Powoli, żeby się skoncentrować, zacząłem czytać akt oskarżenia, słowo po słowie. Bocznymi drzwiami weszliśmy na salę. Gdy zbliżaliśmy się do naszego stolika, na "prawo od miejsca sędziego, licznie

zgromadzony tłum zamilkł. Nie podniosłem oczu, aby spojrzeć na publiczność. Po co mieli widzieć gniew, jakim napawała mnie ich nienasycona ciekawość? Usiadłem plecami do sali i zająłem się rozkładaniem akt. Czułem, jak rośnie we mnie napięcie. W pewnym sensie proces przypominał walkę bokserską.

Delikatnie oblizałem wargi i czekałem, aż minie ucisk w żołądku.

Żeby usłyszeć własny głos, powiedziałem do Joela:

— Którą mamy godzinę?

— Prawie dziesiątą — odpowiedział, spoglądając na duży zegar na ścianie.

— Dobrze.

Do rozpoczęcia posiedzenia sądu pozostało niewiele czasu. Rzuciłem okiem na stolik obrony. Był nadal pusty.

— Vito zawsze gra na zwłokę. To mu daje szansę na efektowne wejście — rzekł Joel, podchwytyjąc moje spojrzenie.

Pokiwałem głową. Vito znał swój fach. Był jednym z najbardziej wziętych prawników w Nowym Jorku; wysokim, przystojnym facetem z burzą siwych włosów nad parą przenikliwych niebieskich oczu. Przegrał niewiele spraw. Przykładał się do pracy. Wszyscy w sądzie żywiliśmy dla niego szczerą podziw. Nagły pomruk podnieconych głosów zburzył ciszę panującą na sali za naszymi plecami. Błysnęło kilka fleszy. Nie musiałem się odwracać, aby wiedzieć, że wchodzi. Szepty publiczności działały lepiej niż radar.

Uniosłem głowę i zobaczyłem ich, kiedy byli już przy balustradzie. Vito stał w przejściu, plecami do mnie, przepuszczając przodem swoją klientkę. Gdy uniosła oczy, aby mu podziękować, nasze spojrzenia spotkały się.

To już tak dawno. Tak dawno temu. Patrzyliśmy na siebie tylko przez moment, potem odwróciła się i poszła na swoje miejsce.

Obserwowałem, jak swobodnie się porusza. Taką ją pamiętałem. Błyszczące nylonowe pończochy na cienkich w kostce nogach. Miała na sobie ciemny, po męsku skrojony kostium i zarzucony na ramiona płaszcz z niebieskiej puszystej tkaniny. Krótко obcięte, lśniące, miedzianozłote włosy piętrzyły się na głowie w powodzi małych loków. Usiadła ostrożnie, układając spódniczkę wokół kolan. Vito usiadł obok i pograżyli się w rozmowie.

Joel szepnął mi do ucha:

— Oto i prawdziwa kobieta.

Jego głos wyrażał szczerzy podziw. Przytaknąłem bez słowa.

— Nie ma ani jednego faceta w tej sali, który by temu zaprzeczył — szeptał dalej. Wiele mnie kosztowało, żeby nie okazać gniewu. To był prawdziwy problem. Zawsze miałem z tym kłopoty. Była kobietą otoczoną aureolą zmysłowości. Żaden mężczyzna tego nie przeoczył.

— Właściwie to wstyd męczyć kobietę za robienie czegoś, do czego jest stworzona — mówił dalej, cicho się śmiejąc. — A z tego, co słyszałem, właśnie to lubi najbardziej.

Tym razem nie mogłem się opanować i wybuchnąłem:

— Zamknij się, Joel! To sąd, a nie salon gier.

Chciał jeszcze coś dodać, ale spojrzał na mnie i słowa zamarły mu na wargach. Odwrócił się do swoich papierów. Wziąłem ołówek i machinalnie zacząłem coś gryzmolić na skrawku kartki. Nagle Alec trącił mój łokieć. Podniosłem głowę. Henry Vito szedł w naszym kierunku. Patrzyłem na niego, póki nie stanął naprzeciw mnie. Uśmiechał się, pewny siebie.

— Jak się miewa Stary, Mike? — zapytał.

— Radzi sobie, Hank — odrzekłem, także się uśmiechając. Vito mówił cicho, lecz jego głos doskonale dochodził do rzędów prasy.

— Cóż za wspaniały przypadek z tym wyrostkiem, że dał znać o sobie właśnie teraz.

— W związku z tym chyba tylko wasza strona może mówić o szczęściu — odpowiedziałem dostatecznie głośno, ażeby to usłyszano.

— Jeżeli kiedykolwiek zostanie gubernatorem, będzie tobie dużo zawdzięczał — odparował z nie zmienionym wyrazem twarzy.

Wstałem powoli. Vito jest wysoki, ale ja jestem jeszcze wyższy. Mam sześć stóp, dwa cale bez butów, jestem szeroki w ramionach i z moim złamanym nosem wyglądam dostatecznie brzydko, żeby wydał się przy mnie słaby. Spojrzał w górę, w moją twarz i wtedy się uśmiechnąłem.

— Dzięki za miłe słowa, Hank. Po procesie zgodzisz się, że na nie zasługiwałem. Nadal się uśmiechał, lecz nic nie powiedział. Odseparowałem go od publiczności, nie miał więc powodów mówić dalej. Wrócił do swojego stolika beztrąsko machnąwszy ręką. Odprowadziłem go wzrokiem, zanim sam usiadłem.

— Nie daj mu się wkurzyć — szepnął mi do ucha Joel.

— Nie dam się — odpowiedziałem chłodno.

— Myślałem, że go rąbniesz — wyszeptał Alec z drugiej strony.
— Brałem to pod uwagę — powiedziałem szczerząc zęby.
— Domyśliłem się, widząc twoją twarz... — Pukanie młotka przerwało szept Aleca.

Zaległa zupełna cisza, przzerwana po chwili odgłosem wstawania. Wstaliśmy i my. Na salę wchodził sędzia. Peter Amelie był niski, krępy i przypominał małą kukielkę ze swą twarzą cherubina i łysą głową wystającą z czarnej, obszernej togi. Usiadł i energicznie zapukał młotkiem.

— Cisza! cisza! — zagrział woźny. — Sąd Okręgowy przystępuje do posiedzenia. Przewodniczy sędzia Peter Amelie.

Zaczęło się. Teraz nie było już odwrotu. Początek walki, sędzia na ringu. Nagle opadło ze mnie całe napięcie. Od tego momentu nic mnie nie będzie dręczyć, żadne wspomnienia nie zakłóca spokoju. Nie będę miał na to czasu. Miałem przed sobą zadanie i musiałem je wykonać.

Po chwili sędzia skinał głową w moją stronę. Wstałem. Przeszedłem wolno przez salę i zbliżyłem się do miejsc zajętych przez sędziów przysięgłych. Nie spojrzała na mnie, kiedy przechodziłem obok stolika obrony, ale wiedziałem, że obserwuje każdy mój ruch, patrząc z ukosa, jak to zwykła robić. Zatrzymałem się przed ławą przysięgłych tak, żeby sędziowie mogli mnie sobie obejrzeć.

Po paru sekundach zacząłem mówić, z początku powoli:

— Wysoki sądzie, panie i panowie przysięgli, czuję się mniej więcej tak jak zawodnik, któremu kazano odebrać piłkę Di Maggio. A kto... — przerwałem, czekając, aż umilknie śmiech na sali — ...a kto potrafi dorównać Di Maggio? Nikt.

— Sam odpowiedziałem na pytanie.

Nikły uśmiech znikł z moich ust.

— Lecz obywatele Stanu Nowy Jork mają prawo wymagać, aby liczono się z wybranymi przez nich przedstawicielami. Poprzez takich właśnie przedstawicieli wniesiono do sądu sprawę przeciw pewnej osobie, gwałcącej prawo i nakazy przyzwoitości tego stanu. Tak więc pokornie proszę was, panie i panowie, o pobłażliwość, kiedy moja skromna osoba reprezentować będzie interesy obywateli Stanu Nowy Jork przeciw Maryann Flood, która dopuściła się licznych przestępstw.

Vito wniósł sprzeciw i tak jak się spodziewałem, wysoki sąd go nie uchylił.

Powiedziałem już jednak swoje. Ponownie zwróciłem się do ławy przysięgłych.

— Chciałbym teraz odczytać przed wysokim sądem akt

oskarżenia. Według tego dokumentu oskarżona Maryann Flood popełniła lub brała udział w następujących przestępstwach, co udowodnimy ponad wszelką wątpliwość:

Maryann Flood, ukrywając swą prawdziwą działalność za fasadą cieszącej się szacunkiem agencji modelek Park Avenue Models, Inc., stręczyła do nierządu młode dziewczyny, a młode kobiety do nielegalnych i niemoralnych praktyk, sprowadzając je w ten sposób na drogę prostytucji. Maryann Flood kilkakrotnie opłacała lub przekupiła pewnych urzędników państwowych, w celu ochrony swej nielegalnej działalności.

Maryann Flood, z tytułu swych kontaktów w niegodziwym fachu, wyłudzała różne sumy pieniędzy od swych klientów, grożąc im ujawnieniem ich czynów. Opuściłem rękę z aktem oskarżenia i zerknąłem na ławę przysięgłych. Wyczułem zainteresowanie.

— Stręczenie do nierządu. Łapownictwo. Wyłudzenie i szantaż. Niezbyt piękny obrazek dla mieszkańców Stanu Nowy Jork. Każdego roku tysiące młodych dziewczyn przyjeżdżają do Nowego Jorku — i o czym to nie marzą! Broadway, telewizja, agencje reklamowe — i to co się z nimi kojarzy: blask i sukcesy. Biedne, niewinne dziewczęta wcale nie wiedzą, że czyha na nie ktoś taki jak Maryann Flood. Bezpieczna i pewna, że dzięki łapówkom i wyłudzeniom nie poniesie żadnej szkody — i że nie zagrozi jej rzecz tak przyziemna i prozaiczna, jak prawo Stanu Nowy Jork.

Po raz pierwszy odwróciłem się twarzą do stolika obrony. Patrzyła w dół, kurczowo ściskając w palcach ołówek. Vito uśmiechał się z przymusem.

— Maryann Flood! — zawołałem.

Odruchowo uniosła głowę i utkwiała wzrok w moich oczach. Nigdy dotąd nie widziałem u niej takiego wyrazu twarzy. Przypominała ranne zwierzę.

Spoglądałem na nią twardo i obojętnie, po czym odwróciłem się w stronę ławy przysięgłych i przemówiłem tak, jak gdybym nikogo przedtem nie wzywał.

— Maryann Flood — powtórzyłem — zasiada przed sądem równych sobie obywateli, oskarżona o pogwałcenie praw obowiązujących w społeczeństwie, do którego należy.

A my, obywatele Stanu Nowy Jork, ludzie, dla których czuła tak wielką pogardę, dowiedzimy prawdziwości stawianych jej zarzutów, tak żeby nikt nigdy nie miał wątpliwości co do winy oskarżonej. Krok po kroku będziemy śledzić każdy uczynek na

drodze jej nikczemnej i nielegalnej kariery. Będziemy wnikać w szczegóły każdego postępkę. A kiedy już dowiemy się całej prawdy, wtedy wy, panie i panowie sędziowie przysięgli, zostaniecie wezwani do wydania takiego wyroku, który zniechęciłby i powstrzymał każdego pyszałka ośmielającego się uchylić od prawa i odpowiedzialności.

Dałem przysięgłym chwilę czasu na strawienie tego, co powiedziałem i podszedłem do swojego stolika odłożyć akt oskarżenia i wziąć inne dokumenty. Powoli wróciłem przed oblicze ławy przysięgłych.

— Panie i panowie, chciałbym teraz przedstawić okoliczności, dzięki którym dowiedzieliśmy się o działalności Maryann Flood.

Sędziowie pochylili się do przodu z wyrazem oczekiwania na twarzach.

— Pewnego majowego popołudnia tego roku do szpitala im. Roosevelta przyjęto młodą kobietę z objawami krwotoku wewnętrznego. Krwotok wystąpił w rezultacie nielegalnie przeprowadzonej operacji. Mimo wszelkich wysiłków stan dziewczyny gwałtownie się pogarszał. Jak zwykle bywa w takich przypadkach, powiadomiono prokuraturę. Dziewczyna była zbyt słaba, żeby odpowiedzieć na wiele pytań, ale jednak czegoś się dowiedzieliśmy. Była modelką zarejestrowaną w agencji Park Avenue Models Inc. Prosiła o powiadomienie panny Flood. Była pewna, że panna Flood będzie w stanie jej pomóc. Pierwszy, rutynowy telefon do agencji przyniósł odpowiedź, że w tejże agencji nigdy o tak nazywającej się dziewczynie nie słyszano. Po około godzinie zadzwoniła do nas panna Flood, twierdząc, że jedna z jej pracowniczek popełniła omyłkę. Młoda kobieta była zarejestrowana w agencji. Pannę Flood interesowało przede wszystkim, co powiedziała dziewczyna, dopiero później wystąpiła z propozycją pomocy ^ Jednak i telefon i chęć pomocy nadeszły zbyt późno. Dziewczyna już nie żyła.

Rozmowy z koleżankami zmarłej ujawniły, że do Nowego Jorku przyjechała mniej więcej przed rokiem. Przez sześć miesięcy z ledwością wiązała koniec z końcem. I nagle stała się posiadaczką szafy pełnej ubrań oraz futer. Wyjaśniła swoje nagłe powodzenie, mówiąc, że związała się z agencją Park Avenue Models. Zaczęła coraz częściej wychodzić, a koleżanki widywały ją coraz rzadziej. Tłumaczyła się nawałem pracy. Była zajęta i w dzień i w nocy.

Porównaliśmy te fakty z rejestrem prowadzonym w agencji. Wynikły poważne rozbieżności. Według rejestru w ciągu półrocznego okresu zmarła pracowała tylko dwa albo trzy razy.

W sumie, po odciążeniu prowizji, przez cały ten czas zarobiła około sto dwadzieścia pięć dolarów.

Przetasaowałem plik papierów trzymany w ręce, dając sobie w ten sposób chwilę odpoczynku. Spojrzałem na sędziów. Czekali na ciąg dalszy.

— W czasie trwania rutynowego dochodzenia do Wydziału Policji Obyczajowej nadszedł meldunek o wyuzdanych przyjęciach odbywających się w mieszkaniu znanego producenta damskiej bielizny w East Side. Zwrócono policji uwagę, że wyżej wymieniony mężczyzna opowiada wszem i wobec o swoich kontaktach z pewną agencją modelek, która pozwala mu mieć tyle dziewcząt, ile tylko zechce, o każdej porze dnia i nocy — i że wystarczy do niego wpaść, żeby skorzystać. Ostatniego dnia maja policja wkroczyła w trakcie takiego przyjęcia. Stwierdzono obecność czterech mężczyzn i sześciu kobiet w różnych fazach roznegliżowania... i delikatnie mówiąc... różnych kompromitujących konfiguracjach. Dziewczyny twierdziły, że są modelkami. Jedna przyznała się, że jest zarejestrowana w agencji Park Avenue Models Inc. Po krótkiej naradzie z koleżankami, dziewczyna wycofała swoje oświadczenie. Oczywiście później okazało się, że wszystkie pracują dla tej agencji.

W tym właśnie momencie policja i prokuratura okręgowa doszły do wniosku, że mają do czynienia ze zorganizowaną aferą przestępczą, i co za tym idzie, wszczęły dochodzenie wobec agencji.

Przełożyłem aktazymane w ręce i zacząłem czytać:

— Agencja Park Avenue Models Inc. Założona w czerwcu 1948 roku. Uprawniona do wynajmowania modelek do: pozowania artystom, fotografom i do występów na pokazach mody. Prezes — Maryann Flood.

Przewróciłem stronę. Miałem przed oczami kartotekę policyjną Marji. Idąc w kierunku sędziów przysięgłych przebiegałem ją szybko wzrokiem.

Maryann Flood, urodzona 16 listopada 1919 roku w Nowym Jorku. Stan wolny. Po raz pierwszy zatrzymana w kwietniu 1936. Oskarżona o napad z bronią w rękę na ojczyma. Sądzona przez sąd dla młodocianych. Odesłana do domu poprawczego dla dziewcząt w Rose Geyer w maju 1936. Wypisana w listopadzie 1937, po uzyskaniu pełnoletności. Aresztowana w lutym 1938. Oskarżona o włóczęgostwo i prostytutkę. Uznana winną. Skazana na trzydzieści dni pobytu w zakładzie karnym. Aresztowana w kwietniu 1943.

Oskarżona o kradzież dużej ilości pieniędzy po dopuszczeniu się aktu prostytucji. Uznana za niewinną z powodu braku dowodów. Brak danych o dalszych areztowaniach. Widywana w towarzystwie osób z kryminalną przeszłością. Zeznawała jako naoczny świadek zabójstwa dokonanego na osobie Rossa Drego, znanego hazardzisty i gangstera, w Los Angeles, Kalifornia, we wrześniu 1950. Wyciągnąłem w kierunku przysięgłych rękę z plikiem akt.

— Zaczęliśmy składać w całość tę historię występku i zepsucia. I wiercie mi, napawała ona obrzydzeniem najtwardszych i najbardziej gruboskórnych policjantów. Młode, niewinne dziewczęta zmuszane siłą do prostytucji i perwersji, szantażu i wyłudzenia. Przestępczy proceder zatoczył szerokie kręgi, sięgając wysoko w sfery towarzyskie i finansowe naszego miasta. I któż stoi za tym pożałowania godnym bałaganem? Wszystkie dowody wskazują na machinacje i plany jednej tylko osoby. — Odwróciłem się, dramatycznym gestem wyciągając rękę w kierunku stołu obrony. — Maryann Flood!

Nie patrząc na ławę przysięgłych przeszedłem przez salę do swojego stolika. Usiadłem wśród nasilającego się pomruku głosów za plecami. Oczy mnie piekły. Mrugałem znużony.

— Dobra robota — usłyszałem szept.

— No, to dołożyłeś jej — szeptał Alec z drugiej strony. Nie podniosłem wzroku. Nie chciałem być zmuszony do

patrzenia na nią. Miałem uczucie, że całe wieki minęły od czasu, kiedy przemawiałem do przysięgłych.

Rozległo się pukanie młotka i silny głos sędziego:

— Ogłaszam przerwę w rozprawie. Zbierzemy się ponownie o godzinie drugiej. Wstałem machinalnie i bez słowa skierowałem się do biura prokuratora okręgowego.

Udało nam się uniknąć reporterów, gdyśmy wychodzili z budynku podziemnym przejściem. Poszliśmy do restauracji „Old Mili”. Usiadłem przy stoliku w rogu, twarzą do Joela i Aleca, a plecami do sali. Podeszła kelnerka.

— Muszę się napić — powiedziałem i zamówiłem dzin z lodem i skórką cytrynową. — A wy? — zapytałem.

Potrząsnęli przecząco głowami i zamówili coś do jedzenia. Wtem na sali rozbrzmiał szmer głosów. Nie musiałem się odwracać, żeby zobaczyć, kto wszedł. Spojrzałem pytająco na Joela.

— Są .— kiwnął głową.

— Żyjemy w wolnym kraju — uśmiechnąłem się niewyraźnie.
Nagle stwierdziłem, że nie mogę już dłużej czekać. Gdzie jest ta przekłeta kelnerka?

— Co jest z moim drinkiem? — warknąłem wściekle.

— Kelnerka zatrzymała się, żeby przyjąć od nich zamówienia — wyjaśnił szybko Alec.

W chwilę potem dziewczyna postawiła przede mną szklanke. Na jej twarzy malował się dziwny wyraz. Zrozumiałem go, gdy tylko podniosłem szklanke. Na papierowej podstawce było coś napisane. Nie musiałem patrzeć na podpis, żeby rozpoznać charakter pisma. Nadal pisała jak małe dziecko.

„Oto twoja wielka szansa, mecenasie. Powodzenia! Marja”.

Zgniotłem podstawkę, żeby nie można było odczytać napisu. Wypiłem dzin. To było to, co u niej podziwiałem. Niczego się nie bała. Życzyła mi szczęścia, wiedząc dobrze, że jeżeli mi ono dopisze, to być może spędzi następne dziesięć lat w więzieniu. Zawsze taka była, nawet jako dziecko.

Przypomniała mi się chwila, kiedy starałem się ją powstrzymać przed wejściem na jezdnię, przy bardzo dużym ruchu i przy czerwonym świetle. Odepchnęła mnie ze złością.

— To cały ty, Mike — powiedziała. — Boisz się zaryzykować, nawet gdy chodzi o taki drobiazg.

— Ależ, Marjo — protestowałem — mogło ci się coś stać. Mogłaś stracić życie. Popatrzyła na mnie z dzikim błyskiem w oczach.

— No i co z tego? — powiedziała schodząc na jezdnię. — To moje ciało, nie twoje. Taka była między nami różnica. Jej filozofia życiowa i wiele innych spraw. Na przykład to, jak byliśmy wychowani. Zawsze zdumiewała mnie jej zdolność do czułości, ale i do okrucieństwa zarazem.

Pociągnąłem drinka. Słodkawy, zimny dzin palił w gardle. Moja matka wyraziła to chyba najlepiej pewnego wieczora, kiedy wróciłem do domu przygnębiony po bezskutecznym czekaniu, aż Marja wróci z randki. Byłem zbyt dorosły, żeby płakać, ale płacz wisiał mi na czubku nosa. Mama wiedziała, gdy tylko wszedłem. Podeszła do mnie szybko, Chciałem uciec do swojego pokoju, lecz złapała mnie za ręką i przytuliła.

— Ona nie jest dla ciebie — rzekła miękko.

Nie odpowiedziałem, jedynie na nią popatrzyłem.

— Nie mówię ci, kogo masz lubić, synu — dodała. — Po prostu ona nie jest dla ciebie. Wychowała się bez miłości i jej nie rozumie.

Wyrwałem rękę i wpadłem do mojego pokoju, ale to, co powiedziała, zapamiętałem na zawsze. Bez miłości.

Teraz wreszcie zrozumiałem, co matka miała na myśli. W ten sposób można było najprościej streścić historię życia Marji. Bez miłości.

CZĘŚĆ PIERWSZA
M A R J A

Rozdział 1

Pchnęła drzwi sklepu ze słodyczami i zatrzymała się na moment, czekając, aż wzrok przyzwyczai się do panującego wewnątrz mroku. Jaskrawe światło padające zza pleców otoczyło jej głowę połyskliwą złotą aureolą. Pokryte szkarłatem wargi rozciągnęły się w nieobowiązującym uśmiechu na równych, białych zębach. Podeszła do lady.

W sklepie nie było nikogo. Niecierpliwie zastukała monetą w marmurowy blat. — Chwileczkę, chwileczkę. Idę — rozległa się natychmiastowa odpowiedź z zaplecza, gdzie pan Rannis miał swoje mieszkanie.

— W porządku, panie Rannis! — zawołała. — To tylko ja. Zaczekam.

W drzwiach zaplecza pojawił się stary człowiek. Poprawiał ubranie.

— Marja! — krzyknął z nutką zadowolenia w głosie. — Czego sobie życzysz? — zapytał, przesuwając się sztywno za ladą w kierunku dziewczyny.

— Poproszę pięć „Twenty Grands” — powiedziała z uśmiechem.

Odruchowo odwrócił się do półki za plecami, ale zawahał się. Rzucił dziewczynie przez ramię pytające spojrzenie.

— Okay, panie Rannis — rzekła szybko — mam piątkę.

Wziął otwartą paczkę i ostrożnie wytrząsnął pięć papierosów. Położył je na ladzie i przykrył dłonią. Pchnęła nikłową monetę w kierunku starca. Odkrył papierosy i potoczył pieniążkiem, aż ten wpadł do szuflady tuż pod kontuarem.

Papierosy w białej bibułce odcinały się ostro od brudnoszarego marmuru.

Podniosła jeden z nich i włożyła do ust. Sięgnęła do otwartego pudełka zapalek na ladzie.

Nie zdążyła jeszcze zapalić zapalki, kiedy podał jej ogień.

Zanurzyła papierosa w płomieniu i zaciągnęła się głęboko. Poczowała, jak cierpki, gryzący dym wypełnia jej płuca, po czym wypuściła go ustami i nosem.

— Dobrze — stwierdziła patrząc na Rannisa. — Myślałam, że ta buda nigdy się dzisiaj nie skończy. Cały dzień chciało mi się palić, a nikt nie dał mi nawet pociągnąć.

Stary człowiek gapił się na dziewczynę, jego wargi rozciągnęły się w uśmiechu na częściowo bezzębnych dziąsłach.

— Gdzie się podziewałaś, Marjo? — zapytał. — Nie widziałem cię cały tydzień.

— Byłam splukana — odpowiedziała bez ogródek. — A i tak jestem dosyć panu winna.

Oparł łokcie o kontuar i patrzył na nią, jak mu się wydawało, zwycięsko.

— O co ci chodzi? — spytał z wyrzutem. — Prosiłem cię kiedyś o pieniądze?

Chyba nie?

Znowu się zaciągnęła, lecz nic nie odpowiedziała. Sięgnął przez ladę i ścisnął wolną rękę dziewczyny.

— Wiesz, że twój widok zawsze mnie cieszy.

Zerknęła na swoją dłoń, ale jej nie cofnęła. Spojrzała starcowi w oczy.

— Pan lubi patrzeć na dziewczyny — oznajmiła stanowczo. — Wszystkie się panu podobają.

— Ale żadna nie tak, jak ty — odparł szczerze. — Wolę widzieć ciebie niż jakąkolwiek inną. Zawsze tak było, nawet kiedy byłaś małym dzieckiem.

— Mowa trawa — odpowiedziała sceptycznie.

— Mówię szczerze — zaprotestował. — Tylko ty masz u mnie kredyt. Nie popuściłbym, gdyby ktoś inny był mi winien trzy dolary i dwadzieścia pięć centów.

Wycofała rękę, patrząc, jak oczy starego człowieka za-snuwają się mgłą.

— A Francie Keegan? Mówi, że też jest panu winna.

— Ale w końcu musiała mi zapłacić, prawda? — powiedział oblizując suche wargi. — Ciebie nigdy nie prosiłem o zwrot długu.

W milczeniu cofnęła się parę kroków i rozejrzała dookoła.

— Coś się tutaj zmieniło.

— Kazałem wymalować zaplecze — wyjaśnił dumnie.

— O! — odrzekła unosząc brwi.

— Ładny seledyn — dodał. — Myślę też o odnowieniu całego sklepu, gdy tylko uda mi się zebrać pieniądze.

— No, niech pan nie opowiada — roześmiała się. — Pan ma forsy jak lodu.

— Wszystkie dzieciaki tak gadają. Nie wiem dlaczego. Widzicie przecież, jak mi idzie — odpowiedział z urazą.

— No, właśnie — skwitowała. — Widzimy.

Odwróciła się nagle i pochyliwszy, oparła o szklany blat lady ze słodyczami.

Stary człowiek wstrzymał oddech. Młode, bujne ciało odbijało się w szklanej tafli, a przez cienką białą bluzkę przebijały jędrne, silne piersi.

— Chcesz coś słodkiego? — zapytał. Wpatrywała się w niego ponad ladą, kalkulując.

— Nie mam więcej forsy — stwierdziła ostrożnie.

— Nie prosiłem o pieniądze, prawda? — spytał nachylając się szybko za ladą i otwierając drzwiczki. Popatrzył na dziewczynę przez szybę. — Na co masz ochotę.

— Na cokolwiek. Może być „Milky Way” — odrzekła z roześmianymi oczami.

Nie odrywając wzroku od dziewczyny sięgnął po batonik. Ręce mu się trzęsły.

Przez lekką spódniczkę widział zarys jej ciała, obramowany jaskrawym światłem podającym z ulicy. Dawno temu odkrył ten dogodny punkt obserwacyjny. Był to jeden z powodów, dla których światło w sklepie zawsze było przyćmione. Drugi — to wysoki koszt elektryczności.

Spojrzała na niego z góry, zastanawiając się, jak długo pozostanie w takiej pozycji. Wszystkie dziewczęta w dzielnicy żartowały sobie z tego podstępu. Marja doskonale wiedziała, na co stary patrzy, bo i on odbijał się w szklanej tafli, ale mało ją to obchodziło. Stary cap. Niech sobie patrzy, jeśli tylko da się coś od niego za darmo wyciągnąć.

Po chwili znudziła ją ta sytuacja i przeszła do drugiej lady. Prawie natychmiast stary poderwał się na nogi, z batonikiem w ręce. Z zaczerwienioną od wysiłku twarzą popchnął batonik po ladzie w stronę dziewczyny jedną ręką, a drugą złapał jej dłoń, kiedy sięgnęła po smakołyk. Nie wycofała ręki.

— Jesteś najładniejszą dziewczyną w okolicy. Prychnęła pogardliwie.

— Naprawdę, Marjo — mówił ściskając jej dłoń. — Masz takie ładne dłonie. Zupełnie nie jak dzieciak.

— Nie jestem dzieckiem — powiedziała szybko. — Skończę szesnaście lat.

— Naprawdę? — zapytał zdumiony.

Czas tutaj płynął szybko. Dziewczynki dorastały i zanim zdążyłeś się obejrzeć, wychodziły za mąż i znikaly.

— Tak — odpowiedziała z pewnością siebie. — Jesienią.

— Założę się, że w szkole chłopcy za tobą szaleją.

Wymijająco wzruszyła ramionami.

— Głowę daję, że starają się dopaść cię gdzieś w ciemnym kącie — dodał.

— Co pan ma na myśli, panie Rannis? — zapytała niewinnie, przybierając zdumiony wyraz twarzy.

— Już ty dobrze wiesz — odpowiedział.

— Nie, nie wiem, panie Rannis — upierała się, a w jej oczach czaił się śmiech. — Niech mi pan powie.

Cofnął rękę z batonikiem, puścił dłoń dziewczyny i wzdłuż lady ruszył ku tyłowi sklepu. Gdy znalazł się w miejscu, gdzie szklana gablota go zasłaniała, zawołał:

— Chodź tutaj, Marjo! Powiem ci!

Poszła wolno w jego kierunku, z uśmiechem na twarzy. Kiedy gablota częściowo już ją odsłoniła, spojrzała w oblicze starego człowieka, niezdrowo zarumienione, z kroplami potu nad górną wargą. Bezzębne usta poruszały się pracowicie, lecz nie padło ani jedno słowo.

— No i co, panie Rannis? — zapytała, uśmiechając się szerzej.

Wyciągnął ku niej rękę. Stała bez ruchu.

— Na pewno chcą cię dotykać — rzekł ochryplym głosem. Zerknęła na jego rękę, oddaloną o parę cali, a potem na twarz.

— Gdzie?

Delikatnie, musnął koniuszkami palców przód bluzki Marji. Dotyk młodego, silnego ciała przeszył go ogniem.

— Tutaj — powiedział w napięciu, szukając w jej obliczu śladów strachu.

Niczego takiego nie znalazł. Nawet nie drgnęła. Przeciwnie, uśmiechała się.

— Ależ tak, panie Rannis — odpowiedziała. — Cały czas. To go zaskoczyło. Wnet zapomniał, że ma dziewczynę przed sobą.

— I ty im pozwalasz? Patrzyła mu szczerze w oczy.

— Czasami tak, czasami nie. To zależy, czy mam ochotę. I czy mi się to podoba.

Mój baton, panie Rannis — powiedziała, odwracając się i wyciągając rękę.

Podał go bez zastanowienia. Wspomnienie dotyku młodych piersi paliło go jak ogień.

— Chcesz zobaczyć, jak pomalowałem zaplecze? — zapytał.

W milczeniu, nie spuszczając z niego wzroku, odwinęła baton i ugryzła go bez pośpiechu.

— Chodź — ponaglał niecierpliwie. — Jeśli będziesz naprawdę grzeczna, to może zapomnę o twoim długu.

Przełknęła pierwszy kęs, przyglądając się staremu z zastanowieniem. Potem odwróciła się i ruszyła w kierunku wyjścia.

— Marjo! — krzyknął błagalnie. — Dam ci nawet trochę pieniędzy!

Zatrzymała się przy kontuarze z marmurowym blatem, wzięła papierosy, kilka zapalek i poszła dalej. Otworzyła drzwi.

— Marjo — błagał stary. — Dam ci wszystko, czego zechcesz.

Stała z ręką na klamce. Kiedy przemówiła, zdał sobie sprawę, że dokładnie przemyślała odpowiedź.

— Nie, panie Rannis — rzekła uprzejmie, matowym głosem. — Nie jestem dla pana gotowa. Jeszcze nie.

Drzwi zamknęły się i nagle sklep wydał się nudny i pusty bez jasnego, połyskliwego złota jej włosów. Ciężko, jak po stoczonym bitwie, stary człowiek odwrócił się i zniknął na zapleczu.

Rozdział 2

W pierwszych dniach czerwca słońce tak przypiekało ulice miasta, że asfalt, miękki jak gąbka, lepił się złośliwie do stóp, czyniąc z każdego kroku wysiłek ponad miarę. Wściekły żar odbijał się od betonowych ścian bloków mieszkalnych i uderzał w twarz, liżąc ją jak płomień.

Zawahała się przez chwilę, zanim zanurzyła się w panującym na ulicy piekle. Powoli kończyła batonik, rozglądając się za jakimś znakiem życia.

Ulica była prawie pusta, jeżeli pominąć kilkoro dzieci bawiących się przy rogu Drugiej Alei i samotną kobietę, która właśnie wyszła ze sklepu mięsnego Hochmeyera i oddalała się, niosąc torbę z zakupami. Przejechała taksówka, zostawiając na jezdni niebieskawe ślady.

Skończyła batonik, wytarła starannie palce w opakowanie i wyrzuciła je do rynsztoka. Schowała papierosy w małej torebce i ruszyła przed siebie chodnikiem. Poraziły ją upał i słońce. Zamrugnęła gwałtownie powiekami.

Poczula, jak pot

zlewa jej ciało. Przez moment nawet żałowała, że nie została w sklepie ze słodyczami i nie zabawiła się trochę ze starym. Tam przynajmniej było chłodno. Niechętnie podążyła w kierunku domu. Zegar na jednej z wystaw wskazywał prawie trzecią. Zawahała się. Gdyby nie było tak gorąco, nie poszłaby do domu, ale chyba tylko głupiec mógł mieć ochotę włóczyć się po ulicy w taki dzień. Żeby tak mieć forszę i móc pójść na jakieś przedstawienie. Teatr na Osiemdziesiątej Szóstej Ulicy ma klimatyzację. Wentylatory nawiewają lodowate powietrze. Za jedno dziesięć centów można tam siedzieć cały dzień i przetrzymać upał.

— Marja! — zawołała jakaś dziewczyna.

Marja obejrzała się. Zaczekała, aż ją dogoni Francie Keegan, jej koleżanka.

— Cześć, Francie!

Francie ledwo dyszała z wysiłku. Była dużą, masywnie zbudowaną dziewczyną o pełnych, dojrzałych piersiach i zaokrąglonych biodrach, o rok starszą od Marji. Oczy miała ciemnoniebieskie, a włosy czarne i gęste.

— Dokąd idziesz? — zapytała oddychając chrapliwie.

— Do domu — odpowiedziała Marja zwięźle. — Przez ten cholerny upał.

— Myślałam, że pójdziemy na jakieś przedstawienie. — Na twarzy Francie widać było rozczarowanie.

— A forszę masz? — zapytała Marja.

— Nie.

— Ja też nie — skwitowała Marja i ruszyła dalej. Francie dogoniła ją.

— O Chryste! — zawołała. — Wszyscy splukani co do grosza!

— Co ty nie powiesz. — Półuśmiech przemknął przez twarz Marji. Patrzyła na koleżankę kątem oka.

Przez chwilę szły w milczeniu.

— Mam pomysł! — zawołała Francie, łapiąc Marję za ramię. — Stary Rannis — wyjaśniła — może coś z niego wydusimy.

— Eee, już tam byłam — potrząsnęła głową Marja.

— I co? — zaciekawiała się Francie.

— Nic. Dostałam batonik, bo pozwoliłam mu się przeświecić, rozumiesz?

— I co dalej?

— To już wszystko — kontynuowała Marja. — Potem chciał, żebym z nim poszła na zaplecze zobaczyć, jak je wymalował. Nie wziął forsy, chociaż jestem mu winna trzy

dolary dwadzieścia pięć centów. Dałam mu się nawet podoty-kać, ale i tak chciał, żebym z nim poszła do tyłu. Francie przemyślała słowa koleżanki i zapytała:

— To co z tym batonikiem?

— Za późno — uśmiechnęła się Marja. Znacząco pogładziła się po żołądku. — Już go zjadłam.

— O cholera! — zaklęła Francie. — Nie mam dzisiaj szczęścia — powiedziała, ruszając przed siebie. — No to możemy iść do domu. Cholera, jaki upał. — Wytarła spoconą twarz w rękaw bawełnianej sukienki.

Marja nic nie odrzekła. Szły dalej nic nie mówiąc. Przeszły tak prawie pół przecznicy, zanim Francie zapytała:

— Kto jest w domu?

— Myślę, że wszyscy — odpowiedziała Marja. — Matka idzie do pracy dopiero na piątą.

Matka Marji pracowała w śródmieściu. Sprzątała w biurze, do drugiej nad ranem.

— A twój ojczym?

W oczach Marji pojawił się chłód. Były teraz prawie czarne.

— Ten jest na pewno. Nie zostawiłby swoich trzech puszek piwa za żadne skarby świata.

— To on wcale nie pracuje? Nigdy? — wypytywała Francie.

— A po co? — zaśmiała się Marja. — Nigdy nie było mu tak dobrze. Trzy razy dziennie żarcie i tyle piwa, ile może wypić. To nie jest naiwniak. Cały dzień siedzi i beka.

— Któregoś dnia zatrzymał mnie na korytarzu — powiedziała Francie z dziwnym wyrazem twarzy.

— Czego chciał?

— Pytał o ciebie.

— To znaczy, o co?

— O to, co robisz poza domem, z chłopcami. I takie różne rzeczy.

— O! — Marja zastanowiła się przez chwilę. — Mnie też ciągle o to pyta. Co mu powiedziałaś?

— Nic. Nie jestem głupia.

Nikły uśmiech ulgi pojawił się na wargach Marji.

— Czepia się mnie. Uwielbia to. Nienawidzi mnie.

— Wiem — potwierdziła Francie. — Czasami słyhać aż u nas, jak wrzeszczy.

— On zawsze wrzeszczy — odpowiedziała Marja. Dotarły już prawie do domu.

Wszystkie bloki mieszkalne na

ich ulicy były podobne. Takie same fasady z brązowego kamienia. Budynki bez wyrazu, które nie pamiętały już lepszych czasów, wpatrzone brudnymi oczodołami okien w ulicę.

Dziewczęta zatrzymały się na tarasie przed domem. Obok stał odkryty pojemnik na śmieci. Kiedy tak stały, Hary podwórkowy kot wskoczył na śmietnik i zuczał w nim grzebać. Obserwowały go bez słowa.

Marja zmarszczyła nos.

— Myślałam, że dozorca będzie miał dosyć rozumu, żeby przykryć śmietnik przy takiej pogodzie — pociągnęła nosem. — Śmierdzi.

Francie nie odpowiedziała. Ruszyła schodami w górę, gdy do ich uszu dobiegł pełen podziwu gwizd z przeciwnej strony ulicy. Odwróciły się.

Z salonu gier położonego naprzeciw ich domu wyszło trzech chłopaków. Stali i patrzyli, a jeden z nich zawołał:

— Hej, Francie, co to za blond koleżanka? Dziewczyny wymieniły szybkie spojrzenia uśmiechając się lekko.

— Dlaczego nie przyjdiesz sprawdzić? — odkrzyknęła Francie.

Stojąc w drzwiach salonu chłopcy szeptali coś do siebie, a Marja starała się ich rozpoznać. Tego, który zawołał Francie, widziała kilkakrotnie. Wiedziała, że mieszka na tej samej ulicy, ale nie pamiętała imienia. Pozostałych dwóch nigdy przedtem nie spotkała.

Obaj byli wysocy. Jeden miał jasnobrązowe, prawie blond włosy, otwartą szczerą twarz i łagodne niebieskie oczy, drugi był jego zupełnym przeciwieństwem.

Ciemny, przystojny, o greckich rysach i pełnych, zmysłowych ustach. Po chwili pierwszy z nich oddalił się od kolegów, machając im na pożegnanie ręką.

Pozostali dwaj powoli przeszli przez ulicę.

— Cześć, Jimmy — powiedziała Francie, kiedy się zbliżyli. Jimmy był chudy, a jego pokrytą śladami po trądziku

twarz zdobiły lekko wylupiaste oczy. Uśmiechnął się, ukazując wystające zęby.

— Gdzie się podziewałaś, Francie? — zapytał.

— Tu i tam — odpowiedziała. — A ty?

— Tak samo — odrzekł i spojrzał szybko na swojego przyjaciela. — Co robicie?

— Nic. Idziemy do domu schować się przed upałem.

— Ross i ja właśnie wybieraliśmy się popływać — powiedział Jimmy szybko. — Pójdziecie z nami?

Francie popatrzyła na Marję, która milczała do tej pory. Iskierka zainteresowania tliła się w jej oczach.

— Jeżeli wejdziemy na górę po kostiumy — wyjaśniła — nie będziemy mogły wrócić.

Drugi chłopak roześmiał się w głos.

— Tam, gdzie jedziemy, można dostać kostiumy — powiedział.

— Ross ma samochód — wtrącił Jimmy. — Mielibyśmy jechać do Coney Island.

— To na co czekamy? — Po raz pierwszy odezwała się Marja.

Chłopak wyciągnął do niej rękę. Jego uścisk był silny i pewny. Stała przed nim.

— I o to chodzi, kochanie — stwierdził, tłumiąc śmiech i wpatrując się w Marję prowokująco. — Lubię dziewczyny, które wiedzą, czego chcą.

Ruszył ulicą, a Marja dotrzymywała mu kroku.

— To nie ja wiem, czego chcę, tylko moje ciało, w taki upał — powiedziała ze śmiechem, patrząc mu w oczy.

— Dla mnie nigdy nie jest za gorąco — odrzekł. Dogoniła ich pozostała dwójka.

Marja zerknęła przez ramię

na Francie. Jimmy szeptał jej coś do ucha, a Francie uśmiechała się i kiwała głową.

— Gdzie zaparkowałeś? — zapytała Marja, patrząc w górę na chłopaka.

— Za rogiem — odpowiedział. — Nazywam się Ross Drego, a ty?

— Marja — brzmiała odpowiedź.

— Miałem na myśli nazwisko — nalegał.

— Marja Anna Flood — odrzekła, patrząc mu w oczy.

— Flood to angielskie nazwisko — powiedział zdziwiony.

— Jestem Polką — odparła szybko. — Nazywałam się Flużyńska.

— No, to wszystko jasne — odpowiedział, a lekki uśmiech złagodził jego słowa.

Byli już na rogu ulicy i Ross skręcił w stronę sportowego Buicka. Szerokim gestem otworzył drzwiczki.

— Do waszej dyspozycji, dziewczyny.

Marja zatrzymała się, spojrzała na samochód, a potem na Rossa.

— Na co czekacie? — zapytał. — Wsiadajcie.

— O ho ho! To jakaś podejrzana sprawa.

— O co ci chodzi? — zapytał Ross z nieklamanyim zdumieniem w oczach.

— Nie jadę nigdzie skradzionym samochodem — rzekła. — Jeśli mam wpaść, to z własnej winy.

— To nie jest kradziony samochód — roześmiał się Ross. — On jest mój.

Spoglądała na niego z powątpiewaniem.

— Tak? Gdzie się go dorobiłeś? Pewnie dlatego twój kumpel nie chciał z tobą pójść.

— Masz na myśli Mike'a Keyesa? — zapytał szczerząc zęby. — Musiał wracać do pracy. Jego stary jest dozorcą, a Mike mu pomaga.

Nadal nie wierzyła.

— Wciskasz ciemnotę — upierała się.

— No już, wsiadaj — rozległ się głos Jimmiego. — Nie bój się, to jego samochód. Stary mu go dał.

— Udowodnij to — powiedziała, cofając się.

— Nie wierzysz mi? — Głos Rossa był zimny i bezbarwny. Uśmiech zniknął mu z oczu.

— Wierzę ci — odpowiedziała, patrząc mu w oczy. — Ale nie chcę ryzykować.

Znam dziewczynę, która też uwierzyła facetowi i teraz siedzi w Bedford.

Grymas gniewu przemknął przez ciemną twarz Rossa.

— No, to spływaj — powiedział ostro. — Mogę mieć tysiąc takich tanich panienek, które chętnie ze mną pójda.

Marja odwróciła się i zaczęła oddalać. Była już prawie na rogu ulicy, gdy zatrzymał ją głos Rossa. Poczekała, aż chłopak ją dogoni.

— Zaczekaj — powiedział, sięgając ręką do kieszeni. — To mój samochód. Spójrz.

Podał jej portfel. Było w nim więcej złożonych zielonych banknotów, niż zdołała zobaczyć podczas całego swojego życia. Popatrzyła na chłopaka pytająco.

Otworzyła portfel. Z jednej strony prawo jazdy, z drugiej dowód rejestracyjny.

Obydwa dokumenty wystawione na nazwisko Rossa Drego, 987 Park Avenue, Nowy Jork. Szybko zerknęła na datę urodzenia. Miał osiemnaście lat. W milczeniu zamknęła portfel i oddała właścicielowi.

— A teraz pojedziesz? — zapytał.

— Nie mogłeś zrobić tego od razu? — odparowała.

— Byłem wściekły — odpowiedział szybko, uśmiechając się. — Przepraszam. Wybaczysz mi?

Przyglądała mu się przez chwilę. Dziwny gość. Nie знаła nikogo podobnego.

Pięknie się wyrażał, a jednak wyczuwała w nim coś dzikiego i nikczemnego. Lecz wrażenie to zniknęło, kiedy się uśmiechnął. Odpowiedziała uśmiechem.

Złapała go za ramię.

— No, to szybko! — zawołała. — Co za piekielny upał! Chyba się nie doczekam tej kąpieli.

Rozdział 3

— Co to za część Coney Island? — zapytała Marja, kiedy Ross zatrzymał samochód przed bramą i nacisnął na klakson.

— Sea Gate — odpowiedział z uśmiechem. — Mamy tutaj dom.

— Jak to, dom? Chyba domek kąpielowy — sprostowała.

— Nie. Normalny dom. To tereny prywatne — odrzekł, uśmiechając się jeszcze szerzej.

Przez okratowanie bramy patrzył na nich odźwierny.

— Otwieraj, Joe! — zawołał Ross.

— Ach, to pan, panie Drego.

Wielka żelazna brama zaczęła się powoli uchylać.

— To nasz letni dom — wyjaśnił Ross, gdy wjeżdżali. — Mieszkamy tutaj, kiedy ojciec jest zbyt zajęty w pracy, żeby wyjechać.

Marja rozglądała się dookoła. Na pochyłych trawnikach po-obu stronach drogi wznosiły się piękne budynki ocienione wysokimi drzewami.

— Chryste! — zawołała. — Przecież tutaj mieszka się jak w parku!

Ross nie odpowiedział. Odwróciła się do Francie, szukając potwierdzenia.

— No nie, Francie?

Francie i Jimmy też byli pod wrażeniem tego, co zobaczyli. Wytrzeszczonymi oczami wpatrywali się w mijane domy. Francie pokiwała głową.

— Głowę daję, że tylko milionerzy tutaj mieszkają — powiedziała.

— Słyszałeś? — zapytała Marja, odwracając się do Rossa. Ross przytaknął nie odrywając oczu od drogi.

— I to prawda? — zapytała.

— Nie — odrzekł potrząsając głową.

— Twój stary musi być bogaty — skwitowała. Wjechali w boczną drogę i zatrzymali się. Ross wyłączył

silnik. Spojrzał na Marję ponuro i zimno.

— Czy ma to dla ciebie jakieś znaczenie, kim jest mój ojciec? — zapytał. — To ja cię tutaj przywiozłem.

Marja patrzyła na Rossa, zastanawiając się, czym go rozzłościła.

— Nie — odpowiedziała po chwili.

Chłód zniknął z oczu Rossa tak samo szybko, jak się w nich pojawił.

— No, to chodź po kostium kąpielowy — powiedział z uśmiechem. — Woda wygląda wspaniale.

Podążyła wzrokiem za jego wyciągniętą ręką. Plaża i falujący ocean były tuż za budynkiem. Ross wyskoczył z samochodu i otworzył drzwiczki od strony dziewczyny. Wsiadła i przyjrzała się domowi.

Był duży. Dwupiętrowy. Gonty i drewniane listwy pomalowane były na chłodny, ciemnozielony kolor. Bez względu na to, co mówił Ross, jego stary musiał mieć kupę szmalu, żeby utrzymać taką chatę.

Ross poprowadził towarzystwo do frontowych drzwi, wyjął klucz.

— Chodźcie za mną — powiedział otworzywszy drzwi i skierował się schodami w górę.

Wchodząc na piętro, Marja miała okazję rzucić okiem na urządzone z wielkim smakiem jadalnię i salon. Spojrzała pod nogi. Puszysty dywan tłumił odgłos kroków. Myślała, że tak żyje się tylko w filmach.

— To pokój mojej siostry — rzekł Ross, otwierając jedne z licznych drzwi. — Wejdźcie, to wyszukamy jakieś odpowiednie kostiumy.

Marja wkroczyła do pokoju, słysząc, jak za jej plecami Francie krztusi się z wrażenia. Nie musiała się odwracać, żeby wiedzieć, o co chodziło. Nigdy w życiu nie widziała takiego wnętrza, spowitego w różowe i błękitne atłasy. Patrzyła z uwagą na zasłony, kapę na łóżko i szezlong, utrzymane w tej samej tonacji. Na podłodze rozesłany był dywan w ciepłoróżowym kolorze, harmonizujący z meblami w odcieniu wiśni.

Ross otworzył szafę.

— Tutaj znajdziecie kostiumy — wyjaśnił. — A tutaj jest łazienka — dodał, wskazując na drugie drzwi i wycofując się z pokoju. — Dajemy wam dziesięć minut na przygotowanie.

— Może trzeba im trochę pomóc? — parsknął śmiechem Jimmy.

Francie zachichotała.

— Chodź, Jimmy, poszukamy czegoś dla siebie — rzucił szybko Ross, widząc, iż jego kumpel rzeczywiście wchodzi do pokoju.

Jimmy posłusznie wycofał się i zamknął drzwi. Dziewczyny zostały same.

— Niech sobie Ross gada, co chce — wyszeptła Francie — ale jego stary musi być milionerem.

— Albo milionerem, albo gangsterem. — Marja też mówiła szeptem.

— Co ty pleciesz? — Oczy Francie stały się duże i okrągłe.

— Lepiej się ubierzmy, zanim wrócą — skwitowała Marja, podchodząc do szafy.

— O mój Boże, Francie, popatrz! — krzyknęła.

— O Jezu — powiedziała tylko Francie.

Miały przed sobą chyba z dwadzieścia kostiumów kąpielowych. Francie nieśmiało dotknęła jednego z nich.

— Dotknij go, Marjo, to prawdziwa wełna.

Ale Marja zdażyła już zrzucić bluzkę i spódniczkę — i odpinała właśnie stanik.

Pędem wybiegła z wody, roześmiana, bez tchu. Ross tuż za nią.

— Nie, Ross, nie! — krzyczała. — Będę miała we włosach pełno piasku.

— To je umyjesz — śmiał się Ross, starając się złapać Marję za kostkę.

Odwróciła się i biegła dalej, podczas gdy on potknął się i upadł na kolana.

Obejrzała się przez ramię. Podniósł się i rzucił do przodu, chwytając ją w locie za nogę. Osunęła się na piasek. Padł obok. Leżeli przez chwilę bez ruchu, próbując złapać oddech. Słyszała, jak powietrze świstało mu w płucach. Przewróciła się na plecy. Ciepłe słoneczne promienie dotykały jej twarzy. Zamknęła oczy. Czowała się jak w raj.

Głośny oddech Rossa ucichł. Marja otworzyła oczy. Ross przyglądał jej się oparty na jednym łokciu.

— Dobrze się bawisz? — zapytał z uśmiechem.

— Nieźle — odpowiedziała, również się uśmiechając,

— To świetnie. Francie i Jimmy jeszcze są w wodzie. Podobał jej się sposób, w jaki Ross wymawiał słowa.

Popatrzyła w stronę wody.

— Trudno im się dziwić. Woda jest szalowa.

— To dlaczego już wyszłaś?

— Miałam dosyć. Nie jestem zachłanna. Nie mogę sobie pozwolić na to, żebym była rozpieszczana.

— Ale ja chciałbym cię rozpieszczać, i stać mnie na to — powiedział Ross, pochylając się nisko nad Marją.

Patrzyła mu prosto w oczy, tak jak dotąd żadna inna: bez zmrużenia powiek.

Zdawała się docierać do głębi jego umysłu.

— Skąd wiesz? — zapytała matowym głosem. — Może mam duże wymagania.

— Wiem — odrzekł, kładąc jej rękę na ramieniu. Rozchyliła wargi w oczekiwaniu.

Koniuszkiem języka obrysowała kontur jego ust. Wargi Rossa zapłonęły, w skroniach

pulsowała krew. Leżąc na piasku, z głową opartą o ramię Rossa, Marja splotła dłonie na jego karku, delikatnie przyciągając ku sobie jego głowę. Zamknął powieki. Nikt nigdy tak go nie całował.

Marja obserwowała go szeroko otwartymi oczami. Miłe ciepło rozlewało się po jej ciele. To zabawne, wszyscy, kiedy ją całowali, wyglądali tak samo. Ich twarze były tak blisko, że oczy zlewały się w jedno, zanim się zamknęły. Przynajmniej pod tym względem Ross nie różnił się od innych.

Poczuła dotknięcie jego dłoni. Było przyjemne. Ciepłe i delikatne. Nie sprawiał jej bólu, jak inni. Pozwoliła zsunąć się ramiączkom kostiumu. Ręka Rossa dotknęła nagiego ciała. Oddychał ciężko.

Marja delikatnie wsunęła rękę w wilgotne kąpielówki Rossa. Był silny. Pod palcami czuła napięte mięśnie. Ujęła w dłoń jego męskość. Odwróciła twarz, zsuwając głowę Rossa na swe piersi. Czuła twardość zębów za jego wargami. Starał się odwrócić głowę, ale trzymała go mocno. Wpół uśmiechając się do siebie spojrzała w dół. Właśnie to, co byli gotowi dla niej zrobić, do czego mogła ich doprowadzić, było takie cudowne. Ta strona życia kobiety ją pociągała, ponieważ w końcu to zawsze ona była silniejsza.

— Ross — szepnęła, widząc płomień ekstazy w jego oczach. Prawie krzyczał, wstrząśnięty dreszczem i wtedy Marja

poczuła, jak żar jego ciała przenika mokre kąpielówki. Jak echo, zalała ją fala ciepła. Łapczywie łykała powietrze. Na moment ciasno przywarła do Rossa. Po chwili padli na piasek uspokojeni.

Ross leżał na brzuchu, z twarzą ukrytą w dłoniach. Oddychał głęboko. Delikatnie pogładził ją po włosach.

— Ross, kochanie — szepnęła. — Jesteś cudowny. Powoli odwrócił się do niej z dziwnym wyrazem zawstydzienia w oczach.

— Dlaczego to zrobiłaś, Marjo — zapytał chrapliwym głosem. Uśmiechając się, patrzyła szeroko otwartymi oczami, świadoma swojej kobiecości.

— Bo cię lubię, kochanie — odpowiedziała swobodnie. — I chciałam dać ci trochę szczęścia.

Ross z trudem panował nad trzęsącymi się wargami. Był bliski łez. Wiedział, że jest od niej starszy, ale czuł się teraz jak dziecko. Unikał jej wzroku.

— Nie rób tego więcej. Nigdy — powiedział szorstkim, łamiącym się głosem.

— Nie lubisz tego, kochany? — zapytała łagodnie.

— Nie — wypluł z siebie odpowiedź, nie patrząc w jej kierunku.
— Więc to się już nie powtórzy, kochanie — odpowiedziała. Poczuł, że Marja się poruszyła. Spojrzał na nią. Siedziała na piasku, przeczesując palcami połyskujące złote włosy. Zdawała się emanować zwierzęcą witalnością. Popatrzyła na Rossa z uśmiechem.
— Mówiłam ci, że będę miała piasek we włosach — rzekła wstając. — Idę do wody go wypłukać, chodź ze mną — wyciągnęła rękę.
Nie poruszył się. Zerknął na Marję przez ramię.
— Idź. Zaraz cię dogonię.
Patrzył, jak biegła w stronę oceanu. Zanurzyła się w pierwszej nadchodzącej fali, zanim zdążył wstać i pobiec za nią.

Rozdział 4

Pasma mrocznej purpury przesłoniły niebo, zwiastując nadejście wieczoru. Na zachodzie słońce walczyło jeszcze z nadchodzącą nocą — płomienna, czerwona kula niechętnie chowała się za horyzontem. Robiło się chłodno.

Marja usiadła na kocu.

— Zastanawiam się, która może być godzina — powiedziała.

Ross otworzył oczy i spojrzął z ukosa na niebo.

— Będzie gdzieś kwadrans po szóstej.

— Skąd wiesz?

— Byłem kiedyś skautem — odpowiedział, szczerząc zęby w uśmiechu.

— Nigdy nie znałam żadnego skauta — roześmiała się, uderzając ręką w kolano Rossa.

Instynktownie napiął mięśnie. Marja szybko cofnęła rękę.

— Przepraszam; zapomniałam.

— Ależ nie przepraszaj — odrzekł.

— Przecież nie chcesz, żebym cię dotykała.

— Nie o to chodzi — potrząsnął głową. — Chyba po prostu nie jestem do tego przyzwyczajony.

— Więc jednak mnie lubisz? — zapytała.

— Od chwili kiedy cię zobaczyłem przez brudne okno salonu gier.

— Naprawdę? — dopytywała się z uśmiechem.

— Naprawdę — odpowiedział poważnie. — Widziałem, jak szłaś z Francie ulicą i nie mogłem oderwać od ciebie oczu. Przegrałem przez ciebie. Mike wziął całą forszę.

— Mike? — spytała. — To ten blondyn, który nie chciał iść z nami?

— Tak — przytaknął Ross. — Nawet nie podniósł głowy znad stołu, kiedy mu o tobie powiedziałem.

To ją ubodło.

— A co powiedziałeś? Roześmiał się.

— Mamo — powiedziałem — kup mi to!

— Mądrała — zaśmiała się, dając mu sójkę w bok.

— Dobrze, że Jimmy był pod ręką. Inaczej wcale bym cię nie poznał.

— Tak — odparła z sarkazmem. — Twój drugi przyjaciel nie na wiele by się przydał.

— Mike to porządny gość — zaprotestował Ross. — Po prostu bierze wszystko za poważnie. Nie zawraca sobie głowy dziewczynami. Uczy się. Chce zostać prawnikiem.

— Jest w twoim wieku?

— O rok młodszy. Ale byliśmy w tej samej klasie w szkole. Próżność Marji została zraniona. Było to dla niej kwestią dumy, żeby podobać się wszystkim chłopcom.

— Głowę daję, że nie jest taki fajny jak ty — powiedziała.

— Dzięki! — odpowiedział sucho. — Jesteś pierwszą dziewczyną, która tak myśli. Zwykle kiedy go zobaczą, zapominają o mnie.

— Musi być potwornie zarozumiała — stwierdziła bezbarwnym głosem. — Nie znoszę zarozumiałych facetów.

— Kiedy on jest naprawdę bardzo miły. Nie sądzę, żeby wiedział, że się podoba. Chłód wstrząsnął ciałem Marji.

— I tak mnie nie obchodzi — powiedziała obojętnie, rozglądając się po plaży. — Gdzie jest Francie?

— Poszli do domu pół godziny temu, kiedy drzemałaś. Francie było zimno. Marja wstała i przeciągnęła się.

— Lepiej też chodźmy. Francie miała rację.

Patrzył na dziewczynę z dołu. Zastanawiał się, ile mogła mieć lat. Pewnie około siedemnastu. Nie znał nigdy dziewczyny, która w tym wieku byłaby już tak bardzo kobietą. Czysta, jasna cera, szerokie kości policzkowe, duże, zmysłowe, prawie bezwstydné usta, mocno zarysowany podbródek. Marja

znovu się przeciągnęła, unosząc ręce wysoko ponad głowę. Widział małe kępki blond włosów pod pachami, delikatne zaokrąglenie młodych, pełnych piersi, wąską talię przechodzącą w śmiało zarysowane biodra i krągłe uda. Nogi miała długie i proste.

Marja spojrzała w dół, na Rossa, i uśmiechnęła się. Wiedziała, że się jej przyglądał i cieszyło ją to.

— Ile masz lat? — zapytał mimo woli.

— Zgadnij — odpowiedziała, nadal się uśmiechając.

— Siedemnaście — rzucił na chybił trafił.

— Prawie — odrzekła z właściwą dozą wahania, dumna, że wziął ją za starszą, niż była w rzeczywistości.

Ross objął ramionami nogi Marji i pociągnął ją w swoim kierunku. Upadła, śmiejąc się, twarzą przy twarzy Rossa. Rzucił jej groźne spojrzenie.

— Czy młoda, piękna dama gotowa do pocałunku? — spytał złowieszczym głosem.

— Zawsze gotowa — brzmiała odpowiedź.

Ross dotknął wargami ust dziewczyny, ze zdumieniem stwierdzając, że mówiła prawdę. Całowała go namiętnie. Tym razem miał zamiar być przygotowany. Nie zaskoczy go po raz drugi. Walczył z ogarniającym go podnieceniem. Ostrożnie przytulił dziewczynę. Poczul jej palce delikatnie dotykające policzka i ogarnął go ogień. Wiedział, że przegrał.

Rozpaczliwie, prawie ze złością, odwrócił głowę.

— Lepiej już chodźmy — powiedział ponuro.

— O.K. — rzekła cicho i wstała.

Unikając jej spojrzenia, Ross podniósł koc, złożył go, przewiesił przez rękę i trzymał przed sobą. Nie patrząc na dziewczynę, ruszył w kierunku domu.

Dogoniła go. Dotknęła palcem koca i zapytała z uśmiechem:

— Ukrywasz coś, kochanie?

Twarz Rossa pokryła się szkarłatem. Miał już na wargach miazdząca odpowiedź, ale właśnie dotarli do domu. Nic nie mówiąc otworzył drzwi i przepuścił Marję przed sobą.

Dostali się do środka od strony plaży, przez tylną część piwnicy przerobioną na domek kąpielowy. Marja weszła pierwsza i zastygła w bezruchu. Sięgnęła do tyłu, chwytając rękę Rossa — i kładąc palec na wargach, powstrzymała go od mówienia.

— Spójrz — szepnęła z kuszącym uśmiechem na ustach. — Kochankowie.

Popatrzył. Francie i Jimmy, objęci ciasno, spali głęboko na kanapie. Byli zupełnie nadzy. Ross był wstrząśnięty, ale zaraz

potem się roześmiał. To było zabawne. Jimmy, taki chudy, i Francie, taka potężna dziewczyna. Zakrył dłonią usta, tłumiąc śmiech.

— Obudzimy ich? — zapytał cicho.

— Nie. Są tacy zmęczeni, kochane biedactwa. Na palcach minęli śpiącą parę i wyszli do holu.

— Jak trafić do sypialni? Chcę się ubrać — zapytała Marja. Skinął na nią dłonią i ruszyli w górę schodami. Otworzył drzwi sypialni.

— Mogę wziąć prysznic? — zapytała.

— Jeżeli ci nie przeszkadza zimna woda. Bojler nie jest włączony.

— Nie szkodzi.

Marja pozbierała części swojej garderoby i weszła do łazienki. Zamknęła drzwi i przekręciła klucz w zamku. Stała, nadśluchując. Usłyszała, jak drzwi sypialni zamykają się za odchodzącym Rossem. Uśmiechając się do siebie weszła do wanny, zaciągnęła zasłonę i puściła wodę. Woda, chociaż zimna, była cudowna. Marja uwielbiała kąpiele pod prysznicem. W domu mieli tylko balie, i to w kuchni. Toaleta była na korytarzu. I tak żyli. Zaczęła śpiewać czystym, niemuzykalnym głosem. Po dziesięciu minutach niechętnie zakręciła kurek. Odsunęła zasłonę i postawiła jedną nogę na podłodze, zanim zerknęła w górę. Krzyknęła zdziwiona.

Ross uśmiechał się szeroko, trzymając wielki kąpielowy ręcznik w wyciągniętych rękach.

— Myślałem, że będzie ci potrzebny. Nie poruszyła się.

— Jak tutaj wszedłeś? — zapytała.

— Przez moje drzwi. — Wskazał ręką przeciwny koniec łazienki. — Z tamtej strony.

Zmierzył dziewczynę spojrzeniem.

— Weź ten ręcznik. Słyszałem, że naturalne blondynki są podatne na przeziębienia.

Złapała ręcznik i owinęła się nim.

— Dziękuję — rzekła chłodno.

— Zaczekaj chwilę. Chyba się nie gniewasz?

— Nie lubię, kiedy mnie ktoś podgląda. To wszystko.

— To miał być tylko żart — odpowiedział, przyciągając Marję do siebie i próbując ją pocałować.

Odwróciła się.

— To wcale nie jest zabawne. Zostaw mnie. Chcę się ubrać. Przez gruby ręcznik Ross czuł bijące od niej ciepło. Przypo-

mniał sobie naga parę na kanapie. Mocniej przygarnął do siebie dziewczynę.
— Przecież nie zostawisz mnie tak — powiedział nienaturalnym głosem, z sercem bijącym jak młot.

Spojrzała na Rossa oczami zimnymi jak lód. Milczała.

Ogarnęła go wściekłość. Chciał ją pocałować przemocą, ale wykręcała się i odwracała od niego. Nie miał dość siły, aby ją przytrzymać. Naparł całym ciałem, wgniatając ją w ścianę. Teraz nie mogła się poruszyć.

Patrzył jej w oczy dysząc ciężko. Nie znalazł w nich strachu.

— Przestań się przekomarzać — powiedział chrapliwym głosem. — Jak myślisz, po co się tutaj przywiozłem?

Nie odpowiedziała. Patrzyła.

Chciał z niej zerwać ręcznik, lecz trzymała go mocno. Dał się ponieść gniewowi i w swojej gwałtowności znajdował dziką przyjemność. Uderzył Marję w twarz wierzchem dłoni.

— No już, ty dziwko — warknął. — Na co czekasz? Francie mówiła, że nie będziesz się opierać.

Marja zastygła na chwilę w bezruchu, a potem wyprostowała się oparta o ścianę. Ślady palców odcinały się bielą od zaróżowionych od słońca policzków.

Uśmiechnęła się lekko, opuszczając powieki.

— Ross, kochanie — szepnęła.

Ross uśmiechnął się, pewny swego. Te tanie, małe lalunie są wszystkie takie same. Czasami trzeba im pokazać, kto tu naprawdę rządzi. Zbliżył się do niej śmiało.

Nie zauważył, że kolano dziewczyny unosi się niebezpiecznie, aż do chwili, gdy poczuł rozdzierający ból w kroku. Nie dowierzając stał przez moment, kołysząc się na boki.

— Marjo! — powiedział oszłomiony, bielejącymi wargami. — Mój Boże, Marjo! — Drugi paroksyzm bólu powalił go na podłogę, u jej stóp.

Złożony we dwoje, oczami zamglonymi cierpieniem, widział, jak Marja przygląda mu się chłodno. Wił się, przeszywany kolejnymi falami bólu.

Bardziej poczuł, niż zobaczył, że Marja przechodzi nad nim i zbiera swoje rzeczy z krzesła. Strumień powietrza musnął jego twarz, kiedy otworzyła drzwi. Z wielkim wysiłkiem próbował spojrzeć do góry.

Stała na progu i patrzyła na niego. Jej głos zabrzmiał zimno:

— Jeżeli tego właśnie chciałeś, to trzeba było wybrać Francie.

Ból zaczął się oddalać. Mógł już oddychać, chociaż nie odważył się na żaden ruch w obawie, że to wróci.

— Ale ja chciałem ciebie — wymamrotał przez odrętwiałe wargi.

— Są pewne rzeczy, które robię, i takie, których nie robię nigdy — odpowiedziała łagodnie i cierpliwie, tak jak gdyby tłumaczyła coś dziecku. — Co ty sobie wyobrażasz, Ross, że kim ja jestem?

Drzwi zamknęły się i został sam, rozciągnięty na podłodze. Przycisnął rozpalony policzek do chłodnych płytek posadzki i zamknął powieki. Przed oczami miał Marję wychodzącą spod prysznic. Ból powrócił. Ross wstrzymał oddech.

— Marjo — wyszeptał do zimnych kafelków. — Co z ciebie za dziewczyna?

Rozdział 5

Znużony, otworzył oczy. W pokoju było ciemno, za oknem panowała spokojna noc. Przewrócił się na bok. Miękkie łóżko ugięło się pod ciężarem jego ciała. Poczul, że owinięty jest pledem. Zastanawiał się, jak tu dotarł. Wraz z bólem wróciła pamięć. Potykając się, wyszedł z łazienki i padł na łóżko. Pamiętał jego cudowną miękkość, ale nic poza tym. Nie przykrywał się.

— Lepiej się czujesz, Ross?

Odwrócił głowę w kierunku, skąd dochodził głos Marji. W rogu pokoju żarzył się papieros. Ross usiadł i przypomniał sobie wszystko. Weszła tutaj i przykryła go, kiedy drzemał, wstrząsany dreszczami.

— Tak — odpowiedział markotnie.

Papieros uniósł się, rozżarzył mocniej i pociemniał.

— Chcesz pociągnąć? — zapytała.

— Proszę.

Usłyszał, jak się poruszyła. Potem jej sylwetka przecięła zarys okna. Łóżko ugięło się pod jej ciężarem. Miał przed sobą papierosa. Wziął go z wdzięcznością.

Gryzący dym dotarł do płuc. Poczul się lepiej.

— Która godzina? — zapytał.

— Około dziewiątej.

Zaciągnął się jeszcze raz i wolno wypuścił dym nosem. To go otrzeźwiło.

— A oni gdzie są? — spytał, bezskutecznie starając się

dojrzyć Marję w nikłym świetelku rzucanym przez papieros. — Na dole?
— Nie — odpowiedziała krótko. — Francie przestraszyła się, kiedy weszła tutaj i zobaczyła cię na łóżku. Chciała jechać do domu, a Jimmy pojechał z nią. Gorzkie myśli kłębiły się w jego głowie. Ładni przyjaciele! Uciekają wtedy, kiedy się ich potrzebuje. Właśnie tego można się spodziewać po Jimmym. Mike nigdy nie zrobiłby czegoś takiego.
— Powiedziałaś im, co się stało?
— Nie. Dlaczego miałabym mówić? To sprawa między nami.
— To co sobie mogli pomyśleć?
— Powiedziałem, że zrobiło ci się niedobrze — wytłumaczyła, chyba się śmiejąc, gdyż łóżko zatrzęsło się lekko. — Na to wyglądało. Dygotałeś jak osika na wietrze. Poczul się urażony. Jeżeli myśleli, że jest naprawdę chory, to ich zachowanie było tym bardziej tchórzliwe. Mógł ich rzeczywiście potrzebować. Starał się dojrzyć Marję, ale było zbyt ciemno. Sięgnął w bok i zapalił lampę przy łóżku. Zamrugął oślepiony.
— Dlaczego nie poszłaś z nimi? — zapytał cierpko. Nie odpowiedziała.
— Wiedziałaś, co zaszło. Nie musiałaś zostawać. Poradziłbym sobie. Oczy Marji jaśniały w świetle lampy. Włosy, zebrane ciasno z tyłu głowy i związane wąską wstążką wydawały się prawie białe. Usta pokryte szkarłatną szminką były pełne i lśniące. Siedziała naprzeciw milcząc.
— No i co? — zapytał niegrzecznie. — Zapomniałaś języka w gębie?
— Przyjechałam z tobą. — Odrzekła spokojnie. — I wrócimy razem. Przewrotność słów Marji odebrała mu mowę.
— Wyobrazasz sobie, że zawiozę cię do domu po tym, co się wydarzyło? Że będę chciał?
Obserwowała go w milczeniu. Źrenice jej oczu stawały się coraz większe i coraz czarniejsze. Niebieskie tęczęwki zdawały się niewidoczne. To było u Marji najdziwniejsze. Jej oczy zawsze przemawiały, jednak Ross nie rozumiał ich mowy.
— Tak myślałaś?
Nabrała głęboko powietrza i cicho wstała. Wróciła do krzesła w rogu pokoju, żeby zabrać swą małą torebkę. Ruszyła w kierunku drzwi, nie patrząc na niego.

Zaczekał, aż dotknie klamki i wtedy ją zawołał. Zatrzymała się.

— Dokąd idziesz? — zapytał bez sensu.

— Do domu. Już się dobrze czujesz — odpowiedziała głosem pozbawionym wszelkiego wyrazu.

— Masz na powrót?

— Poradzę sobie — odparła tym samym tonem. Jednym szybkim ruchem wyrwał jej torebkę z ręki.

— Skąd masz pieniądze? — zapytał zimno. — Francie mówiła, że żadna z was nie ma ani centa.

— Powiedziałam, że sobie poradzę — powtórzyła po chwili z nie zmienionym wyrazem twarzy.

Otworzył torebkę. Była pusta, jeżeli nie liczyć szminki, dwóch zgniecionych papierosów, grzebienia i kilku zapalek.

— Portfel włożyłam ci pod poduszkę — powiedziała Marja cicho.

Nie zastanawiając się, Ross wyjął go i otworzył. Banknoty były na swoim miejscu. Zawstydział się swych podejrzeń.

— Możesz mi ją oddać? Muszę iść, już późno.

Spojrzał na Marję i na jej pustą torebkę. Wyjął z portfela dziesięciodolarowy banknot i włożył go do niej.

— Weź taksówkę — powiedział, oddając ją dziewczynie. Banknot sfrunął na łóżko.

— Nie, dziękuję — powiedziała oschle. — Niczego od ciebie nie potrzebuję.

Drzwi zamknęły się za nią.

Przez moment siedział zdumiony, potem zerwał się na równe nogi. W ostatniej chwili zdał sobie sprawę, że zdjęto z niego mokre kąpielówki. Owinąwszy się prześcieradłem wybiegł do holu.

— Marjo! — krzyczał. — Marjo!

Potknął się o prześcieradło i byłby upadł, gdyby nie chwycił się poręczy.

Była już na dole. Odwróciła się, żeby spojrzeć na niego. Przez chwilę patrzyła w milczeniu, po czym wybuchnęła niepohamowanym śmiechem, który zabrzmiał szyderczo w uszach Rossa. Czuł wzbierającą złość.

— I z czego, do diabła, się śmiejesz?! — zawołał

— Popatrz na siebie! — odkrzyknęła, krztusząc się ze śmiechu. — Wyglądasz jak duch!

Odwrócił się do wielkiego lustra wiszącego niedaleko. Błada twarz, dziko zmierzwiłone włosy, białe prześcieradło sprawiały, że naprawdę tak wyglądał.

Roześmiał się głośno, spoglądając znów na nią.

— Daj mi chwilę czasu, ubiorę się i odwiozę cię do domu.

— Zatrzymaj się. Lepiej tutaj wysiądę — powiedziała Marja, kiedy dotarli do rogu jej ulicy. — Mój ojczym może siedzieć w oknie.

Cicho zjechali na brzeg jezdni. Ross wysiadł, obszedł samochód na sztywnych nogach, otworzył drzwiczki po stronie Marji i pomógł jej wysiąść.

Stali przez chwilę zakłopotani, aż wreszcie ona wyciągnęła rękę.

— Dziękuję za mile spędzony czas, Ross — powiedziała uprzejmie.

Spojrzał jej w oczy szukając śladów sarkazmu, ale nic takiego nie znalazł. Ujął jej dłoń.

— Zobaczymy się jeszcze? — zapytał.

— Jeżeli' chcesz — padła odpowiedź.

Postawił stopę na stopniu samochodu krzywiąc się z bólu.

— Chcę.

Marja zauważyła ten grymas na jego twarzy.

— Nie chciałam zrobić ci krzywdy.

— Zasłużyłem sobie — odpowiedział, patrząc jej w oczy. — Powinienem był wiedzieć, co robię.

Parę sekund minęło, zanim cofnęła rękę.

— Lepiej pójdę, bo stary się wścieknie.

— Podaj mi swój numer — poprosił szybko. — Żebym mógł do ciebie zadzwonić — dodał, widząc wyraz zdumienia na obliczu dziewczyny.

— Ach — zrozumiała nagle. — My nie mamy telefonu. „

— To jak się z tobą skontaktować? — zapytał. Sądził dotąd, że wszyscy posiadają telefony.

— Zwykle jestem w sklepie ze słodyczami Rannisa o trzeciej. To naprzeciwko salonu gier.

— Wpadnę po ciebie jutro — powiedział.

— O.K. — zawahała się przez moment. — Dobranoc, Ross.

— Dobranoc, Marjo. — Uśmiechnął się.

Patrzył, jak odchodzi, stukając wysokimi obcasami w chodnik. Podobał mu się sposób, w jaki się poruszała. Wysoko uniesiona głowa, pewny krok, lekko kołyszące się ciało, jak gdyby była panią wszystkiego. Miała w sobie wiele wrodzonej dumy.

Począł, aż weszła na schody i zniknęła w swoim domu. Wsiadł do samochodu i zatrzymał się przy następnej przecznicy. W salonie gier paliły się światła. Nie myśląc wiele wkroczył do środka.

Miał rację. Jimmy, otoczony grupką chłopaków pochylał się nad stołem z kijem bilardowym w ręce. Zbliżając

się Ross usłyszał szept Jimmy'ego, cichy, konfidencki, i sprośny.

— ...jak futro z norek. Ross leżał na łóżku. Wyglądał, jakby go przepuszczono przez wyżymaczkę. Był nieprzytomny. Moja dziewczyna powiedziała, żeby się lepiej ulotnić, zanim zjawia się gliny. Ta blondynka mówiła, że ktoś musi z nim zostać. No, i przysnęliśmy, i zostawiliśmy go z blondynką.

Szósty zmysł kazał Jimmy'emu zerknąć w górę. Zmusił się do uśmiechu.

— Ross — powiedział zupełnie innym tonem — jak się czujesz, stary? Człowieku, ale mieliśmy ubaw, co?

Ross obrzucił go lodowatym spojrzeniem. Prawie nie poruszając wargami wyszeptał jadownicę:

— Ty tchórzliwy gnojku. I po co uciekałeś?

— Francie się przestraszyła — wyjaśnił skwapliwie. — Ktoś musiał zabrać ją do domu, a poza tym Marja została z tobą. Przynajmniej mówiła, że zostanie.

Ross niespiesznie okrążył stół bilardowy i zbliżył się do Jimmy'ego. Pozostali chłopcy się cofnęli.

— A gdybym tak naprawdę był chory? — zapytał Ross zwodniczo łagodnym głosem. — Gdybym potrzebował pomocy? Była ze mną tylko dziewczyna.

Jimmy nadal się uśmiechał, ale w jego oczach pojawił się strach.

— Przecież dziewczyna by sobie poradziła, co, Ross? — odpowiedział szybko. — Głowę daję, że tak.

Pięść Rossa wylądowała na jego szczęce. Jimmy zatoczył się do tyłu i oparł o stół bilardowy. Tkwił tak przez chwilę, zbierając siły, a potem wymierzył kijem bilardowym w twarz Rossa. Ross złapał ten kij w powietrzu i stanął oko w oko z Jimmym. Ciosy były tak szybkie, że nie dało się ich zauważyć w mętym, żółtym świetle. Kij wypadł z rąk Jimmy'ego. Ross cofnął się. Patrząc, jak Jimmy osuwa się wolno na podłogę, krwawiąc z ust i nosa, poczuł dziki, pulsujący ból w skroniach. Tylko ból mógł wyrównać ich rachunki. Niech Jimmy dowie się, co to ból.

Jimmy siedział na podłodze, patrząc szklanymi, nie rozumiejącymi oczami.

Poruszał wargami nie wydając żadnych dźwięków. Wreszcie powoli przewrócił się na bok.

Ross podniósł kij bilardowy. Lodowatym wzrokiem wpatrywał się w rozciągniętą na podłodze postać. Z premedytacją wcisnął tępy koniec lądka w spódnię Jimmy'ego. Obrócił nim kilka razy, napierając całym swoim ciężarem.

— Ty tchórzliwy sukinsynu — wycodził przez zęby.

Jimmy krzyknął przeraźliwie, zanim udało się odciągnąć Rossa na bok. Kij pękł mu w rękach.

— Przestań, Ross! — krzyknął ktoś. — Chcesz go zabić? Ross patrzył na wyszczerbiony, ostry koniec złamanego kija. Wokół tańczyły płomienie. Jak przez mgłę dosłyszał trzask otwieranych drzwi.

— Wiem, co zrobię! — krzyknął, wyrwając się z uścisku trzymających go ramion i celując kijem w twarz Jimmy'ego.

Zanim dosięgnął leżącego, poczuł, jak opasują go dwie silne ręce, uniemożliwiając jakikolwiek ruch. Walczył zawzięcie.

— Puść mnie! Puść mnie! — wrzeszczał. — Zabiję go! Uścisk stał się jeszcze mocniejszy. Odciągnięto Rossa do tyłu.

— Spokojnie, Ross — zabrzmiał znajomy głos. — I tak mamy dosyć kłopotu. Niski, łagodny głos podziałał jak prysznic zimnej wody. Dreszcz przeniknął ciało Rossa. Oprzytomniał. Stał spokojnie ciężko dysząc. Wreszcie opanował się zupełnie i mógł mówić.

— O.K., Mike — powiedział nie odwracając się. — Możesz mnie puścić. Już mi lepiej.

Silne ramiona zwolniły chwyt. Ross nie spojrział w górę. Odwrócił się i poszedł ku drzwiom. Zatrzymał się przy kasie i rzucił jakiś banknot na ladę.

— To za ten bałagan.

Kasjer, z twarzą białą jak prześcieradło, nie odezwał się. Po wyjściu Ross wsiadł do samochodu i czekał.

Minęło parę sekund, usłyszał zbliżające się kroki. Ktoś przystanął obok pojazdu. — Zawieź mnie do domu, dobrze, Mike? — powiedział Ross, nie spoglądając nawet do góry. — Jestem bardzo zmęczony.

Usłyszał, jak przyjaciel okrąża samochód i wsiada z drugiej strony. Zapłonęła zapałka i po chwili miał w ręce papierosa. Zaciągnął się głęboko, opierając głowę o fotel i zamykając oczy.

— Dobrze, że właśnie przyszedłem — zabrzmiał głos Mike[^]. — Coś mi mówiło, że powinienem cię poszukać.

Ślad uśmiechu pojawił się na wargach Rossa.

— Nadal mnie osłaniasz? — zapytał, wspominając czasy, gdy razem grali w football i Mike blokował, kiedy on był przy piłce.

— A czemużby nie, u diabła?! Jesteśmy w końcu kumplami — odpowiedział Mike tłumiąc śmiech.

Zapalił silnik i rozgrzewał go przez chwilę.

— A tak w ogóle, to co się stało? — zapytał. — Zabiłbyś go, gdybym cię nie powstrzymał.

— To przez tę dziewczynę — rozpoczął Ross.

— Tę blondynkę, którą podrywałeś dziś po południu? — przerwał mu Mike.

— Tak. Przez nią...

Mike znowu się wtrącił, przemawiając strofującym głosem:

— Myślałem, że masz więcej rozumu, Ross.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Mike zapalił papierosa. Przez chwilę złote płomyki odbijały mu się w oczach.

— Nie rozumiem cię — powiedział. — Żadna dziewczyna nie jest warta, żeby przez nią wpadać w tarapaty.

Ross popatrzył na przyjaciela. Co do jednej rzeczy Mike na pewno się nie mylił: nie rozumiał go. Ross zamknął powieki i oparł się wygodnie. Poczul, że samochód rusza.

Mike nie rozumiał. Tutaj nie chodziło o Marję. Zwątpił. A może jednak tak?

Spojrzał na Mike'a.

Ten prowadził ostrożnie, skoncentrowany na tym, co robi. Ale przecież Mike wszystko robił ostrożnie. Nie zostawiał sobie marginesu na pomyłki. Na tym polegał problem. Dlatego wolał grać w obronie, a nie w ataku. Nie lubił ryzyka. Nie dlatego, żeby się bał. Taki już był.

Mike nie rozumiał. Jak mógł rozumieć nie znając Marji?

Rozdział 6

Zaledwie weszła do bramy i znalazła się na schodach, usłyszała przeraźliwy płacz dziecka. Stawał się coraz głośniejszy. Przez szparę pod drzwiami padało światło. Zawahała się przez moment.

Mrugnęła chwilę porażona brzydkim białym światłem. Krzyk dziecka świdrował w uszach. Szybko weszła do pokoju i zamknęła drzwi. W korytarzu z lewej strony zaszurały czyjeś nogi. Odwróciła się.

Na progu stał ojczym w workowatych spodniach wiszących na szerokich biodrach. Nie miał na sobie koszuli. Spod obwisłego podkoszulka wyglądała baryłkowata klatka piersiowa pokryta zmierzwionymi, czarnymi włosami. Nic nie powiedział, ale czarne jak węgiel oczy patrzyły na Marję znacząco.

— I czego on płacze? — zapytała, wskazując drzwi sypialni.

— Gdzie byłeś? — zagrzmiął grubym głosem, ignorując pytanie.

— Popływać — padła zwięzła odpowiedź. Marja ruszyła do sypialni.
— Do wpół do jedenastej? — powiedział patrząc na kuchenny zegar.
— Z Coney Island kawał drogi — odrzekła, otwierając drzwi.
Chwycił ją za rękę i odwrócił. Spoglądała nań chłodno, bez wyrazu.
— Dlaczego nie wpadłaś, żeby uprzedzić matkę? — rzucił ze złością. — Martwiła się o ciebie, a wiesz, że nie czuje się dobrze.
— Czułaby się o wiele lepiej, gdybyś poszedł do pracy, żeby nie musiała harować nocami.
Podniósł rękę, jak gdyby chciał ją uderzyć.
— No, proszę, odważ się — szydziła, obnażając zęby w uśmiechu.
— Kurwa! Dziwka! — zaklął po polsku. Wpatrywała się w ojczyrna z pogardą.
— Próźniak! Ochlapus! Nie miałbyś odwagi. Wiesz, że matka od razu by cię wyrzuciła!
Wolno opuścił rękę.
— Gdybym nie był takim dobrym przyjacielem twojego ojca, kiedy jeszcze żył, nie martwiłbym się o ciebie — wymruczał.
— Jego w to nie mieszaj — powiedziała szybko. — Przynajmniej był mężczyzną i troszczył się o swoją rodzinę. Nie leżał cały dzień i nie opijał się piwem.
Marja triumfowała. Czowała, że ojczym przeszedł do obrony.
— Twoja matka nie chce, żebym nadal pracował na budowach — odparł niepewnie. — Musiałem jej to obiecać, kiedy się pobraliśmy. Powiedziała, że strata jednego mężczyzny to dosyć.
— Widziałeś, jak spadł — stwierdziła Marja lodowato. — To twoja obietnica czy strach trzymają cię w domu?
Płacz dziecka stał się głośniejszy i bardziej naglący. Ojczym tkwił przez chwilę nieruchomo, oddychając ciężko, potem odwrócił się tyłem.
— Idź i zobacz, czego Peterowi potrzeba.
Kiedy zniknęła w sypialni, poczłapał ciężko do lodówki. Wyjął puszkę piwa, otworzył ją sprawnie i podniósł do ust. Piwo pociekło po policzkach i spłynęło na podkoszulek. Pił długo i łapczywie. Wreszcie wyrzucił pustą puszkę do papierowej torby stojącej na zlewie.
Zerknął na zamknięte drzwi sypialni. Dziecko ucichło. Nadal gapił się w drzwi. Dziwka, nie było lepszego określenia.

Wytarł usta w ramię. Nikt nie mógł sobie z nią poradzić. Trwało to od czasu, kiedy matka powiedziała jej, że zamierzają wziąć ślub.

Zamknął oczy i wyteżył pamięć. To zaledwie trzy lata temu. W miesiąc po tym, jak jej ojciec spadł ze stalowego dźwigara z wysokości dwudziestego trzeciego piętra. Ciągle pamiętał wyraz zdumienia na twarzy Henry'ego, kiedy ten zdał sobie sprawę, że rusztowania nie było tam, gdzie powinno się znajdować. Na ułamek sekundy wszystko się zatrzymało. Jego wargi ułożyły się, żeby wymówić słowo „Peter”. Z trwogą wyciągnął rękę do przyjaciela. Później nagle przekreślił się w stronę ziemi. Patrząc w dół, Peter dojrzał czapkę Henry'ego, opadającą powoli i z dala od swojego właściciela, którego jasne włosy połyskiwały i mieniły się w słońcu, kiedy koziółkował w dół.

Na samo wspomnienie zrobiło mu się niedobrze. Wstrzymał oddech i czknął. Nudności minęły. Widział swego przyjaciela, ilekroć spoglądał na Marję. Te same blond, prawie białe włosy! szerokie słowiańskie kości policzkowe, zmysłowe usta. Sposób, w jaki się poruszała, też mu go przypominał. Oboje robili to z kocią dumą.

Po raz pierwszy to zauważył, kiedy przyszedł oświadczyć się Katii któregoś wieczora, w miesiąc po tym, jak zginął ojciec Marji. Włożył najelegantszy garnitur, noszony tylko do kościoła, kupił pudełko czekoladek za dwa dolary w najlepszym gatunku, jaki był w sklepie. Wszedł po schodach i stanął przed drzwiami, spocony z nerwów i wysiłku. Przez chwilę wahał się, w końcu zapukał ostrożnie.

— Kto tam? — rozległ się głos Katti.

— To ja, Peter.

Słyszał przytłumione szepty w korytarzu. Drzwi się otworzyły. Zobaczył Marję patrzącą na niego szeroko rozwartymi oczami.

— Cześć, wujku — rzekła.

Odpowiedział uśmiechem, szukając wzrokiem matki. Nie było jej widać. Skrawki białego materiału i rozsypane szpilki pokrywały kuchenny stół.

— Cześć, Marjo — odparł ni w pięć, ni w dziewięć. — Mama jest?

— Zakłada sukienkę. — Skinęła głową dziewczynka. — Niech wujek Peter wejdzie.

Szurając nogami, niezgrabnie wszedł do pokoju i wyciągnął pudełko czekoladek w kierunku Marji.

— Przyniosłem coś słodkiego.

— Dziękuję — odpowiedziała poważnie, biorąc pudełko. Położyła je na stole. — Mama mówiła, że mam cię zabrać do salonu.

Zdjął kapelusz i nadal stał zakłopotany.

— Nie musisz się o mnie martwić. Mogę poczekać w kuchni.

— Mama mówiła, że powinnam cię zaprowadzić do salonu — powtórzyła, majestatycznie potrząsając głową.

Nie oglądając się, długim, wąskim korytarzem poprowadziła go do frontowego pokoju. Przypominała biały, tańczący cień. Potknął się w ciemnościach. Poczul, że dziewczynka bierze go za rękę.

— Niech mnie wujek Peter trzyma za rękę — powiedziała cicho. — Znam ten korytarz. Można się potknąć.

Czul ciepłą dłoń w swojej dużej pięści. Marja nagle zatrzymała się, tak że wpadł na nią.

— Przepraszam—wyjąkał, świadomy swojej niezdarności.

— Nic się nie stało — stwierdziła. — Zapalę światło. Słyszał, jak się oddalała, potem pstryknął kontakt i światło

zalało pokój. Marja stała między nim a lampą, tak że światło przeświecało przez białą sukienkę. Przyglądał się jej. Pod spodem chyba nic nie miała.

— Podoba ci się moja nowa sukienka na rozdanie świadectw? Dopiero przed chwilą mama ją skończyła.

— Bardzo ładna — pokiwał głową, nie spuszczać oka z dziewczynki.

— Kończę szkołę, wiesz? — zapytała, na krok nie oddalając się od lampy.

— Wiem. Twój tata mi mówił. Był z ciebie bardzo dumny. Oczy dziewczynki pociemniały. Myślał, że się rozplacze, ale trwało to tylko moment. Odeszła od lampy.

— W przyszłym semestrze idę do szkoły średniej — pochwaliła się.

— Już? — spytał z udanym zdziwieniem. — Ciagle myślę o tobie jak o małym dziecku.

Znowu stanęła naprzeciw mężczyzny. Patrzyła do góry, w oczy Petera.

— Mam trzynaście lat, nie jestem już dzieckiem. Nie sprzeczał się. Sam przecież widział.

— Ale nie jestem też za stara, żeby dać ci całusa za te słodycze, które nam przyniosłeś, wujku — powiedziała uśmiechając się.

Był tak zakłopotany, że aż się zaczerwienił. Przeszł na nogi na nogę milcząc.

— Schyl się, wujku — rozkazała. — Nie mogę cię dosięgnąć.

Pochylił się, nadstawiając policzek. To, co zrobiła, było zaskakujące. Objąwszy go za szyję pocałowała w usta. I nie był to całus dziecka, lecz pocałunek kobiety, która jest do całowania stworzona. Czuł, jak przywiera do niego młode ciało. Niezgrabnie próbował odepchnąć Marję i przypadkowo dotknął jej piersi. Cofnął ręce jak oparzony.

— Dziękuję za słodycze, wujku—powiedziała z uśmiechem dziewczynka, odstąpiwszy o krok do tyłu.

— Nie ma za co — odpowiedział.

— Usiądź, proszę — zaproponowała. Wychodząc na korytarz, odwróciła się i stanęła w progu. — Nie jestem już dzieckiem, wujku Peterze, prawda?

— Nie jesteś — przyznał.

Uśmiechnęła się dumnie i wybiegła z pokoju.

— Mamo! — zawołała. — Wujek Peter przyniósł nam pudełko czekoladek.

Usiadł i wspomniał słowa ojca dziewczynki, wypowiedziane na kilka dni przed wypadkiem: „Jeszcze rok, Peter, i chłopcy będą się za nią uganiać jak psy za suką”. Potrząsnął głową: palce, którymi ją dotknął, nadal parzyły. Czuł dziwne podniecenie. Henry był chyba ślepy. Już wtedy chłopcy musieli biegać za Marją. Usłyszał kroki Katti w korytarzu i wstał. Zarumienił się, kiedy weszła.

Podali sobie ręce po męsku.

— Peter, jesteś dla nas taki dobry — rzekła Katti. — Nie powinieneś kupować słodyczy. Są bardzo drogie.

— Chcę być dla was dobry, Katti—powiedział ochryple, nie puszczając jej ręki.

— Usiądź, proszę — odrzekła, siadając naprzeciwko.

Przyglądał jej się w milczeniu. Ładna kobieta. Obfite kształty. Kobieta ze Starego Kraju, niepodobna do Amerykanek, głodzących się i przypominających zapalki. Do tego wspaniała kucharka. Pamiętał swą zazdrość, ilekroć Henry otworzył pudełko z lunchem. Przygotowywała mu pyszne kanapki. Gospodyni Petera co najwyżej wysilała się na chleb z wyschniętą kiełbasą.

Zawsze mówił Henry'emu, że nie ożenił się dlatego, bo nie ma więcej takich kobiet jak Katti. Henry zwykle się śmiał. Twierdził, że Peter ma zbyt wiele własnych nawyków, żeby starać się jeszcze sprawiać przyjemność jakiejś kobiecie. Mylił się. Po prostu żadna nie była w stanie Petera zadowolić. Jedynie Katti była osobą, która mogłaby go uszczęśliwić.

— Zrobię ci świeżej kawy — powiedziała Katti.

— Nie rób sobie kłopotu. Nie chcę, żebyś się o mnie martwiła.

— To żaden kłopot.

Przez chwilę milczeli. Potem Katti zaczęła mówić po polsku.

— Podoba ci się nowa sukienka Marji?

— To już duża dziewczyna — przytaknął, bezwiednie przechodząc na ten sam język.

— Tak. W piątek kończy szkołę.

— Wiem — odpowiedział szybko. — Henry mi mówił. Łzy ukazały się w oczach Katti. Odwróciła głowę.

— Przepraszam — usprawiedliwiał się. — Nie chciałem... Machnęła ręką.

— Wiem. — Łzy nadal spływały jej po policzkach. — Czasami za dużo spraw na mnie spada. Nie mogę się przyzwycząić. Nie wiem, co robić. Henry zawsze wiedział.

Wstał patrząc na Katti. Tak właśnie wyobrażał sobie kobietę ze Starego Kraju. Znała swoje miejsce. Wiedziała, że do mężczyzny należy podejmowanie decyzji. Pewna myśl zaświtała mu w głowie. ,

— Tak — powiedział uroczyście. — Zawsze mi mówił: „Gdyby coś mi się stało, zajmij się Katti i dzieckiem”.

Łzy zniknęły tak szybko, jak się pojawiły. Katti spoglądała szeroko otwartymi oczami.

— Tak mówił? — wyszeptała głosem pełnym zdumienia. Skinął głową.

— Czy dlatego przychodzisz do nas dwa razy w tygodniu?

— Na początku tak było, Katti—odrzekł z nagłą odwagą. — Ale nie teraz.

— A teraz dlaczego przychodzisz? — zapytała cicho ze spuszczonej oczami.

— Żeby ciebie zobaczyć — odpowiedział, czując się bardziej odważnym niż kiedykolwiek przedtem. — Chcę stworzyć dom, dla ciebie i Marji. . .

— Peter, jesteś dla nas taki dobry — westchnęła po długiej chwili, szukając ręką jego dłoni.

Później, kiedy kawa była już gotowa, przeszli do kuchni. Szpilki i skrawki materiału zniknęły ze stołu, a Marja, przebrana w inną sukienkę, odrabiała lekcje. Pudełko czekoladek stało otwarte na stole, a buzia dziewczynki była wysmarowana na brązowo.

— Pyszne czekoladki, wujku — uśmiechnęła się.

— Cieszę się, że ci smakują. Katti stanęła nad piecem.

— Posłuchaj, Marjo — powiedziała do córki nalewając kawy. — Jak podobałby ci się wujek Peter jako tatuś?

Peter zobaczył, że oczy dziecka się rozszerzają. Nie mógł pojąć wyrazu twarzy Marji.

— Co chcesz przez to powiedzieć, mamó? — zapytała zmienionym głosem. Katti uśmiechała się, stawiając kawę na stole.

— To znaczy, że wujek Peter i ja chcemy się pobrać.

— Ach, nie! — krzyknęła dziewczynka pełnym, boleści głosem.

Patrzyli na nią zdumieni. Stała, a u jej stóp leżało pudełko i rozrzucone czekoladki.

— Marjo! — powiedziała Katti ostro. — Nie rozumiesz tego teraz, ale zrozumiesz, kiedy dorośniesz. Nie jest dobrze, żeby kobieta żyła tylko z dzieckiem, bez mężczyzny, który może o nią i o dziecko zadbać.

— Ale mamó — płakała Marja — przecież same sobie radzimy. Nie potrzebujemy nikogo — wytarła oczy rękami. — Nikt nie może zająć miejsca taty.

— I nikt tego nie zrobi — tłumaczyła łagodnie Katti. — Wujek Peter chce nam pomóc. Kocha nas i chce się nami zająć.

Z dzikim wyrazem twarzy Marja odwróciła się do Petera.

— Nie wierzę mu! — krzyczała. — To śmieszny, brudny, mały facet! Nie taki, jak tata!

— Marjo — powiedziała Katti surowo. — Nie wolno ci zwracać się w ten sposób do twojego nowego ojca.

— On nie jest moim ojcem! — odkrzyknęła. — I nigdy nie będzie!

Wybiegła do swojego pokoju, przylegającego do kuchni, zatrzaskując za sobą drzwi.

Patrzyli na siebie bezradnie. Peter usiadł przy stole. Jaki z niej dzikus, myślał. Henry miał rację, mówiąc, że ma tem-peramencik. Trzeba ją będzie wziąć w garść. Już on się tym zajmie po ślubie. Parę czerwonych śladów na ślicznym, małym tyłeczku i wszystko będzie w porządku.

Katti obeszła stół i położyła rękę na ramieniu Petera.

— Nie rób sobie wyrzutów — powiedziała. — Jest zdenerwowana. Właśnie wczoraj po raz pierwszy dostała okres. Wiesz, jak młode dziewczyny się wtedy czują.

Rozdział 7

Katti otworzyła drzwi. Z małego podwórka wpadało przez okno mdłe i szare światło poranka. Stała przez chwilę w progu, patrząc na córkę.

Zastanowił ją widok śpiącej Marji. W dzień wydawała się prawie kobietą, teraz wyglądała jak dziecko. Delikatne, miękkie od snu rysy, cichy, równy oddech ledwie unoszący cienką kołdrę. Taką Marję znała. Swoje ciche, śliczne dziecko. Podeszła do łóżeczka Petera. Dotknęła go. Był suchy. Zamruczał cichutko. Katti odwróciła się szybko i spojrzała na córkę.

Oczy Marji byty szeroko otwarte. Patrzyła na matkę zupełnie rozbudzona.

— Dzień dobry, mamó.

Katti nie odpowiedziała. Pamiętała swoje zdenerwowanie poprzedniego wieczora, kiedy Marja nie wróciła ze szkoły. Peter mówił, że wybrała się popływać. Zjawiła się dopiero przed jedenastą.

Marja usiadła na łóżku. Kołdra zsunęła się z ramion, ukazując nagie ciało. Dziewczyna ziewnęła i przeciągnęła się. Bładość piersi zaskakująco kontrastowała z zaczerwienionym od słońca ciałem.

— Marjo, przykryj się! — krzyknęła Katti wzburzonym głosem. — Ile razy ci mówiłam, żebyś nie spała bez piżamy? To nieprzyzwoite.

— Ależ mamó, było tak gorąco — mówiła Marja, ubierając górę od piżamy. — A poza tym nikt mnie nie zobaczy.

— To mnie nie obchodzi — upierała się Katti. — To nieprzyzwoite spać nago. Tylko zwierzęta tak robią.

Marja odrzuciła kołdrę i wstała. Piżama sięgała jej do ud. Podeszła do matki i pocałowała ją w policzek.

— Już się nie wściekaj — poprosiła.

Wbrew sobie Katti uśmiechnęła się. Odepchnęła córkę delikatnie.

— Nie podlizuj się. Już ja znam twoje sztuczki.

— Byłam popływać — powiedziała Marja z uśmiechem, uprzedzając pytanie matki. — Widzisz, jak się opaliłam?

— Widzę — odrzekła Katti sucho. — Trudno nie zauważyć.

— Francie zna kogoś z Coney Island — pospieszyła z wyjaśnieniem Marja. — To taki dom w Sea Gate.

— Sea Gate?—Widać było, że słowa córki wywarły na Katti

wrażenie. — To bardzo droga dzielnica. Jej rodzice muszą być bardzo bogaci.

— Są — przytaknęła Marja, nie prostując założenia matki, że znajoma Francie to dziewczyna. — Mieszkają na Park Avenue.

Peter rozplakał się niespodziewanie. Katti wzięła go na ręce. Chłopczyk przestał płakać i zaszczebotał coś do mamy.

— Mimo to powinnaś wpaść do domu i mnie zawiadomić. Martwiłam się o ciebie.

— Nie było czasu, mamo. Poszliśmy zaraz po szkole.

— Ale wróciłaś do domu dopiero przed jedenastą — powiedziała Katti, kładąc dziecko na łóżku Marji.

Zaczęła je zgrabnie przewijać. Marja podała jej świeżą pieluszkę.

— Zaproszono nas na obiad, no więc zostałam.

— Nie rób tego więcej — ostrzegła Katti, patrząc na córkę z ukosa. — Ojciec bardzo się martwił.

— O! Dlaczego? — Spojrzenie Marji stało się lodowate. — Zabrakło mu piwa?

— Marjo! — powiedziała Katti ostro. — Tak się nie mówi o ojcu.

— On nie jest moim ojcem — odrzekła Marja z uporem. Wyjęła z szafy znoszony porannik i zarzuciła na siebie.

— Dlaczego ciągle to powtarzasz? — zapytała Katti z westchnieniem. — On cię kocha i chciałby, żebyś i ty pokochała jego. To nie jego wina, że nie chcesz spróbować.

Marja nie odpowiedziała. Wyjęła szczoteczkę do zębów z kubka stojącego na toaletce i ruszyła w stronę drzwi.

— Przygotuję butelkę dla Petera — rzekła zatrzymawszy się na progu.

W kuchni umieściła butelkę w rondelku z wodą i zapaliła gaz. Szybko i sprawnie umyła się nad kuchennym zlewem, wzięła ciepłą butelkę i wróciła do swojego pokoju.

— Nakarm Petera — poprosiła Katti wstając z łóżka. — Zrobię śniadanie. Nie chcę, żebyś spóźniła się do szkoły.

Z butelką w ręce Marja nachyliła się nad chłopczykiem.

— Twoje śniadanko, Peter! — zawołała śmiejąc się. Czarne oczka Petera śmiały się do niej. Drobne rączki

wyciągnęły się po butelkę, a bezzębne usta rozciągnęły się w uśmiechu.

— Jaki ty jesteś śliczny — powiedziała Marja, podając mu butelkę.

Zaszczebotał wesoło chwytając buzią długi smoczek. Parę kropel mleka popłynęło mu po policzku.

— No, i opluliśmy się. — Śmiała się Marja, wycierając buzię malca ręcznikiem. — Myślisz, że dasz sobie radę sam i nie spadniesz z łóżka, kiedy się będę ubierać? Peter zadowolony ssał butelkę. Wyprostowała się, śledzona ciemnymi oczkami chłopca.

— Poradzisz sobie — stwierdziła, wyjmując z komody czyste rzeczy do ubrania. Zrzuciła z siebie porannik i górę od piżamy. Szybko ubrała figi i sięgnęła po stanik. Błysnęło odbite światło. Zerknęła w lustro nad komodą.

Drzwi od pokoju były teraz otwarte, tak że widziała w lustrze, co się działo w kuchni. Ojczym siedział przy stole i obserwował ją. Grymas pogardy ukazał się na twarzy dziewczyny. Ojczym opuścił wzrok.

Nadal mu się przyglądając, Marja powoli założyła i zapięła stanik. Odwróciła się i podeszła do drzwi. Znowu spojrział. Przez chwilę stała bez ruchu, potem szybko zamknęła drzwi i skończyła ubieranie.

Peter wypił wszystko. Złapała go na ręce i weszła do kuchni. Ojczyma już tam nie było.

Katti postawiła na stole miskę mlecznej zupy i wyciągnęła ręce po malca.

— Wypił wszystko? — zapytała.

Marja kiwnęła głową, podała dziecko matce i usiadła.

— Znowu owsianka? — spytała, wpatrując się w talerz.

— Owsianka dobrze ci służy — stwierdziła matka. — Jedz. Marja ani drgnęła.

Miała ochotę na papierosa. Popatrzyła na matkę, zastanawiając się, czy odważyć się na zapalenie przed śniadaniem.

Zrezygnowała z tego pomysłu.

— Nie jestem głodna — powiedziała. Ojczym wrócił do kuchni.

— Czy owsianka nie może sprostać twoim wyszukanym gustom? — zapytał. — Może wolałabyś jajka na szynce?

— Prawdę mówiąc tak. Wolałabym — odparła zimno.

— No, widzisz — powiedział z sarkazmem, odwracając się do Katti. — Myślę, że ona się wstydzi, że jesteśmy zbyt biedni, żeby sobie na takie rzeczy pozwolić.

— Nie bylibyśmy, gdybyś potrafił oderwać się na chwilę od piwa i poszedł do pracy — stwierdziła słodko Marja.

Ojczym wyciągnął ręce bezradnie w stronę Katti.

— Żadnego szacunku dla rodziców—rzekł.—Tylko obelgi. Oto czego się uczy włócząc się po nocach.

— Swoich rodziców szanuję — odpowiedziała Marja szybko. — Ale nie ciebie.

— Marjo! Przestań! — krzyknęła matka.

— To powiedz mu, żeby się mnie nie czepiał — odburknęła ponuro, biorąc łyżkę do ręki.

Posmakowała. Owsianka była mdła i obrzydliwa.

— Twój ojciec ma rację — kontynuowała Katti. — Powinnaś grzeczniej się do niego odnosić. On się o ciebie martwi...

— Bzdury! — wybuchnęła Marja, rzucając łyżkę. — Myśli tylko o sobie. Gdyby był chociaż w połowie mężczyzną, nie pozwoliłby ci harować nocami, kiedy on sam siedzi w gaciach w domu. Nie widzisz, że to pijawka?

Katti skoczyła szybko. Ręka jak błyskawica mignęła na tle szarej ściany.

Uderzenie odbiło się echem w nagle cichej kuchni. Marja złapała się za policzek. Płonął. Pokazały się białe ślady palców.

— Uderzyłaś mnie — powiedziała przerażonym głosem z niebotycznym zdumieniem w oczach.

Katti patrzyła na córkę. Coś dławiło ją w gardle. Zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy uderzyła swoje dziecko.

— Żeby cię nauczyć szacunku dla rodziców — wydusiła z siebie trzęsącym się głosem.

Oczy Marji zaszyły łzami i przez moment Katti myślała, że dziewczyna się rozplacze. Nic takiego jednak się nie stało. Przeciwnie, już po chwili te oczy były lodowato zimne. Katti zrozumiała, że dziewczyna dorosła i oddaliła się zupełnie.

— Marjo — powiedziała prosząco, zbliżając się do córki. Ta cofnęła się.

— Przepraszam, mamó — powiedziała łagodnie. — Tak bardzo mi przykro.

Można było pomyśleć, że to ona tłumaczy się po uderzeniu kogoś. Odwróciła się i wyszła z kuchni.

Katti spojrzała na Petera. Słyszała, jak Marja zbiega po schodach. Zaczęła płakać.

— Co ja zrobiłam, Peter? Co ja zrobiłam mojemu dziecku? Nie ruszył się z miejsca. W tym, co powiedział, dało się odczuć nutkę triumfu.

— To, co powinnaś była zrobić dawno temu, Katti. Dobrze się stało.

— Naprawdę tak myślisz? — zapytała po polsku.

— Tak — skinął głową z nieukrywaną satysfakcją. Patrzyła na męża. Mały Peter zaczął płakać. Zakołysała

chłopczyka w ramionach. Chciała wierzyć. Chciała czuć, że ma rację. Im bardziej pragnęła zaufać mężowi, tym bardziej gdzieś głęboko w sercu czaiły się dręczące wątpliwości.

Rozdział 8

Ledwo Marja zdążyła wejść, zadzwonił telefon.

— Ja odbiorę, panie Rannis! — zawołała. — To do mnie. Weszła do kabiny, szczerze zamykając drzwi za sobą i podniosła słuchawkę.

— Halo.

— Marja? — Głos Rossa przez telefon wydawał się cienki.

— Tak.

— Mówi Ross.

— Wiem — odpowiedziała.

— Co robisz? — zapytał.

— Nic. Jest za gorąco.

— Chcesz się przejechać? Możemy pojechać wzdłuż Riverside Drive. Tam powinno być chłodno.

— O.K.

— Zaraz po ciebie wpadnę. Zaczekaj.

— Nie... — zawahała się. — Muszę iść się przebrać. Jestem cała mokra. Spotkajmy się gdzieś.

— Przy garażach — zaproponował. — Na Osiemdziesiątej Trzeciej koło Parku. Długo to potrwa?

— Pół godziny — odpowiedziała. — Do zobaczenia.

— Do zobaczenia.

Usłyszała trzask odkładanej słuchawki. Wyszła z kabiny.

— Kto to był? — zapytał Rannis podejrzliwie.

— Znajomy — odpowiedziała wymijająco, idąc w stronę drzwi.

— Nie chcesz czekoladki? — spytał, wyciągając rękę i zatrzymując Marję.

— Nie, dziękuję.

Uścisk starego na ramieniu dziewczyny zacieśnił się. Nie mogła się ruszyć.

— Nie żądam pieniędzy — powiedział Rannis.

— Nie na wiele by się to zdało. Jestem splukana — odrzekła z uśmiechem, wyzwalając się z rąk starego. — Muszę już iść. Mama na mnie czeka.

Niechętnie patrzył, jak się oddalała.

— Nie zapomnij, Marjo! — krzyknął. — Jeżeli czegoś będziesz potrzebowała, wystarczy przyjść do mnie!

— Dziękuję, panie Rannis. Będę pamiętać — powiedziała i wyszła.

Katti wychodziła właśnie z mieszkania, kiedy Maria wkroczyła na schody.

Stała, patrząc, jak słońce skrzy się we

włosach córki. Zaczekała, aż Marja będzie w połowie schodów, po czym powiedziała:

— Cześć, Marjo.

— Cześć, mammo — odparła dziewczyna spokojnym głosem.

— W szkole wszystko w porządku? — zapytała Katti.

— Tak. — Szybko spojrzała na matkę. — A dlaczego miałyby nie być?

Katti straciła pewność siebie.

— Po prostu pytam.

Zamierzała powiedzieć, jak bardzo jej przykro z powodu tego, co wydarzyło się jano, ale żadne słowa nie chciały przejść jej przez gardło.

— Dokąd idziesz? — zapytała Marja.

— Po zakupy — skłamała Katti. Wolą, żeby Marja nie wiedziała o jej badaniach w klinice. — A co ty robisz dziś po południu?

— Idę do koleżanki się uczyć. Chcę się tylko przebrać. Jestem cała spocona.

— Zachowuj się cicho. Mały śpi. Nie obudź go.

— Będę uważać — obiecała Marja.

Po cichu otworzyła drzwi. W mieszkaniu nie rozlegał się żaden dźwięk. Weszła do kuchni, stanęła pośrodku i nadśluchiwała. Zupełna cisza. Przeszła korytarzem i ostrożnie zajrzała do frontowego pokoju. Na krześle w pobliżu otwartego okna spał głęboko jej ojczym. Głowa opadała mu to w jedną, to w drugą stronę. Na kolanach leżała gazeta. Wycofała się na czubkach palców i poszła do swojego pokoju.

Peter spał w swoim łóżeczku. Ostrożnie otworzyła szafę. Wyjęła czystą bluzkę i spódnicę. Położyła je na łóżku obok świeżej bielizny. Szybko się rozebrała i wróciła do kuchni.

Odkręciła wodę bardzo lekko, tak żeby hałas nie obudził ojczyma. Powiesiła stanik na oparciu kuchennego krzesła i zaczęła szybko się obmywać mydłem i myjką. Na koniec umyła twarz. Z zaciśniętymi oczami, po omacku, próbowała znaleźć ręcznik. Najbliższy wieszak był pusty. Sięgnęła do następnego. Ściągnęła ręcznik i energicznie wytarła twarz, ramiona i resztę ciała aż do pasa. Odwiesiła ręcznik i sięgnęła do tyłu po stanik. Krzesło było puste. Myśląc, że spadł na podłogę, odwróciła się patrząc w dół. Głos ojczyma zaskoczył ją.

— Naprawdę spadł — powiedział, wyciągając rękę ze stanikiem w kierunku dziewczyny — ale go podniosłem.

Patrzyła przez chwilę zdumiona.

— Coś podobnego — rzekła z sarkazmem, biorąc stanik do ręki. — Spadając narobił takiego hałasu, że aż się obudziłeś.

Uśmiechnął się, nie zwracając uwagi na ton, jakim mówiła.

— Twoja matka tak wyglądała w Starym Kraju, kiedy jeszcze byliśmy młodzi.

— Skąd wiesz? — zapytała z fałszywą nutką w głosie. — Nie miała wtedy pojęcia o twoim istnieniu.

Chciała obejść ojczyma, ale zastąpił jej drogę. Złapał ją za ramię.

— Dlaczego tak podle ze mną postępujesz? — zapytał.

— Nie robię tego celowo, wujku Peterze — odpowiedziała, patrząc mu w oczy. — Po prostu nie mogę znieść, jak kręcisz się po domu.

Zupełnie nie zrozumiał aluzji.

— A gdybym poszedł do pracy? — spytał prawie błagalnie. — Byłabyś dla mnie miła?

— Może — odrzekła z błyskiem wyrachowania w oku.

— I bylibyśmy znowu przyjaciółmi? — pytał, przyciągając dziewczynę do siebie i niezdarnie usiłując ją pocałować.

Odwróciła twarz i pocałunek wylądował na policzku. Wyrwała się z jego objęć. Na odchodnym spojrzała na niego i jeszcze raz powiedziała:

— Być może.

Drzwi zamknęły się. W skroniach pulsowała mu krew. Mała dziwka. Jeszcze jej pokaże któregoś dnia, dokąd prowadzi takie drażnienie się. Sięgnął po następną puszkę piwa.

Katti siedziała w rzędzie z innymi kobietami i ze stoickim spokojem oczekiwała na swoją kolej. Nie miało to potrwać długo. Tylko jedna kobieta była przed nią.

W rogu pomieszczenia, przy biurku, młoda recepcjonistka przeglądała rozłożone kartoteki. Po chwili zaczęła wywoływać dziwnie brzmiące nazwiska z taką łatwością, jak wymawia się nazwisko Jones czy Smith. Widać było, że ma nie lada doświadczenie.

Jedną z praktykantek zatrzymała się przy biurku i szepnęła coś recepcjonistce.

Ta skinęła głową i podniosła dwie następne kartoteki.

— Pani Martino — kabina czwarta, pani Ritchik — kabina piąta.

Katti i kobieta siedząca obok podniosły się jednocześnie. Uśmiechnęły się do siebie, towarzyszki niedoli. Podeszły do recepcjonistki. Kobieta wzięła kartkę i zniknęła w swojej kabinie, zaciągając za sobą zasłonę.

— Ritchik — powiedziała Katti do pielęgniarce.

— To pierwsza wizyta? — zapytała pielęgniarka, patrząc na Katti bez zainteresowania.

— Byłam już tutaj, kiedy Peter się urodził. Recepcjonistka niecierpliwie potrząsnęła głową. Jacy ci ludzie tępi.

— Mam na myśli tym razem.

— Tak — odpowiedziała Katti z wahaniem. Pielęgniarka sięgnęła pod stół i wyjęła niewielką butelkę z szeroką szyjką.

— To na mocz do analizy — wyjaśniła. — Proszę to dać lekarzowi.

Katti wzięła buteleczkę i między dwoma rzędami zatłoczonych ławek ruszyła do kabiny nr 5. Zaciągnęła zasłonki.

Rozebrała się i przygotowała do badania. Kiedy była gotowa, zdjęła z haczyka bawełniane prześcieradło i owinęła się nim. Usiadła na małym stołeczku i czekała.

Po chwili ktoś lekko zapukał. Weszła praktykantka z plikiem formularzy.

— Pani Ritchik? Katti przytaknęła.

Padło wiele pytań, bez których klinika nie mogłaby działać. Uwinęły się w pięć minut, gdyż Katti przygotowała wszystkie odpowiedzi. Pamiętała pytania z czasów poprzedniej wizyty.

Pielęgniarka oderwała górną część formularza i umieściła ją w specjalnej klamercie umocowanej tuż obok drzwi. Wyszła z kabiny, ale po chwili wróciła z innym formularzem, który podpisała do poprzedniego. Uśmiechnęła się do Katti.

— Lekarz zaraz przyjdzie.

— Dziękuję.

Katti usiadła i czekała spokojnie. Zwykle trwało to dobre piętnaście minut, zanim się zjawiał.

Tym razem zasłona uniosła się po prawie półgodzinie. Wszedł lekarz, a za nim dwóch praktykantów. Spojrzał przelotnie na formularze, potem na Katti.

— Pani Ritchik?

— Tak, panie doktorze.

— Nazywam się Błock. Jak długo jest pani w ciąży?

— Miesiąc, może dwa — odpowiedziała wzruszając ramionami.

Twarz lekarza wyrażała niesmak. Jacy ci ludzie byli lekkomyślni.

— Proszę wejść na fotel. Zobaczymy.

Katti ułożyła się do badania. Mała żółta żarówka pod sufitem świeciła jej prosto w oczy. Zamrugła.

— Proszę wziąć głęboki wdech. — Płynął nad nią głos lekarza.

Nabrała powietrza i leżała nieruchomo, czując wewnątrz badawcze dotknięcia palców. Dotyk był lekki i wprawny i nie trwało to długo. Chciała usiąść, ale lekarz powstrzymał ją gestem dłoni. Czekala. Bawełniane prześcieradło uniosło się wyżej, zasłaniając światło. Lekarz mówił do praktykantów:

— Cesarskie cięcie przy ostatnim porodzie. Zrosty na jajowodach. To się powtórzy.

Prześcieradło opadło i Katti mogła się podnieść. Patrzyła na lekarza pytająco.

— Dlaczego zaszła pani w ciążę, panie Ritchik? — zapytał. — Według kartoteki ostrzegano panią, że następna ciąża to zagrożenie dla pani życia.

Wzruszyła ramionami. Mężczyźni nigdy nie rozumieją. Dla nich wszystko jest proste.

Lekarz, myjąc ręce, przez ramię mówił do Katti. Padały rutynowe słowa. Zdawał sobie sprawę, że zalecenia będą zlekceważone.

— Potrzebuje pani dużo słońca, świeżego powietrza i odpoczynku. Proszę wstrzymać się od stosunków przez co najmniej dwa miesiące. Zalecam zdrowe odżywianie, mleko, sok pomarańczowy... — Podał Katti receptę. — Proszę to wziąć i zgłosić się za miesiąc.

— Kiedy dziecko się urodzi, panie doktorze?

— To dziecko się nie urodzi — odpowiedział z okrucieństwem w głosie. —

Będziemy musieli je z pani wydobyć.

Katti patrzyła obojętnie.

— Ale kiedy, doktorze? — zapytała z uporem.

— Listopad albo grudzień. Nie może pani nosić dziecka całe dziewięć miesięcy.

— Dziękuję — odpowiedziała cicho.

Lekarz wyszedł. Praktykanci za nim. Zasłona opadła z szelestem.

Powoli Katti zeszła z fotela i sięgnęła po ubranie. Nie było tak źle. Będzie w stanie pracować do października. Zasłona podniosła się i Katti okryła się sukienką.

Był to jeden z praktykantów. Uśmiechał się przeproszająco.

— Przepraszam, pani Ritchik, ale zapomniałem o tym — powiedział i sięgnął po próbkę moczu.

— W porządku.

Jeszcze raz na nią spojrział i uśmiechnął się nieśmiało.

— Niech się pani nie martwi. Wszystko będzie dobrze.

— Dziękuję, doktorze — odpowiedziała z uśmiechem.

Dokończyła ubierania, wyszła i zapłaciła recepcjonistce pięćdziesiąt centów opłaty klinicznej. Poszła dalej korytarzem do apteki i podała receptę. Czekać na lek zastanawiała się, jak ma zawiadomić Marję. Ona nie zrozumie. Potraktuje to jak następne odepchnięcie i będzie się czuła zraniona.

Wywołano jej nazwisko. Odebrała lek. Tabletki. Zażywać trzy razy dziennie. Włożyła lekarstwo do kieszeni i wyszła na ulicę. W oddali wznosiły się wieże kościoła św. Augustyna.

Zdecydowała się wstąpić i porozmawiać z księdzem Janowiczem. To taki mądry człowiek. On jej powie, co ma robić.

Rozdział 9

Marja usiadła, objęła ramionami kolana i spoglądała na drugi brzeg rzeki Hudson. Zapadał zmrok i światła, jak robaczki świętej ańskie zaczęły się jarzyć na brzegu Jersey. Lekki, ciepły wietrzyk muskał jej włosy.

— Muszę postarać się o pracę na lato — powiedziała nagle. Ross przewrócił się na drugi bok i spojrzał w górę, na siedzącą dziewczynę.

— Dlaczego? — zapytał z uśmiechem.

— Potrzebuję forsy — brzmiała prosta odpowiedź. — Mój stary za bardzo kocha piwo, żeby wybrać się do jakiejś roboty. Matka pracuje nocami. Nie dajemy rady.

— A co umiesz robić? — zapytał ciekawie. — Do jakiej pracy chcesz pójść?

— Nie wiem — odrzekła szczerze. — Nigdy przedtem o tym nie myślałam. Może sprzedawałabym losy.

Ross zaśmiał się.

— To takie śmieszne?

— Marnie płacą. Góra osiem dolców na tydzień.

— Osiem dolców to osiem dolców — odparowała. — To o wiele lepsze niż nic.

Patrzył na Marję uśmiechając się. Jego siostra często mówiła o pójściu do pracy, ale jakoś nigdy do tego nie doszło.

— Mówisz na serio? — zapytał. Skinęła głową.

Ross urwał źdźbło trawy i gryzł je zastanawiając się. W pewien sposób Marja przypominała mu Mike'a. Z równą

powagą traktowali pieniądze. Wpadł mu do głowy pewien pomysł.

— Umiesz tańczyć? — zapytał.

— No, jasne — odpowiedziała, patrząc na niego ciekawie.

— Mam na myśli, czy umiesz dobrze tańczyć? — pytał dalej.

— Całkiem nieźle.

Ross wstał i otrzepał spodnie. Podał jej rękę i pomógł wstać.

— Chodź — powiedział, ruszając w kierunku samochodu. — Zobaczymy.

Idąc wąskim Holem, już z daleka usłyszeli nieharmonijne dźwięki tanecznej orkiestry. Zdjęcia uśmiechniętych dziewcząt pokrywały szczelnie ściany korytarza. Dołem biegł napis wymalowany białą farbą.

PRZYJDŹ I ZATAŃCZ ZE MNĄ ZA JEDYNE 10 CENTÓW!

Muzyka stawała się coraz głośniejsza, w miarę gdy wspinali się po schodach.

Zatrzymali się przy małej budce stojącej u szczytu.

— Dwa — powiedział Ross, wsuwając dolarowy banknot przez małe okienko. Bez słowa wręczono mu bilety. Ruszyli na salę. Inny człowiek skasował bilety przy wejściu.

Sala taneczna okazała się długa i wąska, wymalowana na wyblakły niebieski kolor. Lampy rzuciły przyćmione światło. Orkiestra stojąca na drugim końcu sali właśnie skończyła grać kolejny numer i pary pozostałe na parkiecie zaczęły wracać do stolików pod ścianami. Nie opodal wejścia siedziało kilka dziewcząt. Odruchowo uśmiechnęły się na widok Rossa i tak samo odruchowo przestały się uśmiechać, postrzegłszy, że nie jest sam.

Z prawej strony znajdował się długi, wąski bar i kilka rzędów nie nakrytych niczym stolików. Usiedli przy jednym z nich. Natychmiast zjawił się kelner.

— Piwo — powiedział Ross spoglądając pytająco na Marję-

— Cola.

Kelner odszedł, a orkiestra znowu zagrała. Cichego foxtrota.

— Gotowa? — zapytał Ross.

— Zawsze gotowa — odpowiedziała z dziwnym uśmiechem.

— To zatańczymy.

Kiedy wracali po tańcu do stolika, zarumieniony Ross nie miał żadnych wątpliwości co do umiejętności tanecznych Marji. Dotrzymywała mu kroku, zdawała się być częścią jego samego.

Miała doskonale wycucie rytmu i chociaż być może inne dziewczyny mocniej przytulały się do niego w tańcu, to jedynie trzymając Marję w ramionach, czuł, jak muzyka przenika ich ciała i łączy w jedno.

Marja uśmiechnęła się, unosząc szklanke piwa Rossa.

— No, i co? — zapytała.

— Umiesz tańczyć — odpowiedział wstrzemięźliwie. — Gdzie się nauczyłaś?

— W życiu nie byłam na żadnej lekcji tańca — odparła z uśmiechem.

Przez chwilę milczeli. Marja czekała, aż Ross coś powie.

— Dziewczeta zarabiają tutaj od dwudziestu do pięćdziesięciu dolców tygodniowo

— wyjaśnił.

— Za sam taniec? — Nie przestawała się uśmiechać, ale głos zabrzmiał sceptycznie.

— Głównie za taniec — odrzekł z wahaniem.

— Za taniec około dwudziestu. — Domyśliła się. Skinął głową patrząc na Marję uważnie.

— Ale nie trzeba iść? Można tylko tańczyć? — zapytała, pociągając łyk coli.

Znowu przytaknął nic nie mówiąc.

— To kupa forsy — stwierdziła.

W tym momencie Ross poczuł obrzydzenie do samego siebie. Rzucił pieniądze na stół i podniósł się z krzesła.

— Chodź. Idziemy.

Wstała również. Zza pleców zagrział męski głos:

— Cześć, Ross, kopę lat. Gdzie się podziewałeś?

Marja odwróciła się zaskoczona. Zobaczyła wysokiego, szpakowatego mężczyznę o ciemnych, ponurych oczach. Uśmiechał się. Patrzył na Marję i zaczął mówić, nim Ross zdążył zareagować.

— Niczego nie wyjaśnij — grzmiał. — Nic dziwnego, że moje dziewczyny nie są dla ciebie dosyć dobre.

Marja uśmiechnęła się i spojrzała na Rossa. Uśmiechał się także, ale w oczach czaił się chłód.

— Cześć, Joker. — Zawahał się przez moment. — Joker Martin, Marja Flood.

— Chodźcie do baru. Postawię wam drinka — zaprosił ich Martin.

Ross potrząsnął głową.

— Nie, dzięki, Joker. Musimy iść. Martin złapał Rossa za ramię.

— Nie widziałem tego faceta cztery miesiące, młoda damo — zwrócił się do Marji swoim tubalnym, szorstkim gło-

sem — a teraz jemu się spieszy. Niech go pani namówi na jednego szybkiego. Marja uśmiechnęła się. Przypuszczenie Jokera, że mogła skłonić Rossa do zrobienia czegokolwiek, schlebiali jej. Być może myślał, że jest jego dziewczyną. — No, dobrze, Joker. Jeden szybki — przerwał jej spekulacje Ross.

Panowie zamówili piwo, a Marja jeszcze jedną colę. Po chwili Martin zwrócił się do niej:

— Och, dziewczyno, powinienem być na ciebie wściekły. Ross był jednym z naszych dobrych klientów. Teraz nie przychodzi, ale kiedy na ciebie patrzę, to trudno mi go winić.

— Joker prowadzi ten lokal — wyjaśnił Ross. — Zawsze myśli o pieniądzach.

— A kto nie myśli? — zadumała się Marja, patrząc na szpakowatego mężczyznę. Joker wyszczerzył zęby w uśmiechu i klepnął ją po ramieniu.

— Mądra dziewczyna. Nie wszyscy możemy być tacy bogaci, jak nasz obecny tutaj przyjaciel.

Dopiero teraz Marja popatrzyła w oczy Martina. Były inteligentne i spostrzegawcze.

— Szukasz pracy? — zapytał.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, odezwał się Ross:

— Nie. Ona jeszcze chodzi do szkoły.

Marja roztropnie nie wtrącała się, popijając colę.

— Cieszę się, że wpadłeś, Ross — powiedział Joker. — Rozkręcamy interes.

— Jak wam się udało? — zapytał Ross z nagłym zainteresowaniem.

— Znaliśmy dojskie — wyjaśnił Joker. — Wszystko odbywa się formalnie. W salce za moim biurem mamy salon gry. Poker i kości. Ruch przez cały czas. Głos Rossa był opanowany, ale w oczach jarzyło się żółte światło.

— Może któregoś wieczora wpadnę popatrzeć.

— Koniecznie — zagrział Joker. — I przyprowadź swoją małą damę, może przyniesie ci szczęście — spojrzał na Marję. — Zawsze będzie mile widziana.

— Dziękuję, panie Martin — powiedziała z uśmiechem. Skończyli drinki i Martin odprowadził ich do wyjścia.

Dudniący głos odbijał się echem w wąskim korytarzu.

— Dobrze, że wpadłeś, Ross. Przychodź częściej.

Gdy zaczęli iść schodami w dół, orkiestra znowu zagrała.

Słyszeli ją do momentu wyjścia z budynku, kiedy muzykę zagłuszył uliczny hałas.

— Gdzie teraz? — zapytał Ross, kierując się do samochodu.

— Nie wiem. To ty prowadzisz.

Rzucił Marji szybkie spojrzenie. Patrzyła przed siebie. Dałby dużo, żeby wiedzieć, o czym myślała.

— To może pojedziemy do mnie i coś zjemy?

— A w domu nie będą mieli nic przeciwko temu?

— Wyjechali na weekend — wyjaśnił Ross.

— O.K.

— Dobry wieczór, panie Drego — powiedział portier.

— Dobry wieczór, panie Drego — pozdrowił Rossa windziarz.

Ross wymienił z nim kilka grzecznościowych uwag, zanim wysiedli. Apartament mieścił się na wprost windy. Ross wyjął klucz. W drzwiach przepuścił Marję przodem. Kiedy chciał zapalić światło w holu, Marja powstrzymała go wyciągniętą ręką.

— Jesteśmy razem całe popołudnie i nawet mnie nie pocałowałeś.

W półmroku starał się odczytać wyraz jej twarzy. Nie odpowiedział.

— Dlaczego jesteś na mnie zły, kochany? Czy zrobiłam coś złego? Albo coś powiedziałam?

Potrząsnął przecząco głową. Nie mógł jej powiedzieć, że był zły na siebie. Po co zabierał ją do sali tanecznej „Golden Glow”? Nie miałyby szans z taką dobraną paczką. W tydzień zrobiliby z niej dziwkę. Nigdy nie powinien był o tym nawet pomyśleć, bez względu na to, jak bardzo potrzebowała pieniędzy.

Marja stała bardzo blisko. Musnęła ustami policzek Rossa.

— Nie gniewaj się, kochany — szepnęła.

Zrezygnował z zapalania światła, oparł się o drzwi i przygarnął dziewczynę do siebie. Nie bronila się, kiedy ją całował.

Marja przygotowała kanapki i dzbanek kawy. Jedli w salonie, usadowieni wygodnie na kanapie, przy świetle małej lampki palącej się w rogu pokoju. Z radia sączyła się muzyka.

Zjadłszy, Marja wyciągnęła się na kanapie wzdychając z rozkoszy.

— Ale byłam głodna — powiedziała. Ross uśmiechnął się i zapalił papierosa.

— Daj — poprosiła wyciągając rękę.

Zaciągnęła się głęboko, zamknęła oczy i wolno wypuszczała dym.

— Nawet nie masz pojęcia, jaki z ciebie szczęściarz — powiedziała.

— Dlaczego? — zapytał zdumiony.

— Powinieneś zobaczyć, jak ja mieszkam — stwierdziła otwierając oczy. — Wtedy zrozumiałbyś, o co mi chodzi. Jak tutaj cicho. Żadnych hałasów z ulicy, bo mieszkacie wysoko. Żadnych zapachów z podwórka. Sąsiedzi spokojni.

Nie odpowiedział, nie wiedział, co. Zabrał tacę po kanapkach i zaniósł ją do kuchni. Kiedy wrócił, Marja leżała spokojnie na kanapie z zamkniętymi oczami.

— Marjo — szepnął.

Milczała. Oddychała równo i głęboko. Usiadł obok niej. Otworzyła oczy.

— Drzemałam — powiedziała.

— Wiem — uśmiechnął się.

— Która godzina?

— Około dziesiątej.

— Lepiej już pójde — rzekła, siadając szybko. Złapał ją za ramiona.

— Marjo, przecież wiesz, że za tobą szaleję. Spojrzała mu w oczy i skinęła głową.

— A lubisz mnie? — zapytał.

Wstała i przyjrzała się Rossowi. Był blady i patrzył błagająco.

— Jesteś najkochańszym chłopakiem, jakiego znam — odpowiedziała. — Oczywiście, że cię lubię.

Ross zerwał się z kanapy wściekły.

— Nie o to mi chodzi! — krzyknął, brutalnie przyciągając Marję do siebie i całując. — Chcę cię — mówił ochryplym głosem. — Wiesz o tym. Przecież czujesz. Czy też mnie pragniesz?

Stała spokojnie, spoglądając Rossowi w oczy, a po chwili przemówiła łagodnie:

— Nawet jeżeli tak, Ross, to nie mogę tego zrobić. Jestem dziewczyną i jeżeli się teraz zgodzę, to będą kłopoty. A tego nie chcę.

— Ale przecież są różne środki... Przerwała mu.

— Nie zawsze zdają egzamin.

Przytuliła się do niego i wyszeptała mu do ucha:

— Zrobię wszystko, czego będziesz chciał, żeby tobie było dobrze, Ross, ale nie mogę zrobić akurat tego.

Wnzyisko? - zapytał. Wszystko.

Przyciągnął Mariję do siebie i upadli na kanapę. Zamknął oczy. Słyszał szelest zdejmowanej sukienki, u po chwili piersi ciepłe i twarde spoczęły w jego dłoniach. Przeszył go ból silny i rozdzierający. Przycisnął głowę Marji do siebie.

— Pomóż mi, Marjo — zawołał. — Proszę, pomóż mi. Spojrzał w dół, na pochyloną nad nim białą blond głową.

Dobiegł go cichy szept:

— Pomogę ci, Ross, kochanie. Leż spokojnie.

Rozdział 10

— Ruszaj się, Mike! Wiozą „Timesa”! — zawołał Riordan głosem ochrypłym od długoletniego, głośnego zachwalania swojego towaru.

Mike zerwał się z ławki i pobiegł w kierunku krawężnika. Ciężarówka z napisem THE TIMES zatrzymywała się właśnie na skraju jezdni. Odruchowo spojrzął na zegar zdobiący wystawę sklepu naprzeciwko. Dziesiąta trzydzieści. Akurat dosyć czasu, żeby przygotować, zanim z teatru na Osiemdziesiątej Szóstej Ulicy wyleje się tłum ludzi.

Pomocnik wspiał się na stos gazet.

— Jasna cholera — powiedział. — Dwanaście części dzisiaj. Mike nic nie odrzekł. Było mu wszystko jedno. Każdego

tygodnia gazety robiły się coraz grubsze. Zarzucił paczkę na ramię i zaniósł za stragan. Cisnął ją na ziemię. Padając wydała głuchy odgłos. Wrócił do samochodu. Zanim ukazał się z drugą paczką, żona Riordana, chuda, koścista kobieta, rozcinała już drut związujący pierwszą.

— Lepiej się pospiesz, Mike — powiedziała nerwowo, rozglądając się wokół straganu. — Nie mamy wiele czasu.

Mike zdjął przepoconą koszulę i powiesił ją na gwoździu. Mięśnie klatki piersiowej błyszczały wilgocią w żółtym, elektrycznym świetle. Gazety były już złożone w całość. Szybko i sprawnie zaczął je układać w zgrabny stos.

Pojawiały się następne i Mike rozpoczął swój wyścig z nocą. Kilka minut po pierwszej pozwolił sobie na chwilę odpoczynku. Wspiał się na stos gazet i zapalił papierosa. Z ulgą zamknął oczy. Czuł zmęczenie. Cały dzień obsługiwał windę.

Windziarz

z dziennej zmiany zachorował, była więc szansa, że następnego dnia znowu będzie musiał go zastąpić. Miał nadzieję, że noc szybko minie.

— Hej, Mike!

Otworzył oczy. Naprzeciw stał Ross uśmiechając się. Mike powoli również się uśmiechnął.

— Myślałem, że wyjechałeś z miasta ze starymi — powiedział.

— Nieee... Miałem parę spraw do załatwienia.

— Jakich spraw? — zapytał Mike z powątpiewaniem.

— Takich na przykład... jak ta mała blondyneczka — odrzekł wskazując w stronę samochodu.

Mike popatrzył w tym kierunku, ale twarz dziewczyny skrywał mrok i nie potrafił jej rozpoznać. Spojrzał na Rossa.

— Mogłem się domyślić, że to jakaś cizia. Ross poczerwieniał.

— Nie mów tak, Mike. — Łagodnie strofował przyjaciela. — Nawet jej nie znasz.

Mike popatrzył na niego zdumiony. Ale go wzięło. Nigdy przedtem tak się nie zachowywał. Jeszcze raz spróbował dojrzeć dziewczynę, ale było zbyt ciemno.

— Chodź do samochodu — poprosił Ross. — Przedstawię cię.

— A po co? — zapytał Mike z niespodziewaną przekorą. — Baba to baba. Znasz jedną, to tak jak gdybyś znał całą resztę.

Pstryknął niedopałkiem w stronę jezdni. Parę iskier zajaśniało przed samochodem.

— Bierzesz swoje gazety, Ross? — zapytał Mike wstając. Ross kiwnął głową w milczeniu.

Mike schylił się, wziął plik gazet i wręczył je Rossowi. Na dłoni wylądowało mu parę monet.

Zza straganu rozległ się głos Riordana:

— Przynieś parę egzemplarzy „Americans”. Zaczyna nam brakować.

Bez zastanowienia Mike podniósł z ziemi paczkę gazet. Kiedy się wyprostował, Ross był już w połowie drogi do samochodu. Zerknął za nim. Niektórym to się wiedzie. O nic nie muszą się martwić. Zarzucił gazety na ramię i wszedł na stragan.

Ross wsiadł do samochodu i przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik zamruczał i zaskoczył. Wyjechali na ulicę.

— Twój przyjaciel mnie nie lubi — stwierdziła Marja.

— Jak może nie lubić, jeżeli nawet cię nie zna? — spytał Ross patrząc na nią.

— Słyszałam, co mówił — odpowiedziała.

— Jest bardzo zmęczony. Zwykle tak się nie zachowuje — tłumaczył Ross.

Zaległo milczenie. Gdy mijali następną przecznicę, Marja zapytała:

— To był Mike? Ten, który nie chciał jechać z nami na wyspę?

— Aha!

Miała przed oczami postać Mike'a na tle straganu z gazetami. Pot błyszczał na nim jak oleista powłoka. Mięśnie na ramionach i plecach przypominały zwoje liny.

— Wyobraża sobie, że jest kimś wielkim, co? — zapytała z sarkazmem. — Nie odpowiada mu nasze towarzystwo?

Ross przemyślnie nie odpowiedział. Wiedział swoje i nie chciał angażować się w głupią sprzeczkę. Poza tym było mu obojętne, co ta dwójka o sobie myśli.

— Może któregoś dnia jeszcze o mnie usłyszysz — dodała Marja z namysłem.

Ross spojrział zdumiony. Dostrzegł, że Marja jest głęboko urażona. Pojął, w czym rzecz. Nadal dumiała nad słowami Mike'a.

Katti ruszyła w stronę pierwszych ławek przed ołtarzem, tak jak zwykle, ale Marja złapała ją za ramię.

— Tam nie ma wolnych miejsc — szepnęła. — Chodźmy tutaj.

Katti skrzyła do ławki wskazanej przez córkę. Myślała tylko o swojej rozmowie z księdzem Janowiczem. Miała powiedzieć Marji o wszystkim jak najprędzej. To był jedyny sposób, żeby przestać się zamartwiać.

W ławce siedział już jakiś młody człowiek. Katti wymamrotała pod nosem słowa przeprosin i przycisnęła się przed nim. Usiadła ciężko na ławce i pochyliła głowę. Rozpoczęła się msza.

Katti zamknęła oczy i modliła się żarliwie. Żeby Bóg pozwolił Marji zrozumieć i żeby Peter poszedł do pracy. Modliła się za wszystkich, tylko nie za siebie. Msza kończyła się i Katti poczuła się lepiej. Spojrzała na Marję.

Lekki rumieniec zdobił twarz dziewczyny. W oczach widać było zadowolenie.

Uśmiechała się leciutko. Jak to dobrze, że udało jej się zabrać córkę do kościoła.

Wierni zaczęli opuszczać świątynię. Kierując się do wyjścia, Katti minęła Marję. Popatrzyła na młodego mężczyznę. Krople potu pokrywały mu czoło. Jakże gorąco było dzisiaj w kościele!

Katti odwróciła się i czekała, aż córka ją dogoni. Oczy Marji były roześmiane, gdy brała matkę pod ramię. Katti przyglądała się córce. Już od bardzo dawna nie wyglądała na tak szczęśliwą. Była piękna z uśmiechem na buzi. Katti zdecydowała powiedzieć jej o dziecku dopiero wieczorem. Nie chciała zmasać szczęśliwego uśmiechu z jej twarzy.

Rozdział 11

Zablokował drzwi windy i usiadł na wąskiej ławeczce w holu. Wziął do ręki podręcznik do matematyki. Nie był wcale tak zmęczony tego popołudnia, jak się spodziewał. Spał od powrotu z kościoła, od dziesiątej, prawie do czwartej, kiedy obudziła go matka.

Powoli przewrócił kartkę. W zasadzie nie miał nic przeciw dyżurowi przy windzie w niedzielne popołudnia. Nie było wielkiego ruchu i śmiało mógł się uczyć. Usłyszał, że ktoś nadchodzi korytarzem, mija go i wchodzi do windy. Nie spojrzał. Chciał dokończyć przerabiane zadanie.

Z windy dobiegł cichy głos. Wydawał mu się znajomy.

— Dzisiaj ty, Mike? Zaskoczony, upuścił książkę.

Stała w windzie i uśmiechała się. W świetle lampy biało-blond włosy świeciły się jak złoto.

— Kiedy tylko będziesz gotowy — powiedziała.

Wstał niezgrabnie, czując, jak wszystko wewnątrz niego podskakuje. Wszedł do windy i zwolnił blokadę. Drzwi zaczęły się zamykać. Zerknął na dziewczynę.

— Skąd wiesz, jak mam na imię? — zapytał.

Nie odpowiedziała. Widział usta rozchylone w uśmiechu i rząd białych zębów.

Patrzyła mu prosto w oczy.

Odwrócił się, nie wytrzymując wyzywającego spojrzenia. Czuł, że zaczyna się rumienić.

— Które piętro? — zapytał, ponuro naciskając dźwignię. Winda ruszyła.

— Dwunaste. Wtedy zrozumiał.

— Jesteś dziewczyną Rossa. — Bardziej stwierdził, niż zapytał.

— Tak? — spytała prowokująco. — Powinieneś wiedzieć. Jesteś przecież ekspertem, jeżeli chodzi o baby. Znać jedną to tak, jakby znać wszystkie. Zaczerwienił się. Więc słyszała go wtedy. Nic dziwnego, że tak się zachowuje. To jedyny sposób na rewanz. Wbił wzrok w podłogę.

— Przepraszam. Nic nie odparła.

— Mówię, że mi przykro — powtórzył, patrząc na nią.

— Słyszałam — odrzekła chłodno.

— Mogłabyś przynajmniej coś powiedzieć. — Rozzłościł się.

— Hurra! — zaśmiała się. — Na co czekasz, na oklaski? Oparł się o ścianę. Wiedział, jak traktować takie dziewczyny.

Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. W takiej sytuacji zawsze czuł się niezręcznie. Żadna laleczka nie lubi, żeby ją tak oglądać.

Nie odezwała się, a kiedy spojrzął jej w oczy, nie znalazł tam śladu zakłopotania.

— Ross miał rację — powiedział zjadliwie. — Jesteś do tego stworzona.

— Dzięki — odrzekła sucho z pewnością siebie. — Właśnie ciebie potrzebowałam, żeby to usłyszeć. Już zaczynałam wątpić.

Uśmiechnął się. Odzyskał śmiałość. Miał do czynienia z małą, tanią dziwką. Przyciągnął ją do siebie. Poddała się chętnie i z uśmiechem. Patrzył w roziskrzone oczy. Pochylił się, żeby ją pocałować.

Poczuł, że sięga mu ręką za plecy i nagle wydało mu się, że podłoga windy odpada od stóp, co przyprawiło go o mdłości. Zupełnie zaskoczony, stał jak sparaliżowany. Potem zaklął pod nosem, błyskawicznie się odwrócił i złapał za dźwignię.

Przesunął na STOP z położenia SZYBKI ZJAZD. Silnik zapiszczał przeraźliwie i winda się zatrzymała.

— Ty zwariowana dziwko! — warknął. — Mogłaś nas zabić! Dzikie podniecenie, jakiego nigdy przedtem nie widział, malowało się na twarzy dziewczyny. Ani śladu strachu.

— Naprawdę? — zapytała grzecznie. — To byłoby fatalne. Mike włączył silnik i ruszyli w górę.

— O.K. — powiedział.

Zatrzymali się na piętrze Rossa i Mike otworzył drzwi.

— Dziękuję, Mike — rzekła Marja grzecznie i z uśmiechem.

— Nie ma za co — odpowiedział podobnym tonem.
Nie zamknął drzwi, obserwował dziewczynę w małym lusterku umieszczonym w rogu windy. Pięknie chodziła i wiedziała o tym. Widział, jak stanęła przed drzwiami Rossa i nacisnęła na dzwonek. Otworzono natychmiast. Widział uśmiech na twarzy Rossa i słyszał jego głos:
— Wejdz, Marjo. Czekałem. Drzwi zamknęły się za nimi.
Mike stał jeszcze przez chwilę, potem zjechał na parter. Zablokował windę, usiadł i wziął książkę do ręki.
Patrzył niewidzącymi oczami. Zatrzasnął książkę ze złością. To nie miało sensu. Widział ją wciąż przed sobą, nie mógł przestać o niej myśleć. Widział, jak odchodzi korytarzem. Widział uśmiech Rossa i słyszał jego powitalne słowa. Wszedł do windy.
Dopiero kiedy zatrzymał się na dwunastym piętrze, oprzytomniał. Po raz pierwszy w życiu był zazdrosny o dziewczynę.
W windzie odezwał się brzęczyk. Spojrzał na deskę rozdzielczą. Migotała czerwona cyfra 12. Ruszył do góry.
— Tak mi przykro. Źle cię oceniłem — powiedział, kiedy Marja znalazła się w środku.
Patrzyła z niedowierzaniem.
— Naprawdę — mówił szczerze. — Nie chciałem zachować się niegrzecznie. Wyraz zwątpienia powoli zniknął z jej oczu. Były ciemne i głębokie.
— Nie idzie mi tak łatwo, jak Rossowi — tłumaczył Mike. — Ross jest inteligentny i szybki. Ja muszę na wszystko ciężko pracować.
Uśmiechnęła się do niego. Ciepło i szczerze.
— Ja też nie byłam szczególnie sympatyczna — przyznała. — Możemy to uznać za remis.
Mike wyciągnął rękę.
— Zgoda? — zapytał.
— Zgoda — odpowiedziała, podając mu swoją. Patrzył na jej małą dłoń w swojej dłoni.
— Naprawdę jesteś dziewczyną Rossa?
— Ross jest dla mnie dobry — odparła. — Naprawdę dobry. Nie tak jak inni, jeżeli wiesz, co mam na myśli.
Skinął głową.
— Ross to miły chłopak — powiedział, patrząc jej w oczy. — Myślisz, że może kiedyś moglibyśmy gdzieś się wybrać?
Kiwnęła potakująco głową, nie spuszczając z niego oczu. Coś się z nią działo. Dotyk jego dłoni spowodował coś, czego

dotąd nie znała. Żaden ze znajomych chłopaków tak się o nią nie troszczył. Zawsze wiedziała, co w stosunku do nich czuje. Teraz było inaczej. Takiego uczucia nie znała. Ogarnęła ją jakaś dziwna słabość.

Mike zbliżył się o krok. Podniosła głowę. Nawet pocałunek był inny. Ciepły, słodki i delikatny, a jednocześnie władczy i zachłanny. Zamknęła oczy. Miała wrażenie, że pływa w ciepłej, spokojnej wodzie. Przenikał ją żar. Już wiedziała. Nie miało to nic wspólnego z grą, jaką prowadziła z innymi. Jej ciało budziło się do życia. Po raz pierwszy pożałała.

Z zarumienioną twarzą odepchnęła Mike'a.

— Zawieź mnie na dół — poprosiła cicho, zakłopotana.

— Marjo.— szepnął ochryplym głosem.

— Zawieź mnie na dół — powtórzyła.

Zastanawiała się, co" właściwie jest nie tak. Z jednej strony czuła się szczęśliwa, z drugiej chciało jej się płakać. Winda ruszyła. Milczeli przez całą drogę.

— Zobaczmy się jeszcze? — zapytał Mike, otwierając drzwi.

— Jeżeli chcesz — powiedziała po chwili i wybiegła z budynku.

Powoli wspinała się po schodach. Nie rozumiała samej siebie. Wszyscy chłopcy są tacy sami. Służą jej do zabawy. Podobnie jak kula do gry w kręgle, czy rysunek na asfalcie do gry w klasy. Są czymś bezosobowym. Dają jej trochę radości, trochę poczucia siły i wyższości. Ale tym razem wszystko było inne. Mike był inny. Nie wiedziała, dlaczego.

Zza drzwi ubikacji, znajdującej się na korytarzu, słychać było, że ktoś wymiotuje. Kto to taki? — zastanowiła się. Zawsze dotykał ją fakt, że nawet w toalecie nie można było czuć się swobodnie, bo mieściła się na korytarzu.

Drzwi otworzyły się. Wyszedł ojczym. Zobaczył Marję, stojącą przy kuchennym stole i zawołał:

— Przynieś szklanke wody. Matce zrobiło się niedobrze! Marja nabrała wody do kubka i wybiegła na korytarz. Drzwi

toalety były otwarte. Katti opierała się o ścianę, a ojczym podtrzymywał ją pod pachami. Wziął kubek i podał go Katti. Wyplukała usta, wypłuła wodę do muszli, a resztę łapczywie wypila.

— Co się dzieje, mammo? — zapytała Marja.

— Nic takiego. Po prostu mam mdłości — wyjaśniła słabym głosem Katti.

— Ale... — zaczęła mówić zupełnie zdezorientowana Marja. Matka nigdy nie miewała kłopotów z żołądkiem. Ostatnio...

kiedy miał się urodzić Peter. Przeraziła się. Spojrzała na matkę pytająco. To przecież nie mogło być to. Lekarz powiedział, że nie powinna.

— Mamo, lepiej się czujesz?

Katti pokiwała głową. Chciała coś rzec, ale mąż nie pozwolił jej nawet zacząć.

— Oczywiście, że czuje się lepiej — rzucił grubiańsko. — To nic takiego, że wymiotuje, kiedy jest w ciąży.

— Nie, mama nie może — mówiła Marja, patrząc na matkę z niedowierzaniem. — Doktor powiedział, że to niebezpieczne.

— Im nie można do końca wierzyć — tłumaczyła słabym głosem Katti. — Zawsze wszystkich strasza.

Peter chętnie wypiał pierś.

— To znowu będzie chłopiec — stwierdził dumnie. — Wszystko wyliczyłem.

— Wszystko wyliczyłeś, tak? — zapytała Marja lodowato.

— Tak. — Peter wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Skoro jesteśmy przy rachunkach, wylicz, za co będziemy jeść, kiedy mama będzie musiała przestać pracować.

Patrzył oszołomiony.

— I wylicz, skąd weźmiesz na piwo, bo ja ci nie dam! — krzyknęła.

— Marjo! — zawołała Katti.

Za późno. Marja zbiegała ze schodów i była już piętro niżej.

Katti spojrzała na męża i zawróciła do mieszkania. Przeszył ją nagły ból i zrobiło jej się słabo. Chciała się na chwilę położyć. Może poczuje się lepiej, może się uspokoi? Ksiądz Janowicz nie pomylił się. Powinna była mieć dość odwagi i sama powiedzieć Marji. Może wtedy by zrozumiała.

Rozdział 12

— Joker ma salon gry na zapleczu — powiedział Ross. Mike zerknął na przyjaciela. Znajomy widok — żółte iskierki podniecenia w oczach.

— No, to co? — zapytał.

— Chcę wejść w ten interes.

Mike wstał i spojrzał na Rossa z góry.

— Wiesz, co powiedział twój stary. Narobisz kłopotów, to wyśle cię na lato na wieś.

— Nie będzie żadnych kłopotów — upierał się Ross. — Mam ochotę postawić trochę forsy.

Mike wzruszył ramionami.

— To samo mówiłeś ostatnio. Twój ojciec prawie dostał szału, kiedy cię musiał wyciągać z pudła.

— Niczego się nie dowie — odpowiedział Ross, wspominając chwilę, kiedy go przyłapano na grze w kości za garażami. — Joker mówi, że ma ochronę.

— Idź — powiedział Mike odwracając się. — W końcu to twój pogrzeb.

— Kiedy chciałem, żebyś poszedł ze mną.

— Po co? Nie mam forsy.

— Zabieram Marję i nie chcę, żeby się do niej dostawali, gdy będę odwrócony plecami.

— To zostaw ją w domu.

— Nie. Coś mi mówi, że przyniesie mi szczęście — rzekł Ross z przeproszającym uśmiechem. Jak prawdziwy hazardzista miał swoje przesady. — Mogę dużo wygrać, jeżeli będzie ze mną.

— Bzdury — skwitował słowa kolegi Mike.

— Masz coś lepszego do roboty?

Mike potrząsnął głową. Myślał o Marji. Już tydzień minął od spotkania w windzie, a on dalej nie mógł zebrać się na odwagę, żeby się z nią spotkać.

— No, już — przynaglał Ross. — Pożyj trochę. Chcesz spędzić resztę życia z nosem w książkach?

— O.K. — zgodził się Mike.

Marja czekała w samochodzie. Na widok Mike'a szerzej otworzyła oczy. Ross uchylił drzwiczki.

— Długo czekałem, żeby was zapoznać — powiedział. — Marja, to mój przyjaciel Mike. Mike, to moja dziewczyna.

Marja zarumieniła się i z uśmiechem wyciągnęła rękę.

— Wiele o tobie słyszałam — oświadczyła prawie oficjalnie. Skonsternowany Mike wczuł się w swoją rolę.

— Ja również — wymamrotał, ujmując jej rękę.

Była ciepła i zdawała się elektryzować. Szybko ją puścił.

— Posuń się — powiedział Ross do Marii. — Mike jedzie z nami.

Przez całą drogę ani Marja, ani Mike nie odezwali się. Ross mówił cały czas. Jeżeli zauważył, że pozostała dwójka milczała,

to nic o tym nie wspomniał. Zajęli stół w pobliżu parkietu. Dochodziła dziewiąta i całkiem spory tłum kręcił się po sali. Ross zamówił piwo dla Mike'a i siebie oraz colę dla Marii. Roziskrzonym wzrokiem spoglądał ponad parkietem na drugi koniec sali.

— Muszę pogadać z Jokerem i dowiedzieć się, o której zaczynają grać.

— Niedługo — chrząknął Mike. — Dlaczego nie zatańczysz najpierw ze swoją dziewczyną? — zapytał, patrząc na Marję.

— Nie — powiedział Ross apodyktycznie, potrząsając głową. — Wy zatańczcie. Ja pójdę sprawdzić, co się dzieje.

Marja wstała i Mike spojrzał zaskoczony. Uśmiechała się.

— No, i co? — zapytała.

Wstał również i poprowadził ją na parkiet. Orkiestra grała szybkiego fokstrota. Mike poczuł, że traci całą swobodę, kiedy Marja znalazła się w jego ramionach. Prawie natychmiast potknął się i nadepnął jej na nogę.

— Przepraszam — wyjąkał, czerwieniąc się.

— Spokojnie — powiedziała z uśmiechem. — Przecież cię nie zjem.

Przez chwilę tańczyli bez słowa.

— Myślałam, że chcesz się ze mną zobaczyć — rzekła Marja po chwili.

— Byłem zajęty — odpowiedział, robiąc parę następnych kroków. — A poza tym jesteś dziewczyną Rossa.

— Ja tego nie mówiłam.

— Ale on mówił — sprzeciwił się Mike. — A ty nie zaprzeczyłaś.

— Nie mogę mu zabronić mówić — odparła. — Ty za to nie przyznałeś się, że mnie znasz.

— Ty też nie. I myślę, że nie zależy ci, żeby on wiedział. Muzyka umilkła i Marja cofnęła się. Poszli w stronę stolika.

Marja stanęła przed Rossem.

— Chcę się napić piwa — powiedziała.

— Jasne, kochanie. Jasne — odrzekł Ross, nie patrząc na dziewczynę.

Obserwował małe drzwi po przeciwnej stronie sali. Mike tkwił za krzesłem Marji, póki nie usiadła. Przysunął jej swoją szklanę.

— Pij — zaproponował. — Kupię drugie.

Upiła trochę. Przyglądał jej się i zastanawiał, co takiego powiedział, że się rozłościła. Milczała.

— No, i co? — zapytał Rossa.

— Czekam. Kelner powiedział, że sprawdzi i da mi znać.

— Da znać? O czym? — zapytała zaskoczona Maria. — Myślałam, że przyszliśmy tutaj potańczyć.

Ross spojrział na nią jak na kogoś nieznanego. Zdawał się nie słyszeć, co mówiła.

— Wy tłumacz jej, Mike — poprosił, machnąwszy ręką. Mike czuł, jak narasta w nim gniew. Ross, taki sam jak zawsze. Czarną robotę zwała na innych.

— Wy tłumacz sam — odparował.

Ross popatrzył na pozostałych dwoje nagle przytomniejąc.

— Co się z wami dzieje? — zapytał. Nie odpowiedzieli. Spojrział na Marję.

— Przyszedłem, żeby zagrać. Umówiłem się z Jokerem. To wszystko.

— To dlaczego, do diabła, gadałeś, że idziemy potańczyć? — zapytała Marja, zrywając się z miejsca. — Dlaczego od razu nie powiedziałeś?

Odwróciła się. Ross złapał ją za ramię.

— Chciałem, żebyś przyniosła mi szczęście. Mam przeczucie, że tak będzie.

— A co z Mike'm? — zapytała sprytnie. — Przyszedł, żeby mnie pilnować?

— Jasne — odpowiedział Ross, uśmiechając się. — Myślisz, że ryzykowałbym z tą całą zgrają dookoła? W końcu Mike to mój przyjaciel. Wiem, że mogę na nim polegać.

Mike zerknął na Marję, a potem na Rossa. Uśmiechnął się powoli.

— Nie byłbym taki pewny Ross — rzekł.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytał Ross zimno.

— Tak jak stwierdziłeś, Ross. Jest wspaniała — odparł, nie odrywając oczu od twarzy Marji.

Ta uśmiechnęła się leniwie i usiadła.

— No, dobrze, chłopcy. Bijcie się o mnie — zaproponowała z tłumionym śmiechem.

Cała trójka roześmiała się wesoło.

Krople potu pokrywały czoło Rossa, kiedy sięgał po kości. Odwrócił się do Marji i wyciągnął do niej ręce.

— Dmuchnij na szczęście, kochanie. Marja dmuchnęła w złożone dłonie Rossa.

— Robi się gorąco — stwierdziła, patrząc na malejący stos pieniędzy przed Rossem.

Nie wiodło mu się. Obliczyła, że musiał stracić prawie czterdzieści dolarów.

— Dmuchny mocniej — powiedział Ross cicho, pełnym napięcia głosem.
Zaciśnięte dłonie zbliżył do jej ust.
Nabrała głęboko powietrza i dmuchnęła. Widziała, jak palce Rossa pracują nad kostkami. Rozchyliły się na chwilę i Marja wstrzymała oddech. Spojrzała w twarz Rossa szeroko otwartymi oczami. Przez ułamek sekundy jego wzrok był zimny. Potem Ross uśmiechnął się. Wiedział, że zobaczyła.
— Dzięki, kochanie — rzekł, odwracając się do stołu. Stała milcząc i patrzyła na ludzi dookoła stołu. Wydawało się niemożliwe, żeby nikt inny nic nie zauważył. Nagle zrozumiała. Ross był sprytny. Wszyscy patrzyli na nią.
— No, kości, prosimy! — zawołał Ross ochryplym głosem.
Kości zawirowały, błyszcząc na tle zielonego sukna i stukając o podwyższony brzeg stołu. Toczyły się i toczyły. Wreszcie stanęły. Jasna sprawa. Ross przyciągnął pieniądze w swoją stronę, drugą ręką zgarniając kostki. Potrząsał nimi.
— To mnie bierze — zarechotał. — Stawiajcie forszę, póki szczęście mi dopisuje. Kiedy zaczął przebijać stawki, Marja wycofała się w kierunku Mike'a. Obserwował ich oparty o ścianę. Uśmiechnął się, kiedy podeszła.
— Tym razem zadziałałaś — powiedział.
Twarz Marji nie wyrażała żadnych uczuć. A więc nie widział, jak Ross ustawiał kostki.
— Mam już dosyć. Chcę iść — oznajmiła.
— Ale Ross jeszcze nie skończył — odparł zdumiony Mike.
— Nie obchodzi mnie to. Chcę iść.
— Powiem mu — zaproponował.
— Nie — powstrzymała go. — Niech zostanie. Spojrzała w kierunku stołu. Ross wyrzucił następną siódmkę. Był podniecony i szczęśliwy.
— Ma to, po co tu przyszedł — skwitowała.
— Coś się stało? — zapytał Mike, patrząc na nią.
— Nic. Po prostu chcę iść.
— O.K. — Wziął Marję pod ramię. — Idziemy, Ross! — zawołał. Ross pomachał im ręką. Wątpliwe było, czy w ogóle zrozumiał słowa Mike'a. Znowu potrząsał kośćmi.
Orkiestra grała, kiedy przechodzili przez salę taneczną.
— Zatańczysz? — zapytał Mike.
Potrząsnęła głową, nie zatrzymując się. Jakiś mężczyzna zastąpił jej drogę przy wyjściu.
— Cześć, kochanie.

Nie podnosząc wzroku, chciała go obejść. Znowu przed nią stanął.

— Zostawiasz swojego chłopaka? Spojrzała w twarz Jokera.

— Jestem zmęczona i wychodzę — odpowiedziała zimno. Uśmiech zniknął z warg Martina. Popatrzył na Mike'a. Ten

wzruszył ramionami. Martin usunął się. Marja ruszyła, ale wyciągnął rękę i zatrzymał ją. W oczach miał dziwny blask.

— Nie wiem, co cię gryzie, dzieciaku — powiedział — ale kiedy ci przejdzie, to masz u mnie pracę, tutaj, w „Golden Glow”.

— Dziękuję, panie Martin — odrzekła ze zmienionym wyrazem twarzy. — Być może wrócę tu kiedyś i skorzystam z pana oferty.

Okręciła się na pięcie i podażyła schodami w dół.

Rozdział 13

Stała przed domem i odwróciła się do Mike'a.

— Dzięki, że mnie odprowadziłeś — powiedziała.

— To była przyjemność — odparł z uśmiechem.

— Nie chciałam ci psuć wieczoru. Milczał.

Ruszyła tarasem w górę.

— Kiedy cię znowu zobaczę? — Zatrzymał ją głos Mike'a.

— Nie wiem — odrzekła z wahaniem.

— Dlaczego? Bo jesteś dziewczyną-Rossa?

— Nie jestem dziewczyną Rossa — odparowała, patrząc Mike'owi w oczy. — Już tobie mówiłam.

— Więc kiedy się zobaczymy? — powtórzył.

— Naprawdę nie wiem. Szkoła kończy się w przyszłym tygodniu i będę musiała znaleźć pracę. Trudno powiedzieć.

Ogarnęła go zazdrość.

— Ale znajdziesz czas, żeby spotkać się z Rossem — powiedział z sarkazmem. — Ten przynajmniej ma forszę.

— Z nim też się nie zobaczę — zdenerwowała się. — Niech się wypcha swoją forszą. Możesz mu to ode mnie przekazać.

— Dlaczego ja? — zapytał zdziwiony. — Sama mu powiedz. Popatrzyła na Mike'a zimno.

— Wiesz, do cholery, dlaczego. Razem mnie tam zabraliście. Dobrze wiedziałeś, co Ross chce zrobić.

— Ty też wiedziałaś — odpowiedział zły. — Wiedziałaś, że idzie grać w kości, a nie w pchelki, to czego się wściekasz?

— Tak, wiedziałam, że to hazard, kiedy mi już powiedział, ale nie wiedziałam, że ułoży kostki. To mi się nie podoba.

— Ułożył kostki? — zapytał zaskoczony.

— Tak. Kiedy na nie dmuchnęłam. Wiedział, że będą gapili się na mnie. Nie lubię, kiedy mnie ktoś robi w konia.

Mike głośno odetchnął. Teraz rozumiał, dlaczego tak nagle chciała wyjść.

— Możesz nie wierzyć, ale też nie miałem o tym pojęcia. Marja patrzyła z powątpiewaniem.

— Nie wiem — zawahała się. — Mogłabym zrozumieć, gdybyś ty tak grał.

Potrzebna ci forsa. Ale Ross? Jemu niczego nie trzeba.

— Nie wiedziałem o niczym, Marjo — powiedział, biorąc ją za rękę.

Popatrzyła na dłoń Mike'a, potem w jego oczy.

— W porządku — rzekła po chwili. — Wierzę ci. Dobranoc.

— Dobranoc.

Stał, patrząc, jak znikła wewnątrz domu, po czym zawrócił. Skręcił w alejkę wiodącą do ich mieszkania w suterenie dużego budynku. Z mroku wyłonił się Ross.

— Mike! — zawołał.

— Tak?

— Gdzie się, do diabła, podzialiście? Wygrałem prawie sto dwadzieścia dolarów.

— Marja chciała iść do domu — odpowiedział Mike. Ignorując jego słowa, Ross wyciągnął z kieszeni zwitek banknotów.

— Chciałem ci odpalić twoją część — powiedział, odliczając kilka papierków. — Masz dwudziestkę.

Mike popatrzył na wyciągniętą rękę Rossa, ale nie kwapił się z braniem pieniędzy.

— O co chodzi? — zapytał Ross. — Bierz.

— Nie, dziękuję. Nie chcę żadnej części. To wszystko twoje.

— Nie bądź głupi. Bierz forszę. Parzy cię, czy co?

— Zatrzymaj ją, Ross. Jest twoja. Zarobiłeś ją.

— Wszystko jasne. Marja ci nagadała. Mike nie odpowiedział.

— To było łatwe — zwierzył się Ross, szczerząc zęby w uśmiechu. — To tak, jak zabrać dziecku cukierek. Wszyscy patrzyli na Marję, kiedy się pochylała. Mogłem działać na pewniaka.

Mike ciągle milczał.

— No, już. — Ross protekcjonalnie klepnął Mike'a w ramię. — Bierz pieniądze. Rano spojrzysz na to inaczej.

— Nie chcę.

Ręka Mike'a błyskawicznie zatoczyła łuk i banknoty wyfrunęły z dłoni Rossa.

— Co w ciebie wstąpiło? — zapytał.

— Nic — odpowiedział Mike ze złością. — Po prostu to mi się nie podoba. Zrobiłeś z dziewczyny frajerkę. Gdyby cię złapali, wszyscy musielibyśmy za to płacić. Ona też. To nie byłoby szczególnie przyjemne, prawda?

— Ale nas nie przyłapali — protestował Ross. — I po co te żale?

Mike milczał.

Ross przykląkł, żeby pozbierać pieniądze.

— Nie wiem, co u diabła się z tobą dzieje — mrucał, spoglądając na Mike'a z nagłym podejrzeniem. — Gdzie ją zabrałeś? — zapytał prostując się.

— Do domu. Mówiłem ci.

— Długo to trwało. Czekałem tutaj przeszło godzinę.

— Szliśmy pieszo — wyjaśnił Mike zwięźle. — Mój stary nigdy nie daje mi buicka.

— Nie zatrzymaliście się na chwilę w parku? — zapytał Ross. — W jakimś ciemnym kącie, gdzie mogła popracować trochę ręka? Ta mała dziwka to lubi. Mike poczuł, że pulsowanie w skroniach rozrywa mu głowę. Szybkim ciosem przyszpilił Rossa do ceglanej ściany.

— Nie mów tak o niej — warknął.

— Miałem rację! — zawołał Ross triumfalnie z błyskiem dzikiego podniecenia w oczach. — Dobrała się do ciebie. Jest rzeczywiście, świetna, chłopie, ale nie daj się wystrychnąć na dudka. Jest taka dla każdego.

Padł następny cios. Głowa Rossa odskoczyła do tyłu. Powoli osunął się na ziemię. Z kącika ust ciekła mu krew.

— Następnym razem nie otwieraj pyska — powiedział Mike, cofając się i patrząc na postać na ziemi.

Ross przez chwilę siedział otępiały, potem przyłożył rękę do ust. Krew ciekła mu między palcami. Spojrzał na Mike'a. Z zastygłej w bólu twarzy wyzierały zimne oczy.

— Zapłacę ci za to, Mike — wymamrotał przez obolałe wargi. — Jeszcze przyjdzie na to czas. Nie martw się.

— Ja się nie martwię — stwierdził Mike i odszedł aleją w kierunku domu.

Rozdział 14

Przy wejściu Ross kupił garść biletów. Wszedłszy na salę taneczną zatrzymał się na chwilę, pozwalając oczom przyzwyczać się do światła. Rozglądał się dookoła. Była. Siedziała z innymi dziewczętami w rogu sali. Nawet w jednej z tych tanich sukienek, w jakie Martin zaopatrywał dziewczęta, odróżniała się od innych. Było w niej coś podniecającego. Seksapil, jaki niewiele kobiet posiada.

Zszedł po stopniach i przystanął przed Marją.

— Cześć, Marjo.

— Cześć, Ross — odpowiedziała z nic nie wyrażającym spojrzeniem.

— Zatańczysz? — zapytał zażenowany.

— Masz bilety?

Bez słowa wyciągnął rękę.

— Tak — powiedziała, wstając i prowadząc Rossa w kierunku parkietu.

Wśliznęła się w ramiona Rossa, lecz jemu wydawało się, że tańczył z kimś nieznanym. Automatycznie zgrali kroki z rytmem muzyki.

— Już od dwóch tygodni szkoła jest zamknięta — powiedział Ross. — A nie widziałem cię od trzech tygodni.

— Ale ten czas leci, prawda? — odpowiedziała bez uśmiechu.

— Unikasz mnie — padło oskarżenie.

— Byłam zajęta — tłumaczyła Marja grzecznie. — Muszę zapracować na utrzymanie.

— Nie dałaś mi nawet szansy wytłumaczyć się.

— Nie jesteś mi winien żadnego wytłumaczenia — odparowała szybko. — Jesteś dużym chłopcem. Robisz, co chcesz.

— To dlaczego nie chcesz się ze mną widywać? Popatrzyła Rossowi w oczy. Było w nim coś, co nasuwało na

myśl zwierzę. Dzikie i nieposkromione. Absolutnie samolubne.

— Nie lubię być wykorzystywana.

Muzyka urwała się i poszli w stronę stolików. Powstrzymał ją. W dłoni trzymał następny bilet. Wzięła go i czekała. Dopiero kiedy rozległy się pierwsze takty, pozwoliła się objąć.

— Myślałam, że mnie lubisz.

— Tak było — odpowiedziała — ale nie byłeś wobec mnie w porządku.

— Przepraszam — uśmiechnął się. — Przecież się udało. Nikt nie ucierpiał.

— Ja tak — powiedziała, patrząc smutno. — Myślałam, że będziesz inny.

— Przecież to tylko dla zabawy — tłumaczył, starając się przyciągnąć Marję bliżej. Przez marynarkę czuł ciepło bijące od ciała dziewczyny. Była tak samo podniecająca jak przedtem.

— Chłopak potrzebuje mocnych wrażeń.

— Co innego, gdybyś potrzebował forsy — mówiła, potrząsając głową. — To mogłabym zrozumieć.

Zatrzymali się w nie oświetlonym kącie. Ross starał się ją pocałować. Odwróciła twarz.

— Przestań, Ross — powiedziała ostro. — Zależy mi na pracy tutaj.

— Ależ, Marjo — prosił. — Wyjeżdżam pojutrze i nie będzie mnie przez pięć miesięcy. Muszę się z tobą zobaczyć przed wyjazdem.

— Nie mogę.

— Dlaczego? — żądał wyjaśnień.

Taniec skończył się i Marja wysliznęła się z ramion Rossa. Chciała się oddalić, ale brutalnie szarpnął ją z powrotem.

— Popatrz — powiedział z wściekłością. — Masz tu te wszystkie cholerne bilety i nie uciekaj, ile razy orkiestra przestanie grać.

Bez słowa wzięła plik biletów i wepchnęła je do małej torebki. Muzyka zagrała i znowu tańczyli.

— Dlaczego nie możesz się ze mną zobaczyć? — nalegał.

— Rzeczywiście chcesz wiedzieć?

— Powiedz.

— Po pierwsze, nie chcę — powiedziała, nabierając głęboko powietrza. — Po drugie, nie mam czasu. Matka leży chora. Straciła pracę i ja opiekuję się nią i moim małym braciszkiem w ciągu dnia. Dostyc powodów?

— Nie — odpowiedział szorstko.

Pociągnął ją w ciemny kąt i znowu usiłował całować. Odwróciła twarz. Nie zauważył, że dała sygnał swoją małą torebką. W oka mgnieniu potężna ręka obróciła Rossa wokół osi. Stało się to za sprawą dużego, podobnego do małpoluda bramkarza. Joker Martin stał obok i uśmiechał się.

— Słuchaj, bracie — ostrzegał bramkarz — albo się zachowuj, albo stąd wylecisz. Ross poczuł, że blednie. Zerknął na Marję. Jej twarz nie wyrażała niczego. Nabrał głęboko powietrza.

— Dobrze, Marjo. Jeżeli tak wolisz. — Okręcił się na pięcie i wyszedł.

Joker dogonił Marję w drodze do stolików.

— Wydaje mi się, że twój przyjaciel się wściekł — powiedział.

— Nie jest moim przyjacielem.

Martin przybrał zdumiony wyraz twarzy.

— Kiedy was ostatnio widziałem, byliście w bardzo przyjaznych stosunkach.

— Tak — potwierdziła. — Wtedy było inaczej. Ale nie podobało mi się coś, co zrobił.

— A co on zrobił? — zapytał Martin, patrząc na nią z góry.

— Po prostu, coś mi się nie spodobało. To wszystko — odpowiedziała, wzruszając ramionami wymijająco.

— To było coś w rodzaju zamiany kostek? — zapytał Martin tonem człowieka prowadzącego normalną rozmowę.

Marja nie potrafiła ukryć zdziwienia.

— I co, dzieciaku? Myślisz, że jesteśmy głupcami? Jesteśmy profesjonalistami — mówił uśmiechając się. — Od razu zauważyliśmy.

Zapalił papierosa.

— Domyślam się, że dlatego dmuchnęłaś tak szybko. Wiedziałaś, co ma zamiar zrobić?

— Nie...

— Tak też myślałem.

— Dlaczego nic nie zrobiliście, skoro wiedzieliście?

— Jego stary ma duże wpływy/Któregoś dnia Ross wróci i spłaci nam wszystko, łącznie z procentem. Zaczekamy. Jesteśmy cierpliwi. Tacy, jak on, zawsze wracają.

Starannie rozwiesiła wieczorową sukienkę w szafce i rzuciwszy szybkie spojrzenie w lusterko, wybiegła na ulicę. Było dziesięć po dwunastej. Nie tak źle, w pierwsze dni tygodnia pracowała tylko sześć godzin. To piątki i soboty dawały jej w kość. Musiała być na nogach od piątej po południu do drugiej w nocy.

Gdy tylko zanurzyła się w gwarze ulicy, zobaczyła, że czekał na nią, oparty o samochód. Stał tak każdej nocy, od kiedy tylko rozpoczęła pracę.

— Cześć, Mike — powiedziała uśmiechając się.

— Cześć, kochanie.

— Nie musisz na mnie czekać co noc. Dam sobie radę.

— Kiedy chcę.

— Musisz chyba padać ze zmęczenia. Pracujesz przy tych gazetach po dwanaście godzin na dobę.

— Nie psuj mi radości, kochana — powiedział łagodnie. — Wpadniemy gdzieś na kawę?

— Dobrze. Ale dzisiaj ja stawiam. Pamiętaj.

— A myślisz, że dlaczego to zaproponowałem — odpowiedział ze śmiechem. Weszli do baru i zasiedli na wysokich stołkach.

— Weźmiemy na spólkę pączka z galaretką? — zapytał Mike, spoglądając na Marję.

Skinęła głową.

— Dwie kawy i pączek — zawołał Mike do człowieka za ladą. — A jak z twoją matką? — zapytał.

— Dziękuję, dzisiaj trochę lepiej. Krwawienie ustało i lekarz mówi, że jeżeli taki stan się utrzyma, to jutro będzie mogła wstać.

— To dobrze.

Marja milczała przez chwilę, myśląc o matce. Już prawie tydzień leżała w łóżku. Zaczęła krwawić i wcześniej wróciła z pracy. Lekarz początkowo myślał, że to poronienie, ale nie było tak źle. Nie mogła jednak wrócić do pracy. Dźwiganie ciężkich wiader i szczotek było ponad jej siły.

Katti bardzo się zdenerwowała na wiadomość o pracy Marji. Jednakże dwadzieścia dolarów tygodniowo okazało się zbawieniem. Gdyby nie one, musieliby głodować. Peter do niczego się nie nadawał.

Barman postawił kawy i pączka na ladzie. Marja podzieliła szybko ciastko i większą część dała Mike'owi.

— Jak ci dzisiaj poszło? — zapytał.

— Dobrze — uśmiechnęła się. — Byłam mocno zajęta.

— Dobra z ciebie tancerka, co?

— Najlepsza. Przyszedł Ross, żeby się ze mną zobaczyć — odpowiedziała z nikiącym uśmiechem.

— Czego chciał? — zapytał Mike, wpatrując się w swoją kawę.

— Powiedział, że wyjeżdża na jakiś czas i chciał, żebym z nim wyszła.

— Ojciec wysyła go do Europy.

— O, Boże — westchnęła. — To musi być wspaniale mieć tyle forsy.

— Ciągłe go lubisz, co?

— Naprawdę nie wiem — powiedziała uczciwie. — Jest inny niż wszyscy, jakich znam. Inaczej mówi, inaczej się zachowuje.

— J ma forszę — dodał Mike gorzko.

— To nie o to chodzi — rzuciła szybko.

— A o co?

— O cały sposób bycia — odrzekła z zastanowieniem. — Ross zawsze zachowuje się tak, jak ja chciałabym się czasami zachowywać. Sprawia wrażenie najważniejszej osoby na świecie i wszyscy inni tylko mu się przypochlebiają. To pewnie fajna rzecz być ważniakiem.

Położyła rękę na ramieniu Mike'a.

— Wiesz — szepnęła konfidencjonalnie — pan Martin wiedział, że Ross zamienił wtedy kostki.

— To dlaczego go nie zatrzymał?—zapytał zdziwiony Mike.

— Z powodu jego ojca. Pan Martin mówi, że to ktoś bardzo wpływowy.

W głosie Marji brzmiał podziw.

— I to ci się podoba? — spytał Mike. Zapaliła papierosa i zaciągnęła się głęboko.

— Może. Chciałabym zaznać trochę luksusu. Kto by nie chciał? Przecież, do diabła, to lepsze niż żyć tak, jak ja teraz.

Rozdział 15

Katti odłożyła szycie i spojrzała na zegar. Była prawie jedenasta. Wstała i podeszła do okna. Powietrze było ciężkie i wilgotne tej sierpniowej nocy. Otarła spocone czoło ręcznikiem wiszącym wokół szyi.

Poczuła nagły szarpiący ból w plecach i zatoczyła się lekko. Oparta o stół czekała, aż minie zawrót głowy. Lekarz ostrzegął, że coś takiego może się zdarzyć.

Przykazał Katti spędzać większość czasu w łóżku i nie pracować. Jakaś nieprawidłowość ciąży zbyt mocno obciążała jej serce.

Zawrót głowy minął, poszła więc do kuchni złożyć szycie. Postanowiła położyć się i próbować odpocząć.

W domu panowała cisza i Katti, znalazłszy się w swoim pokoju, nadśluchiwała. Często nie potrafiła zasnąć przed powrotem Marji, lecz dzisiaj było jeszcze gorzej niż zwykle. Peter wyszedł po kolacji i do tej pory się nie zjawił. Wiedziała, co to znaczy. Wróci opity piwem, wściekły i zdenerwowany. Trzeba go będzie trzymać z dala od Marji, żeby nie doszło do awantury.

Po chwili poczuła się lepiej, ale nadal nie mogła zasnąć. W pokoju było za gorąco, a łóżko parzyło, rozgrzane ciepłem jej ciała. Wstała i poszła do pokoju Marji.

Dziecko, lekko zarumie-

nione od letniego słońca, niespokojnie wierciło się w łóżeczku. Katti przyglądała się synkowi, gdy niespodziewanie obudził się i zapłakał.

Wzięła go na ręce i szeptała uspokajająco, ale niewiele to pomagało. Dopiero kiedy postął w kuchni butelkę chłodnej wody i przyssał się do niej chciwie, uspokoił się. Katti zanosła Petera do łóżeczka. Zza kuchennych drzwi dochodziły jakieś dźwięki. Na Marję było jeszcze za wcześnie.

Wystarczył jeden rzut oka na jego zaczerwienioną twarz. Wiedziała, gdzie był. Zamknął drzwi i patrzył na nią przekrwionymi i zapuchniętymi oczami.

— Jeszcze nie śpisz? — zapytał.

— Jak widzisz — odrzekła, przechodząc obok. — Chodź do łóżka.

— Za gorąco. Napiję się piwa.

— Nie wypijeś już dosyć? — spytała bezbarwnie.

Nie odpowiadając otworzył puszkę i przytknął do warg. Trochę piwa spłynęło po brodzie na koszulę. Odstawił puszkę.

— Nie twój interes — warknął.

Przez chwilę patrzyła na męża, później weszła do frontowego pokoju. Wychyliła się przez okno i niespokojnym spojrzeniem objęła ulicę. Zbliżała się pora powrotu Marji.

— Co robisz? — zapytał, skory do kłótni.

Nie odezwała się. Wiedział, co robiła. Chciała przejść obok.

— Wypatrujesz córeczki? — zapytał zjadliwie.

— Tak — odparła po polsku. — Czy to coś złego?

— Nie musisz się o nią martwić — odpowiedział także po polsku. — Pewnie sobie dorabia kilka dolarów w jakiejś bramie z tym facetem, co ją codziennie odprowadza.

— Idź do łóżka — odrzekła zimno. — Jesteś pijany.

— Myślisz, że nie wiem, co mówię? — warknął, chwytając ją za rękę.

— Nie myślę, ale wiem. — Wyrwała się z uścisku i wróciła do okna.

Marja i Mike powoli zbliżali się do domu.

Mimo woli Katti uśmiechnęła się. Miły chłopak z tego Mike'a. Tak ładnie wyglądali idąc razem. Może kiedyś... ale to jeszcze dużo czasu. Czasami musiały się zmuszać, żeby myśleć o Marji jak o dziecku. Tu było inaczej niż w Starym Kraju. Odwróciła się od okna z cieniem uśmiechu błakającym się na wargach.

— Idę do łóżka. Ty lepiej też chodź.

— Nie. Za gorąco — odpowiedział, nie ruszając się z miejsca. — Wezmę sobie jeszcze piwa.

Poszła do sypialni i zaczęła się rozbierać. Słyszała, jak Peter potyka się w kuchni, jak trzaskają drzwi lodówki i otwierana puszką piwa. Na nocną koszulę zarzuciła lekkie kimono i wróciła do kuchni, by się umyć.

Peter siedział przy stole z puszką w dłoni i wpatrywał się w drzwi.

— Na co czekasz? — zapytała. — Chodź spać.

— Pokażę ci, że wiem, co mówię. Niech tylko wróci.

— Nie bądź głupi, Peter — odpowiedziała, starając się uśmiechnąć. — Daj dziewczynie spokój i chodź do łóżka.

— To dziwka — wymruczał pod nosem.

W tym momencie poczuł palące uderzenie na twarzy. Spojrzał na Katti zdumiony. Nigdy nie widział jej z twarzą białą z gniewu.

— Zamknij się! — krzyknęła. — Ta dziewczyna ma więcej rozumu od ciebie.

Gdyby nie ona, zdechlibyśmy z głodu.

Wchodząc do sypialni, odwróciła się jeszcze w progu.

— Zapominasz, że kiedy potrzebowaliśmy pieniędzy, to Marja, a nie ty, postarała się o pracę. Jest podobna do ojca — mówiła z pogardą. — Ty ani w połowie mu nie dorównujesz. Mam tylko nadzieję, że twoje dzieci będą podobne do niego, nie do ciebie. W przeciwnym razie niech je Bóg ma w swojej opiece.

Peter zerwał się z miejsca i pobiegł do drzwi.

— Pokażę ci, kto jest mężczyzną! — wrzasnął otwierając je. — Nie będzie dziwek w moim domu!

Katti złapała męża za ramię i starała się go wciągnąć z powrotem do mieszkania.

— Zostaw ją, ty pijany próżniaku! — krzyczała. — To moja córka, a nie twoja!

Odepchnął Katti mocno, tak że zatoczywszy się, oparła o kuchenny stół. Fala bólu ogarnęła jej ciało. Dostrzegła męża jak przez mgłę.

Zdjął pasek od spodni i pomachał nim przed nosem żony.

— Uważaj, kobieto, co gadasz — powiedział ochryple — albo dostaniesz więcej niż ona. Gdy z nią skończę, to przekonasz się, jaka jest — dodał, wychodząc na korytarz.

Katti nabrała głęboko powietrza i wybiegła za nim. Ten człowiek był szalony.

Marja miała rację. Dlaczego nie posłuchała jej wcześniej? Poczula, że kręci jej się w głowie. Walcząc ze słabością, chwyciła Petera za rękę.

— Zostaw ją — wyszeptała, starając się wciągnąć go z powrotem do mieszkania.

Z nadludzkim wysiłkiem udało jej się go odwrócić. Patrzyła na niego dziko.

— Jeżeli ją ruszysz, nigdy więcej nie wejdiesz do tego domu!

Wyplute w desperacji słowa podziały jak zimny prysznic! Peter spojrzał przytomniej. Gwałtownie stracił z siebie ramiona żony. Zachwiała się i złapała poręcz, żeby nie upaść. Minał ją, podchodząc do kuchennych drzwi.

— To twoja córka — rzekł zimno. — Niech jej grzechy spadną na twoje sumienie! Zawroty głowy wróciły i twarz Petera rozmazała się w przestrzeni. Katti puściła poręcz i zrobiła jeden, pełen wahania krok w kierunku mieszkania. Ból w skroniach oślepił ją całkowicie.

— Marjo! — krzyknęła w nagłą, pełną cierpienia próżnię. Wydawało jej się, że to schody biegną w górę, kiedy runęła w dół.

Usłyszeli — i zanim Mike zdążył zareagować, Marja była już w połowie schodów. Przerażony wibrującym krzykiem, z walącym sercem pędził za nią. Dotarł na podest tuż za dziewczyną.

— Mamo! — Głos Marji przypominał głos przerażonego dziecka. Upadła na kolana przy skreconym ciele kobiety. Mike stał osłupiały.

— Mamo! — wołała Marja przez łzy, a jej jasne włosy zaśniły, kiedy pochyliła się i dotknęła wargami nieruchomej twarzy.

— Katti!

Mike spojrzał do góry. Twarz mężczyzny, stojącego na schodach ponad ich głowami, wydawała się szara jak popiół.

— Marjo! Co się stało?

Marja, oniemiała, potrząsnęła głową. Popatrzyła na Mike'a pełnym bólu, otępiałym wzrokiem.

Dotknął jej ramienia i poczuł, że cała drży.

— Czy w tym domu jest telefon? — zapytał.

Nie odpowiedziała, a Mike zrozumiał, że wcale go nie słyszała. Zerknął w górę. Mężczyzna schodził po schodach, kurczowo trzymając się poręczy, jak gdyby obawiał się, że może spaść.

Otworzyły się jakieś drzwi i wyjrzał zza nich sąsiad.

— Był wypadek — powiedział Mike szybko. — Ma pan telefon?

Człowiek skinął głową i wyszedł na korytarz. Za nim pokazała się kobieta w szlafroku.

Mike wszedł do mieszkania. Kobieta w milczeniu wskazała

telefon. Mike podniósł słuchawkę i miał zacząć mówić, kiedy do jego uszu dobiegł cichy, podobny do szeptu dźwięk. Po raz pierwszy i jedyny usłyszał, jak Marja płacze.

Rozdział 16

Tydzień minął, zanim Marja wróciła do pracy w „Golden Glow”. Twarz jej wychudła, a pod oczami pojawiły się cienie. Ale najpierw odbył się pogrzeb Katti. Msza u św. Augustyna była skromna. Ksiądz Janowicz, pełen dobroci i troskliwości, mówił o wielkiej odwadze matki i o tym, jak żyła, przestrzegając zawsze zasad katolickiej wiary. Modlił się żarliwie, aby była wzorem dla swych dzieci.

Marja siedziała milcząc obok Petera w samotnym samochodzie, jadącym za karawanem na cmentarz. Po szybkim i tanim pogrzebie wrócili do domu. Czekali na nich ludzie z opieki społecznej. Matka Francie, która zajmowała się dzieckiem w czasie pogrzebu, wyszła i zostali sami. Młody mężczyzna i starsza kobieta z opieki mieli za zadanie stwierdzić, czy są w stanie zapewnić dziecku prawidłową opiekę.

Marja przekonała ich, że wszystko będzie dobrze. Była w domu cały dzień, a Peter wracał wieczorem, kiedy szła do pracy. Zgodzili się na ten stan rzeczy do czasu, kiedy Marja będzie musiała wrócić do szkoły.

Na chwilę zatrzymała się w wejściu. Podczas gdy w jej życiu tyle się wydarzyło, tutaj na sali tanecznej, wszystko wydawało się zupełnie takie jak przedtem. Dekoracje z tanich świecidełek, przyciemnione niebieskie światło, męcząca muzyka grana w fałszywym rytmie — wszystko było takie same.

Bramkarz o małpiej, tępej twarzy podszedł do niej.

— Pan Martin chce się z tobą widzieć — powiedział, wskazując kciukiem w kierunku biura.

Bez słowa przecięła parkiet i zapukała do drzwi.

— Wejść — usłyszała głos Martina.

Siedział za biurkiem przykrytym papierami. Zawahała się przez chwilę, zanim uniosła wzrok, potem weszła i zamknąwszy za sobą drzwi stanęła przed biurkiem.

— Chciał mnie pan widzieć? — zapytała stłumionym głosem.

— Usiądź, proszę. — Skinął głową. — Zaraz się tobą zajmę, tylko skończę z tym. Przycupnęła na krześle przy biurku i patrzyła. Twarz Martina była szorstka i wyżłobiona głębokimi rysami, a szpakowate włosy dodawały jeszcze chłodu niebieskim oczom. Podbródek miał kwadratowy i mocno zarysowany, ale wargi, chociaż wąskie, kryły w sobie jakąś niespodziewaną miękkość.

Wreszcie spojrział na Marję.

— Przykro mi z powodu twojej matki — powiedział łagodnie.

— Dziękuję — odrzekła, spuszczając głowę. Trudno jej było jeszcze mówić na ten temat. Martin milczał przez moment.

— Mieliśmy tutaj kogoś z opieki społecznej. Sprawdzali miejsce twojej pracy. Marja przestraszyła się i popatrzyła pytająco na szefa.

— Nie bój się — rzekł uspokajająco. — Powiedziałem im, że jesteś kasjerką.

Znowu spuściła wzrok i wymamrotała łamiącym się głosem:

— Nie wiem, jak panu dziękować, panie Martin. Przyglądał się papierom rozłożonym na biurku.

— Dlaczego mi nie powiedziałaś, ile masz lat? — zapytał nagle.

— A gdybym to zrobiła, dostałabym pracę? — odpaliła.

— Myślę, że nie — odpowiedział z wahaniem.

— Więc właśnie dlatego. Poza tym nigdy mnie pan nie pytał.

— Nigdy o tym nie pomyślałem. Wydawałaś się dostatecznie dorosła — odrzekł, przypatrując jej się badawczo.

Uśmiechnęła się słabo.

— Bo też jestem.

Wstał i obszedł biurko dookoła. Położył jej rękę na ramieniu. W zamyśleniu pokiwał głową. Pamiętał swoją własną młodość. Pochodził z podobnego miejsca.

— Tak, myślę, że jesteś.

— Wobec tego, będę mogła wrócić do pracy, panie Martin? — zapytała.

— Tak. Ale miej oczy otwarte. Jeżeli coś będzie nie tak, to natychmiast się wynoś. Jeżeli dasz się złapać, to moją licencję diabli wezmą.

— Będę uważać, panie Martin — powiedziała wstając. — Obiecuję.

Otworzył drzwi, a Marja zatrzymała się na progu z pełnym wdzięczności uśmiechem na ustach.

— Bardzo panu dziękuję, panie Martin — rzekła niskim, matowym głosem. — Będę pamiętać, co pan dla mnie zrobił.

Obserwował, jak się oddalała w kierunku garderoby. Potrząsnął głową z niedowierzaniem. Nawet teraz, kiedy wiedział, trudno mu było uwierzyć. Nie ma nawet szesnastu lat. Cóż, niektóre Polki wcześniej zaczynały. Uśmiechnął się do siebie, zamknął drzwi i podszedł do biurka.

W jej przypadku kalendarz niewiele znaczył. Już teraz posiadała całą mądrość, jakiej będzie potrzebowała. Wiedziała, czego mężczyźni od niej oczekują.

Wyczuwała to jakby szóstym zmysłem, którego większość kobiet poszukuje przez całe życie i nie znajduje nigdy.

Otworzyła drzwi i weszła do kuchni. Przy stole nad rozpostartą gazetą siedział ojczym. Spojrzał na nią.

— Jak mały? — zapytała.

— W porządku — odpowiedział sztywno. — Spał spokojnie całą noc.

Poszła do swojego pokoju i zajrzała do łóżeczka. Peter spał spokojnie z kciukiem w buzi. Wyjmując delikatnie paluszek z ust dziecka, poczuła na sobie wzrok ojczyma. Odwróciła się szybko.

Stał w progu i przyglądał się. Zaczerwienił się gwałtownie.

— Czego chcesz? — spytała. Chrząknął.

— Niczego — odpowiedział i zawrócił do kuchni. Zrzuciła sukienkę i halkę, włożyła szlafrok i poszła umyć się do kuchni.

— Ten facet, Mike — zapytał Peter ostrożnie — odprowadza cię?

— Tak — odrzekła, myjąc energicznie twarz.

— On cię lubi, co?

— Przypuszczam.

— Spędzacie razem dużo czasu na dole, zanim wejdiesz do mieszkania — stwierdził z chytrą nutką w głosie.

— Czego chcesz się dowiedzieć? — zapytała odwracając się.

Nie wytrzymał jej spojrzenia i wlepił wzrok w stół.

— Niczego.

— To pilnuj własnych interesów — rzuciła, wychodząc na korytarz.

Czekał w progu, aż wróciła do kuchni i złapał Marję za ramię. Patrzyła mu w oczy bez słowa.

— Jesteś bardzo ładną dziewczyną, Marjo — powiedział błagalnym tonem. Milczała.

— Może kiedyś będziesz dla mnie taka miła, jak dla niego — rzekł z zakłopotaniem. — I wszyscy będą zadowoleni, co?

Strąciła rękę Petera z ramienia. Była tak zmęczona, że nie miała nawet siły się złościć.

— Peter — powiedziała bezbarwnym głosem, po raz pierwszy nie dodając słowa „wujek” — nie wygłupiaj się. Jestem tutaj, bo mama chciałaby tego. Ale to wszystko. Nic poza tym.

Poszedł za nią do drzwi sypialni i wciągnąwszy głęboko powietrze, odważył się na jeszcze jedno pytanie:

— Wiesz przecież, co zawsze do ciebie czułem?

— Wiem — odrzekła zimno. — Ale nie jesteś w moim typie. Jeżeli aż tak bardzo potrzebujesz kobiety, to wyjdź i poszukaj sobie jakiejś.

Zatrzasnęła mu drzwi przed nosem i głośno przekreśliła klucz w zamku, tak żeby na pewno usłyszał. Po chwili, słysząc, jak się oddala, rozebrała się i wskoczyła do łóżka.

Wyciągnęła ramiona daleko za głowę i leżała przez chwilę bez ruchu, owiewana lekkim wietrzykiem wpadającym przez okno. Czuła, jak przenika ją tępy ból.

Zamknęła oczy i natychmiast w ciemności pojawiła się twarz matki.

— Bądź dobrą dziewczyną, Marjo — zdawała się mówić.

— Będę, mamó — obiecała szeptem, przewracając się na bok.

Zdażyła jeszcze dosłyszeć, jak zamykają się drzwiczki lodówki i zasnęła.

Rozdział 17

Joker Martin spojrział na wchodzącą. Zatrzymała się przed biurkiem.

— Załatwiłem — powiedział. — Opieka zgodziła się, żebyś po południu chodziła do szkoły i dalej tutaj pracowała,

— Nie wiem, jak mam dziękować — rzekła Marja, składając ręce w pełnym wdzięczności geście. — Ciagle robi pan dla mnie coś dobrego.

— Pewnie dlatego, że cię lubię — odpowiedział zakłopotany.

Milczała.

— Można na tobie polegać, Marjo. Przychodzisz co wieczór i nigdy nie przysparzasz mi kłopotów, jak inne dziewczęta. Może dlatego.

— Nadal nie wiem, jak będę mogła się zrewanżować. Chciał coś odrzec, ale zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę.

— Martin przy telefonie.

Ktoś mówił przez parę sekund i Martin podniósł wzrok na dziewczynę. Odwróciła się i chciała wyjść, lecz powstrzymał ją gestem ręki.

— Proszę chwilę poczekać — powiedział do słuchawki.

— No, i jest sposób, żebyś mogła się odwdzińczyć — rzekł, przykrywając słuchawkę dłonią. — Dzwoni ważny gość. Nie ma damy do towarzystwa na przyjęcie dziś wieczorem. Jeśli zechcesz pójść, zarobisz piątkę.

Zawahała się.

— Chyba, chyba... nie, panie Martin. Będę tam nie na miejscu.

Wiedział, co miała na myśli.

— Daj spokój — dodał jej odwagi. — To porządny facet. Nic podejrzanego. Trochę potańczysz, trochę się pośmiejesz, to wszystko. O wpół do czwartej będzie po imprezie.

— Jest pan pewien? — wahała się dalej.

— Jasne — przytaknął.

— Ale nie mam w co się ubrać. Lepiej nie.

— Możesz wziąć swoją sukienkę. Przyniesiesz ją jutro wieczorem. Poza tym zrobiłabyś mi wielką przysługę.

Wciągnęła głęboko powietrze. Jak mogła odmówić? Tyle dla niej uczynił.

— Dobrze.

— Grzeczna dziewczynka — powiedział z uśmiechem. — Idź po torbę i wracaj tutaj. Dam ci adres.

Począł, aż drzwi się za nią zamkną.

— Przysyłam ci całkiem zieloną — rzucił do słuchawki szybko i ostrożnie. — Daj sobie czas, Jack. Nie chcę jej przestraszyć.

Milczał przez moment, słuchając swego rozmówcy. Potem przemówił, tłumiąc śmiech:

— Posłuchaj, to najwspanialszy egzemplarz, jaki kiedykolwiek widziałeś. Ale nie daj się wykołować. Jest małaletnia i mogą być kłopoty, jeżeli do czegoś dojdzie.

Graj uczciwie i trochę poczekaj. Dostaniesz, czego chcesz.

Zdażył odłożyć słuchawkę, kiedy Maria weszła do biura. Wysiadła z taksówki przed dużym eleganckim domem. Portier przytrzymał drzwiczki, kiedy płaciła taksówkarzowi.

— Do apartamentu pana Ostere'a — poprosiła.

— Apartament D, siedemnaste piętro — odpowiedział portier z błyskiem zrozumienia w oku.

Windziarz patrzył na Marję w ten sam sposób.

— Na lewo — rzekł, przytrzymując drzwi windy. Naciskając dzwonek słyszała, jak winda odjeżdża. Drzwi

otworzyły się. Stał w nich mężczyzna w wieczorowym garniturze i przez chwilę się jej przyglądał.

— Pan Ostere? — zapytała. — Nazywam się Marja Flood.

— Proszę wejść — zabrzmiała oficjalna odpowiedź. — Powiem panu Ostere, że pani przysła.

Czekała w holu. Mężczyzna zniknął i pojawił się znowu w towarzystwie innego, nieco niższego, ubranego w ciemny, popołudniowy garnitur.

Ten podszedł do Marji z wyciągniętą ręką.

— Jestem Jack Ostere.

— Marja Flood — odpowiedziała, podając mu dłoń. Cofnął się o krok i przyjrzał się jej.

— O Boże! — zawołał dramatycznym tonem. — Joker miał rację, chociaż raz w życiu. Pani jest piękna!

— Dziękuję, panie Ostere — odparła z uśmiechem zadowolenia.

— Proszę mnie nazywać Jack — rzucił szybko. — Niech pani wejdzie, zrobię pani drinka, zanim przyjdą pozostali.

Wziął Marję pod ramię i wprowadził do największego salonu, jaki kiedykolwiek widziała.

Zatrzymali się przed małym barkiem na kółkach.

— Co pani pije? Manhattan? Martini?

— Colę — odpowiedziała z wahaniem. Zaskoczony uniósł brwi, a potem się uśmiechnął.

— Jak sobie pani życzy — odrzekł, odwracając się i pociągając za sznurek dzwonka.

W mgnieniu oka pojawił się kamerdyner.

— Tak, proszę pana?

— Jordam, prosimy colę dla panny Flood.

— Tak, proszę pana — odpowiedział kamerdyner z kamienną twarzą i odwrócił się, żeby wyjść.

— Z masą lodu — dodała Marja.

— Z masą lodu, proszę pani — powtórzył kamerdyner, zerkając na nią i wychodząc z salonu.

— Mam nadzieję, że nie przyszedłam zbyt wcześnie — powie-

działa Marja do gospodarza. — Joker kazał mi zbierać się od razu.

Ostere nalał whisky do szklaneczki z lodem i wzniosł toast.

— Ktoś tak piękny jak pani nie może przybyć zbyt wcześnie, Marjo.

Rozległ się dzwonek u drzwi.

— Proszę wybaczyć usprawiedliwił się Ostere. — To moi goście. Muszę ich przywitać.

Kamerdyner przyniósł jej colę. Miała wolną chwilę, żeby rozejrzeć się po salonie. Musiał mieć co najmniej czterdzieści stóp długości, a wysokie balkonowe okna na jednej ze ścian prowadziły na taras.

Ostere wszedł pospiesznie do pokoju z nowo przybyłymi. Marja z wrażenia szerzej otworzyła oczy.

Jedna z dziewczyn okazała się gwiazdą filmową, którą Marja widziała wiele razy w kinie na Osiemdziesiątej Szóstej Ulicy. Z kolei jeden z mężczyzn był felietonistą piszącym do porannej gazety. Często czytała jego artykuły.

Zanim Ostere dokończył prezentacji, znowu rozległ się dzwonek. Gospodarz pobiegł witać następnych gości. Marja coraz szerzej otwierała oczy. Co prawda, nie rozpoznała wszystkich nazwisk, ale brzmiały znajomo. Widywała je w gazetach.

Prawie cały czas zachowywała się cicho i nieśmiało. Nie bardzo miała pojęcie, o czym mogłaby rozmawiać z takimi ludźmi. Jednak na podstawie ich rozmów zorientowała się, że Ostere to bogaty człowiek, który bierze udział w wielu ważnych przedsięwzięciach.

Okazał się również bardzo uprzejmym gospodarzem, bo chociaż krążył po salonie, gawędząc z gośćmi, co parę minut zjawiał się u jej boku, dbając o to, żeby dobrze się bawiła. Polubiła go. Tego małego, wiecznie zajętego człowieczka.

W pewnym momencie felietonista dopadł ją w rogu salonu i zapytał, czym się zajmuje. Zrazu nie wiedziała, co odrzec, ale nagle ją olśniło.

— Jestem tancerką — odpowiedziała, nie odbiegając zbyt daleko od prawdy.

W tej chwili Ostere stanął przy nich i uśmiechnął się z aprobatą, słysząc odpowiedź Marji.

— A gdzie pani pracuje? — dopytywał się felietonista. — Chcę o pani napisać.

— Nie jestem jeszcze na to przygotowana — odparowała z uśmiechem. — Ale liczę, że nie zapomni pan o mnie, kiedy już będę.

Felietonista już po paru drinkach — nie wyglądał na osobę

trzeźwą. Wiedział, jakimi dziewczętami Ostere zazwyczaj się otacza podczas takich wieczorów. Chciał sprawić Marji przykrość.

— Niech pani zatańczy — powiedział niegrzecznie — bo nie uwierzę.

Rozmowy w salonie natychmiast umilkły. Wszyscy patrzyli na Marję, czekając na jej reakcję. Dziewczyny pana Ostere'a nie były dla nikogo tajemnicą.

— Zrobiłabym to z przyjemnością — odpowiedziała. — Ale niestety nie mogę. Widzi pan, mam dolegliwości związane z chorobą zawodową.

— Jaką chorobą zawodową? — zapytał felietonista, głośno i triumfalnie. — Nie słyszałem o żadnej.

— Nie wie pan zbyt wiele, prawda? — spytała Marja słodko. — Nie słyszał pan nigdy o bolących nogach?

Ogólny wybuch śmiechu złagodził napięcie, a Ostere poklepał Marję po ramieniu i szepnął:

— Mądra dziewczyna.

Goście zaczęli wychodzić około drugiej trzydzieści i przed trzecią Marja została sam na sam z gospodarzem. Opadł na krzesło i popatrzył na nią.

— Mój Boże! — zawołał. — Jak się cieszę, że już po wszystkim. Przynajmniej w tym tygodniu.

Zdumiała się.

— Jeżeli pan tego nie lubi, to po co pan to robi?

— Muszę, moja kochana — odpowiedział z uśmiechem. — To interesy. Poza tym byliby zawiedzeni, gdybym tego nie robił. To nasz cotygodniowy zwyczaj.

— Chce pan powiedzieć, że tak jest co tydzień? Skinął głową.

— Nowy Jork nie byłby tym, czym jest, bez wtorkowych wieczorów u Jacka Ostere'a — powiedział z nutką dumy w głosie.

Potrząsnęła głową. Nie rozumiała. Co to za różnica, czy ktoś przyszedł, czy nie.

— Na mnie czas, panie Ostere — stwierdziła niespodziewanie oficjalnym tonem.

Spojrzał na nią, jak mu się wydawało, kuszaco.

— Musisz już iść? — zapytał z łobuzerskim błyskiem w oku. — U mnie jest mnóstwo miejsca.

— Muszę — odpowiedziała zimno. — Ojciec na mnie czeka, panie Ostere.

— Oczywiście — zgodził się, zrywając się z krzesła. — Powinienem był o tym pomyśleć.

Sięgnął do kieszeni i wcisnął jej w rękę banknot.

— Dziękuję bardzo, panie Ostere — powiedziała, nie patrząc na pieniądze i wyciągając dłoń do gospodarza. — Było bardzo przyjemnie.

— Tak się cieszę, że przyszałaś, kochanie — odrzekł, ściskając jej rękę. — Mam nadzieję, że odwiedzisz mnie znowu. Może w przyszłym tygodniu?

— Nie mogę nic obiecać — zawahała się. — Muszę się umówić z panem Martinem. Z uśmiechem odprowadził ją do drzwi.

— Nie martw się o Jokera. Porozmawiam z nim.

— Dobranoc, panie Ostere.

— Dobranoc, Marjo.

Drzwi windy otworzyły się i weszła do środka. Pomachała ręką gospodarzowi, który jeszcze stał na progu i uśmiechał się szeroko. Kiedy winda ruszyła, Marja zerknęła wreszcie na banknot zaciśnięty w lewej dłoni. Ze zdumienia aż otworzyła usta. Dwadzieścia dolarów — tyle, ile zarabiała przez cały tydzień. Wsunęła banknot do torebki, zastanawiając się, czy nie zaszła jakaś pomyłka.

Portier zdziwił się bardzo, widząc Marję wychodzącą z budynku.

— Taksówka, proszę pani? — zapytał.

Przez chwilę patrzyła w milczeniu. Wzruszyła ramionami. A dlaczego by nie? Miała forszę.

Rozdział 18

Dochodziła trzecia, kiedy taksówka zatrzymała się przed domem. Dziewczyna wysiadła i ruszyła schodami w górę.

— Marjo!

Jakaś postać wyłoniła się z mroku przy wejściu.

— Mike! Co tutaj robisz?

— Czekałem na ciebie — odpowiedział przygnębionym głosem. — Martwiłem się. Nic ci się nie stało?

Zapaliła papierosa. Przez moment płonąca zapałka oświetlała jej twarz.

— Nic mi nie jest.

— Czekałem przed „Golden Glow” do wpół do pierwszej — rzekł jeszcze smutniej.

— Potem pytałem o ciebie i wyjaśnili mi,

że wyszłaś bardzo wcześnie. Wróciłem tutaj, bo pomyślałem, że może źle się czujesz, ale twój ojciec powiedział, że jeszcze nie przyszłaś.

— Nie musiałeś czekać. Byłam na przyjęciu — odparła szybko.

— Gdzie?

— U Jacka Ostere'a — odpowiedziała bez zastanowienia. — Nie znasz go — dodała.

— Jak do tego doszło?

— Joker prosił mnie, żebym poszła.

— To mi się nie podoba.

— A niby dlaczego? — Była zła i można było to poznać po głosie.

— Po prostu nie podoba mi się, że coś takiego robisz. To wszystko. On nie ma prawa wysyłać cię na jakieś przyjęcia.

Teraz Marja naprawdę się wściekła.

— Nikt cię nie pytał o zdanie! — wybuchnęła.

— Nie powinnaś była pójść — upierał się Mike.

— Gdybyś się tu nie kręcił i mnie nie szpiegował, nigdy byś się nie dowiedział.

— Ja cię nie szpieguję — powiedział urażony do głębi. — Bałem się, że coś ci się stało.

— Teraz, kiedy widzisz, że wszystko w porządku — odrzekła lodowato — możesz iść do domu. Zaczynasz mnie denerwować!

Wbiegła do środka, zostawiając Mike'a na ulicy.

Stał jeszcze przez chwilę. Dziwny smutek przepełniał jego duszę. Powlókł się do domu. Czasami miał wrażenie, że wcale jej nie zna.

Peter siedział przy stole z nieodłączną puszką piwa. Popatrzył na Marję przekrwionymi oczami.

— Gdzie byłaś?

— W pracy — odpowiedziała krótko. Widać było, że zauważył jej sukienkę.

— Twój chłopak mówił, że wcześnie wyszłaś. Nie przyszłaś do domu.

Nie odezwawszy się ruszyła w kierunku swojego pokoju. Zerwał się z krzesła i zastąpił jej drogę.

— Gdzie byłaś w tej sukience?

— Już mówiłam, że w pracy — powtórzyła, patrząc ojczymowi w oczy.

Złapał ją za ramiona.

— W tym? Z cyckami na wierzchu?

— W takim stroju pracuję — wyjaśniła. — Byłam zbyt

zmęczona, żeby się przebierać, więc wróciłam tak, jak jestem — tłumaczyła, starając się wyrwać z uścisku. — Daj spokój, jutro muszę oddać tę sukienkę. Nie jest moja.

Peter błyskawicznie cofnął ręce i zanim Marja zdążyła zareagować, porwał jej torebkę i wysypał całą zawartość na stół. Dwudziestodolarowy banknot leżał na samym wierzchu. Podniósł go i obracał w palcach.

— A skąd to masz?

— To napiwek.

— Nie dostaje się takich napiwków za sam taniec. Nie odpowiedziała.

— Flądra — krzyknął, wymierzając jednocześnie siarczysty policzek!

Marja aż się okręciła i oparła o ścianę. Na policzku miała białą plamę. Sukienka rozpięła się i zaczęła osuwać z ramion. Marja przytrzymała ją na piersiach.

— Mówiłem twojej matce, jaka jesteś, ale mi nie wierzyła — wymamrotał chrapliwie Peter. — Dobrze, że tego nie widzi.

— Dobrze dla ciebie, chciałeś powiedzieć. — Głos Marji był pozbawiony jakiegokolwiek wyrazu.

Peter zaczął rozpinać pasek i groźnie się do niej zbliżać. Wywinęła się i porwała z szuflady duży, ostry nóż do mięsa. Uniosła rękę, celując błyszczącym ostrzem prosto w twarz ojczyma.

— No, chodź — warknęła, obnażając zęby z szyderczym uśmiechem. — Spróbuj!

Popatrzył na nóż, potem na nią. Oczy dziewczyny płonęły nienawiścią. Cofnął się.

— Marjo! Chyba nie wiesz, co robisz!

— Chcesz się przekonać?

Nabrał głęboko powietrza. Ta dziewczyna oszalała. Wycofał się ostrożnie.

— O.K. O.K. — powiedział uspokajająco.

— Pieniądze! — rzuciła, nie spuszczać wzroku z jego twarzy.

Cisnął banknot na stół. Wepchnęła go do torebki razem z resztą rzeczy.

Spoglądała ponuro i groźnie.

— Jeżeli kiedykolwiek zbliżysz się do mnie — powiedziała przyciszonym głosem, tłumiąc furię — albo będziesz się starał mnie dotknąć, to jak mi Bóg miły, zabije cię.

Nic nie odrzekł. Nie wątpił, że mówiła dokładnie to, co myślała. Wreszcie drzwi zamknęły się za nią i Peter podszedł do lodówki. Ręce mu się trzęsły.

Marja oparła się o zamknięte drzwi i przymknęła oczy. Wydawało jej się, że od czasu śmierci matki minęło tysiąc lat, a to zaledwie trochę ponad miesiąc. Otworzyła oczy i spojrzała na dłoń zaciśniętą na nożu. Przebiegł ją zimny dreszcz, wstrząsnęła się cała. Rzuciła nóż na łóżko i zaczęła się rozbierać. Dopiero kładąc się, znowu popatrzyła na nóż. Z rozmysłem wsunęła go pod materac. Od tego czasu nigdy się nie położyła, nie mając pewności, czy nadal się tam znajduje.

Rozdział 19

Od tej pory chodziła, gdzie Joker ją posłał. Stopniowo zaczęła mu ufać. Nigdy nie miała kłopotów z żadnym mężczyzną. Wszyscy okazywali jej więcej szacunku niż koledzy w szkole.

Chłopcy zawsze uganiali się za nią całą bandą. Nie zwracała na nich uwagi. Czuła swoją wyższość pod wieloma względami. Cóż te dzieciaki ze szkoły mogły wiedzieć o życiu?

W miarę zbliżania się zimy, coraz rzadziej widywała się z Mike'm. Umawiała się z nim parę razy, ale nigdy nie mogła dotrzymać słowa, bo Joker miał dla niej pracę. Od czasu pamiętnej nocy, kiedy czekał na nią pod domem, przestał ją odprowadzać. Wreszcie pewnego wieczoru zawołano ją do telefonu, podczas gdy pracowała na sali tanecznej.

— Halo.

— Marja? — odezwał się znajomy głos. — Mówi Mike. Ogarnęło ją przyjemne ciepło. Do tej chwili nie zdawała

sobie sprawy, jak bardzo za nim tęskniła. Uśmiechnęła się.

— Co u ciebie, Mike?

— W porządku. A u ciebie?

— Też — odpowiedziała.

— Chciałem z tobą porozmawiać, ale miałem masę pracy w szkole.

— Cieszę się, że zadzwoniłeś — stwierdziła miękko. — Brakowało mi ciebie.

— Naprawdę? — Głos Mike'a stał się nagle lekki i wesoły.

— Mówię szczerze, Mike.

— Spotkasz się ze mną po pracy?

— Oczywiście — odrzekła szybko.

— Na dole. Tam gdzie zawsze. Pierwszy samochód za rogiem.
— Dobrze.
— Dobrze.
— Marjo? — zawahał się.
— Co takiego, Mike?
— Nie wystawisz mnie do wiatru tym razem? — poprosił.
— Przyjść — odpowiedziała, odkładając słuchawkę.
Stał oparty o samochód, kiedy go zobaczyła. Wyprostował się powoli. Popatrzyła mu na twarz. Był zmęczony i wychudły.
— Cześć.
— Cześć — odpowiedział, uśmiechając się niewyraźnie. Stali i patrzyli na siebie.
Marja przemówiła pierwsza:
— Nie zaprosisz mnie na filiżankę kawy?
— Oczywiście. Wyjęłaś mi to z ust.
Ruszyła w kierunku baru, lecz złapał ją za ramię i weszli do restauracji obok. Usiedli przy stoliku nakrytym białym obrusem.
— Mój drogi, to się nazywa życie!
— Bierzymy wszystko, co najlepsze — uśmiechnął się szeroko.
Przy zamawianiu był jednak ostrożny.
— I co u ciebie? — zapytała.
— Nic wielkiego. Szkoła. Nauka. Praca.
— Schudłeś. Wzruszył ramionami.
— Zaczynałem tyć.
Kelner postawił na stole kawę i ciastka. Marja pociągnęła łyżeczek kawy i czekała, aż Mike coś powie.
— Jak tam mały Peter? — spytał.
— Doskonale. Chodzi i zaczyna mówić. Do mnie mówi „DżaDża”. — Marja zauważyła, że nie zapytał o ojczyma.
— A jak w pracy? — spytał.
— O.K...
Milcząc patrzył, jak Marja pije kawę. Sam swojej nie tknął.
— Dlaczego nie pijesz? — zapytała.
— Nie mam ochoty — odpowiedział, zrywając się nagle z miejsca i rzucając banknot na stół.
— Chodź. Idziemy. Wybiegła za nim na ulicę.
— Co się stało?

- Mam dla ciebie wiadomość - powiedział bezbarwnym głosem, spoglądając jej w oczy.

— Dla mnie? — zdziwiła się.

— Tak. Od Rossa. Miałem ci przekazać, że będzie w domu w przyszłym miesiącu.

— I dlatego do mnie zadzwoniłeś? Żeby przekazać wiadomość?

Nie odezwał się. Patrzył ponuro.

— No, i co mam teraz robić? Fikać koziołki? — zapytała z sarkazmem.

Nadal milczał.

Zatrzymała się. Dopiero uszedłszy kawałek, Mike zdał sobie sprawę, że idzie sam.

— O co chodzi? — spytał zaskoczony.

— O.K. Otrzymałam wiadomość — odpowiedziała lodowatym tonem. — Dziękuję.

— On ciągle uważa, że jesteś jego dziewczyną — stwierdził.

— A co ty o tym myślisz?

— Nie wiem — odparł przygnębiony. — On wydaje się taki pewny siebie.

Marja przystanęła w ciemnej bramie.

— Mike! — zawołała.

— Tak?

— Chodź tutaj.

Zanurzył się w ciemności. Zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała w usta.

Sterczał jak sparaliżowany. Dopiero po chwili objął ją mocniej i przyciągnął do siebie. Stali tak długo, a w głowie Mike'a panował kompletny chaos.

Wreszcie Marja cofnęła się. Drżała na całym ciele.

— A teraz, co myślisz, Mike?

— Ale nigdy nic nie mówiłaś — tłumaczył zmieszany.—Nie zachowywałaś się, jakbyś chciała mnie widywać. Ostatnio czekałem bez skutku. Stałem przeszło godzinę, ale nie przyszłaś.

Oczy Marji były nocą zielone i świeciły jak oczy kota.

— Muszę pracować, Mike. Potrzebuję forsy. Przecież wiesz o tym.

— Jest tyle rzeczy, które można robić za pieniądze.

— Ale ja nie robię niczego złego — odpowiedziała, potrząsając głową. — Nie chcę po prostu żyć tak jak moja matka. Widziałam, co się z nią stało.

— Ale nigdy...

— Zamknij się — rzekła miękko, kładąc mu palec na

ustach. — Za dużo mówisz. Nigdy nie usiłowałeś mnie pocałować. Zastanawiałam się, czy z tobą wszystko w porządku. Uśmiechnął się i cała twarz mu pojaśniała.

— A może wszystko jest w porządku i tylko muszę ci wiele rzeczy wynagrodzić? Ulica była cicha i pusta, kiedy dotarli do domu. Wiał lekki wiosenny wietrzyk. Weszli do sieni i Marja cicho zamknęła drzwi. Stali naprzeciw siebie i zagłądali sobie w oczy.

— Kocham cię, Marjo. Wiesz przecież, prawda? — szepnął Mike, patrząc poważnie na dziewczynę.

Skinęła głową.

— Kocham cię od naszego spotkania w windzie, ale nigdy nie pomyślałem, że chciałabyś ze mną chodzić. Ross ma tak wiele, a ja nic.

— Nigdy o nic nie prosiłam.

— Wiem. Ale możesz dostać, co tylko zechcesz. Każdy facet, jakiego poznasz, szaleje za tobą.

— Wiem. — Uśmiechnęła się zadowolona. — Ale nie zależy mi na nich. To durnie. Wyobrażają sobie, że coś ode mnie dostaną, ale nic z tego.

— Ja też jestem durniem?

— Największym ze wszystkich — naigrawała się Marja. — Z wyjątkiem mnie, oczywiście.

Przygarnął ją do siebie. Nie protestowała. Usta miała ciepłe i rozchylone.

Dotknięcie jej języka rozplomieniło wargi Mike'a. Oddychał gwałtownie, przymknął oczy i dał się ponieść wirowi podniecenia.

Niespodziewanie Marja cofnęła się, z wyrazem zdumienia w oczach.

— Mike, ty mnie doprowadzasz do szaleństwa.

— To dobrze.

— Ale ja nie rozumiem. Z nikim tak się nie czułam. Przyciągnął ją bliżej.

— To cię nauczy, dziewczyno, żebyś ze mną nie igrała — śmiał się, całując ją w szyję. — Teraz naprawdę masz chłopaka.

Rozdział 20

Peter siedział pó ciemku przy oknie. Patrzył na ulicę. Marja od godziny powinna być w domu. Wiedział, że nie pracowała po godzinach.

Wychylił się mocniej. Powolnym krokiem zbliżało się dwoje ludzi. Minęli światła na skrzyżowaniu. Tak, to ona. I ten chłopak. Mike. Szli objęci w pół. Peter poczuł ukłucie zazdrości. Była już kobietą, Bardzo się zmieniła przez ostanie parę miesięcy. Stała się pewna siebie. To przez tę pracę.

Słyszał wiele opowieści o dziewczynach pracujących na salach tanecznych. To rozpustna banda. Przypomniawszy sobie jedną, którą poznał jeszcze przed ślubem. Większość z nich niewiele się różniła od dziwek.

W głowie zakłębiły się podniecające, erotyczne myśli. W każdej z tych dziewczyn widział Marję. Nie miała prawa tak go traktować. To nie w porządku, żeby tak chodzić po domu. Pół nago. Wiedziała, że to go podniecało.

Na czole Petera pojawiły się krople potu. Zataczając się po pijanemu, wszedł do ciemnej kuchni i otworzył lodówkę. Nie było więcej piwa. Stał, klnąc po cichu. Potem przypomniał sobie o butelce śliwownicy w szafie. Odkorkował ją i przyłożył do ust. Czuł, jak alkohol parzy mu gardło i piekącym strumieniem spływa do żołądka. Żar ogarnął całe ciało. Był na powrót silny i sprawny.

Ostrożnie niosąc butelkę powrócił do frontowego pokoju i wychylił się z okna. Nikogo nie było widać. Nasłuchiwał jej kroków na schodach. Cisza.

Czekał prawie dziesięć minut. Jeszcze raz popił z butelki. Teraz go nie oszuka. Wiedział, co robiła tam, na dole. Sama myśl o tym doprowadzała go do szaleństwa. Prowokująca mała dziwka. Każdy dostawał swoją część, oprócz niego. Z niego tylko się śmiała.

Wpadł na doskonały pomysł. Przeszedł cicho przez mieszkanie i przez kuchnię na klatkę schodową. Prawie pełznąc po podłodze zszedł na pierwsze półpiętro i wyjrzał przez poręcz.

Tkwili w rogu korytarza. Marja obejmowała chłopaka za szyję. Całowali się. Plecy chłopca ją zasłaniały, lecz Peter wiedział, co się działo. Można to było poznać ze sposobu, w jaki stali.

Usłyszał stłumiony śmiech i Marja cofnęła się. Zobaczył jej twarz. W przyćmionym świetle usta wydawały się nabrzmiałe. Uśmiechała się.

— Jutro? — zapytał Mike.

— Oczywiście, że jutro. — Roześmiała się wesoło i odwróciła w kierunku schodów.

Peter szybko wdrapał się do mieszkania. Czekał w kuchni, aż usłyszał kroki w sieni, wtedy biegiem wpadł do ciemnego pokoju wychodzącego na ulicę.

Usiadł na krześle w rogu, tak że mógł obserwować wnętrze

kuchni, w lustrze na ścianie. Rozsadzał go dziki gniew. Coś go ścisnęło w żołądku. Znowu popił. Alkohol ściekał po brodzie.

Drzwi na korytarz otworzyły się i w padającym z zewnątrz świetle pokazała się Marja.

— Peter? — zawołała. Nie odpowiedział.

— Peter, śpisz?

Ostrożnie wstrzymał oddech. Niech ta mała dziwka myśli, że śpi. Nie musi jej mówić, co robi.

Marja przeszła przez kuchnię w kierunku swojego pokoju. Zapaliła małą lampkę na toalecie.

Przyglądał się uważnie. Musiała myśleć, że spał, bo nie zamknęła drzwi. Dojrzał, jak zdejmuje sukienkę. Po chwili do uszu Petera dobiegło ciche nucenie. Na dodatek ta mała dziwka wydawała się całkiem szczęśliwa.

Była już w bieliźnie. Podniosła wzrok. Peter wstrzymał oddech, zastanawiając się, czy Marja podejrzewa, że jest podglądana. Chyba jednak nie to miała na myśli.

Wyszła z sypialni i przecinając kuchnię podeszła do zlewu. Usłyszał brzęk garnków wyjmowanych z balii i plusk spływającej wody.

Za moment znowu znalazła się w zasięgu wzroku, nucąc cichutko. Idąc do pokoju, odpinała stanik. Widział, jak masuje sobie ramiona w miejscu, gdzie ramiączka odcisnęły czerwone ślady. Zniknęła w rogu pokoju, obok szafy, gdzie już jej nie mógł zobaczyć.

Podniósł butelkę, szybko i ostrożnie upił trochę i otarł usta wierzchem dłoni.

Serce zaczęło walić głośno. Na dźwięk kroków spojrzął znowu.

Luźno narzucone kimono rozchyłało się przy każdym kroku, kiedy wychodziła z sypialni. Pod kimonem była naga. Poszła w kierunku balii. Słysząc było, jak manipuluje przy kranie. Nagle Peter zrozumiał. Chciała wziąć kąpiel.

Zwykle czekała, aż wyszedł, ale widocznie teraz myślała, że śpi. Uśmiechnął się sam do siebie. Nie okazała się znowu taka sprytna. Był bardziej przebiegły.

Przeszła przez kuchnię i wyszła na korytarz, zostawiając drzwi nieco uchylone.

Zerwał się z krzesła i na palcach wbiegł do kuchni. Nadśluchował przy drzwiach. Rozległ się odgłos spuszczonej wody w toalecie. Szybko rozejrzał się dookoła. Nie było już czasu, żeby wrócić do frontowego pokoju. Wskoczył więc do jej pokoju i schował się za otwartymi drzwiami.

Marja usiadła w balii, która spełniała rolę wanny, i pozwoliła ciepłej wodzie pływać po skórze. Kiedyś będzie miała prawdziwą wannę i prawdziwą łazienkę. Miała już dosyć

kapania się w kuchni i korzystania z toalety na korytarzu. Ale teraz czuła się wspaniale. Z rozkoszą namydliła się cała.

Przymknęła oczy i myślała o Mike'u. Był cudowny. To zabawne, jak wszystko się ułożyło. Kiedy ją całował, czuła się tak, jak to opisują w książkach. Ciepła i pulsująca wewnątrz. Było to pragnienie tak nowe i nieznane, że z ledwością mogła utrzymać się na nogach — takie wydawały się słabe.

Woda zaczęła stygnąć i Marja otworzyła oczy. Było późno, czas pójść do łóżka. Spłukała mydło i wyszła z balii. Wytarła się do sucha. Zarumienione i rozgrzane ciało owinęła ręcznikiem i poszła do swojego pokoju.

Powiesiła kimono w szafie i zdjęła z wieszaka nocną koszulę. Idąc w stronę łóżka, rzuciła ręcznik na oparcie krzesła. Podnosząc koszulę, żeby ją nałożyć, instynktownie spojrzała przed siebie.

Serce załomotało w jej piersi, a całe ciało przeszył paraliżujący strach. W rogu pokoju stał Peter. Opuściła ramiona i zasłoniła ciało nocną koszulą.

Peter zrobił krok naprzód, uśmiechając się głupkowato.

— Marjo — powiedział, wyciągając rękę.

Odkoczyła za dziecinne łóżeczko. — Strach przekształcił się w zimny gniew.

— Wynoś się — warknęła.

Stał, chwiejąc się lekko i patrząc szklistymi oczami. Czoło pokrywały mu krople potu. Oblizwał wargi.

— Wynoś się! — krzyczała. — Ty wstrętny pijany próżniaku!

— Marjo — wymamrotał. — Dlaczego ciągle jesteś na mnie wściekła? Ja cię lubię.

Okrażył łóżeczko, zbliżając się do niej. Odsunęła się pozornie.

— Śmierdzisz — powiedziała. — Zjeżdżaj stąd.

Mały Peter obudził się i zaczął płakać. Odruchowo zerknęła na dziecko. Peter skoczył błyskawicznie i złapał Marję, zanim zdążyła się spostrzec. Chciał ją pocałować. Wiła się w uścisku, odwracając głowę. Wolną dłonią usiłowała dosięgnąć twarzy Petera.

— Puść mnie, ty sukinsynu!

Drugą ręką Peter próbował wyrwać jej nocną koszulę, którą się zasłaniała.

Korzystając z tego, dziewczyna skoczyła z pazurami do jego twarzy. Wrzeszcząc z bólu cofnął się, rozdzierając koszulę na pół i nadal trzymając Marję za rękę, którą wyszar-pywała z dziką furją. Drugą dłonią sięgnął do swego oblicza. Po chwili była lepka od krwi. Gapił się z głupią miną.

— A teraz się wyniesiesz? — zawołała Marja, dysząc ciężko. Potrząsała głową, żeby zebrać myśli.

— Ty dziwko! — wrzasnęła. — Nie będziesz mnie więcej wodzić za nos! Ja ci pokażę!

Z całej siły uderzył Marję w twarz. Okręciła się wokół własnej osi i upadła na podłogę. Zbliżył się powoli, patrząc jej prosto w oczy.

Nie doszukał się w jej spojrzeniu strachu, a jedynie trawiącej wszystko nienawiści. Podciągnęła nogi pod siebie. Nagle zerwała się i, robiąc unik przed zaskoczonym przeciwnikiem, rzuciła się do łóżka, aby wyjąć nóż spod materaca. Złapał ją za włosy i pociągnął do tyłu, tak że leżała wpół wygięta na krawędzi łóżka. Widziała, jak pięść Petera zbliża się do jej policzka i starała się odwrócić głowę. Ostre światło eksplodowało w mózgu i upadła na twarz, starając się powstrzymać łzy bólu.

Czuła, jak ją odwraca. Padł następny cios i dziesiątki drobnych bolesnych iskerek przebiegło całe ciało. Poczula się ciężka, jak gdyby przygniatało ją coś wielkiego. Wreszcie, nie dający się do niczego porównać, przesywający ból w kroku sprawił, że prawie z wdzięcznością zaczęła się osuwać w ciemność zapadającą wokół łóżka. Ostatnia rzecz, jaką zapamiętała, to płacz dziecka. Budziła się powoli. Razem ze świadomością wrócił ból. Miała wrażenie, że ciało pokluto jej tysiącem cienkich igieł. Ostrożnie odwróciła głowę.

Światło nadal się paliło, ale była w pokoju sama. Z wolna wszystko sobie przypomniała. Usiadła na łóżku, mimo woli krzyknąwszy z bólu.

Ubranie Petera leżało nie opodal na podłodze. Poczula mdłości i pobiegła do kuchni. Wymiotowała do zlewu, a konwulsyjne skurcze żołądka powracały falami. Wreszcie torsje minęły i oblała się zimnym potem.

Szybko puściła gorącą wodę i weszła do balii. Szorowała się rozpaczliwie mydłem, chociaż nie czuła się brudna.

Była zbrukana od wewnątrz, a tego nie dało się usunąć.

Mimo wszystko ciepła woda złagodziła trochę ból i Marja wyszła z balii. Ociekając wodą wróciła do swojego pokoju i wzięła świeży ręcznik. Wytarła się powoli, a potem starannie ubrała.

Stanąwszy przed lustrem umalowała usta i uczesała się. Patrzyła na odbicie swojej twarzy, posępnej i niewzruszonej.

Tylko oczy były bełne życia. Zielone, przepelnione nienawiścią.

Wróciła do łóżka i ustawiła je prosto. Zakrwawioną powłocz-kę na poduszce zamieniła na czystą. Wygładziła pościel.

Z łóeczka dobiegł cichy płacz. Dziecko miało mokro. Marja szybko przewinęła małego Petera, napełniła małą butelkę ciepłą wodą i położyła obok główki dziecka. Wyjęła nóż spod materaca.

Poszła do pokoju Petera. Cicho otworzyła drzwi i zajrzała do środka. Leżał niezgrabnie w poprzek łóżka. Pociągnęła za łańcuszek lampy. Światło zalało pokój. Peter ani drgnął. Rozłożony na plecach, oddychał ciężko, owinięty kołdrą.

— Obudź się, Peter — powiedziała cicho, przykładając mu nóż do twarzy.

Nie zareagował. Zachrapał. Ze złością zdzieliła go w twarz.

— Obudź się — warknęła, obnażając zęby.

Prawie natychmiast otworzył oczy i zastygł w bezruchu. Później zobaczył nóż.

Ogarnęło go przerażenie.

— Co robisz, Marjo? — wykrztusił, prawie się dławiąc.

— Chcę dotrzymać mojej obietnicy — odrzekła niskim głosem. — Pamiętasz, co ci przyrzekłam?

Patrzył na nią, bojąc się poruszyć.

— Oszalałaś — wyrzucił z siebie.

— Nie bardziej niż ty — odpowiedziała uśmiechając się. Z rozmachem chlasnęła nożem w poprzek twarzy.

Ciało rozstąpiło się jak melon pękający na słońcu. Sięgająca od kości policzkowej do szczęki rana wypełniła się krwią. Peter krzyknął rozdzierająco i rzucił się w kierunku drzwi, ciągnąc za sobą kołdrę. Przebiegł przez mieszkanie i wypadł na klatkę schodową, krzycząc bez przerwy. Przez otwarte drzwi widział, że Marja idzie wolno za nim. Zaczął zbiegać po schodach, potknął się o kołdrę i spadł o kilka stopni, lądując na pół-piętrze.

Marja stała u szczytu schodów i patrzyła. Peter nadal wrzeszczał. Zamknęła oczy. Nie tak dawno matka leżała w tym samym miejscu. Odwróciła się. i weszła do mieszkania.

Przymknęła drzwi i nad zlewem starannie umyła nóż. Czysty położyła na stole i usiadła twarzą do drzwi. Na tym samym krześle siadywała matka, czekając na jej powrót do domu.

Oczy ją piekły. Była zmęczona, bardzo zmęczona. Opuściła powieki.

Ktoś mocno zapukał w drzwi. Otworzyła oczy. Nosily ślady łez.

— Proszę wejść — powiedziała cicho. Tak zastała ją policja.

Rozdział 21

— Ale musiał być jakiś powód, dla którego to zrobiłaś, Marjo — upierała się kobieta z opieki społecznej.

Marja popatrzyła na nią i potrząsnęła głową. Nie odezwała się.

— Nie chcesz, żeby cię wysłano do poprawczaka, prawda? — drażyła kobieta. Marja wzruszyła ramionami.

— Cokolwiek powiem, i tak mnie nie puszczą wolno. Zatrzymają mnie, choćby nie wiem co.

— Ale jest duża różnica między domem poprawczym a domem dziecka — wyjaśniła kobieta.

— Nie dla mnie. Jedno jest tak samo złe jak drugie. Kobieta westchnęła głęboko.

— Nie chcesz już być ze swoim małym braciszkiem? Marja spojrzała na nią szybko.

— A pozwolą mi zostać, jeżeli powiem? Mogę pracować i go utrzymać.

Kobieta z żalem potrząsnęła przecząco głową.

— Nie, tego nie mogliby zrobić. Jesteś za młoda. Ale...

— Wobec tego nie ma żadnej różnicy, prawda? Kobieta nie odpowiedziała.

Marja wstała.

— Chodźmy — rzekła. — Chcę to mieć już za sobą.

Sala sądowa była prawie pusta. Tylko kilku widzów siedziało w rzędach w pobliżu barierek. Zerknęła na nich, leniwie przechodząc obok. Patrzyli na nią ciekawie, ale bezosobowo. Nic dla nich nie znaczyła.

Ktoś złapał ją za ramię.

— Cześć, Marjo.

Zaskoczona spojrzała na Mike'a. Uśmiechał się przyjaźnie i uspokajająco.

— Próbowałem się z tobą zobaczyć, ale nie chcieli mi pozwolić.

Twarz Marji przypominała tępą, kamienną maskę. Nie było sensu tłumaczyć, że zapowiedziała, iż z nikim nie chce się widzieć. Poszły dalej.

Kobieta z opieki społecznej kroczyła tuż za nią.

— Co za miły chłopiec — rzekła przyjacielskim tonem. — To twój chłopak?

— Nie wiem, kto to był. Nigdy w życiu go nie widziałam — odpowiedziała z pustką w oczach.

Sędzia okazał się zmęczony i wyglądający na znudzonego starszego pana.

Popatrzył na nią z góry.

— Jest pani oskarżona o napad na ojczyrna z nożem w ręku, młoda kobieto.

Marja nie odpowiedziała.

— Czy pan Ritchik jest obecny? — Sędzia zwrócił się do woźnego.

— Pan Ritchik! — zawołał woźny.

Z tylnych rzędów podniósł się Peter. Wielki, biały opatrunek nadal zdobił mu twarz. Marja spojrzała na ojczyrna. Zdawał jej się obcym człowiekiem. Pięć tygodni trwało tak długo, jak całe życie.

— Panie Ritchik — odezwał się sędzia. — Proszę nam opowiedzieć, co zaszło.

Peter chrząknął nerwowo.

— Ta dziewczyna to nic dobrego, proszę wysokiego sądu. Włóczy się, nikogo nie chce słuchać. Pracowała na sali tanecznej i nie przychodziła na noc do domu.

Kiedy już wracała, to mocno spóźniona. Tej nocy mówiłem jej, że powinna wracać o przyzwoitej porze, jak inne dziewczęta. Kiedy zasnąłem, zakradła się do mojego pokoju i skaleczyła mnie.

Marja musiała się uśmiechnąć. Gdyby nie pamięć matki, powiedziałyby, co się naprawdę stało. Jednak Katti miała prawo spoczywać w spokoju.

Wszystko trwało nie dłużej niż chwilę. Stała przed stołem sędziego, który patrzył na nią z góry, znad okularów.

— Marjo — powiedział. — Wysyłamy cię do domu poprawczego dla dziewcząt „Rose Geyer”. Zostaniesz tam do ukończenia osiemnastu lat. Mam nadzieję, że dobrze wykorzystasz czas tam spędzony, nauczysz się jakiegoś zawodu i tego, jak żyć po chrześcijańsku.

Zerknęła w górę obojętnym wzrokiem.

— Masz jakieś pytania? Potrząsnęła głową przecząco.

Sędzia zastukał młotkiem w stół i powstał. Wszyscy w sądzie podnieśli się, kiedy pompatycznie przechodził przez salę. Gdy

drzwi się za nim zamknęły, kobieta z opieki zwróciła się do Marji:

— Chodź ze mną.

Marja, milcząc, podażyła za nią. Mike stał za barierką. Chciał coś powiedzieć, lecz ona zdawała się go wcale nie dostrzegać. Wyglądał na urażonego do głębi.

Dopiero wyszedłszy z sali, Marja uświadomiła sobie, że Mike płakał.

Dom „Rose Geyer” znajdował się na dalekich krańcach Bronxu. Rozglądała się ciekawie, wysiadłszy z samochodu w towarzystwie policjanta i kobiety z opieki.

Okolica przypominała wieś, a dom otaczały pola.

Po godzinie jedna z dziewcząt zaprowadziła ją do gabinetu lekarskiego.

Wpatrywała się w Marję badawczo, gdy szły długim, szarym korytarzem, ale nie powiedziała ani słowa.

Otworzyła jakieś drzwi.

— Tutaj, skarbie — rzekła całkiem przyjemnym głosem. Weszła z Marją do środka.

— Mam dla pana nowego ptaszka, doktorze — wyjaśniła chudemu siwowłosemu mężczyźnie.

Lekarz znużony wzruszył ramionami.

— Tutaj. — Wskazał mały pokój. — I proszę wszystko z siebie zdjąć.

Badanie odbyło się szybko i sprawnie. Po dwudziestu minutach była już ubrana i ponownie znalazła się w pierwszym pokoju.

Lekarz wręczył jej receptę.

— W aptecce wydadzą ci leki i musisz je brać przez cały okres ciąży.

Marja była wstrząśnięta. Rzuciła szybkie spojrzenie za siebie. Dziewczyna, która ją przyprowadziła, siedziała pod ścianą.

— Kto? Ja? — zapytała Marja z niedowierzaniem. Dziewczyna odezwała się głosem apatycznym, lecz nie

pozbawionym nutki humoru:

— On nie ma mnie na myśli, skarbie. Jestem tutaj bez chłopca od dwóch lat, cholera jasna!

Marja popatrzyła na lekarza, potem na receptę. Nagle wszystko zrozumiała.

Usiadła na krześle przy biurku i zaczęła się śmiać.

— I co cię tak śmieszy? — zapytał lekarz, przypatrując się jej.

Uniosła twarz zalaną łzami. Tu się kryło nieszczęście. Nie dowie się. Nikt się nigdy nie dowie.

Obywatele Stanu Nowy Jork

przeciw

Maryann Flood

Czekałem, aż woźny zaprzysięgnie pierwszego świadka oskarżenia. Dziewczyna była wysoka i ciemna, z dramatycznym przedziałkiem, rozdzielającym pośrodku głowy kruczoczarne włosy. Wydawała się zupełnie spokojna i nie zainteresowana publicznością. Z wyrazu ciemnych oczu nie dało się nic wyczytać.

— Pani nazwisko, proszę — powiedział woźny.

— Raye Marnay—odparła głosem niespodziewanie słabym i cienkim, jak na tak wysoką dziewczynę.

Woźny skinął głową w moim kierunku i powoli podniosłem się z miejsca.

Zatrzymałem się przed dziewczyną i spojrzałem jej w oczy.

— Ile pani ma lat, panno Marnay?

— Dwadzieścia trzy — odpowiedziała natychmiast.

— Gdzie się pani urodziła?

— Chillicothe, stan Ohio.

— Kiedy przyjechała pani do Nowego Jorku?

— Mniej więcej dwa lata temu.

Powoli zacząłem przyzwyczajać się do dziwnie brzmiącego cienkiego głosu.

— Co pani robiła w Chillicothe?

— Mieszkałam tam.

Na sali rozległ się stłumiony śmiech. Poczekalem, aż ucichnie, zanim znowu przemówiłem.

— Chciałem się dowiedzieć, jak pani zarabiała na życie w Chillicothe, panno Marnay.

— Ach tak! Nie wiedziałam, co pan miał na myśli. Byłam nauczycielką.

Popatrzyłem na dziewczynę. Los chciał, że naprawdę była nauczycielką.

— Jakie klasy pani uczyła?

— Najmłodsze — padła błyskawiczna odpowiedź. — Uwielbiam dzieci.

Trudno było nie uśmiechnąć się, słysząc, w jaki sposób to powiedziała.

— Nie wątpię, panno Marnay — rzekłem, przybierając poważny wyraz twarzy. — Co sprawiło, że zdecydowała się pani na przyjazd do Nowego Jorku?

— Chciałam zostać aktorką. Profesor Berg, który prowadził kółko dramatyczne w średniej szkole, napisał sztukę. Wystawiliśmy ją w małym teatryku. Sztuka nosiła tytuł „Skowronek w dolinie” i grałam w niej główną rolę. Profesor stwierdził, że to aż wstyd marnować mój wielki talent w tak małym miasteczku jak Chillicothe. Powiedział, że jestem drugą Mary Astor. Tak więc zdecydowałem się przyjechać do Nowego Jorku.

— A co się zdarzyło po pani przyjeździe?

— Nic — odpowiedziała. — Całe tygodnie chodziłam i nikt nawet nie chciał mnie zobaczyć. Mimo listów od profesora.

— Więc dlaczego nie wróciła pani do Chillicothe?

— Nie mogłam — odrzekła cicho i boleśnie. — Wszyscy by wiedzieli, że poniosłam porażkę.

— Rozumiem. A jak zarabiała pani na życie?

— Pracowałam jako kelnerka w restauracji na Broadwayu. To miejsce spotkań ludzi z show-biznesu. Słyszałam, że wiele dziewczyn, które tam pracowały, znalazło pracę w teatrze.

— Jak długo tam pani pracowała?

— Około trzech tygodni.

— Co się działo potem?

— Zostałam zwolniona — odpowiedziała jeszcze ciszej, o ile to w ogóle było możliwe. — Szef oświadczył, że prowadzi restaurację, a nie szkołę dramatyczną. Znowu zaśmiano się na sali. Odczekałem chwilę.

— I co pani zrobiła?

— Szukałam innej pracy, ale nic nie znalazłam. Pewnego dnia rozmawiałam z dziewczyną, która wynajmowała pokój w tym samym domu co ja. Powiedziała, że z moją twarzą i figurą powinnam zostać modelką. Pomyślałam, że to dobry pomysł. Wie pan, wiele aktorek pracowało najpierw jako modelki. Zapytałam ją, czy wie, jak zostać modelką i wtedy wysłała mnie do agencji Park Avenue Models.

— Czy wówczas po raz pierwszy pomyślała pani o karierze modelki? — zapytałem.

— Tak.

— Co wtenczas pani zrobiła?

— Poszłam do agencji Park Avenue Models ubiegać się o pracę.

— Z kim pani rozmawiała?
— Z panią Morris.
— I co ona pani powiedziała?
— Powiedziała, że będę musiała dać sobie zrobić kilka fotografii i te fotografie zostaną umieszczone w kartotece. Dała mi kartkę z nazwiskami czterech fotografów. Bez zdjęć, wyjaśniła, nic nie może dla mnie zrobić. Powiedziałam, że nie mam pieniędzy. Powtórzyła, że bardzo jej przykro, ale nie może mi pomóc. Właśnie miała wyjść, kiedy weszła panna Flood i mnie zobaczyła.
— Ma pani na myśli pannę Flood znajdującą się na tej sali?
— Tak.
— Co było potem?
— Kiedy panna Flood mnie ujrzała, strzeliła palcami i stwierdziła, że jestem dziewczyną, jakiej jej potrzeba. Posłała mnie na 14 Ulicę do sklepu z futrami. Wtedy pierwszy raz wystąpiłam jako modelka. Ubierałam się w jedno z futer i chodziłam po wystawie tam i z powrotem, a ludzie na mnie patrzyli — powiedziała z nutką dumy w głosie. — Byłam ich ulubioną modelką. Widzi pan, jestem bardzo wysoka i widać mnie już z daleka. Pracowałam tam co najmniej trzy dni w tygodniu.
— Gdzie jeszcze występowała pani jako modelka?
— To było jedyne miejsce — odparła z wahaniem.
— He pani płacono?
— Dziesięć dolarów dziennie.
— To wynosi około trzydziestu dolarów tygodniowo — wyliczyłem. — Czy to wystarczało pani na życie?
Potrząsnęła przecząco głową.
— Nie. Lekcje aktorstwa, które pobieram, kosztują więcej.
— Jakie miała pani dodatkowe zarobki?
— Chodziłam na randki.
— Randki?
— Tak to nazywałyśmy.
— Kogo pani ma na myśli?
— Dziewczyny, które znałam.
— Jak to było z tymi... randkami, jak je pani nazywa?
— To się zaczęła, kiedy już parę tygodni pracowałam jako modelka. Poprosiłam pannę Flood o dodatkowe zajęcie i wtedy ona zawołała mnie. do*swójego biura. Powiedziała, że życie modelki jest często bardzo trudne i czasami trzeba długo czekać, aż taka praca przyniesie prawdziwe zyski. Opowiadała, jak to czasami telefonują do niej klienci i proszą, żeby pole-

ciła im jaką dziewczynę, z którą mogliby spędzić wieczór. Stwierdziła, że panowie są zazwyczaj bardzo hojni i dają dziewczętom napiwki za mile spędzony czas. Spytała, czy jestem zainteresowana.

— I co pani odpowiedziała?

— Że jestem zainteresowana.

Na sali znowu się śmiano. Trudno było ich winić.

— Co zrobiła pani potem?

— Panna Flood umówiła mnie na spotkanie tego wieczoru. To był bardzo miły dżentelmen. Zabrał mnie na obiad, a potem pojechaliśmy do jego mieszkania na parę drinków. Był szalenie zabawny. Kiedy wychodziłam, dał mi dziesięć dolarów. Powiedział, że to nagroda za to, że byłam taka miła i że mam przekazać pannie Flood, iż jest bardzo zadowolony.

— Nic więcej się nie działo? — zapytałem. — Tylko parę drinków?

Twarz dziewczyny lekko zmieniła kolor. Zarumieniła się.

— Zabawiliśmy się dwa razy — odrzekła prawie szeptem.

— Zabawiliście? — spytałem, patrząc na ławę przysięgłych. — Co to znaczy?

— Stosunek. — Nadal mówiła cichym, ledwie słyszalnym szeptem.

— Chce pani powiedzieć, że dwukrotnie odbyła pani stosunek z tym mężczyzną?

— Tak. To miałam na myśli.

— Nie zdziwiła się pani, że tego chciał ten mężczyzna? Że uważał to za oczywiste?

— Nie. W Chillicothe mężczyźni byli podobni. Wszyscy chcą tego samego.

Śmiech odbił się echem od ścian sali sądowej. Sędzia zastukał młotkiem, przywracając spokój.

— Co zrobiła pani potem?

— Poszłam do domu się wyspać. Byłam zmęczona.

Ryk śmiechu zdawał się rozrywać ściany. Zachowanie poważnej twarzy kosztowało mnie wiele wysiłku. Wreszcie mogłem mówić.

— Chodziło mi o to, kiedy znów poszła pani do agencji?¹

— Następnego dnia. Poszłam podziękować pannie Flood za to, że była taka miła. Spytała, czy dobrze się bawiłam i czy miałabym ochotę na inne randki.

Odparłam, że tak, jeżeli wszyscy dżentelmeni będą równie miłymi. Zapewniła mnie, że zna tylko uprzejmych panów i spytała, ile razy się zabawiliśmy. Kiedy jej powiedziałam, wręczyła mi jakieś pieniądze. Nie chciałam ich wziąć i wytłumaczyłam, że dostałam już dziesięć

dolarów. Śmiała się i powiedziała, że to był tylko napiwek. Kazała mi zabrać pieniądze.

— Co to była za suma?

— Pięćdziesiąt dolarów.

— Czy zdaje sobie pani sprawę, co to oznacza? — zapytałem. — To przecież prostytutka.

— Nie patrzyłam na to w ten sposób — protestowała. — Gdyby ten pan mi się nie podobał, nic nie musiałabym robić. I nie zrobiłabym.

— Czy spotkała pani kiedyś dżentelmenta, który by się pani i nie podobał? — zapytałem złośliwie.

— Nie. Panna Flood miała rację. Zna tylko panów z klasą. Znowu rozległ się śmiech.

— Czy przed poznaniem panny Flood kiedykolwiek odbywała pani stosunki za pieniądze?

— Nie.

— Czy po poznaniu panny Flood odbywała pani takie stosunki, w których ona nie pośredniczyła?

— Nie, proszę pana. Nie jestem dziwką.

— To wszystko. Dziękuję — powiedziałem, oddalając się. Przed stolikiem Vito zatrzymałem się na chwilę. Marja

podniśła wzrok. Ciemne, wielkie i dumne oczy popatrzyły na mnie. Odniosłem niezwykle dziwne wrażenie, że była ze mnie dumna. Zwróciłem się do Vito:

— Świadek jest twój. — I ruszyłem do swojego stolika. Vito wolno powstał z miejsca.

Był prawdziwym zawodowcem. Co do tego nie było wątpliwości. Nawet sposób, w jaki zbliżał się do świadka, świadczył o jego zdolnościach i pewności siebie. Głos miał ciepły i przyjemny.

— Panno Marnay — zawołał.

— Tak, proszę pana?

Chociaż niechętnie, musiałem go podziwiać. Już sam sposób, w jaki powiedział na razie tylko dwa słowa, zapewnił mu przewagę nad świadkiem.

— Wspomniała pani o swoich występach teatralnych w Chillicothe. „Skowronek w dolinie”, tak bodajże brzmi tytuł.

— Tak, proszę pana.

— Sztuka została napisana przez profesora Berga, prowadzącego zajęcia teatralne w szkole średniej?

— Tak, proszę pana.

— Powiedziała pani, że przyjechała do Nowego Jorku za namową profesora, który twierdził, że posiada pani zbyt wiel-

ki talent, żeby marnować go w tak małym mieście, jak Chil-licothe?

— Tak, proszę pana.

— Zakładam, że miał na myśli pani talent dramatyczny. Czy to się zgadza?

Dziewczyna zawahała się.

— No, proszę, panno Marnay — ponaglił Vito niecierpliwie. — Czy to miał na myśli?

— Tak sędzę — odrzekła jeszcze ciszej.

— Mogłaby pani wykazać więcej pewności siebie, panno Marnay — zauważył Vito z sarkazmem.

— To właśnie miał na myśli — powiedziała. — Tak, proszę pana.

— Co takiego?

— Talent aktorski.

— Powiedziała pani, że sztukę wystawiono w małym teatrze w Chillicothe. Co to był za teatr?

Dziewczyna ściągnęła brwi i rzuciła mi zmartwione spojrzenie. Staralem się zachować pewność siebie, ale nie wiedziałem, u licha, do czego Vito zmierza.

— To, to... — jąkała się — właściwie to nie był teatr.

— Jeżeli to nie był teatr, to co to było?

— To było w klubie „Pod Antylopą” — powiedziała. — Profesor napisał specjalną sztukę na coroczne święto.

— „Pod Antylopą” — powtórzył Vito i spojrzał na ławę przysięgłych. — Rozumiem — odwrócił się do świadka. — Czy nie było to przedstawienie wyłącznie dla mężczyzn?

— Chyba tak — odpowiedziała, spuszczać wzrok.

— Była pani jedyną kobietą w obsadzie?

— Tak.

— Jaka rolę pani grała?

— Byłam wiejską dziewczyną—odparła ledwie słyszalnym głosem.

— Jaki był temat sztuki? Miała pani dużo kwestii do wypowiedzenia? — pytał Vito ochryłym głosem.

— Sztuka opowiadała o dziewczynie i trzech mężczyznach pracujących na farmie. O farmerze, jego synu i wynajętym do pracy człowieku i o tym, co robili pewnej nocy. Nic nie musiałam mówić. Tó była pantomima. Profesor był zapalonym wyznawcą metody Stanisławskiego.

— Stanisławskiego... hmm. — Vito podrapał się po głowie. — To ten Rosjanin wyznający wyższość ruchu nad słowem?

— Zgadza się — powtórzyła.

— I cała sztuka profesora polegała na ruchu?

— Tak.

— Do tego stopnia — wyjaśnił Vito głosem pełnym sarkazmu — że musiała interweniować policja, a wszyscy występujący zostali oskarżeni o obrazę moralności publicznej. W rezultacie i pani, i profesor straciliście posady w szkole. Czy to prawda?

Nie odpowiedziała. Gryzła dolną wargę, tłumiąc jej drżenie.

— No, proszę, panno Marnay — krzyczał Vito — niech pani odpowie na moje pytanie.

Twarz dziewczyny zbieleła i róż na policzkach odcinał się ciemnymi plamami. Wzrok wlepiła w podłogę. Cichy szept trudno było usłyszeć.

— Tak.

— To wszystko, panno Marnay.

Vito spojrział na ławę przysięgłych, jak gdyby chciał rzec: „Jak można wierzyć w cokolwiek, co ta dziewczyna powie?” Wzruszył ramionami i wrócił do swojego stolika.

Joel i Alec pochylili się w moją stronę, kiedy wywoływałem następnego świadka. Ochryple głosy drażniły mi uszy.

— Ale jej dołożył — powiedział Joel.

— Tak — zgodził się Alec, patrząc, jak dziewczyna wraca na miejsce. —

Przenicował ją na lewą stronę.

Nabrałem głęboko powietrza.

— Zapominacie, moi drodzy, o jednym. Przenicował ją, a nie historię opowiedzianą przez Flood. Zauważyliście, że tej sprawy nie ruszał?

— Nie jest naiwniakiem — przytaknął Joel. — Stara się zburzyć jej wiarygodność.

— To mu nie wyjdzie na dobre stwierdziłem. — Jeszcze dostanie za swoje, kiedy dojdzie do omawiania innych faktów związanych ze sprawą.

— Mimo to uważaj, Mike — szepnął Alec. — Ma masę sztuczek w zanadrzu.

Kolejny świadek oskarżenia składał przysięgę.

— Będzie musiał znaleźć coś więcej niż prawdę, jeżeli chce cokolwiek osiągnąć — powiedziałem, wstając powoli.

Woźny sądowy skinął głową w moim kierunku. Okrażyłem stolik i zbliżyłem się do świadka.

Kiedy wszedłem, w szpitalnej sali było ciemno i cicho. Słyszałem tylko oddech Starego. Miarowy i spokojny. Pielęgniarka podniosła palec do ust.

— Śpi — szepnęła.

Zacząłem się ostrożnie wycofywać z pokoju.

— Kto śpi? — Głos Starego był mocny i głośny w panującej ciszy. — To ty, Mike?

— Tak, sir.

— Chodź bliżej i mów głośniej — powiedział z werwą. — Nie słyszę.

Stanąłem u wezłowania. Spojrzał na mnie ciemnymi, bystrymi oczami. Półuśmiech błakał się po jego wargach.

— Jak dzisiaj poszło, panie mecenasie?

— W porządku — odpowiedziałem. — Zeznawało czterech pierwszych świadków. Vito niewiele mógł wyciągnąć z opowiadanych przez nich historii. Robił zasadniczo jedno — atakował wszystkich zeznających. Myślę, że ogólnie biorąc poszło nam dobrze.

— Wiem — rzekł Stary. — Słyszałem.

Zerknąłem na telefon stojący obok szpitalnego łóżka. Pewnie wisiał na linii przez cały dzień.

— Jednak jedna rzecz mnie martwi — wyznał. — Nie rozumiem zupełnie strategii Vito. Na razie wygląda to tak, jak gdyby chciał rzucić dziewczynę na pożarcie wilkom.

Nie odpowiedziałem. Z moim sercem działo się coś dziwnego. Mógłbym przedstawić o wiele lepsze argumenty niż Vito tego dnia.

— Sprawia wrażenie, że jest mu obojętne, jak sprawa się zakończy — oświadczyłem. — Punkt po punkcie pozwala mi uzyskiwać przewagę.

— Widziałeś Flood? — zapytał Stary. — Jak wygląda? Przypatrywał mi się uważnie.

— Widziałem ją. Wygląda dobrze.

— Mike, to ze mną rozmawiasz.

— Wygląda doskonale. Naprawdę doskonale.

— Nadal żywisz do niej te same uczucia? Nawet teraz?

— Ja, ja... nie wiem, John — powiedziałem. — Wiem tylko, że kiedy ją widzę, coś mnie dławi.

Powoli pokiwał głową.

— Wiem, co chcesz przez to powiedzieć, Mike. Rozmawiałem z nią parę razy. Ona ma w sobie wielką siłę i prawdziwą odwagę, synu. Mogłaby być wielką damą, gdyby poszła w innym kierunku.

— Może nigdy nie miała takiej szansy, sir.

— Miała taką szansę, Mike — odrzekł, patrząc bystro. — Czego byś nie powiedział, ostateczny wybór należał do niej. Sama odrzuciła swoją szansę.

Milczałem. Wspominałem dawne czasy. Tę chwilę, kiedy zostawiła mnie stojącego na ulicy, gdy po nią poszedłem. W dniu, w którym opuszczała „Geyer Home”. Coś musiało jej się tam stać. Wiedziałem od razu. Szła ścieżką i była inna. Dopiero ujrzawszy jej oczy, zrozumiałem. Była starsza. O wiele starsza, niż ja kiedykolwiek będę. Widziałem, jak wsiada do taksówki i zostawia mnie sterczącego na chodniku.

Wróciłem do samochodu, pożyczonego, żeby przywieźć Marję do domu, i powoli ruszyłem w stronę śródmieścia.

Mama i tata siedzieli przy kuchennym stole. Tata miał na sobie niedzielne ubranie i krawat. Wszedłem do kuchni na nogach ciężkich jak z ołowiu. Patrzyli na drzwi za mną.

— Ona nie przyjechała, mamó — powiedziałem powoli.

— Może to i lepiej, synku — odparła łagodnie, wstając. Gwałtownie potrząsnąłem głową. Czulem piekące pod powiekami łzy.

— Nie, mamó! — krzychałem. — To nie jest lepiej. Wiem, że ona mnie potrzebuje. Jest tylko coś, co ją powstrzymuje, a ja nie wiem co.

Ojciec wstał.

— Przenieś twoje rzeczy z powrotem do twojego pokoju — powiedział. Wolno wyszedł z kuchni.

Popatrzyłem za nim. Biedny tata nic nie rozumiał. Odwróciłem się do matki.

— Co mam robić?

Przez chwilę spoglądała w milczeniu.

— Zapomnij o niej, synku. Ona nie jest dla ciebie.

— Łatwo ci mówić, mamó. Nie jestem już dzieckiem. Mam prawie dwadzieścia jeden lat. I ciągle ją kocham.

— Kochasz ją? — Głos matki był pełen pogardy. — A co ty wiesz o miłości? Jesteś jeszcze dzieckiem. Umiesz tylko ranić i płakać. — Głos jej się załamał i odwróciła się.

Objąłem ją. Płakała.

— Przestań, mamó. Przestań. I tak jest wystarczająco źle. Oczy matki nabrały wyrazu, jakiego jeszcze nigdy przedtem nie widziałem.

— Mam przestać? — krzyknęła. — Ja jej nienawidzę! Niech mi Bóg wybaczy i niech ją piekło pochłonie za to, co zrobiła mojemu dziecku.

— Może nic na to nie mogła poradzić?

— Mogła, synu — odpowiedziała matka powoli. — Nigdy o tym nie zapominaj. Zawsze może decydować o tym, co chce robić.

To było wiele lat temu i tym dziwniejsze wydało mi się, że Stary powiedział prawie to samo. Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek uda mi się zrozumieć ich punkt widzenia. Już dawno przestałem oczekiwać, że zrozumieją mój.

— Kogo przesłuchujesz jutro? — zapytał Stary. Powiedziałem mu.

Myślał chwilę.

— W takim razie za niecałe dwa tygodnie będziesz gotowy do podsumowania. Przytaknąłem.

— Do tej pory stąd wyjdę. Może ci pomogę.

— Zawarliśmy umowę, John — sprzeciwiłem się. — To moje występy. Obiecałeś.

— Ojej — powiedział niewinnie. — Nie mówiłbym ci, co masz robić. Mogłbym tylko zasugerować to czy owo, i służyć pomocą.

Roześmiałem się. Znałem tę jego pomoc — brał wszystko w swoje ręce.

— Nie, dziękuję — odpowiedziałem sucho.

— No, już dobrze, dobrze — skwitował gniewnie.

Po powrocie do domu poszedłem prosto do łóżka. W sumie cieszyłem się, że jestem w mieszkaniu sam. Tak było lepiej. Przekonałem matkę, aby została na wsi, ale myślę, że zgodziła się tylko dlatego, że nie chciała być blisko w czasie procesu.

Wyciągnąłem się na łóżku i zamknąłem oczy. Widziałem twarz Marji. Z tym samym nieodgadnionym wyrazem, jaki zauważyłem na sali sądowej. Nadal niczego nie rozumiałem.

Dlaczego miałyby być ze mnie dumna? Czyniłem wszystko, żeby posłać ją do więzienia. Ogarnęło mnie poczucie winy. Czy spodziewała się, że będę na nią czekał? Czy liczyła na to, co do niej czułem? Ale w końcu nie wie, co czuję teraz. Mimo tego wszystkiego, co o mnie wiedziała, mogłem się przecież zmienić. Mogł być ktoś inny.

Kiedy tylko wpadłem na ten pomysł, od razu zdałem sobie sprawę, że ona wie.

Było między nami coś takiego. Jakaś nić porozumienia. Coś, czego nikt nigdy nie doświadczył.

Przewróciłem się na bok i usiłowałem myśleć o czymś innym. Nic z tego nie wyszło. Mogłem robić nie wiadomo co, a ona zawsze powracała. Myślałem więc o niej. Tyłu rzeczy nie wiedziałem, tyle spraw było w jej życiu, o których nie miałem pojęcia.

Myślałem o niej będąc w szpitalu. Jakie to dziwne, że właściwie słowa Starego do tego mnie doprowadziły.

Był jeden okres w jej życiu, o którym nie wiedziałem. Cztery miesiące pomiędzy wyjściem z poprawczaka i pierwszym pojawieniem się jej nazwiska w policyjnych raportach. Musiała przejść wtedy przez piekło. Próbowałem przypomnieć sobie, czym się w tym czasie zajmowałem, ale moje osobiste wspomnienia były zbyt niewyraźne. Myślałem uporczywie wracałem do niej. Co robiła? Gdzie się udała? Nie wiedziałem.

Mogłem tylko przeczuwać, że potrzebowała mnie wówczas bardziej niż kiedykolwiek.

I mogłem jedynie przyznać, że ją wtedy zawiodłem.

CZĘŚĆ DRUGA
MARY

Rozdział 1

Stała w otwartych drzwiach. Słońce iskrzyło się kolorami tęczy na białozłotych włosach. Zawahała się przez chwilę, potem przekładając małą walizeczkę z prawej ręki do lewej, wyciągnęła dłoń do kobiety stojącej trochę za nią.

— Do widzenia, pani Foster — powiedziała matowym głosem.

— Do widzenia, Mary — odrzekła kobieta, po męsku ściskając rękę dziewczyny.

— Uważaj na siebie.

— Będę uważała, pani Foster — obiecała Mary z półuśmiechem **na** twarzy. —
Dużo się nauczyłam przez te półtora roku.

— Mam nadzieję, że tak, Mary. Nie chciałabym znowu zobaczyć cię w kłopotach

— stwierdziła kobieta poważnie.

Blady uśmiech znikł z ust Mary.

— Nie zobaczy pani — odparła cicho.

Puściła rękę kobiety i powoli wyszła na zewnątrz. Jaskrawe światło oślepiło ją na chwilę. Stała u szczytu schodów i mrugała. Słyszała, jak ze szczękiem metalu zamykają się drzwi za jej plecami. Uczucie wolności, równie rozweselające jak stare wino, przeszło ją na wskroś. Spojrzała na zamknięte drzwi.

— Nie zobaczycie mnie więcej — powiedziała szeptem. — Zbyt wiele się nauczyłam. Za dobrze mnie uczyliście.

Drzwi, z dwoma małymi okienkami przypominającymi oczy, zdawały się jej przyglądać. Wzdrygnęła się. Zimny dreszcz odsunął radość wolności. Ruszyła w stronę ulicy.

Była wysoka i szczupła, w cienkim, ciemnym palcie podarowanym przez opiekę. W listopadowym wietrze palto przylegało ściśle do ciała, podkreślając wysokie piersi, wąską talię i pełne biodra. Kroczyła pewnie na prostych, silnych nogach. Stary człowiek, stróżujący w małym domku przy bramie, wyszedł jej na spotkanie. Uśmiechał się kaprawymi oczami.

— Wracasz do domu, Marjo?

_ Nie mam domu, Pop — odpowiedziała z uśmiechem. —
Wszystko się zmieniło. Moje imię również. Teraz mam na imię Mary. Pamiętasz?
Stary człowiek uśmiechnął się z nagłym przeblyskiem mądrości w oku.
— Pamiętam. Ale to ci nie wyjdzie na dobre. Według mnie ciągle wyglądasz na
Marję. W twoich żyłach nadal płynie gorąca, polska krew i nie zmienisz tego.
Popatrzyła z uśmiechem.
— Zmienię wiele rzeczy, zanim wykorkuję.
— Ale nie siebie — powiedział szybko, kręcąc korbą, która otwierała bramę. —
Dokąd pójdziesz?
— Nie wiem. Najpierw zatrzymam się w jakimś hotelu, będę siedziała przez dwie
godziny w wannie, i nikt mnie stamtąd nie wyciągnie. Potem kupię sobie jakieś
ciuchy, w których będę się dobrze czuła, nie tak jak w tych szmatach. Potem
zafunduję sobie duży obiad i pójdę do kina, może do „Radio City”. Potem kupię
sobie dwie porcje wody sodowej z lodem, pójdę do hotelu, i wstanę dopiero jutro
po południu.
— A co będziesz robiła potem?
— Chcę znaleźć jakieś zajęcie i pracować.
— Zrób to najpierw — radził mądrze. — Możesz potrzebować pieniędzy.
Brama się otworzyła.
— Twój świat czeka. Mam nadzieję, że będzie dla ciebie łaskawy — powiedział
stary człowiek, wykonując zapraszający gest ręką.
Zatrzymała się w pół kroku, odwróciła się i ucałowała starego w policzek.
— Do widzenia, Pop.
— Do widzenia, Marjo — odrzekł smutno. Spojrzała zaskoczona.
— Jesteś jedyną osobą stąd, za którą będę tęsknić.
— Tak — powiedział, zakłopotany na swój gburowaty sposób. — Założę się, że
wszystkim chłopakom to mówisz.
Mary uśmiechnęła się figlarnie.
— Nie, Pop. Tylko tobie. W imię starych czasów, chcesz mnie szybko podotykać?
— Nie, Marjo — odparł z niespodziewaną godnością.
_ Nie? — powtórzyła jak echo, zdumiona. — Dlaczego?
— Robię to dla moich dziewczyn — wyjaśnił cicho. — Nie dla siebie. To im
sprawia przyjemność, kiedy wiedzą, że komuś na nich zależy. Nawet takiemu
staremu mężczyźnie, jak ja. I tak

jest tutaj dostatecznie źle. Same kobiety i żadnych uczuć. A ich rodziny? Nikogo nie widać. Więc ja się nimi zajmuję, a one się śmieją i jest im lepiej.

Jeszcze raz, impulsywnie, pocałowała go w policzek.

— Dziękuję, Pop.

Odwróciła się i przeszła przez bramę.

— Bądź dobrą dziewczyną, Marjo! — zawołał.

— Postaram się! — odkrzyknęła ze śmiechem.

Brama zamknęła się ze szcękaniem i Mary znalazła się na ulicy. Z chodnika zeszła na jezdnię i popatrzyła pod nogi. Tupnęła obcasem.

Nie odpowiedział żaden dźwięk, a jezdnia wydawała się miękka. Asfalt, nie cement. Cement pod stopami wydawał dziwne dźwięki i nie ugiął się. Tam, wszędzie pod stopami, miało się cement. W salach, korytarzach i nawet na spacerze. Gdziekolwiek się szło, słyszało się własne kroki. A tutaj było cicho.

Zadowolona podażyła skrajem jezdni. Wolna. Naprawdę wolna.

Jakaś silna dłoń złapała ją za rękę, w której niosła walizkę. Do ucha przemówił znajomy głos:

— Możesz stracić życie, idąc ulicą w ten sposób. Zapomniałaś o samochodach? Nie musiała patrzeć, żeby wiedzieć, kto to jest. Spodziewała się go od momentu przekroczenia bramy. Spojrzała powoli, nie puszczając walizki. Głos nie wyrażał niczego, podobnie jak oczy.

— Przez półtora roku wiele można zapomnieć, Mike. Mike uśmiechnął się nerwowo.

— Przyjechałem zabrać cię do domu. Nie odpowiedziała.

— Czekalem całe rano.

Nabrała głęboko powietrza i potrząsnęła głową.

— Nie — rzekła. — Nie. Zdawała sobie sprawę, że go rani.

— Ależ, Marjo... Ja... Wyrwała walizkę Mike'owi z rąk.

— Pomyliłeś dziewczyny, Mike. Wszystko się zmieniło. Nawet imię.

— Nie obchodzi mnie, co się zmieniło. Nie obchodzi mnie, co się stało. Nie odpowiadałaś na listy, ale mimo to przyjechałem, żeby zabrać cię do domu.

Weszła na chodnik i popatrzyła mu prosto w oczy.

— Kto po ciebie posyłał? — zapytała zimno.

— Kocham cię, Marjo. Mówiłaś, że mnie kochasz.

— Byliśmy wtedy dziećmi — odpowiedziała szybko. — Cóż mogliśmy wiedzieć?
— Dziećmi! — zawołał ze złością. — A o ile lat jesteś teraz starsza? Dwa lata to taka wielka różnica?
— Tak, Mike — odparła wolno. — Przez dwa lata może się tyle zmienić, co przez tysiąc. Szybko dorosłam.
— Ja też dorosłem — powiedział Mike jak mały chłopiec. — Ale czuję do ciebie wciąż to samo. I zawsze tak będzie.
— A ja nie.
— Co oni ci zrobili? — zapytał udręczonym głosem.
- Nic - odpowiedziała znużona. — Wszystko zrobiłam sama. Skończone, Mike. Nie ma powrotu. Nigdy nie będziemy znowu dziećmi.
Odwróciła się, ale położył jej ręce na ramionach i obrócił ją z powrotem w swoją stronę.
— Dlaczego? Co się stało? Milczała.
— Chociaż tyle jesteś mi winna, po tym wszystkim, czym dla siebie byliśmy — zażądał.
Miał już nigdy nie zapomnieć tego, co w tej chwili zobaczył. Wydawało się, że zasłona opadła na jej oczy. Stały się nagle tak głębokie, że nic nie znajdowało w nich odbicia. Nawet poranne słońce.
— Powiedz mi!
— Miałam dziecko, Mike. Kiedy tam byłam, urodziłam dziecko, ale nawet nie wiem, czy to był chłopiec czy dziewczynka. Zrzekłam się go przed urodzeniem. Nadal chcesz wiedzieć, co się stało? — zapytała bezbarwnym głosem.
Na twarzy Mike'a malowało się niedowierzanie. Uścisk na jej ramionach zelżał.
— Czyje to dziecko? Rossa? — zapytał chrapliwie. Potrząsnęła głową.
— Nie. Przecież Ross wyjechał. Pamiętasz?
Ręce ześliznęły się z jej ramion. Ból wykrzywił twarz Mike'a.
— Chcesz przez to powiedzieć, że byli inni? Nic nie odrzekła.
— Jak mogłaś! — W oczach Mike'a pojawiły się łzy. — Kochałaś mnie!
— Były jeszcze inne rzeczy — dodała chłodno i spokojnie. — Tu, w tym domu była pewna dziewczyna. Podobałam jej się. Nauczyła mnie paru zabaw, które sprawiały, że czas szybciej płynął. Chcesz o nich posłuchać, Mike? Były niezłe.
— Nie chcę o tym słyszeć — odparł roztrzęsionym gło-

sem. — Ross miał rację. Stwierdził, że jesteś tania... — Nie potrafił się zmusić do wypowiedzenia tego słowa.

— Dziwką — dokończyła. Potrząsnął dziewczyną.

— Byłaś nią? Byłaś? Milczała.

— Dlaczego mnie okłamywałaś? Dlaczego? — krzyczał w uniesieniu. — Wszystko bym dla ciebie zrobił! Dlaczego kłamałaś?

Patrzyła mu w oczy bez drgnienia.

— Teraz to wszystko nie ma znaczenia. Prawda jest czymś, w co wierzysz, a nie czymś, co ktoś o tobie mówi.

Ulicą nadjeżdżała taksówka. Marja pomachała ręką i samochód zatrzymał się.

— Puść mnie. Taksówka czeka.

Mike opuścił ręce. Szybko wskoczyła do samochodu i zatrzasnęła drzwiczki.

Oddalając się, spojrzała przez okienko. Mike stał i patrzył. Fala łez napłynęła jej do oczu. Walczyła z nimi aż do bólu. Wolność wiązała się z tyloma rzeczami, októrych prawie zdążyła zapomnieć. Z ludźmi, których się kochało, i tymi, których się raniło.

— Kocham cię, Mike — wyszeptała do siebie

— Dokąd jedziemy?

Głos kierowcy oderwał ją od okna.

— Hotel „Astor” na Broodwayu — powiedziała roztrzęsionym głosem.

Kiedy znowu wyjrzała na ulicę, Mike'a już nie było. Nie umiała dłużej powstrzymać łez. Nigdy nie byłaby dla niego dość dobra. Zdarzyło się zbyt wiele rzeczy. Życie naznaczyło ją brzydką blizną, której nigdy się nie pozbędzie.

Zasługiwał na coś lepszego. Na kogoś czystego, nowego

i świeżego. Kogoś promieniejącego, tak jak on. Cóż ona? Mogła go tylko okraść z wszystkiego, na co zasługiwał.

Rozdział 2

Spojrzała na księgę hotelową podsunietą przez recepcjonistę. Zawahała się. Trzy i pół dolara dziennie to masa pieniędzy. Nawet jak na luksusowy pokój z łazienką i prysznicem. W takiej sytuacji nie na długo jej starczy. Miała tylko nieco ponad sto dolarów.

Z drugiej strony nazbyt się już naczekała, żeby tego rodzaju fakt mógł jej przeszkodzić. Obiecywała sobie tę ucztę od momentu, kiedy się tam znalazła. Szybko nagryzmoła:

Mary Flood... Yorkville, N.Y..... 20 listopada 1937

Odsunęła księgę w stronę recepcjonisty. Popatrzył i zapytał z uśmiechem:

— Prosto ze szkoły, panno Flood?

Przytaknęła. Nie zdawał sobie sprawy, że trafił w dziesiątkę. Zjawił się chłopiec hotelowy i podniósł walizkę. Recepcjonista podał mu klucz.

— Proszę zaprowadzić pannę Flood do pokoju 1204.

Odczekała, aż drzwi zamknęły się za chłopcem, i rzuciła się na łóżko. Było cudownie miękkie. Miała wrażenie, że odpoczywa na chmurce. To było łóżko, prawdziwe łóżko. Nie jakaś marna imitacja, na jakich tam spały. Przekulnęła się przez nie na drugą stronę i otworzyła drzwi łazienki.

Lśniła białą porcelaną i kafelkami. Z podziwem przyglądała się nowoczesnej, wpuszczonej w podłogę wannie. W dotyku była gładka, a nie podrapana jak stare, blaszane balie. Oparta o wannę rozejrzała się po łazience.

Na wieszakach wisiały frotowe ręczniki. Zdjęła jeden — lekki, miękki i puszysty. Przytuliła go do twarzy. Nie był szorstki jak bawełniane ręczniki. Westchnęła głęboko. To się nazywa żyć!

Zerknęła na zegarek. Było prawie południe. Przed wymarzoną kąpielą musiała zrobić małe zakupy. Niechętnie odwiesiła na swoje miejsce ręcznik i wyszła z łazienki.

Zaj rżała do torebki. Po raz nie wiadomo który przeliczyła pieniądze. Sto osiemnaście dolarów. Tyle odłożyła z tego, co dali jej za pracę w pralni.

Potrząsnęła głową, odpędzając wspomnienie pary, żrącego zapachu mydła i chloranu sodu, który tak długo ją otaczał. Zatrzasnęła torebkę i wyszła.

Stojąc na stopniach przed hotelem, ogarnęła wzrokiem Broadway. Była akurat pora lunchu i ulica wydawała się bardziej zatłoczona niż zwykle. Wszyscy gdzieś się śpieszyli. Przyglądała się ludziom o poważnych, zdecydowanych twarzach.

Tacy nie zatrzymywali się, żeby rozglądać się dookoła. Podziwiała ich. Ile darów losu przyjmowali bez zmruczenia oka. Chyba nigdy nie potrafiłaby podobnie.

Spojrzała w stronę centrum miasta. W kinie „Paramount” grali nowy film z Bingiem Crosby, ten z Kitty Carlisle. „Rialto”

reklamowało dwa horrory, a „New Yorker” dwa westerny. U Nedicka na rogu, po drugiej stronie ulicy, był tłok — trzy szeregi klientów pchały się do lady. Chińska restauracja, między Czterdziestą Drugą a Czterdziestą Trzecią Ulicą, nadal reklamowała lunchy za jedyne trzydzieści pięć centów. Kafejka „Hector”, naprzeciw hotelu, pyszniła się największym wyborem ciast w mieście, a słabe dźwięki muzyki, dobiegające z sali tanecznej na Czterdziestej Piątej Ulicy, mieszały się z różnorodnym ulicznym gwarem.

Z uczuciem zadowolenia zeszła po stopniach, żeby rozpocząć zakupy. Wiedziała o paru sklepach w pobliżu, gdzie mogła nabyć coś do ubrania stosunkowo tanio. W Plymouth opłacało się kupować bieliznę i bluzki, u Markera spódnice i sukienki, u Kitty Kelly obuwie. Nuciała pod nosem przechodząc ulicę. Nie powiedziała prawdy Popowi dzisiaj rano.

Tu był jej dom.

Ułożyła się wygodnie w wannie i pogrążyła w rozkosznym rozmarzeniu. Pękające bąbelki piany unosiły się na wodzie, a powietrze przesycił wspaniały zapach. Poruszyła się i przesunęła dłonie wzdłuż ciała. Przypomniała sobie gryzące, tanie mydło, jakiego tam używały. Nigdy nie czuła się czysta. Miała wrażenie, że mydło pozostawia chropowatą powłokę na skórze. Teraz było inaczej. Czuła, że ciało w wodzie staje się miękkie.

Sięgnęła po ręcznik i tak go złożyła, że przypominał małą poduszeczkę. Umieściła ją na brzegu wanny i wygodnie oparła głowę. W ten sposób nie zamoczy włosów. Przymknęła oczy. Było dobrze. Tak dobrze. Ciepło i wygodnie. Nikt nie mógł jej przeszkodzić, nikt nie mógł zawołać ani powiedzieć, co ma robić. Zapadała w drzemkę. Tak, to się zdecydowanie różniło od pobytu w Domu.

A jeszcze bardziej od okresu, w którym urodziło się dziecko.

Przez cały ranek odczuwała intensywne bóle. W końcu siostra zabrała ją do izby chorych. Po szybkim badaniu lekarz powiedział do pielęgniarki:

— Proszę ją przygotować. To długo nie potrwa.

Rozciągnięta na twardym, białym łóżku z trudem łapała powietrze. Rozpoczęły się przygotowania do porodu. Między falami bólu była na tyle świadoma, żeby przeżyć szok, kiedy siostra golila jej wzgórek łonowy. Gdy skończyła, przykryła ją białym prześcieradłem i wyszła z pokoju.

Zamknęła oczy i ciężko oddychała. Dobrze, że było już

prawie po wszystkim. Wydawało się, że wieki całe nosi w sobie poczucie gwałtu i upokorzenia. Coś zaszeleściło przy łóżku, więc się odwróciła.

Obok stała dyrektorka. Spod czarnosiwych, jakby pokrytych szronem włosów błyszczały okulary. W ręku trzymała arkusz papieru.

— Jak się czujesz, Mary?

— Dobrze, pani Foster.

— Nie powiedziałaś mi jeszcze o dziecku. Uśmiechnęła się słabo. Nie miała nic 'do powiedzenia.

Dziecko zjawi się za chwilę. Milczała.

— Ojciec, Mary — nalegała pani Foster. — Powinno się go zmusić, żeby płacił na utrzymanie dziecka.

Szarpnięta nagłym bólem, zamknęła oczy. Po chwili odwróciła się do kobiety.

— To nie ma znaczenia — odrzekła drżącym głosem. —

I nigdy nie miało.

Pani Foster wzruszyła ramionami i popatrzyła na formularz.

— Dobrze, Mary. Według tego, co widzę, chcesz, żeby dziecko przekazano do adopcji.

Mary skinęła głową.

— Wiesz, co to znaczy — powiedziała pani Foster zimnym głosem. — Pozbywasz się wszelkich praw do dziecka. Możesz go nigdy nie zobaczyć, ani nawet nie wiedzieć, kto je wziął. Będzie to tak, jak gdyby nigdy się nie urodziło.

Przynajmniej, jeżeli chodzi o ciebie.

Dziewczyna nie odzywała się.

— Słyszałaś mnie, Mary? Przytaknęła.

— Nie będziesz nic wiedziała o dziecku — powtórzyła kobieta nieubłaganie.

Głos Mary nie wyrażał już bólu, ale gniew.

— Słyszałam panią! — krzyknęła. — Słyszałam za pierwszym razem. A jak pani myśli, co mogę zrobić? Mogę opiekować się dzieckiem tutaj? Mogłabym je tutaj zatrzymać?

— Gdybyśmy znali ojca — kontynuowała pani Foster niewzruszenie — moglibyśmy go nakłonić do łożenia na utrzymanie dziecka. Wtedy zostałoby u nas do momentu, aż mogłabyś rościć sobie do niego prawo.

— A kiedy to będzie? — Głos Mary drżał.

— Kiedy dowiedziesz, że jesteś w stanie zapewnić dziecku finansowe i moralne wsparcie.

— Kto o tym decyduje?

— Sąd.

— Więc nie mogę go mieć, dopóki sąd się nie zgodzi. Będzie w sierocińcu? Tak? — zapytała Mary cicho.

Pani Foster skinęła głową.

— A tak zostanie zaadoptowane i będzie miało dom od razu?

— Tak.

Mary nabrała głęboko powietrza.

— Więc tak ma być. — W głosie zabrzmiała ostateczna decyzja.

— Ale... — Teraz głos pani Foster był drżący. Rozdarta bólem Mary prawie usiadła na łóżku.

— Chcę, żeby tak było! — krzyknęła. — Nie widzi pani, że to jedyna szansa dla dziecka?

Kobieta odwróciła się i wyszła. Mary zobaczyła ją ponownie dopiero po trzech godzinach. Było już po wszystkim. Pani Foster stała obok łóżka i patrzyła na dziewczynę.

— Mary — szepnęła. Nie poruszyła się.

— Mary — powiedziała jeszcze raz. — Marja.

Mary powoli otworzyła oczy. Widać było, że nie spała.

— Z tobą wszystko w porządku, Marjo — szepnęła pani Foster. — A dziecko ma się doskonale...

— Niech pani nic nie mówi! — krzyknęła Mary gwałtownie, zachrypłym głosem.

— Nie chcę wiedzieć.

— Ale... — zawahała się kobieta.

— Niech je zabierają — powiedziała Mary znużonym nagle głosem, kryjąc twarz w poduszce.—Już i tak jest wystarczająco źle.

Pani Foster milczała. Więzy płci zbliżyły obydwie kobiety. Poszukała ręki dziewczyny pod cienkim przykryciem.

Mary odwróciła twarz do dyrektorki. Oczy o rozszerzonych źrenicach wydawały się głębokie i czarne. Pani Foster, z lekka zaszokowana, miała wrażenie, że spogląda w bezdenne studnie czasu. Poczowała delikatny uścisk palców Mary.

— Bolało mnie — szepnęła Mary. — Bolało, kiedy ze mnie wychodziło.

— Wiem, dziecko. To zawsze boli.

— Wie pani, pani Foster? — zastanawiała się Mary.

Po tym, co powiedziała, kobieta zdała sobie sprawę, że nie wiedziała nic.

— Nie bolało tak jak wtedy, kiedy jego ojciec rozdarł mnie na pół, żeby je we mnie zasiać, ale tak jak wtedy, kiedy dostaje się coś, czego nie można zatrzymać.

W tym momencie pani Foster zrozumiała. Przypomniała sobie, dlaczego dziewczyna się tu znalazła. Spojrzała ze współ-

czuciem zza okularów. Teraz pojmowała ten ból kryjący się na dnie ciemnych oczu.

Przez chwilę patrzyły sobie głęboko w oczy. Potem Mary powiedziała:

— Niech je zabierają.

Prawie nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, kobieta aprobującą skinęła głową.

— Tak, Mary.

Łzy przepelniające oczy dziewczyny zaczęły się staczać po policzkach. Płakała bezgłośnie i tylko łzy, uparcie goniąc jedna drugą, wsiąkały w poduszkę.

Rozdział 3

Detektyw był szczupły i uprzejmy. Przytrzymał krzesło, kiedy siadała po przeciwnej stronie biurka. Przez chwilę jej się przyglądał, a potem obszedł biurko dookoła i usiadł na swoim miejscu. Taka to się urodziła, żeby narobić sobie kłopotów. Coś w niej było.

Nie w samym wyglądzie. Nie była ordynarna. Białoblonde włosy, które szpeciły wiele z nich ze względu na swoją sztuczność, nawet do niej pasowały.

Prawdopodobnie dlatego, że były naturalne. Twarz, ciało, sposób, w jaki się poruszała, wszystko to mówiło, że jest kobietą. Kobieta stworzoną dla mężczyzny.

Spojrzał na leżącą na stole kartę. MARY FLOOD. Szerzej otworzył oczy. Już rozumiał. Znow zerknął na dziewczynę.

— Gdzie pani mieszka, panno Flood?

— W hotelu „Astor” — odpowiedziała matowym głosem; wyjmując papierosa.

Szybko podał jej ogień. Wydawało mu się, że dojrzał błysk uśmiechu w ciemnobrazowych oczach, gdy popatrzyła nad płomieniem zapalki. Mógł się jednak mylić. Ktoż może być tak pewny siebie będąc po raz pierwszy na policji? To światło tak się odbiło — pomyślał.

— Jest całkiem drogi — zauważył. Zaciągnęła się głęboko.

— Obiecałam sobie taką ucztę — dodała, jak gdyby te słowa wszystko tłumaczyły.

— Pracuje pani?

— Wysłałam dwa dni temu. Jeszcze nawet się nie rozejrzałam.

— Nie uważa pani, że byłoby trzeba? Trudno coś znaleźć.

— Zajmę się tym.

— Nie mogło pani zostać wiele pieniędzy — kontynuował. — Widzę, że kupiła pani sobie nową odzież.

Po raz pierwszy w głosie dziewczyny zabrzmiała wyzywająca nutka:

— To moje pieniądze. Prawo nie zabrania mi robić z nimi, co zechcę, prawda?

— Nie, panno Flood — potrząsała głową. — Chcemy tylko mieć pewność, że nie będzie pani miała kłopotów. Bez pieniędzy szybciej wpada się w tarapaty.

— Nie jestem jeszcze całkiem spłukana.

Nie odpowiedział. Przyglądał się, jak paliła papierosa. Ta dziewczyna nie będzie miała kłopotów ze zdobyciem pieniędzy. Zbyt wielu mężczyzn zechce je dawać, w tym problem. Czekał, aż Mary coś powie. Jednej rzeczy na ogół nie wytrzymywał — ciszy.

Ta była inna. Siedziała sobie i patrzyła, nie spuszczać wzroku z jego twarzy. Po chwili sam poczuł się niezręcznie. Tak jakby to on był młodocianym przestępcą pod opieką sądu, a ona oficerem prowadzącym przesłuchanie. Chrząknął.

— Zna pani przepisy, panno Flood. Wyjaśniono je pani. Przytaknęła.

Mimo to powtórzył:

— Ma pani meldować się tutaj raz na miesiąc. Nie wolno pani ani wiązać się, ani zadawać z osobami o przestępczej przeszłości. Należy mnie informować o każdej zmianie adresu. Kiedy znajdzie pani pracę, należy niezwłocznie mnie o tym powiadomić. Nie wolno pani opuszczać tego stanu bez pozwolenia. Zabrania się pani posiadania broni palnej i jakiegokolwiek innej... — zdumiony przerwał. — Co panią tak bawi, panno Flood?

Wstała z półuśmiechem na ustach. Płaszcz opadł jej z ramion na oparcie krzesła. Miał wrażenie, że opada z niej całe ubranie.

— Myśli pan, że będę potrzebowała jakiejś broni? — zapytała.

Poczuł, że się rumieni. Te cholerne przepisy były czasami idiotyczne. I tak nie można było nic zrobić z tą bronią, z jaką się urodziło.

— Po prostu powtarzam je dla pani dobra, panno Flood — stwierdził rozdrażniony.

— Dziękuję, poruczniku — powiedziała siadając.

— Jakiej pracy pani szuka, panno Flood? Może moglibyśmy pomóc w znalezieniu czegoś?

— Wie pan o jakiejś?

— Tak. Kelnerka albo sprzedawczyni w jednym z dużych domów towarowych.

— Ile tam płacą?

— Dwanaście do piętnastu tygodniowo.

— Nie. Dziękuję — odrzekła krótko.

— Co pani nie odpowiada? — zapytał z rosnącym gniewem.

— To nawet nie wystarczy na mieszkanie. Potrzebuję pracy, gdzie mogę dużo zarobić — powiedziała, uśmiechając się.

— Nie każdy musi mieszkać w hotelu „Astor” — zauważył złośliwie.

— Kiedy ja to lubię. Dostatecznie dużo czasu spędziłam na śmietniku. Nigdy więcej.

— Gdzie chce pani zarobić te wielkie pieniądze? Nie odpowiedziała.

— Na ulicy? — zapytał chłodno.

Uśmiech zniknął. Patrzyła mu prosto w oczy.

— Aż tyle się w ten sposób zarabia, poruczniku?

— Narobi sobie pani kłopotów — groził znowu. — Prawdziwych kłopotów, nie takich dziecinnych. Więzienie dla kobiet bardzo się różni od domu poprawczego. Sama pani zobaczy.

— Niech pan nie będzie taki pewny, poruczniku. Niczego nie zrobiłam... jeszcze. Wstał.

— Niech pani po prostu uważa, żeby nie popełnić czegoś, czego potem będzie pani żałowała.

Podsunał Mary kartę i pióro.

— Proszę tu podpisać.

Kiedy to uczyniła, wziął kartę i popatrzył na podpis.

— Dobrze. Może pani iść. I niech pani pamięta, co powiedziałem.

Wstała, narzuciła płaszcz i podeszła do drzwi. Już w progu odwróciła się i uśmiechnęła złośliwie.

— Dziękuję za zachętę, poruczniku. Zmroził dziewczynę spojrzeniem.

— Coś do pani wiadomości. Nie jestem porucznikiem. Proszę być z nami w kontakcie. To wszystko.

— Będę — obiecała z uśmiechem. Rozejrzała się po małym pokoju i jeszcze raz zerknęła na niego. — Może któregoś popołudnia będzie się pan nudził, poruczniku, i trzeba będzie

jakoś zabić czas. Niech pan wtedy do mnie wpadnie. Pogadamy trochę. Opadła mu szczeka i nie potrafił znaleźć odpowiednich słów. Znowu się zaczerwienił.

— Wie pan, gdzie mieszkam, poruczniku. Pokój 1204. Proszę zapytać recepcjonistę, to wyśle pana na górę.

Zanim wreszcie znalazł słowa odpowiedzi, drzwi się zamknęły. Stał i patrzył. Zanotował coś na karcie Mary i sięgnął po telefon.

— Połącz mnie z Joe Martinem — powiedział do słuchawki. Po paru minutach telefon zadzwonił.

— Joker? Mówi Egan z posterunku przy 54 Ulicy. Ta dziewczyna, której szukałeś, właśnie się zgłosiła... Tak... teraz ma na imię Mary, nie Marja... Tak... ta sama... Blondynka i zbudowana, że... Prawdziwa bestia... niczego się nie boi... Dziękuję, Joker... Cieszę się, że mogłem ci oddać przysługę.

Rozdział 4

Joker Martin rozsiadł się wygodnie na krześle i zapalił cygaro. Odczuwał cichą satysfakcję. Trafnie przewidział. Był sprytny. Już półtora roku wcześniej wiedział, że dojdzie do połączenia w syndykat. Zbyt wiele zdarzało się morderstw. Przypomniawszy sobie dzień, kiedy Mike Rafferty wrócił wściekły do klubu.

— I co ten nędzy dziad sobie wyobraża? — warknął Żelazny Mike.

— Jaki dziad? — zapytał Joker.

— Kane. Frank Kane. Zwołuje spotkanie w hotelu. Jesteśmy wszyscy. Mówi, że od tej pory wszyscy mamy swoje rejony i nikomu nie wolno przekroczyć granicy. Martin usiłował skojarzyć nazwisko. Spojrzał na Mike'a.

— Masz na myśli chłopaka od Fenelliego? A co na to Silk? Jest górą?

Rafferty potrząsał głową.

— Nie. Kane wszystko przejął. I wtedy wyszedłem. Żaden szmaciarz nie będzie mi mówił, co mam robić.

— A inni? — spytał Joker. — Zostali?

— Tchórzliwe skurwiele! — zaklął Żelazny Mike. — Zostali. Joker zawahał się.

— Może też powinienesz zostać, Mike.

— Niech mnie prędzej piekło pochłonie! — krzyknął Rafferty. — Sam zawsze dbam o swoje interesy. Nikt mi nie będzie rozkazywał.

— Dobra, Mike — powiedział Joker.

— Idę do domu na obiad — wyjaśnił Mike. — Zobaczymy się później. Pomyślimy, co dalej robić — odwrócił się i stąpając ciężko, wyszedł.

Joker zaczekał, aż drzwi zamknęły się za nim, i sięgnął po telefon. Kiedy odezwała się telefonistka, usłyszał dźwięk przypominający stłumiony strzał w gaźniku.

Odłożył słuchawkę i podbiegł do okna.

Na ulicy, przed klubem, zbierali się ludzie. Z powodu tłoku, nie widział, kto leży na chodniku, ale dostrzegł stróżkę krwi spływającą do rynsztoka.

Powoli wrócił do telefonu. Żelazny Mike miał rację. Prędzej spłonie w piekle.

Ciekawe, czy mu się to spodobało. Szeptem podał telefonistce numer. Ktoś podniósł słuchawkę.

— Panie Kane — powiedział powoli — tutaj Joker Martin. Nie, Żelazny Mike zmienił zdanie. Jest już za późno. Ale chciałbym, żeby pan wiedział, że jestem z wami. Na sto procent.

Decyzja okazała się trafna i wiodło mu się dobrze. Przebył długą drogę od tanecznej sali i hazardu na zapleczu, przydzielonych mu początkowo przez Mike'a. Teraz Kane wyznaczył mu terytorium i nikt nie mógł wydawać mu poleceń. Był u siebie, a Kane pilnował porządku.

Ale interes się rozrastał i potrzebna była pomoc. Nie gangsterska obstawa, lecz umysł wysokiej klasy. W czasie nowego podziału terytorium dostała mu się Park Avenue, aż do Osiemdziesiątej Piątej Ulicy. Właśnie wtedy po raz pierwszy pomyślał o Rossie Drego.

Chłopak był młody i szalony, za to inteligentny. Miał żyłkę do hazardu. Dobrze się składało, że ojciec odciął się od niego po niedawnej aferze. Ostatnio Ross zjawiał się u Jokera przed sześcioma miesiącami, ale i tak był wart całej forsy, jaką posiadał. Znał dobrze Park Avenue i orientował się we wszystkich grubszych interesach, jakie tam załatwiano. Wyrósł razem z nimi.

Na jedną rzecz Joker musiał zwrócić uwagę. Na ambicję Rossa. Często dawał się ponieść. Zawsze się śpieszył i chciał wszystkiego po kawałku. Joker uśmiechnął się, zaciągając dymem. Mógł zapanować nad Rossem, szczególnie teraz, kiedy Kane wystąpił w syndykacie z nową propozycją. To powinno dać Rossowi cel, do którego będzie dążył i zadowolić go aż do czasu, kiedy ten fakt nastąpi.

Podniósł słuchawkę.

— Czy Ross już jest? — zapytał.

— Jest w drodze, panie Martin — odpowiedziała sekre-

Odłożył słuchawkę, w drzwiach pojawił się Ross. Martin popatrzył najpierw na papiery rozłożone na stole, a potem na chłopaka.

— Masz forszę? — zapytał Ross cisnął paczkę na biurko.

— Dziesięć tysięcy, Joker. Wszystko, co posiadam. Joker wrzucił pieniądze do szuflady. Wyjął potwierdzenie wpłaty i pchnął je w stronę Rossa.

Ross wziął papier do ręki, przyjrzał mu się i ze złością rzucił z powrotem na biurko.

— Joker, do cholery, do czego ty zmierzasz? To tylko jedna akcja. Myślałem, że to duży interes.

— Jest duży — uśmiechnął się Joker.

— Bzdury! — wybuchnął Ross. — Co to, do diabła, jest ta Blue Sky Development Corporation? Nigdy o niej nie słyszałem.

— To Las Vegas — odpowiedział Joker.

— Las Vegas? A gdzie to, do cholery, jest?

— W Nowadzie. Nigdzie w kraju nie będzie takiej forsy jak tam. Hotele, hazard, nocne kluby. I wszystko legalne.

— Oddaj forszę — warknął Ross. — Jeżeli chcesz, żebym coś kupił, to sprzedaj mi kawałek Miami albo Reno, albo...

— Nie bądź frajerem—powiedział Joker. — Szajka z Chicago trzyma Miami w swoich łapach, a smród niesie się aż do nieba. Myślisz, że jak długo to potrwa? Sami dokończą to, co zaczęli. Reno to miasto złamanych serc. Nikt tam nie jeździ, żeby się zabawić. Dandy Phil i Big Frank opanowali Nowy Orlean i stamtąd też trzeba będzie się wynieść. Sun Valley, Palm Spring nie nadają się do hazardu.

— No, to co? — zapytał Ross.—Tam przynajmniej wiem, co dostanę. Dużą forszę.

— Tu dostaniesz więcej. Jesteś jednym z pierwszych. Kupujemy miasto, nieruchomości i całą resztę. My ustanawiamy reguły. Żadnych kłopotów. Wszystko będzie się odbywać legalnie. . .

— Kiedy to się stanie? — spytał Ross już spokojniej.

— Przedsięwzięcie takich rozmiarów wymaga czasu — powiedział Joker z namysłem. — Kane twierdzi, że za pięć do dziesięciu lat. Wszystko zależy od układów.

— Będę wtedy starym człowiekiem — warknął Ross.

Joker uśmiechnął się szeroko.

— Będiesz najbogatszym trzydziestoletnim starcem w kraju.

— Nie wiem — wahał się Ross. — Mógłbym teraz wykorzystać pieniądze.

Joker przechylił się nad biurkiem i szepnął konfidencko:

— A kto by nie mógł? Mam dziesięć takich udziałów jak twój. Myślisz, że bym nie wolał zatrzymać tych stu tysięcy w kieszeni? I mieć je pod ręką? Jasne, ale nie wtedy, kiedy mogą mi przynieść milion. Wszystko legalnie i nikt nie może się przyczepić.

— Włożyłeś w to sto tysięcy dolarów? — zapytał Ross z niedowierzaniem.

Joker skinął głową.

— A ile akcji wypuszczono?

— Tysiąc — wyjaśnił Joker beznamiętnym głosem.

— Dziesięć milionów dolców! — zawołał Ross ze zgrozą.

— A jedyny powód, dla którego dopuszczam cię do sprawy, Ross — rzekł Joker szybko — jest taki, że mam duże plany związane z twoją osobą.

— Jakie plany? — zapytał Ross, patrząc przez zmrużone powieki.

Joker wyjął następne cygaro i zapalił.

— To legalna operacja, rozumiesz? Żaden przestępca nie będzie w tym maczał palców. Sprawa ma być naprawdę czysta. Przekonuję Kane'a, że jesteś odpowiednim facetem, żeby przeprowadzić całą operację.

— Myślisz, że to się uda?

— Uda się — powiedział Joker z przekonaniem. Ross podniósł pokwitowanie i zerknął jeszcze raz.

— Wiesz, to zaczyna jakby lepiej wyglądać. Joker roześmiał się.

— Chcesz powiedzieć, że pachnie forszą?

Ross uśmiechnął się, chowając papier do kieszeni.

— Jeden z trzech zapachów, którym nie mogę się oprzeć. Nowe pieniądze, nowe samochody i nowe dziewczyny.

Joker wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— To mi coś przypomniało. Dostałem wiadomość o twojej dawnej dziewczynie, jeżeli jesteś zainteresowany.

— Dawne dziewczyny mnie nie interesują. Powiedziałem: nowe dziewczyny.

— Ta akurat mogłaby — Joker nadal się uśmiechał. — Ta blond Poleczka...

— Marja? — Głos Rossa zabrzmiał dziwnie, tak jak gdyby samo wymówienie imienia sprawiało mu ból.

— Tak — odparł Joker ostrożnie. — Myślałem, czy samemu się nią nie zająć, ale najpierw chciałem sprawdzić, czy ty nie masz jakichś pomysłów co do niej. Ross gapił się w dół na swoje palce. No, to ładnie — wpadł w pułapkę Jokera. Nic nie mógł powiedzieć, ani zrobić. Joker patrzył na niego, jak pobłażliwy ojciec na dziecko.

— Nie mam żadnych pomysłów, Joker. Jest twoja.

Rozdział 5

Siedziała w hotelowym pokoju i czekała, aż odezwie się telefon. Stos niedopałków piętrzył się w popielniczce. Był piątkowy poranek. Mieszkała w hotelu już cztery dni i zostało jej tylko tyle pieniędzy, żeby opłacić pobyt. Ale Evelyn obiecała że zadzwoni w piątek rano. Dokładnie omówiły całą sprawę.

Wszystko zaczęło się w pralni, sześć miesięcy przed wyjściem. Szczupła, ciemnowłosa dziewczyna, stojąca naprzeciw nad deską do prasowania, nagle zagadnęła:

— Co będziesz robić, gdy stąd wyjdiesz, Mary?

Mary skończyła prasowanie powłoczki i złożyła ją starannie. Zastanowiła się przez chwilę.

— Nie wiem. Myślę, że postaram się o pracę. Nigdy o tym nie myślałam.

— Jaka pracę?

Zaczęła prasować prześcieradło.

— Nie wiem. Jaka będę mogła dostać.

Evelyn roześmiała się.

— Zdechniesz z głodu. Zanim się obejrzysz, będziesz latać z gołym tyłkiem.

Mary popatrzyła ciekawie.

— A co ty będziesz robić?

— Mam plany. Wielkie plany — powiedziała Evelyn tajemniczo.

_Jakie'

Evelyn miała odpowiedzieć, ale zobaczyła zbliżającą się przełożoną. Szepnęła szybko, kącikiem warg:

— Przyjdź po zgaszeniu światła. Powiem ci. Myślę, że możemy zrobić coś razem.

Była prawie dziesiąta, kiedy Mary stanęła przy łóżku Evelyn.
— Nie śpisz? — zapytała. Ciemnowłosa dziewczyna usiadła.
— Nie.
— Co masz zamiar robić? — spytała Mary, przysiadając na brzegu łóżka.
— Chcę zarobić prawdziwe pieniądze. W show-biznesie. Przyjaciół załatwi mi miejsce, gdy tylko wyjdę.
— A kiedy to będzie?
— Trzy dni po tobie. Kazał mi poszukać partnerki do pozowania do aktów. Dlatego chciałam z tobą rozmawiać. Byłaby z nas dobrana para. Ty, blondynka, i ja, ciemna. Tego chcą. Kontrastu.
Mary zawahała się. Zaczęła coś podejrzywać.
— A o jakie akty chodzi? — szepnęła. — Nie umiem pozować.
Evelyn roześmiała się po cichu.
— Którejś nocy pokażę ci wszystkie pozy.
— Ach, to o to chodzi.
— To lepsze niż zabijać się za dziesięć dolarów tygodniowo.
— Nie wiem — powiedziała Mary. — Nigdy o tym nie myślałam.
— Przymknijcie się! — zawołała któraś z dziewcząt. — Chcemy trochę pospać.
Evelyn odrzuciła kołdrę.
— Chodź do mnie — rzekła szybko. — Pogadamy, a te długie uszy nie będą nas słyszały.
— Chyba lepiej wróć do łóżka — wykręcała się Mary.
— Boisz się? — Zęby Evelyn błysnęły w uśmiechu. Mary bez słowa wsunęła się do łóżka Evelyn, a ta naciągnęła na nią kołdrę. Przez chwilę leżały w milczeniu. Mary czuła ciepło bijące od dziewczyny.
— Co to za duże pieniądze?
— Dwadzieścia do trzydziestu dolców dziennie dla każdej. Za taką łatwiznę. Mary nie odpowiedziała. Pieniądze były jedyną ważną rzeczą. Bez forsy było się nikim. Poza tym, co miała robić? Żaden przyzwoity chłopak jej nie zechce, po tym, co się stało.
— Jakie są te pozy? — zapytała.
Dziewczyna nic nie odrzekła. Poruszyła szybko ręką i Mary, wykręcając się, głęboko nabrała powietrza.
— Przestań! — warknęła.
— Pytałaś mnie o pozy — odparła Evelyn.

— Tak — szepnęła Mary oburzona — ale nie myślałam, że jesteś lesbijką.

— Nie jestem. To tylko jedna z póz.

Mary nie odezwała się. Znowu poczuła ręce Evelyn. Mimo woli cała zeszytywniała.

— Spokojnie, odpręż się. Nie zrobię ci krzywdy. Trochę zabawy nie zaszkodzi.

Czas szybciej popłynię.

Dzień przed opuszczeniem Domu Evelyn pomagała Mary pakować walizkę.

— Pamiętaj, co ci powiedziałam. Czekać w swoim pokoju w piątek rano.

Zadzwoń.

— Będę pamiętać — przyrzekła Mary.

Spojrzała na zegarek. Dochodziło południe. Wygasiała papierosa, położyła walizkę na łóżku i powoli zaczęła się pakować. Nie będzie żadnego telefonu i musi

wyprowadzić się z hotelu, dopóki ma dosyć pieniędzy na zapłacenie rachunku.

Wtedy zadzwonił. Złapała za słuchawkę.

— Evelyn?

— Mówi Joe, chłopak Evelyn. Ona czeka w samochodzie. Jesteś gotowa? — odezwał się męski głos.

— Kończę pakowanie.

— Dobrze. Zaraz po ciebie przyjadę.

Zanim zapukał do drzwi, była już gotowa. Otworzyła. W progu stał duży, rumiany mężczyzna. Uśmiechnęła się.

— Joe?

Podali sobie dłonie.

— Jesteś taka ładna, jak Evelyn mówiła — stwierdził fałszywie serdecznym głosem.

Opuściła szybko rękę.

— Dziękuję. Jestem gotowa. — Ruszyła do telefonu. — Zawołam chłopca.

— Nie rób tego. — Potrząsnął głową. — Wyjdę z torbą bocznymi drzwiami. Ty wyjdź frontowymi tak jak zwykle. Nie będziesz musiała płacić rachunku.

— Mam zwyczaj płacić swoje rachunki — powiedziała stanowczo.

— Twoja forsa. — Wzruszył ramionami.

Mary podniosła słuchawkę i połączyła się z recepcją. Evelyn siedziała w samochodzie. Powitała ich z uśmiechem.

— Zastanawiałam się, czy jeszcze tam będziesz, skarbie.

— Już prawie zrezygnowałam — przyznała Mary. Evelyn zaśmiała się.

— Joe się denerwował, więc zatrzymaliśmy się na chwilę, żeby mógł zabrać swoje rzeczy.

Mary spojrzała szybko na koleżankę. Evelyn lekko się zarumieniła.

— Zabrać rzeczy?

— Tak — chrząknął Joe, ruszając i włączając się do ulicznego ruchu. — Nie myślisz chyba, że facet wyjeżdża bez swoich ciuchów.

— Wyjeżdża? — powtórzyła jak echo Mary. — Dokąd my jedziemy?

— Na Florydę. Do Miami. Mam wspaniałe małe mieszkanko w North Beach. Powinniśmy mieć szczęście w tym sezonie.

Do recepcji podszedł wysoki, szpakowaty mężczyzna.

— Chciałem się zobaczyć z Mary Flood. Pokój 1204.

— Spóźnił się pan — odpowiedział recepcjonista. — Wyprowadziła się parę minut temu.

Martin patrzył z niedowierzaniem.

— Wyprowadziła się? — Uderzyło go nagle podejrzenie. — Czy ktoś z nią był?

Recepcjonista przytaknął.

— Był jakiś dżentelmen, proszę pana.

— Jak wyglądał?

— Potężny mężczyzna. Pana wzrostu. Czerwony na twarzy.

— Uff. — Joker odwrócił się od lady.

— Czy coś nie w porządku? — zapytał recepcjonista.

— Nie, nie.

Joker przeszedł przez hol na ulicę. Przynajmniej nie był to Ross. Początkowo tak myślał, ale Ross jest ciemny i nie tak wysoki.

Pchnął obrotowe drzwi. Dobrze mu tak. Po co czekał. Powinien był przyjść, gdy tylko się dowiedział. Mógł się domyślić, że taka dziewczyna szybko nawiąże znajomości. Wetknął do ust cygaro i żuł nie zapalając. Na razie może tak jest lepiej. Ma tyle rzeczy na głowie. Poczeka.

Ona pojawi się znowu. Prędzej czy później wszystkie wracają.

Rozdział 6

Trzeci poranek z rzędu obserwował ją wychodzącą z wody. Wynurzała się z morza jak bogini. Biały strój kąpielowy przylegał do ciała jak skóra. Wysokie, pełne piersi, wąska talia

i szczupłe, choć wyraźnie zarysowane biodra, zdawały się wykute z białego marmuru. Powoli zdejmowała jasny czepek kąpielowy i kaskada połyskujących, białozłotych włosów rozsypała się dookoła przyciemnionej słońcem twarzy. Powoli poszła w kierunku rozłożonego na plaży koca. Schyliła się, podniosła ręcznik i energicznie się wytarła. Sam niemal odczuwał mrowienie wycieranej skóry. Nigdy przedtem nie widział nikogo tak z siebie zadowolonego jak ta dziewczyna.

Wiedział, co zaraz zrobi. Rozciągnie się na kocu, rozluźni ramiączka kostiumu i będzie leżeć w słońcu. Nawet nie spojrzy na szczyt małego pagórka, skąd jego dom patrzył na ocean. Po godzinie wstanie, starannie zapakuje wszystkie rzeczy do małej plażowej torby. Potem zarzuci na ramiona płaszcz kąpielowy, zejdzie na skraj plaży, wsiądzie do małego kabrioleta i odjedzie.

Według takiego schematu postępowała co rano. Mógłby w ten sposób regulować zegarek. Co dzień rano dostrzegał ją z okna swojej sypialni, obserwował, jak szła po plaży około godziny jedenastej. Wszystko odbywało się regularnie, od czasu kiedy wrócił na Florydę, pod koniec stycznia. Pierwszy raz zobaczył ją trzy tygodnie temu, po nocy spędzonej na przyjęciu u senatora.

Obudził się z potężnym kacem i zawołał, żeby mu przyniesiono soku pomidorowego. Stary Tom był na wpół głuchy i albo nie słyszał, albo nie chciał słyszeć. Zły, wygramolił się z łóżka i sięgnął do dzwonka przy oknie. Oparł się ciężko o parapet i wyrzwał na zewnątrz.

Wychodziła akurat z wody. Potrząsała głową, sądząc, że ma przywidzenia. W mglistym świetle poranka wydawała się naga. Kiedy oprzytomniał, zauważył biały kostium. Odszedł od okna z wrażeniem, że zachowuje się jak głupiec. Ale następnego ranka patrzył znowu z nadzieją, że dziewczyna się pojawi.

Idiota — pomyślał. Jesteś w końcu Gordonem Paynterem. Atrakcją sezonu. Wszystkie matki na Florydzie marzą, żeby złapać cię na męża dla swoich córek, a ty godzinami wypatrujesz jakiejś dziewczyny na plaży. Nie wiesz nawet, kto to jest. Prawdopodobnie jakaś panienka, której w głowie tylko słońce i piasek. Nagle zdał sobie sprawę, że obok stoi służący. Odwrócił się szybko. Tom wpatrywał się w plażę.

— Ładna dziewczyna, panie Gordon — powiedział.
Gordon uśmiechnął się.

— Dlatego nie mogę się ciebie dowołać rano? Też ją obserwujesz?
Tom popatrzył na niego. Długa zażyłość sprawiała, że wyrażał się całkiem swobodnie.

— Mogę być stary, panie Gordon, ale mam oczy.

— Wiesz, kto to jest?

— Nie — odpowiedział stary człowiek. — Nigdy jej nie widziałem.

— Myślisz, że zjadłaby tutaj lunch?

Stary spojrzął na swego chlebobdawcę inteligentnie.

— Nie potrafię tego stwierdzić, dopóki jej nie zapytam. Gordon odwrócił się i zerknął na plażę. Rozciągnięta na

kocu, prawie nie odcinała się od piasku.

— Idź, Tom — rzekł, uśmiechając się. — Zaproś ją na lunch.

Leżała na piasku, z głową opartą na ramionach. Słońce piekło w plecy. Czystym, zdrowym żarem, a nie brudnym, lepkiem ciepłem jak białe światło podczas występu poprzedniego wieczora. Myślała o mężczyznach wlepiających wzrok w jej ciało, w prawie namacalny sposób. Jacy oni właściwie są, jeżeli doznają mocnych wrażeń na widok drugorzędnych roz-bieranek?

Jeszcze gorzej było po przedstawieniu, kiedy trzeba było przekonać widzów, że to już wszystko. Nie miała dla nich nic więcej. Razem z Evelyn ubierały się prędko i czekały w samochodzie, aż Joe przyniesie drugą część pieniędzy. Wtedy odjeżdżali.

Zwykle Evelyn i Joe wybierali się gdzieś, a Mary wracała do domu i wskakiwała do wanny. Gorąca kąpiel zmywała całą truciznę. Później szła do łóżka, czytała i zasypiała. Czasami budziła się po ich powrocie. W nocy dochodziły ją różne dźwięki, leżała więc bardzo cicho, aż znowu zapanował spokój.

Rano wstawała, kiedy jeszcze spali. Wkładała płaszcz kąpielowy, wsiadała do samochodu i jechała na plażę. Kiedy wracała, byli już na nogach, tak że mogła przygotować śniadanie. Po śniadaniu ubierali się i udawali na wyścigi. Pojawiali się późnym popołudniem. Zdarzało się im przegrać wszystkie pieniądze. Wtedy pożyczala im pewne sumy do następnego dnia. I chociaż nigdy nie zwrócili ani centa, wiedziała, że lepiej się nie upominać.

Ogólnie rzecz biorąc, nie było źle. Odłożyła pięćset dolarów i wpłaciła do banku w Miami. Raz w tygodniu wybierała się do miasta. Szła do kina, na lunch i do banku. Pozy, jak je na-

zywała Evelyn, przestały jej zaprzętać głowę. Była w stanie spojrzeć na tę sprawę bezosobowo, z boku. W końcu były to w pewnej mierze popisy sceniczne. Nie trzeba było niczego odczuwać, by występować w ten sposób.

Nadszedł czas, żeby obrócić się na wznak. Plecy miała gorące i spieczone.

Przewracając się, zdała sobie sprawę, że ktoś stoi w pobliżu. Usiadła szybko, przytrzymując ramiączka kostiumu.

Stał przed nią zasuszony, siwy, czarnoskóry człowiek. Uśmiechał się.

— Proszę pani — powiedział cicho z wahaniem.

— Tak? — odparła zimno.

— Pan Gordon Paynter przesyła pani komplementy — kontynuował oficjalnie stary człowiek. — Pragnie zaprosić panią" na lunch w swoim domu.

Podążając wzrokiem za wyciągniętą ręką starca, Mary popatrzyła na dom na wzgórk. Zauważyła go już wcześniej. Otoczony wysokim parkanem, z własną plażą, musiał należeć do kogoś bogatego.

— Proszę powtórzyć panu Paynterowi, że doceniam jego gest, ale jeżeli chce mnie prosić na lunch, może to równie dobrze zrobić osobiście.

Na dnie oczu starca pojawił się uśmiech.

— Tak, proszę pani. Powiem mu — rzekł z powagą. Lekko się skłoniwszy, zawrócił i zaczął wspinać w kierunku domu.

Przez chwilę Mary przyglądała się, jak odchodzi, potem wyciągnęła się na piasku.

Dziwny sposób podrywania — wysłać służącego. Zastanawiała się, jak też ten Paynter może wyglądać. Pewnie jakiś stary pryk, jedną nogą w grobie. No, ale usadziła go na miejscu. Po krótkiej drzemce zaczęła się zbierać do odejścia.

Zapakowała torbę i ruszyła w stronę samochodu. Nagle usłyszała kroki za plecami. Obejrzała się.

Nadbiegał młody człowiek w białych, drelichowych szortach i białej, trykotowej koszulce. Wiatr rozwiewał jasno-brązowe, kędzierzawe włosy.

— Panienko! — zawołał. — Panienko!

Poczekala, aż ją dogoni. Był wysoki i niebieskooki. Twarz miał nieco nalana, a bruzdy wokół oczu i ust zdradzały hulaszczy tryb życia.

— Myślałem, że pani umknie, zanim panią dogonię — powiedział, dysząc ciężko, najwidoczniej nie przyzwyczajony do wysiку. Musiałem się ubrać.

Nie zareagowała. Uśmiechnął się nagle.

— O Boże! Nie mam kondycji. Nie mogę złapać oddechu. Jestem Gordon Paynter. Patrzył uważnie. Chyba nie rozpoznała jego nazwiska. Nadal milczała.

— Parę razy widziałem, jak pani pływa. Ludzie na ogół nie zapuszczają się na plażę aż tak daleko. Strasznie tu pusto. — Oddychał już trochę swobodniej.

— Dlatego podoba mi się tutaj. Nie chcę, żeby mi przeszkadzano.

— Och, przepraszam — rzekł. — Nie zamierzałem zachować się jak intruz. Po prostu pomyślałem, że byłoby miło, gdyby...

— Dziękuję, panie Paynter — odparła szybko. — To miło z pana strony. Może innym razem. — Odwróciła się.

— Proszę pozwolić odprowadzić się do samochodu — powiedział. — Gdzieś panią widziałem, jestem pewien. Na przyjęciu u senatora?

Obrzuciła go szybkim spojrzeniem. Patrzył otwarcie i nie wyglądał na podstępny. Tacy nie biorą raczej udziału w przedstawieniach przeznaczonych wyłącznie dla mężczyzn. Po prostu chciał ją poderwać. Uśmiechnęła się.

— Nie sądzę, żebyśmy się spotkali, panie Paynter.

— Jest pani pewna, panno... panno...?

Nic nie odrzekła. Kiedy dotarli do samochodu, wrzuciła torbę na tylne siedzenie i wsiadła.

— Pani jest z Nowego Jorku — stwierdził, zerkając na tablicę rejestracyjną. — Ja też. Może spotkaliśmy się...

— Nie, panie Paynter. — Włączyła silnik. — Jestem pewna, że nigdy się nie spotkaliśmy.

— Proszę posłuchać panno... panno... — Nie czekał dłużej na nazwisko. — Mam nadzieję, że nie da się pani wypłoszyć z plaży.

— Nie. Bardzo mi się tutaj podoba.

— Może wobec tego jutro przyszlaby pani na lunch? — zapytał zachęcony.

— Może — roześmiała się. — Dlaczego nie zaprosi mnie pan dzisiaj, panie Paynter?

Odjechała. Stał na skraju drogi i patrzył. Podrapał się po głowie. Dziwna dziewczyna. Zdaje się, że o nim nie słyszała. A może udawała? Zawrócił do domu. Dowie się o niej czegoś jutro.

Rozdział 7

Kiedy dotarła na plażę następnego poranka, aż zamrugała powiekami ze zdumienia. Na piasku stał stolik ocieniony parasolem i zastawiony jedzeniem.

Gordon Paynter siedział

obok.

— Jest pani dziesięć minut spóźniona — stwierdził, uśmiechając się.

— Ja... hmm... — Nie mogła mówić.

— Wolałem nie ryzykować i poprosiłem Toma, żeby nakrył tutaj — wyjaśnił.

— Myślę, że niepotrzebnie sprawia pan sobie tyle kłopotu, panie Paynter.

— A ja tak nie myślę, panno Bezimienna.

— Jak pan mnie nazwał?

— Panną Bezimienną — odpowiedział szybko. — To mi się podoba. Czyni to pania bardzo tajemniczą.

— Nie uważam, że bym była bardzo tajemnicza — odrzekła z uśmiechem.

— Każda dziewczyna bez nazwiska jest tajemnicza w Miami. — Odwrócił się do stołu. — Mam nadzieję, że lubi pani krewetki. Tom przyrządza z nich wspianą sałatkę.

— Uwielbiam krewetki.

— Doskonale — powiedział siadając. — Bierzmy się do jedzenia.

Zrzuciła płaszcz kąpielowy na piasek.

— Najpierw popływam.

— O K - Wstał, zdjął koszulę i spodnie i cisnął na piasek obok jej płaszcz kąpielowy. Miał na sobie jaskrawożółte spodenki.

— Chodźmy.

Pobiegli do wody. Dziewczyna zanurkowała w pierwszej fali i wypłynęła parskając.

— Zimna! — zawołała, szczękając zębami.

— Powiem Tomowi! — krzyknął, szczerząc zęby w uśmiechu. — Zobaczymy, czy uda się doprowadzić rury z ciepłą wodą dla pani.

— Zwariowany człowiek! — roześmiała się, stojąc tyłem do fal.

Jedna z nich, całkiem wielka uderzyła ją w plecy i powaliła na kolana. Poczuli, że Gordon chwytają za ramiona i podnosi. Wyprostowała się i spojrzała mu w oczy. Patrzył poważnie.

— Teraz, kiedy uratowałem pani życie, może mi pani powiedzieć, jak się nazywa?
Nabrała głęboko powietrza. Coś w jego wzroku przypominało jej Mike'a. Taka sama przyzwoitość i delikatność w sposobie patrzenia. Uśmiechnęła się.
— Chodzi o zwykłą grzeczność?
— Zwykłą grzeczność — potwierdził, nie puszczając jej.
— Flood. Mary Flood.
— Miło mi panią poznać, panno Flood — powiedział, pocałował ją szybko w policzek i puścił. — Bardzo mi miło, panno Flood.
— W życiu tyle nie zjadłam, Gordon — stwierdziła, odsuwając talerz.
— Tom będzie szczęśliwy. Lubi, kiedy się je z przyjemnością.
— Przekaż mu ode mnie, że wszystko było wspaniałe.
— Jeszcze kawy?
— Nie dziękuję — odrzekła, spoglądając na zegarek. — Ojej! Już po pierwszej. Muszę pędzić.
— Co z dzisiejszym wieczorem, Mary? — zapytał. — Umówimy się?
— Chciałabym, ale nie mogę.
— Dlaczego?
— Pracuję.
— A jutro wieczorem?
— Nie wieczorem. — Potrząsnęła głową. — Pracuję wieczorami.
— Co robisz? — zapytał ciekawie.
— Występuję razem z koleżanką — odparła ostrożnie. — Każdego wieczora w innym klubie.
— A dzisiaj wieczorem gdzie? Przyjdę cię zobaczyć.
— Nie wiem — powiedziała szybko. — Pracujemy na zlecenie. Czekamy u agenta na wiadomość i stamtąd jedziemy.
— Aha. Może kiedyś, kiedy będziesz wiedziała z góry, zawiadomisz mnie?
— Dobrze, Gordon — odrzekła, chwytając torbę. — Dziękuję za lunch.
— Zaniosę to do samochodu — powiedział, biorąc torbę z rąk Mary.
— O.K. Szli powoli.
— Do zobaczenia jutro — rzekł.
Popatrzyła na swoje stopy na piasku. Podjęła decyzję. Nie przyjdzie więcej. Nigdy. Poszuka innego miejsca do pływania.

— Oczywiście — zgodziła się.

Byli już przy samochodzie. Otworzył drzwi i czekał, aż wsiądzie. Położył torbę na siedzeniu obok.

— Dziękuję za wszystko, Gordon.

— Dziękuję, Mary.

Wyciągnęła rękę. Zaskoczył ją. Zamiast uścisnąć, podniósł jej dłoń do ust.

— Do jutra — powiedział. Włączyła silnik.

— Do widzenia, Gordon. Byłeś bardzo miły. Jeszcze raz dziękuję.

Weszła do mieszkania nucąc wesoło. Joe i Evelyn siedzieli przy stole i pili kawę.

Joe zapytał:

— Z czego tak się cieszysz?

— Po prostu wspaniale się czuję. Jakiś gość zaprosił mnie na lunch.

Joe roześmiał się ochryple.

— Lepiej gdyby się szarpnął na coś więcej niż lunch. Dostałem dziś wiadomość.

Mamy przerwę przez parę tygodni.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Musimy przeczekać. Gliny depczą nam po piętach.

— Och! — Mary usiadła przy stole. Przyglądała się swoim paznokciom. — Co będziemy robić?

Joe rzucił szybkie spojrzenie na Evelyn. Bez słowa wstał i wyszedł do sypialni.

— Co z nim? — zapytała Mary.

— Znasz go. — Evelyn wzruszyła ramionami. — Jest przeczulony w pewnych sprawach.

Mary roześmiała się. Słowa Evelyn były tym śmieszniejsze, że wypowiedziane z powagą.

— Jest przeczulony — przyznała — głównie na punkcie swojego portfela.

Evelyn nie dostrzegła dowcipu.

— Tak, rzeczywiście — zgodziła się. — Wstydzi się poprosić cię o pieniądze, na wyjazd do Nowego Orleanu.

Mary szeroko otworzyła oczy.

— A co się stało z jego forszą? Bierze połowę z wszystkiego, co zarobimy.

Evelyn patrzyła w bok.

— Nie ma. Wyścigi. Inne rzeczy — tłumaczyła, uśmiechając się do Mary. —

Powiedziałam mu, żeby się nie martwił, że, jeśli masz jakieś pieniądze, to chętnie je dla nas zainwestujesz.

Mary patrzyła szczerze.

— Mam około dwudziestu dwu dolarów w torebce. Może je wziąć, jeżeli w czymś pomogą.

W oczach Evelyn malowało się rozczarowanie.

— To wszystko? A co z resztą forsy? Musiałaś odłożyć parę setek. Nigdy nic nie przepuszczałaś.

— Wydałam na ciuchy — uśmiechnęła się Mary. — To nie było wiele, kiedy chciałam coś kupić.

Z sypialni dobiegł wściekły głos Joe'go.

— Mówiłem ci, Evelyn, że nic nam nie da. Za dobrze ją traktowaliśmy. Zaraz pokażę tej babie, kto tu jest szefem — powiedział, zbliżając się groźnie do Mary. Spokojnie sięgnęła do torebki i wyjęła składany nóż, nabyty podczas pierwszej wyprawy do sklepów. Wpatrując się mężczyźnie w oczy, nacisnęła guzik, obnażając ostrze noża. Zalśniło.

— Czy Evelyn wspominała ci, dlaczego znalazłam się w Domu? — zapytała cicho. Joe stanął jak wryty i zaczerwienił się. Spojrzał pytająco na swoją dziewczynę. Evelyn, biała jak ściana, odpowiedziała:

— Mocno okaleczyła nożem swojego ojczyma. Popatrzył na Mary. Leniwie czyściła sobie paznokcie czubkiem noża.

— Masz przyjaciół pierwsza klasa — rzekł do Evelyn z obrzydzeniem. — Dlaczego mi nie powiedziałaś, co to za dama?

Rozdział 8

Wcześniej poszła do swojego pokoju i czytała trochę przed spaniem. Przez zamknięte drzwi dochodził szmer rozmowy. Uśmiechnęła się do siebie. Joe wziął dwadzieścia dwa dolary bez mrugnięcia okiem. Zastanawiała się, co teraz zrobią. W końcu zgasła światło i położyła się. Jutro będzie dosyć czasu na martwienie się.

Kiedy się obudziła, przez okno wpadało jaskrawe światło. Przewróciła się i przeciągnęła rozkosznie. Jak to wspaniale iść do łóżka o przyzwoitej godzinie! Prawie zapomniała o tym, co się zdarzyło. Wstała i narzuciła szlafrok wiszący na krześle. Szafa znajdowała się w pokoju, który zajmowali Joe i Evelyn.

Weszła tam i zdumiona uniosła brwi. Łóżko było puste. Nie spano w nim. Podeszła do okna. Samochodu także nie było.

Ciągle się zastanawiając, napełniła wodą dzbanek do kawy. Musieli wyjść późnym wieczorem i jeszcze nie wrócili. Włączyła palnik pod dzbankiem i poszła zajrzeć do szafy.

Była pusta. Cała odzież zniknęła. Szybko otwierała szuflady komody. Wszystko w nich wyparowało. Zakłęła pod nosem. Jedyne rzeczy do ubrania w mieszkaniu to te, które miała na sobie: nocna koszula, tani szlafrok i ranne pantofle. Zabrali wszystko, nawet kostium kąpielowy.

Kawa była gotowa. Nalała sobie filiżankę i usiadła, żeby pomyśleć. Sięgnęła po papierosy. Przepadły bez śladu. Poszła po drugą paczkę do sypialni, gdy ktoś zapukał do drzwi. W progu stał gospodarz.

— Słucham? — zapytała.

Niski i krępy człowiek spoglądał na Mary spod krzaczastych brwi.

— Pani przyjaciele wyjechali.

— Wiem — odpowiedziała, stojąc na progu. Chciał wejść do mieszkania, ale zastąpiła mu drogę.

— Powiedzieli, że pani zapłaci — oznajmił, starając się ponad ramieniem Mary zajrzeć do pokoju i stwierdzić, co zostało.

— Ile są panu winni?

— Za trzy tygodnie — odrzekł, patrząc w bok. — Dziewięćdziesiąt dolarów.

Nie wiedziała, czy kłamał. Jeżeli mówił prawdę, to znaczyło, że Joe zabierał sobie jej część opłaty za mieszkanie.

— Powiedział, że zapłacił do zeszłego tygodnia włącznie.

— Ma pani rachunki?

— Muszą gdzieś być.

Zdawał sobie sprawę, że dziewczyna ich nie ma. Kiedy w środku nocy usłyszał hałas zapalnego silnika, w pośpiechu wyskoczył z pokoju. Zawsze sypiał bardzo czujnie, jednym uchem nasłuchując lokatorów. Musiał tak robić, skoro wynajmował umeblowane mieszkania, w innym przypadku poszedłby z torbami. Ktoś zawsze starał się go wyrolować.

Mężczyzna i dziewczyna pakowali bagaże do samochodu.

— Hej! — zawołał, okręcając się szlafrokiem. — Gdzie się wybieracie?

— Wynosimy się — odparł mężczyzna.

— A co z zapłatą?

— W porządku. Blondynka zostaje. Nie jedzie z nami.

— A skąd mam wiedzieć, że ma pieniądze?

Mężczyzna spojrział szybko na dziewczynę, potem wziął gospodarza pod ramię i poprowadził za samochód, gdzie nie mogła ich słyszeć.

— Ma forszę — szepnął. — Może pan wyciągnąć od niej za parę tygodni, nie tylko za ostatni.

Całkiem nieświadomie gospodarz też zniżył głos:

— Ale pan ma rachunki.

Mężczyzna zachichotał i wyciągnął parę świstków papieru z kieszeni.

— Weź je pan z powrotem.

Gospodarz popatrzył z niedowierzaniem. Trzymał rachunki za ostatnie parę tygodni.

Mężczyzna znowu się zaśmiał.

— Muszę się wynosić. Wiesz pan, jakie są kobiety. Moja dziewczyna jest zazdrosna, a blondynka nie chce mi dać spokoju. — Nagle zaświtała mu w głowie pewna myśl. — Mógłby pan nawet...

Gospodarz przełknął ślinę. Widział, jak schodziła do samochodu w kostiumie kąpielowym.

— Myśli pan? — zapytał.

— Bez problemu — przytaknął mężczyzna. Mężczyzna stał niezdecydowany.

Właściwie zalegali z rachunkiem tylko dwa dni.

— Skąd mam wiedzieć?

Mężczyzna konfidencyjnym gestem położył mu ręką na ramieniu.

— Nie może się nie udać. Dziewczyna aż się pali. Prawdziwa nimfomanka, nie umie się bez tego obejść. I warto skorzystać.

Gospodarz westchnął głęboko.

— Dobrze — powiedział, cofając się. — Zaryzykuję. Patrzył, jak samochód zniknął w mroku — i wrócił do

swojego pokoju. Jeżeli nawet facet się mylił, to w najgorszym przypadku zarobi kilka dolarów ekstra... Włożył stopę w szparę w drzwiach.

— Słuchaj no — rzekł stanowczo. — Nie zapłaciliście rachunku. Chcę moją forszę.

Mary zerknęła na stopę w drzwiach, potem na twarz gospodarza.

— Nie dostanie pan teraz pieniędzy — odrzekła. — Nie wcześniej, aż pójdę do banku, żeby coś wypłacić.

Potrząsała głową.

— Znam te sztuczki. Znikniesz i wystawisz mnie do wiatru. Chcę teraz.

— Nie mam forszy tutaj.

— Masz wszystko, czego potrzebujesz—stwierdził, znacząco mierząc ją wzrokiem. Uśmiechnęła się. Błyskawicznie zrozumiała.

— Dobrze. Ale chcę trochę czasu, żeby się przygotować. Muszę się wykapać i... Wyciągnął rękę i dotknął twardej piersi pod szlafrokiem. Zręcznie uskokczyła.

— Nie teraz — rzekła, uśmiechając się. Spojrzał na nią. Facet miał rację.

— Dobrze — powiedział wspaniałomyślnie. — Daję ci godzinę.

— Dziękuję — odparła oschle.

— Tylko bez kawałów. Gliniarze tutaj są bardzo zawzięci na niepłacących za lokale. Zwłaszcza, jeżeli to turyści.

Zamknęła drzwi i słuchała, jak oddalał się korytarzem. Stała przez chwilę, potem podeszła do stołu. Upiła kawy. Była zimna.

Zapalając papierosa odniosła kawę na piecyk i czekała, aż się zagrzeje. Głęboko wewnątrz zawsze była przeświadczona, że to się kiedyś stanie. Prędzej czy później musiałyby się zdecydować.

Gorącą kawę postawiła na stole i usiadła. Gdyby tylko miała coś do ubrania, wydostałaby się stąd. Ale nawet wtedy gospodarz wezwałby gliny. Joe powiedział, że gliny coś wywęszyły. Może rozpoznałby ją jako jedną z występujących.

Wówczas byłoby jeszcze gorzej.

Popijała kawę i zapalała jednego papierosa od drugiego. Uśmiechnęła się ponuro sama do siebie. Nie czuła się tak, jak gdyby miała coś do stracenia. Nie była dziewczyną, która musi bronić niewidzialnej bariery. Jej ojczym już o to zadbał.

Wiedziała, jak być ostrożną. To się już więcej nie zdarzy. Tego nauczyła się w Domu. Nie potrzebowała się martwić, a jednak coś ją powstrzymywało.

Znużona zamknęła oczy. Zawsze tego chcieli. Wszyscy mężczyźni byli tacy sami.

Wiedziała. I śmiała się z tego. Bawiła się, widząc, jak daleko mogła ich doprowadzić i się wywinąć. Gdyby tylko potrafiła tak pragnąć, jak oni. Wtedy może myślałaby inaczej.

Jedynie przebywając blisko Mike'a czuła się podniecona. Dziwne, że akurat teraz przyszedł jej na myśl. Należał do zupełnie innego świata.

Zastanawiała się, czy to miłość sprawiła, że z Mike'm było inaczej. Musiało tak być. Z nikim innym tak się nie czuła.

Dokończyła drugą filiżankę kawy i spojrzała na zegarek. Jeszcze piętnaście minut. Umyła filiżankę i spodeczek, wytarła i odstawiła na półkę. Usiadła. Jeszcze dziesięć minut.

Zapaliła następnego papierosa i czekała, zerkając na zegar. Chciałaby móc coś odczuwać. Cokolwiek. Chociażby strach. Ale nie czuła nawet tego, jedynie zimną pewność, że to się stanie, a wszystko jest tylko kwestią czasu.

Ciągle patrzyła na zegar, kiedy zapukał. Podniosła się.

— Proszę! — zawołała.

Gospodarz stał w progu. Wahał się przez chwilę, potem wszedł i szybko zamknął drzwi. Twarz błyszczała mu z podniecenia.

— No? — zapytał.

Przypatrywała mu się chłodno. Bezwiednie zauważyła, że się ogolił i ubrał świeżą koszulę. Uśmiechnęła się do siebie.

— No? — odpowiedziała.

— Gotowa? — zapytał, zbliżając się.

— Zawsze gotowa — odrzekła automatycznie, patrząc mu w twarz.

Przyciągnął ją do siebie gwałtownie i pocałował. Czuła twardość zębów za wargami. Nie poruszyła się. Zerwał z niej szlafrok. Usłyszała odgłos dartego materiału. Odepchnęła mężczyznę.

Z żalem spojrzała na poszarpany szlafrok, potem na siebie. Nie miała teraz na sobie nic. Popatrzyła na gospodarza. Przyglądał jej się wychodzącymi z orbit oczami.

— O Boże — mamrotał. — O Boże. Podeszedł bliżej.

Odwróciła go w stronę sypialni. Teraz wszystko było jasne. Zabrało jej to wiele czasu, ale wreszcie zrozumiała. Do takiego życia była stworzona. Niektóre dziewczyny rodziły się, żeby być żonami, inne sekretarkami, urzędniczkami czy aktorkami. Ale ona urodziła się, żeby być dziwką. Dlatego tak, a nie inaczej działa się w jej życiu. Wszyscy to widzieli oprócz niej samej.

— Tutaj — powiedziała cicho, wskazując drzwi. Znowu się zbliżył.

Potrząsnęła lekko głową.

— Po co ten pośpiech? Nie ucieknę.

Zawahał się, a później wkroczył do sypialni zdejmując po drodze koszulę.

Podniosła podarty szlafrok. Dostrzegła owłosioną pierś i ramiona mężczyzny.

Przypomniała sobie słowa wypowiedane przez Evelyn podczas przedstawienia.

Zawsze powodowały falę podniecenia wśród publiczności. Jeżeli urodziła się, żeby być dziwką, to

będzie najlepszą, jaka istnieje. Słowa popłynęły tak łatwo, jak gdyby całe życie ich używała:

— Jak chcesz? Zwyczajnie czy coś specjalnego?

Rozdział 9

Weszła do hotelowego holu i wybrała miejsce w dyskretnym kącie na uboczu. Leniwie przeglądała egzemplarz przyniesionego przez siebie „Vogue”. Ktokolwiek spojrział na Mary, widział atrakcyjną, młodą, opaloną i zdrową dziewczynę, czekającą na swego chłopaka. W pewnym sensie zresztą to właśnie robiła.

Minęło parę minut. Chłopiec hotelowy zatrzymał się przed Mary.

— Pokój 311 — powiedział przytłumionym głosem.

— Trzysta jednaście — powtórzyła z uśmiechem.

— Tak. Czekaj teraz na panią.

— Dziękuję — uśmiechnęła się, wyciągając rękę.

— Proszę bardzo — odpowiedział chłopiec, biorąc dwa banknoty.

Oddalił się szybko.

Powoli zamknęła magazyn, rozejrzała się dookoła i wstała. Nic się nie działo.

Hotelowy detektyw patrzył w drugą stronę, recepcjoniści zajęci byli nowo przybyłymi, a resztę osób stanowili goście. Zadowolona, wolnym krokiem poszła w stronę wind. Nie było o co się martwić. Wszystko było przygotowane. Mac, gospodarz domu, w którym mieszkała, uświadomił ją w tym względzie.

— Najpierw wybierz miejsce do działania — mówił ze znanstwem. — Potem, zanim cokolwiek zrobisz, upewnij się, czy zapłaciłaś wszystkim zainteresowanym. Jeżeli tak, zostawia cię w spokoju albo nawet pomogą.

— To ma sens — przytaknęła. Przyglądał się Mary bacznie.

— Uważaj tylko i nie sprowadzaj nikogo tutaj. Prowadzę porządną dom i nie chcę mieć kłopotów.

— Wobec tego, jeżeli chcesz, będę wychodzić.

— Nie, zaczekaj. — Myślał przez chwilę. — Mam pomysł. Mój kumpel jest szefem chłopców hotelowych w „Osirisie”. Porozmawiam z nim. Może on coś ci załatwi.

„Osiris” był jednym z nowych hoteli na plaży. Szef hotelowych chłopców aż się palił do współpracy. Zawsze było zapotrzebowanie na nowe dziewczyny. W miesiąc zarobiła więcej pieniędzy, niż widziała przez całe swoje życie. Do tego czasu jednak zatrzymywała niewiele, spłacając zobowiązania.

Przeciętnie odbywała w ciągu dnia cztery wizyty, jak to nazywała. Bywała we wszystkich hotelach, w których szef chłopców hotelowych miał jakieś kontakty. W ten sposób nie rzucało się bardzo w oczy. Dziesięć dolarów za wizytę dawało czterdzieści dziennie. Z tego trzydzieści musiała spłacać.

Nacisnęła na guzik i czekała na windę. Wyjęła z torebki jeszcze jeden banknot. Windziarz też dostawał napiwek. Ktoś oparł jej rękę na ramieniu.

Aż podskoczyła, odwracając się.

Gordon Paynter uśmiechał się szeroko.

— Nie chciałem pani przestraszyć, panno Flood. Wstrzymała oddech.

— Pan Paynter!

— Zastanawiałem się, co się z panią stało — powiedział szybko. — Nigdy więcej nie przyszła pani na plażę.

— Skończyłyśmy występy tego dnia — wyjaśniła — i byłam zajęta szukaniem czegoś innego.

— Proszę napić się czegoś ze mną w barze — zaproponował. — Uaktualnimy swoje wiadomości.

Drzwi windy otworzyły się i windziarz powiedział:

— Do góry, proszę. Spojrzała na Gordona.

— Nie mogę. Jestem umówiona.

— To może chwilę zaczekać. Szukałem pani po całym mieście.

Uśmiechnęła się do siebie. Łatwo było ją znaleźć, jeżeli znało się odpowiednich ludzi. Należało jedynie zameldować się w hotelu i poprosić o młodą blondynkę.

— Nie, naprawdę. Muszę się widzieć z tym człowiekiem. Chodzi o pracę.

— Zaczekam — rzekł Gordon. — Długo to potrwa? Myślała przez chwilę.

— Niedługo. Pół godziny. Najwyżej godzinę.

— Będę w barze. Łatwo mnie pani rozpozna. Będę tkwił nad martini.

— Dobrze, panie Paynter.

— A już było Gordon — stwierdził z uśmiechem.

— Dobrze, Gordon — odrzekła, wsiadając do windy. — Postaram się długo nie zabawić.

Drzwi się zamknęły i windziarz spytał ciekawie:

— Przyjaciel czy klient?

— Czwarte piętro, ty wścibski draniu — odparła, wręczając mu dolara.

Przyjął banknot, szczerząc zęby.

— Nie masz dla nikogo rabatu? — zapytał.

— Nie mogę sobie na to pozwolić. Mam zbyt wysokie koszty własne — oświadczyła, wysiadając.

— To może, jak będziesz miała wolne? — zawołał za nią.

— Oszczędzaj, mądralo — odpowiedziała przez ramię. — Nie mam wolnego.

Kiedy winda się zamknęła, podeszła do drzwi pokoju 311 i zapukała delikatnie.

Stłumiony męski głos zapytał:

— Kto tam?

— Obsługa hotelowa.

Wchodząc do baru, sojrzała na zegarek. Trzy kwadranse. Zatrzymała się, żeby przyzwyczać oczy do półmroku. Siedział na samym końcu sali i wstał, kiedy się zbliżała.

— Dostałaś pracę? — spytał, robiąc jej miejsce.

— W pewnym sensie tak — powiedziała, siadając. Zjawił się kelner.

— Dla mnie jeszcze jedno martini — poprosił Gordon. — A dla ciebie?

— Cassis z wodą sodową.

— Wermut, cassis i woda sodowa — powtórzył kelner.

— Bez wermutu — poprawiła. — Po prostu cassis i woda sodowa.

— Dziwny drink — rzekł Gordon, kiedy kelner się oddalił.

— Taki mi smakuje.

— Dziwna z ciebie dziewczyna — podsumował, kończąc swojego drinka.

Spojrzała ostro. Może któryś z chłopców hotelowych wyjawiał mu prawdę? Nie odezwała się.

— Ani nie przyszłaś, ani nie zadzwoniłaś, ani nic — zaczął znowu. — Gdybym nie wpadł dzisiaj na ciebie, to może już nigdy bym cię nie zobaczył.

— I może tak byłoby lepiej — odrzekła poważnie.

— Co masz na myśli? — zapytał. Popatrzyła mu prosto w oczy.

— Nie jestem żadną atrakcją. Nie wśród takich dziewcząt zwykle się obracasz.

Uśmiechnął się. A więc o nim słyszała.

— A co to za dziewczyny? — zapytał.

— Z lepszego towarzystwa. Wiesz, co mam na myśli.

— A ponieważ ty pracujesz, to nie mogę zawracać sobie tobą głowy, tak?

Nie odpowiedziała.

Gordon przestał się uśmiechać.

— Prawdziwy z ciebie snob — stwierdził. — To nie moja wina, że nie muszę pracować. To samo mogło się i tobie zdarzyć. Nikt nie wybiera sobie rodziców.

— Szkoda, że mi się to nie zdarzyło — odparła. Są przecież gorsze rzeczy.

Przez stolik Gordon sięgnął po rękę Mary.

— Masz rację — powiedział i uśmiechnął się.

Kelner postawił na stole drinki. Gordon podniósł swój kieliszek.

— Wznieśmy toast — zaproponował.

— Za co?

— Za nas. I za nasz obiad dziś wieczorem. Tom od dawna czeka, żeby przyrządzić dla ciebie pieczoną kaczkę.

Zawahała się.

— Nie przyjmuję odmowy — rzekł szybko. — Zaraz po tym drinku zabieram cię na plażę.

Westchnęła głęboko. Czuła się zawiedziona. Nie różnił się od innych. Chciał tego, co wszyscy.

— O.K. — zgodziła się.

Nie opuścił jeszcze kieliszka.

— I za to, żeby nie było więcej tajemnic. Chciałbym cię często widywać.

Pokiwała głową.

— Tom i ja uważamy, że jesteś najładniejszą dziewczyną w Miami Beach. Myślę, że obaj jesteśmy w tobie zakochani.

Powoli odstawiła kieliszek.

— Nie mów tak. Nie mów tak nawet w żartach. Nie musisz.

Rozdział 10

— Kawę i brandy podaj na taras, Tom — polecił, odsuwając krzesło od stołu. Tom przytrzymał krzesło Mary, kiedy wstawała.

— To było wspaniałe, Tom — uśmiechnęła się. — Nigdy w życiu tyle nie zjadłam. Stary człowiek rozpromienił się.

— Panienska ma wspaniałą apetyt.

— Dzięki tobie, Tom. Kto się oprze takiemu jedzeniu?

— Dziękuję paniencie. — Ukłonił się z szerokim uśmiechem. Gordon przepuścił Mary przodem. Wyszli na taras. Panowała noc, niebo było czyste, a od oceanu wiał lekki, chłodny wiatr.

Głęboko nabrała powietrza.

— Tu jest jak w niebie — westchnęła.

— Może nie jest skromny, ale to mój dom. Odwróciła się szybko.

— Wszystkich tak zapraszasz do siebie?

— O co ci chodzi? — zapytał zaskoczony.

— O to, że nie znasz swoich gości. Przecież mogę próbować cię wykorzystać. Możesz sobie narobić kłopotów — mówiła poważnie.

— Lubię takie kłopoty. Nie krępuj się.

— Mówię serio, Gordon — upierała się. — Jesteś bogaty i szeroko znany. Ktoś może to wykorzystać.

— Chciałbym — odparł, śmiejąc się. — To oszczędziłoby mi skrupułów, kiedy będę się starał wykorzystać innych.

Podeszła do balustrady. Światło księżycy odbijało się w wodzie.

— Nie ma sensu z tobą rozmawiać — stwierdziła. Położył jej ręce na ramionach i odwrócił do siebie. Uśmiechał się, ale oczy miał poważne.

— Mów, kochanie. Przyjemnie jest mieć kogoś, kto się o mnie martwi. Zwykle każdy czegoś ode mnie chce.

— Miły z ciebie facet. Niczego od ciebie nie chcę.

— Wiem, że nie. Gdybyś chciała, wróciłabyś. Nie odpowiedziała.

— Jesteś pierwszą osobą, od długiego czasu, którą nie obchodzi, że nazywam się Gordon Paynter.

— Lubię cię. Jesteś przyzwoity. Ręce mu opadły.

— Ale mnie podsumowałaś. Kiedy miałem właśnie wypłynąć na szerokie wody, zdmuchnęłaś mi z żagli cały wiatr.

— Nie zniechęcaj się. Od oceanu też wieje. Odstawiła filiżankę po kawie.

— Bardzo dużo pijesz. Dlaczego? — zapytała. Postawił na stole czwartą z kolei brandy i popatrzył na Mary.

— Smakuje mi — wyjaśnił, czując, że język zaczyna mu się

plątać od alkoholu. — A poza tym, nie mam nic innego do roboty.

— Nie? — spytała zdumiona.

— Nic — odpowiedział ociężałym głosem. — Trzymam się z dala od interesów, bo ile razy wezmę się za coś, zawsze tracę pieniądze. Z tym dałem sobie spokój. Mam wszystko, czego potrzebuję, bez pracy.

Milczała.

— Myślisz, że to źle, prawda? — zapytał oskarżycielskim tonem.

Potrząsnęła głową.

— Myślisz tak, prawda? — zawołał, chwytając ją za ramię. — Wszyscy inni są tego zdania. Uważają, że to straszne, gdy nie trzeba pracować, podczas gdy połowa świata umiera z głodu.

— Mało mnie obchodzi reszta świata — stwierdziła Mary. — Martwię się tylko o siebie.

Puścił ramię Mary. Czuł się strasznie smutny i samotny.

— A mnie obchodzi. Uważam, że to straszne.

— To dlaczego nic w związku z tym nie robisz?

— Nie pozwolą mi — powiedział prawie z płaczem. — Moi adwokaci mi nie pozwolą. Nie mógłbym nawet rozdać moich pieniędzy, gdybym miał na to ochotę. Powstrzymaliby mnie.

— Biedny Gordon. — Poklepała go po dłoni.

— Tak, biedny Gordon — zgodził się.

— Chciałabym móc tobie współczuć.

Poruszył się gwałtownie i spojrzał zupełnie trzeźwo.

— Co masz na myśli?

— Nikt nigdy nie miał tak dobrze — powiedziała z uśmiechem.

Roześmiał się. Odrzucił głowę do tyłu i śmiał się z całego serca. Śmiech odbijał się echem od domu i mieszał z szumem przybrzeżnych fal.

Opanował się wreszcie i zajrzał Mary w oczy.

— Żeby w takim miejscu znaleźć uczciwą dziewczynę. Nigdy bym nie uwierzył. W Miami Beach!

— Co masz przeciw Miami Beach? — zapytała zdziwiona. — Bardzo mi się tutaj podoba.

— Mnie też — odrzekł, nadal się śmiejąc.

Podszedł do balustrady, zerknął w dół na wodę i oznajmił:

— Mam w domu parę kostiumów kąpielowych. Popływamy?

Bez słowa skinęła głową.

Wrócili na taras owinięci w wielkie frotowe ręczniki.

— Tom! Przynieś gorącej kawy. Zmarzliśmy. Cisza.

Gordon podszedł do drzwi i zawołał:

— Hej, Tom! Chcemy kawy. Głos Toma doszedł z daleka:

— Niech sobie szef sam weźmie. Jestem w łóżku. Gordon wrócił na taras kręcąc głową.

— Nic nie zdziałam. Jest ze mną już zbyt długo.

— Ja mogę zrobić kawę — powiedziała Mary.

— Naprawdę?

— Oczywiście. Też zmarzłam. Woda jest wspaniała, ale trzeba się najpierw przyzwyczaić.

Zaprowadził ją do kuchni. Kawa stała na piecyku. Włączyła palnik i po kilku minutach siedzieli już na wielkiej sofie, popijając gorący napój.

— Ale dobra — orzekł, odstawiając kubek. Wyciągnął się na wznak.

— Zauważyłaś kiedyś, jakie wielkie są tutaj gwiazdy? Popatrzyła w niebo, potem na Gordona.

— Wydają mi się takie same.

— Kobieto! Czy nie ma w tobie odrobiny romantyzmu?

— Już późno — odparła, uśmiechając się. — Lepiej się ubiorę.

Podniosła się, ale złapał ją za ramię.

— Mary Flood — powiedział.

— Tak się nazywam.

— Nie odchodź teraz, kiedy wreszcie cię odnalazłem.

— Nie wiesz, co mówisz.

Pociągnął ją na sofę i ujął jej twarz w obydwie dłonie. Usta miał ciepłe i miękkie, jak nikt inny. Rozgrzana pożądaniem przymknęła oczy. Czowała jego dłonie na piersiach. Poruszyła ramionami, zsuwając ramiączka. Słyszając, że Gordon wstrzymał oddech, otworzyła powieki.

— Jesteś piękna — szeptał, patrząc na nią. — Piękna. Objęła go za szyję i przytuliła do piersi. Głos dobiegał z oddali.

— Od chwili, kiedy cię zobaczyłem wychodzącą z wody, wiedziałem, że będziesz właśnie taka.

Pogładziła dłońmi brzuch mężczyzny; Czowała, jak wstrzymał oddech pod dotknięciem palców.

— Czekalem i czekałem — szeptał. — Tak długo.

— Milcz. — Głos miała ochryply i dziki. — Za dużo mówisz. Dwa dni później poprosił, żeby za niego wyszła.

Rozdział 11

Na piecyku bulgotała akurat kawa, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

— Kto tam? — zapytała, nie odwracając się.

— To ja — rozległ się przytłumiony głos. — Mac.

— Otwarte! — zawołała. Wejdz. Postawiła na stole dwie filiżanki kawy.

— Widziałas to? — spytał, machając gazetą.

— Nie. Byłam zajęta.

— W gazetach też o tym piszą. Jesteś we wszystkich.

— Ja? — W zdumieniu zmarszczyła brwi.

— Piszą, że wychodzisz za Gordona Payntera. Wzruszyła ramionami.

— I po co o tym piszą? — Upiła kawy. — Co w tym nadzwyczajnego? Ludzie zawsze się pobierają.

— Żartujesz sobie? Nie z Gordonem Paynterem. To jeden z najbogatszych facetów w stanie.

Nie odpowiedziała. Sięgnęła po plik gazet i zaczęła je przeglądać. Jedna zamieściła fotografię Mary i Gordona wychodzących z budynku magistratu. Niczego nie przeczuwała, kiedy niespodziewanie pojawił się fotograf. Pamiętała, co jej Gordon powiedział:

— Będzie wielkie zamieszanie, ale nie zwracaj na to uwagi. Cokolwiek by zrobili, nie zmieni to moich uczuć do ciebie.

Popatrzyła na niego trzeźwo. Nagle opanował ją strach.

— Może nie powinniśmy tego robić, Gordon? Może trzeba trochę poczekać? Nic o mnie nie wiesz.

— Wiem wszystko, co chcę wiedzieć. Nie obchodzi mnie, co robiłaś. Wiem tylko, czym jesteś dla mnie, i to jedno ma znaczenie — odparł z uśmiechem, chcąc dodać jej otuchy.

Gospodarz popijał kawę.

— To prawda, Mary? Naprawdę za niego wychodzisz?

— Tak. — Powoli skinęła głową.

— To ci nowina — gwizdnął. — A on?.. Nie pozwoliła mu skończyć pytania.

— Mówi, że to nie ma znaczenia. Że nic nie ma znaczenia — rzekła szybko, omijając prawdę.

— Na pewno za tobą szaleje. — Mac odstawił filiżankę i wstał. — To oznacza, że tracę lokatorkę.

Nie odezwała się. Patrzyła w milczeniu. Coś zmieniło się w sposobie bycia Maca. Zmiana była subtelna, ale jednak widoczna.

Wyczuwała pewną służalczość, której przedtem nie było.

— Chwilowo nie, Mac. Do ślubu jeszcze trzy dni. Podeszedł do drzwi, lecz zatrzymał się w progu.

— Gdybyś czegoś potrzebowała, Mary — powiedział, zniżając głos — tylko mi powiedz. Pędem, się zjawię.

— Dzięki, Mac. Nadal tkwił w progu.

— Po prostu nie chcę, żebyś zapomniała, że zawsze byłem twoim przyjacielem.

— Nie zapomnę, Mac.

Drzwi się zamknęły. Odniosła filiżanki do zlewu. Nazwisko i pieniądze wiele zmieniają. Uśmiechnęła się gorzko. Zdecydowała się. Potrzebowała Maca, żeby jej wskazał drogę. Będzie ich miała obydwu. A wtedy niech jej ktoś wejdzie w kaszę! Gordon wyszedł spod prysznicy i energicznie wycierał się wielkim ręcznikiem. Mruczał z zadowolenia. Jeszcze tylko dzień.

Czesząc się przed lustrem, wpatrywał się badawczo w swoje włosy. Przerzedzały się na przodzie, ale nadal sprawiały wrażenie ciężkich i bujnych. Zastanawiał się, ile dziedziczenie ma z tym wspólnego. Ojciec był zupełnie łysy przed trzydziestką. Zadowolony wyszczerzył zęby do swojego odbicia w lustrze.

Powoli zaczął się ubierać. Sylwetkę miał nadal dobrą, a ciało jędrne, chociaż nie szczycił się szczupłą budową. Przypomniał sobie, co powiedziała Mary. Mniej pić. Słusznie. Zawsze o tym wiedział, ale to było bez znaczenia. Cóż innego mógł robić?

Wszedł do sypialni po koszulę ułożoną przez Toma starannie na poduszce.

Poduszka pachniała lekko perfumem używanym przez Mary. Poczul falę podniecenia. W zapamiętaniu była dzika jak tygrysica, szarpiąca pazurami i wymagająca. Podobnych rzeczy nie przeżywał z żadną, tak idealnie byli zgrani. W uszach dźwięczał mu nadal przytłumiony, chrapliwy głos:

— Napelnij mnie, kochany, pograź mnie.

Zadrżał na samo wspomnienie paznokci wbijających mu się w ciało. Nigdy nie czuł się tak bardzo męczyzną.

— Panie Gordon — dobiegł go głos z parteru. Oderwał się od wspomnień.

— Co, Tom?

— Jakiś dżentelmen chce się z panem zobaczyć.

— Kto taki? — Gordon był zły. Tysiąc razy prosił Toma, żeby pytał o nazwisko.

— Nie powiedział! — zawołał Tom. — Mówi, że to prywatna sprawa i że dotyczy panny Flood.

Gordon uniósł brwi w zdziwieniu. Zastanawiał się, czego ten mężczyzna może chcieć. To prawdopodobnie reporter. Oni zawsze dziwnie się zachowują.

— Niech zaczeka! — zawołał. — Zaraz schodzę.

Po paru minutach wszedł do salonu. Otyły, rumiany mężczyzna podniósł się z krzesła.

— Pan Paynter?

Gordon skinął głową, czekając, aż gość się przedstawi.

— Na imię mi Joe — powiedział nieznajomy nerwowo. — Nazwisko nie ma znaczenia. Jestem tutaj, by panu oddać przysługę. Co pan wie o Mary Flood?

W Gordonie powoli wzbierał gniew.

— Wynoś się — warknął, wskazując ręką drzwi. Człowiek nie poruszył się.

— Powinien pan coś o niej wiedzieć, skoro chce się pan z nią ożenić.

— Wiem wszystko, czego mi potrzeba — odpowiedział Gordon, zbliżając się groźnie do gościa. — Wynoś się.

Człowiek poruszył się nerwowo i sięgnął do kieszeni po garść papierów.

— Zanim straci pan panowanie nad sobą, niech pan lepiej zerknie na to — rzekł, wciskając Gordonowi papiery do ręki.

Ten odruchowo spojrział. Miał w ręku fotografie. Dwie dziewczyny. Nagie. Zimne ciarki przebiegły mu po plecach. Jedną z dziewczyn była Mary. Popatrzył na intruza i zapytał roztrzęsionym głosem:

— Skąd pan to ma? Joe zignorował pytanie.

— Naprawdę nazywa się Flużyński. Wyszła z zakładu poprawczego w Nowym Jorku niecały rok temu. Wiem, jak zdobyć negatyw tego filmu, jeżeli panu na tym zależy.

Gordon zacisnął usta. Szantaż. Podszedł do telefonu.

— Z policją proszę — powiedział do telefonistki. Mężczyzna spoglądał na Gordona.

— To panu nie pomoże. Daję te zdjęcia w ramach przysługi. Chyba że sprawa ma się dostać do gazet, żeby wszyscy się z pana śmiali.

Powoli Gordon odłożył słuchawkę i usiadł. Powinna mu była powiedzieć. To nie było w porządku.

— Skąd pan wie, że zdjęcia nie są sfalszowane? — zapytał z iskierką nadziei.

— Pokażę panu — odrzekł Joe, podszedł do drzwi, otworzył je i zawołał: — Evelyn! Chodź tutaj.

Po chwili wrócił do pokoju z dziewczyną o krótkich, ciemnych włosach. Gordon rzucił okiem na fotografię. To ta druga.

— Opowiedz mi — polecił nieznajomy dziewczynie.

— Ale, Joe. — Kręciła się nerwowo.

— Mów! Nie jechaliśmy całą noc z Nowego Orleanu bez celu. Mów! — krzyczał ochryple.

Evelyn spojrzała na Gordona.

— Spotkałam Mary w domu poprawczym dla dziewcząt w Geyer. Pracowałyśmy razem. Pozowałyśmy. Potem przyjechałyśmy tutaj. Występowałyśmy w numerach dla męskiej publiczności w klubach i na przyjęciach. Kiedy gliny zaczęły nam deptać po piętach, Joe i ja wyjechaliśmy. Mary została.

Usłyszeliśmy, że...

Gordon wstał i szybko przemierzył pokój. Głos zamarł na ustach dziewczyny.

Patrzyła zaskoczona. Gordon otworzył . barek na kółkach i wyjął butelkę whisky. Nalał sobie szklanke i odwrócił się. Czuł, że rozdziera go ból.

— Napijecie się? — zapytał. Mężczyzna odpowiedział pierwszy.

— Nie mamy nic przeciwko temu, co Evelyn?

Rozdział 12

Wyskoczyła z autobusu przed domem, pobiegła podjazdem i zadzwoniła do drzwi. Otworzył Gordon. Z daleka zionął whisky.

— Piłeś — stwierdziła z wymówką. — A obiecałeś, że nie będziesz.

Zaśmiał się nerwowo.

— Świętujemy, kochanie. Nie codziennie wpadają z wizytą starzy znajomi.

— Starzy znajomi? — zdziwiła się.

Skinął głową i poprowadził ją do salonu. Zatrzymała się w progu jak rażona gromem. Evelyn leżała na kanapie, w staniku i majtkach. Pokój usłany był częściami garderoby. Evelyn, pijana, pomachała Mary ręką.

Joe zbliżył się ociężale.

— Moja staruszka, Mary! — zawołał. — Dasz buziaka staremu Joe?
Nagle zaczął śpiewać:
— Oto nadchodzi narzeczona, oto nadchodzi narzeczona.
— Co tutaj robicie? — zapytała ze złością. Joe roześmiał się.
— Przyjechaliśmy pomóc naszej dziewczynie świętować z okazji wesela. To wszystko, kochana.
Odwróciła się do Gordona.
— Kiedy się tutaj zjawili?
— Dz...dzdzdzisiaj po południu. — Starał się skoncentrować wzrok na Mary, ale przyprawiało go to o zbyt wielki ból głowy.
Potrzebował następnego drinka. Podniósł butelkę w stronę Mary.
— Napijesz się? Potrząsnęła głową.
Pił z butelki. Czuł, jak whisky przyjemnie spływa w gardle, jak go ogrzewa i uspokaja. Popatrzył na Mary.
— Tego mi brakowało. Jesteś pewna, że się nie napijesz?
— Nie. Dziękuję — odpowiedziała sucho.
Wyjęła papierosa i zapaliła. Dym powoli snuł się jej z ust. Joe stanął przed nią.
— Chodź, napij się — nalegał. — To cię wprawi w dobry nastrój przed występem.
— Jakim występem? — spytała lodowato. Zataczając się, nadeszła Evelyn.
— Opowiadaliśmy twojemu chłopakowi o naszych występach. Joe wpadł na pomysł, żeby zrobić dla niego małe przedstawienie. Może być niezła zabawa.
Mary zwróciła się do Gordona, ignorując dziewczynę.
— Powiedzieli ci. — Bardziej stwierdziła, niż zapytała. Pokiwał głową.
— Wysłuchałeś ich, nie dając mi szansy, żebym się wytłumaczyła?
Wyciągnął rękę z fotografiami.
— Te zdjęcia mówią same za siebie. Niczego nie musiałem słuchać.
Zerknęła przelotnie i oddała zdjęcie Gordonowi. Rzucił je na stół i odwrócił się, nie będąc w stanie spojrzeć Mary w oczy.
— Powinnaś była mi powiedzieć — mruknął.
— Nie pozwoliłeś mi. Ile razy zaczynałam, mówiłeś, że nie obchodzi cię, kim byłam. Powiedziałeś, że wiesz o mnie dosyć.
Nic nie odrzekł.
Wtedy popatrzyła na Joe'go.

— Ten sam stary Joe — powiedziała ostro. — Gotów na wszystko za jednego dolca. Mam nadzieję, że tym razem ci się opłaciło.

— Nie wściekaj się, kochana — odparł, zbliżając się. — Już po wszystkim. Możemy występować razem jak kiedyś. — Starał się złapać Mary za ramię. Zamierzyła się tak szybko, że nawet nie zauważył. Wstrząsnął się, a na twarzy wykwitła mu białoczerwona plama w miejscu, gdzie uderzyła go otwartą dłonią. — Ty dziwko! — wrzasnął podchodząc groźnie. — Ja cię nauczę!

— Naucz mnie — zachęciła cicho z szyderczym uśmiechem. Stanął jak wryty z oczami wlepionymi w dłoń Mary. Ostrze lśniło w padającym świetle. Wycofał się.

— Mary! — zawołał Gordon.

Odwróciła się i zaczęła mówić, zła i głęboko zraniona:

— Jesteś tak samo podły, jak oni. Mnie nie chciałeś słuchać, ale wysłuchałeś pierwszego lepszego, jaki przyszedł opowiedzieć ci swoją historyjkę. Czy ci powiedzieli, jak uciekli i zostawili mnie w mieszkaniu bez grosza i bez odzieży? Ale musiałeś się uśmieć!

Słuchał milcząco i patrzył Mary w oczy.

— Nie powiedzieli ci jedynie tego, czego sami nie wiedzieli. Kiedy się wynieśli, stałam się dziwką. Musiałam. Żeby spłacić dług za mieszkanie i żyć. I dobrze mi się powodziło. Czterdzieści dolarów dziennie. Właśnie tym się zajmowałam, kiedy mnie poderwałeś!

— Nie, Mary — jęknął.

— Ale nie wystarczyło ci, że cię zostawiłam. Musiałeś mnie szukać. Musiałeś zrobić z tego coś wielkiego. — Głos Mary nagle się załamał i stał bardzo cichy. — To ja byłam frajerką, nie ty. Myślałam, że mam coś najlepszego, prosto od McCoya. Myślałam, że chociaż raz w życiu coś na tym świecie przeznaczone jest dla mnie. Myliłam się.

Okręciła się na pięcie i poszła w stronę drzwi. Gordon złapał ją za rękę.

— Mary! — zawołał z dziwnym poczuciem winy. Spojrzała mu w oczy z nikłą iskierką nadziei.

— Zatrzymujesz mnie, Gordon? — zapytała.

Nie odpowiedział i światelko w oczach dziewczyny zgasło.

Strząsnęła rękę Gordona z ramienia i szybko wyszła. Przez chwilę stał i wpatrywał się w drzwi, potem odwrócił się do pozostałych.

Joe zmusił się do uśmiechu.

— Bez niej będzie ci lepiej, stary. Gordon przez chwilę nie odpowiadał. Kiedy przemówił, sam nie poznawał własnego głosu. Był zachrypnięty i pełen nienawiści.

— Zjeżdżajcie! — krzyczał. — Wynoście się, dopóki was nie pozabijam!

Potykała się i widząc jak przez mgłę, biegła w dół podjazdem. Długo hamowane łyzy spływały po policzkach. Obok odezwał się cichy głos:

— Czy mam zatrzymać autobus, panno Mary? Odwróciła się. Stary, czarnoskóry człowiek patrzył na nią

wszystko rozumiejącymi oczami. Potrząsnęła głową

— Nie. Dziękuję, Tom — odpowiedziała łamiącym się głosem. — Myślę, że się trochę przejdę.

— Pójdę kawalek z panią, jeżeli pani pozwoli, panno Mary — zaproponował cicho i uprzejmie. — To odludna okolica w nocy.

— Dam sobie radę. Nie boję się.

— Oczywiście, że da sobie pani radę. Już dawno nie widziałem takiej prawdziwej kobiety.

Milczała przez moment i nagle zrozumiała wszystko.

— Wiedziałaś od początku — rzekła z zastanowieniem. Pokiwał głową.

— Nic mu nie powiedziałaś. Dlaczego? Spoglądał dziewczynie prosto w oczy.

— Już mówiłem. Bo jest pani prawdziwą kobietą. Pan Gordon to tylko chłopiec.

Miałem nadzieję, że pani na niego wpłynie. Ale gdzie tam. Nic się nie zmienił.

— Dziękuję, Tom — zaczęła się oddalać. Pobiegł za nią.

— Mam trochę pieniędzy, panno Mary — powiedział szybko. — Na wszelki wypadek.

Po raz pierwszy tego wieczoru ogarnęło ją przyjemne ciepło. Odruchowo złapała starego człowieka za rękę.

— Poradzę sobie, Tom.

— Tak mi przykro. Strasznie przykro — stwierdził, spuszczaając wzrok.

Chwilę patrzyła na starego, a potem uśmiechnęła się serdecznie i przyjaźnie.

— Zmieniłam zdanie, Tom. Możesz coś dla mnie zrobić.

— Co, panno Mary?

— Jadę do domu. Zatrzymaj jakiś autobus.

— Dobrze, panno Mary.

Obserwowała go, jak biegł ulicą w stronę głównej alei, gdzie panował duży ruch. Wyjęła następnego papierosa i zapaliła. Zaciągając się głęboko, spojrzała w niebo.

Nisko nad oceanem wisiał księżyc, a gwiazdy świeciły jasno.

Wiał ciepły, wieczorny wiatr od morza, przynosząc z sobą oddalony huk przybrzeżnych fal. Nagle zdusiła papierosa i rzuciła do rynsztoka. Zdecydowała się. Miała już dość Florydy. Wraca do Nowego Jorku. Tutaj gwiazdy świecą zbyt jasno.

Rozdział 13

Mike podniósł głowę znad książki. Przetarł oczy. Bolały go i piekły. Zerknął w okno. Ciągłe padał śnieg. W pokoju obok zadzwonił telefon. Słyszał, że matka z kimś rozmawia.

Powoli zamknął książki. Zbliżała się pora wyjścia do pracy. W tym miesiącu pracował na nocną zmianę. Wstał i poszedł do łazienki. Przybory do golenia były już rozłożone na umywalce.

Mydlił właśnie twarz, kiedy w drzwiach łazienki stanęła matka.

— Zrobię ci śniadanie, synku — powiedziała.

— Dzięki, mam — odparł, biorąc do ręki brzytwę i zaczynając golenie.

Tkwiała w progu i patrzyła. Dopiero po chwili zdał sobie z tego sprawę.

— Q co chodzi, mam?

Potrząsnęła głową i miała już wyjść, ale odwróciła się z powrotem. ^

— Nie spałeś wiele. Słyszałam cię jeszcze o trzeciej.

— Nie byłem zmęczony. No, i musiałem przeczytać te książki. Za parę miesięcy mam egzaminy w szkole policyjnej. Nie chcesz chyba, żebym był rekrutem przez całe życie, co?

— Nie. Ale wolałabym, żebyś bardziej przypominał innych chłopców. Dobrze by ci zrobiło, gdybyś wyszedł od czasu do czasu, a nie siedział ciągle z nosem w książkach. Jest przecież ta córka Gallaghery, tego aptekarza. Codzienie spotykam ją na ulicy i za każdym razem pyta o ciebie.

— Mam, mówiłem ci tysiąc razy, że nie mam czasu na dziewczyny — odrzekł niecierpliwie.—Później o tym pomyślę. Teraz mam za dużo pracy.

Napotkała wzrok syna w lustrze.

— Gdyby to była ta Marja, miałbyś czas. Mike poczuł, że się rumieni.
— Zapomnij o niej, mamó. Powiedziałem przecież, że to się już skończyło.
Popatrzyła na syna łagodnie.
— Ja mogę o niej zapomnieć — powiedziała, odwracając się — ale ty?
Słuchał oddalających się kroków, potem spojrział w lustro. Bezmyślnie pociągnął brzytwą. Policzek zaszczypał boleśnie.
— Niech to cholera! — zaklął głośno.
Sięgnął po ałunową chustkę do tamowania krwi i przyłożył ją do rany, piekła jak ogień. Marja — pomyślał. Marja. Zastanawiał się, czy matka miała rację. Wytarł twarz i podszedł do okna. Ciągle padało.
Co teraz robi Marja?
Duży zegar w holu wskazywał ósmą, kiedy Mary wyszła z hotelu. Śnieg przykrył ulicę białą pierzyną i stłumił wszystkie odgłosy. Skreśliła w Czterdziątą Dziewiątą Ulicę, w kierunku Szóstej Alei. W okolicy Centrum Rockefellera powinien panować większy ruch.
Tam pracowało się na wyższym poziomie. Turyści i urzędnicy w takiej dzielnicy mogli wydać więcej pieniędzy. Na Broadwayu, Siódmej i Ósmej Alei brało się dwa dolary od numeru. Dopiero na Szóstej Alei dziewczyna miała szansę zażądać pięciu albo nawet dziesięciu.
Spojrzała w niebo. Nadal walił gęsty śnieg. Nie będzie dziś dużo pracy — pomyślała. Nie mogła sobie jednak pozwolić na pozostanie w hotelu. Brakowało jej już pieniędzy, a za parę dni wypadnie uregulować rachunek za pokój. Szła powoli zwrócona twarzą w stronę sklepowych wystaw pozornie zainteresowana towarami.
W rzeczywistości okna wystawowe spełniały rolę luster. Przyglądała się dokładnie każdemu mężczyźnie i, wiedzona niezawodnym instynktem, oceniała. Skreśliła w lewo, w Szóstą Aleję i powolnym krokiem doszła do rogu Pięćdziesiątej Ulicy. Nie spotkała prawie nikogo. W małej kafejce na rogu zamówiła filiżankę kawy.
Usiadła przy oknie, skąd mogła obserwować wejście do Musie Hallu po przeciwnej stronie ulicy. Wiedziała, że za mniej więcej dwadzieścia minut zacznie się przerwa między spektaklami. Tłum ludzi wylewał się wtedy z teatru i często można było coś upolować. Przyjezdne dziewczyny z prowincji kręciły się

zwykle przed wcześniejszym przedstawieniem, żeby w nocy już nie pracować. Kończyła kawę, kiedy ukazali się pierwsi widzowie. Szybko dopiła gorący napój i wyszła na ulicę. Stała w rogu teatralnego holu tak, jak gdyby na kogoś czekała. Zbliżała się bileterka. Mary zerknęła niecierpliwie na zegarek, zmęczona czekaniem. Ludzie przechodzili obok. Dziesiątki anonimowych twarzy. Tłum zaczął się przersedzać. Jeszcze kilka minut i znowu będzie musiała wyjść na śnieg. Na nic się tego dnia nie zanosilo.

Miała już odejść, kiedy odruchowo popatrzyła przed siebie. Po przeciwnej stronie stał mężczyzna i przyglądał się jej. Spojrzała szybko na buty nieznanego. Brązowe. Natychmiast poczuła się bezpieczniej. Policjanci chodzili w czarnych butach. Podniosła obojętny wzrok na twarz mężczyzny, potem odwróciła się i powoli wyszła na ulicę.

Zatrzymała się na rogu, czekając na zmianę świateł. Bez oglądania się wiedziała, że mężczyzna idzie za nią. Kiedy rozbłysło zielone, przeszła na drugą stronę ulicy i weszła do budynku Centrum Rockefellera. Wspięła się po kilku stopniach i stanęła przy oknie. Dostrzegła w szybie, że mężczyzna mija ją i również zatrzymuje się przy oknie, nieco dalej. Wyminęła go powoli, przeszła przez obrotowe drzwi i schodami ruszyła na piętro. Przeszedłszy obok poczty przystanęła przed restauracją. Okna lokalu były do połowy zamalowane na czarno, tak że nie było widać, co się dzieje w środku. Otworzyła torebkę i wyjęła papierosa. Zamierzała właśnie zapalić, gdy obok pojawił się płomyk zapalki. Ręka mężczyzny drżała lekko, gdy dziewczyna podniosła oczy. Miał okrągłą, gładką twarz i ciemne oczy. Wydawał się w porządku.

— Dziękuję — powiedziała, zapalając papierosa.

— Mogę postawić pani drinka? — zapytał ciężkim, gardłowym głosem, uśmiechając się.

Uniosła brwi pytająco.

— Czy to wszystko, czego pan chce? — spytała przyjaźnie, wcale nie urażona. ^
Mężczyzna zdawał się tracić głowę.

— Nie, nie — wyjąkał. — Ale...

— To po co te dodatkowe koszty? — Uśmiechnęła się. — Nie musi pan na mnie wydawać pieniędzy.

Chrzęknął i wyprostował się, mając nadzieję, że uchodzi za człowieka światowego.

— Hmm... a za ile?

— Dziesięć dolarów — powiedziała szybko, patrząc uważnie, gotowa obniżyć cenę, gdyby się wahał.

— O.K.

Z uśmiechem wzięła mężczyznę pod ramię. Wyszli na ulicę. Zaprowadziła go pod hotel.

— Nie ma nic piękniejszego jak śnieg zimą — stwierdziła.

— Tak.

— Tyle że nie w mieście. Zaraz robi się chlapa. I nici z całej zabawy.

— Ja tam się dobrze bawię — zażartował. Roześmiała się i mocniej ścisnęła go za rękę. Nie był znowu taki tępy.

Byli już blisko hotelu.

— Wchodzę tutaj — powiedziała. — Proszę mi dać pięć minut, a potem przyjdź do pokoju 209 na drugim piętrze. Jasne?

Pokiwał głową. Dwieście dziewięć. Pięć minut.

Miała na sobie kimono, kiedy zapukał do drzwi. Otworzyła szybko. Tkwił w progu niezdecydowany.

— Proszę.

Wszedł powoli i stanął na środku pokoju, podczas gdy Mary zamykała drzwi i przekręcała klucz w zamku. Odwróciła się do mężczyzny.

— Płaszcz — powiedziała.

— Ach, tak.

Zjął płaszcz i wręczył dziewczynie. Powiesiła go na wieszaku, a wieszak na drzwiach. Kiedy się odwróciła, był już bez marynarki i rozluźniał krawat. Uśmiechnęła się i usiadła na brzegu łóżka kołysząc nogami. Patrzyła, jak zdejmował koszulę. Pod skórą grały mięśnie.

— Jak ci na imię? — zapytał.

— Mary.

— Co się stało, że zaczęłaś to robić, Mary? Zbyt miła z ciebie dziewczyna, żeby...

Zrobiła znudzoną minę. Wszyscy pytali o to samo. Czasami miała nawet wrażenie, że przyszli raczej wysłuchać jej historii, niż dostać coś innego.

Wzruszyła ramionami.

— Dziewczyna musi jeść — oznajmiła. Zaczął odpinać pasek.

— Nie zapomniałeś o czymś?

Spojrzał zaskoczony, ale po chwili zrozumiał.

— Tak — odrzekł, wkładając rękę do kieszeni. Wręczył banknot dziewczynie.

Włożyła pieniądze do torebki na toaletce. Zrzuciła z siebie kimono i wróciła do łóżka. Zupełnie naga wyciągnęła się na pościeli i czekała.

Stał nadal w spodniach i przyglądał jej się.

— Chodź. Na co czekasz?

Oblizwał wargi końcem języka. Powoli znowu sięgnął do kieszeni, i wyjął mały, czarny, skórzany portfel. Błysnęła srebrna odznaka. Odwrócił twarz.

— Detektyw Millersen z obyczajówki. Jest pani aresztowana. Proszę się ubrać.

Usiadła szybko. Serce waliło jej jak młotem. To się musiało kiedyś zdarzyć.

Wiedziała o tym. Ale dlaczego tak prędko? Zmusiła się do uśmiechu.

— Pomyliłam się, panie inspektorze. To będzie na koszt firmy.

Potrząsnął głową.

— Proszę się ubrać — polecił, nie patrząc na nią.

— Jak na glinę jest pan bardzo przystojny — stwierdziła zbliżając się.

Odsunął się i stanął pod drzwiami. Wkładał koszulę.

— Nie fatyguj się, siostrzyczko — powiedział spokojnie. — Równie dobrze możesz coś na siebie włożyć.

Powoli zaczęła się ubierać.

— Ile mi za to grozi? — zapytała.

— To pierwsze wykroczenie?

Kiwnęła głową, usiłując zapiąć haftkę na plecach. Za bardzo trzęsły jej się ręce.

— Bądź miłym facetem, dobrze? — poprosiła. — Zapomnij na chwilę o swojej odznace i zapnij mi sukienkę.

Obszedł Mary dookoła i zapiął haftkę.

— Trzydzieści dni.

— Jakie trzydzieści dni? — zdziwiła się, zdążywszy już zapomnieć, o co pytała.

— Trzydzieści dni za pierwsze wykroczenie — powtórzył, podchodząc do drzwi.

- ojej! — zawołała. — Jaki mamy dzisiaj dzień?

— 27 lutego.

Otworzyła drzwi szafy i wyjęła palto.

— Nadchodzi marzec. — Odwróciła się do policjanta. — Da mi pan trochę czasu na spakowanie rzeczy? Zna pan te tanie, brudne hotele. Za trzydzieści dni po moich rzeczach nie będzie śladu.

— Dobrze, ale proszę szybko.

— Patrzył, jak wyjmowała z szafy walizkę. Nie było zbyt

wiele do pakowania. Wszystko się zmieściło. Zatrzasnęła wieko.

— Jestem gotowa. Dziękuję.

Uchylił drzwi i wyszli z pokoju. Spojrzała mu w oczy.

— Musi być jakiś łatwiejszy sposób zarabiania na życie — stwierdziła.

Zerknął na nią z nagłym szacunkiem. Miała jednak charakter.

— Musi — przytaknął ponuro.

Złapała go pod ramię, jak gdyby byli parą przyjaciół udających się na spacer.

— Miałam na myśli: dla nas obojga — powiedziała cicho i matowym głosem.

Obywatele stanu Nowy Jork przeciw

Maryann Flood

Przeszedłem powoli przed ławą przysięgłych. Patrzyli ciekawie, kiedy zbliżyłem się do sędziego, żeby odpowiedzieć na złożony przez Vito wniosek w sprawie oddalenia oskarżenia jeszcze przed przesłuchaniem świadków obrony. Miałem nadzieję, że mnie słyszą, chociaż mówiłem cicho.

— Istnieją dwie rzeczy, o których w każdym sądzie należy pamiętać. Są to: wina moralna i wina udowodniona. Karać możemy jedynie za winę udowodnioną. Jednak zdarza się bardzo rzadko, że wina moralna i wina udowodniona są sobie tak bliskie.

Bardzo starannie przedstawiliśmy sądowi i sędziom przysięgłym oskarżenie przeciw obecnej tu podsądnej. Wszystkie zostały szczegółowo udokumentowane poprzez fakty, dowody i świadków. Sprawa wniesiona z oskarżenia publicznego zaprezentowana została bez zbędnego dramatyzmu i zajmowania się bzdurami. Przeciwnie, kierowało nami głębokie poczucie odpowiedzialności wobec wszystkich zainteresowanych stron. Podczas spełniania obowiązku obce nam były strach i stronniczość. W wyniku takiego, a nie innego postępowania udało nam się zbadać strukturę przestępstwa, w którym oskarżona brała niezaprzeczalny udział.

Obywatele stanu Nowy Jork oczekują od sądu sprawiedliwości. Sprawiedliwość, w tej chwili, można wymierzyć, odrzucając wniosek obrony.

Oddaliwszy się od ławy przysięgłych, zatrzymałem się pośrodku sali. Rozległ się głos sędziego:

— Wniosek oddalony.

Natychmiast zawrzało jak w piekle. Za moimi plecami wybiegali z sali reporterzy, żeby donieść swoim redakcjom o nowinach. Sędzia uderzył młotkiem. Wreszcie był w stanie usłyszeć swój głos.

— Odracza się posiedzenie sądu do jutra do godziny dziesiątej rano.

Wszedłem do biura spocony jak szczur i padłem na krzesło. Joel i Alec wkroczyli tuż za mną.

— Musisz się napić, człowieku — zawyrokował Joel, przyglądając mi się badawczo.

Skinałem głową i przymknąłem oczy. Potrzebowałem czegoś więcej. Nie miałem pojęcia, jak przebrnę dwa następne tygodnie, podczas gdy Vito będzie prezentował swoich świadków. Czułem, że brak mi już sił.

— No, bierz — powiedział Joel.

Otworzyłem oczy, wziąłem szklanę i wlałem całą zawartość do gardła. Czułem, jak rzeka ognia spływa mi do wnętrzości. Zakaszlałem.

— Stuprocentowy burbon — rzekł. Popatrzyłem na Joela.

— Dzięki Bogu, że to się już skończyło — stwierdziłem.

— Byłeś dobry. Naprawdę dobry — pochwalił Alec.

— Dzięki. Ale nie musisz tego mówić. Sam wiem, jak fatalnie wypadłem.

— Wcale nie było tak źle — odezwał się nowy głos. Odwróciliśmy się wszyscy zdziwieni. Zerwałem się na nogi.

— Szef!

— Całkiem nieźle, powiedziałbym. — Uśmiechnął się. Alec i Joel wymienili spojrzenia. Były to słowa najwyższej pochwały, jaką kiedykolwiek usłyszeli od Starego.

— Dziękuję, sir — powiedziałem. Podniósł rękę.

— Nie dziękuj mi. Jeszcze daleko do końca. Vito nadal ma szansę. Nigdy nic nie wiadomo do momentu, kiedy wrócą przysięgli.

— Doskonale pan wygląda, sir — stwierdził Joel. Spojrzałem szybko. A więc wszystko wróciło do normy.

Polityka jak zwykle.

— Czuje się całkiem dobrze — wybrnął z sytuacji Stary. Wyjął paczkę papierosów i wziął jednego do ust. Alec prawie złamał palec, prześcigając Joela w podaniu ognia.

Uśmiechnął się do siebie. Normalność wraca w przyśpieszonym tempie.

Poczułem się lepiej. Może to whisky rozgrzała mi żołądek?

— Jak myślisz, co Vito zrobi? — zapytał mnie Stary.

— Nie wiem, sir. — Potrząsałem przecząco głową.

— Nie podoba mi się jego wygląd — powiedział Stary. — Wygląda, jak gdyby niczym się nie przejmował.

— On zawsze tak wygląda, obojętnie, czy ma coś w zanadrzu czy nie — wtrącił się Joel.

Stary rzucił mu miażdżące spojrzenie.

— Znam Hanka Vito od prawie dwudziestu lat — oświadczył. — Potrafię się zorientować, kiedy gra komedię. Tym razem nie gra. Chowa coś w rękawie. — Zaciągnął się dymem. — Dałbym sobie wyciąć jeszcze jeden wyrostek, żeby wiedzieć, co kombinuje.

Przez chwilę milczeliśmy i każdy starał się przypomnieć sobie jakąś okoliczność, którą przegapiliśmy. W końcu Stary wstał.

— No, cóż — powiedział — nie sądzę, żeby nam dał długo czekać.

Prawdopodobnie zaskoczy nas z samego rana.

— Dlaczego pan tak myśli, sir? — zapytał Joel. Stary podszedł do drzwi i odwrócił się w naszą stronę.

— Nie wezwał do stawienia się przed sądem żadnych świadków na jutro. Ani jednego.

Spoglądaliśmy po sobie zdumieni. Alec pierwszy złapał oddech. Stwierdzenie Starego wykazało naszą nieudolność. Spojrzał bystro na całą trójkę.

— Gdyby któryś z was trochę ruszył głową, to można było to sprawdzić przed wyjściem z sali — powiedział, znikając na korytarzu.

Joel pierwszy skapo wyraził swój podziw.

— Tyle trzeba temu staremu piernikowi oddać — rzekł szczerze. — Może być stary, ale rozumu nie stracił.

Tego wieczoru zostałem w biurze do jedenastej. Przeglądałem dokumenty dotyczące sprawy. Zrobiłem wszystko. Sprawdziłem dane, jakie posiadaliśmy o jego świadkach. Przejrzałem pytania, jakie zadał świadkom oskarżenia. Nigdzie, w żadnym posiadanym przez nas dokumencie, nie mogłem trafić na ślad czegoś, co pomogłoby mi zrozumieć tok jego postępowania. W końcu zamknąłem biurko i zdjąłem płaszcz i kapelusz z wieszaka.

Byłem zmęczony, ale nie chciało mi się spać. Na zewnątrz panował przenikliwy chłód, lecz zdecydowałem się pójść kawalek pieszo, w nadziei, że świeże powietrze rozjaśni mi umysł. Poszedłem Broadwayem.

Z tej strony Broadway jest ciemną i pustą ulicą. Daleko od strony śródmieścia widziałem przymglone światła dochodzące z rzęsiście oświetlonego Times Square. Wokół mnie biurowce, wielkie i czarne, majaczyły w świetle nocy. Nieliczne okna biur, gdzie pracowały jeszcze sprzątaczkę, rzucały skąpe światło.

Postawiłem kołnierz, żeby osłonić się od wiatru i ruszyłem

szybko przed siebie. Minawszy cztery przecznice, zauważyłem samochód posuwający się wolno tuż za mną. Spojrzałem ciekawie, ale nic nie zobaczyłem. Było zbyt ciemno.

Szedłem dalej zatopiony w myślach. Kiedy dotarłem do następnego skrzyżowania, samochód skręcił przede mną. Zdażyłem uskoczyć na chodnik, klnąc strasznie.

Wybuch śmiechu dotarł do moich uszu. Znałem ten śmiech. Złapałem za klamkę i otworzyłem przednie drzwiczki.

Siedziała za kierownicą. W nikłym świetle tablicy rozdzielczej dojrzałem błysk białych zębów.

— Cześć, Mike — powiedziała swoim matowym głosem.

— Marja! — nie mogłem ukryć zdumienia w głosie. Sterczałem jak przymarznięty do krawężnika.

— Wsiadaj — rzekła. — Podwiozę cię.

Po krótkim wahaniu wsiadłem. Natychmiast wrzuciła bieg i ruszyliśmy.

Przyglądałem jej się cały czas.

Na następnym skrzyżowaniu musieliśmy stanąć. Odwróciła się i popatrzyła na mnie.

— Długo pracujesz — stwierdziła. — Czekałam na parkingu od szósej.

— Dlaczego mnie nie zawiadomiłaś? — zapytałem złośliwie. — Nie pozwoliłbym ci czekać.

— O ho ho! — odparła ruszając. — Ten człowiek oszalał. Wyjąłem papierosa i zapaliłem. W blasku zapalki włosy miała prawie białe. Uśmiechała się ze spokojem, milczała i prowadziła niedbale oraz nieostrożnie. Po chwili odezwała się.

— Byłeś dzisiaj bardzo dobry — oznajmiła, jak gdyby to nie ona była przedmiotem procesu.

— Dziękuję.

Skręciła w boczną ulicę, zjechała na pobocze i wyłączyła silnik. Wyjęła papierosa, więc podałem jej ogień. Spojrzała mi w oczy nad płomieniem.

— To już tyle czasu, Mike. Pokiwałem głową.

— Chyba już gdzieś to słyszałem.

Zanim zapalka zgasła, spostrzegłem we wzroku Marji dziwny wyraz. Ucieszyłem się. Nie sądziłem, że ktokolwiek w stanie ją zranić.

Położyła dłoń na mojej dłoni.

— Nie walczmy ze sobą, Mike.

— A jak myślisz, co robimy od momentu rozpoczęcia procesu? — zapytałem ze złością. — To nie zabawa.

— Jest jeszcze coś. To nie dotyczy nas osobiście.

Czułem, jak oczy Marji mnie przyciągają. Oszołomiony zacząłem się pograżać. Nic się nie zmieniła, ani na jotę. Pochyliłem się i pocałowałem ją. Ciepłe i miękkie usta. Twardość zębów za wargami. Ogarnął mnie żar namiętności. Cofnąłem się. Musiałem chyba oszaleć.

Nie otwierała powiek.

— Mike — szepnęła. Poszukała mojej dłoni i trzymała ją mocno. — Dlaczego nam musiało się to zdarzyć?

Zaciągnąłem się papierosem.

— Nie wiem — odrzekłem szorstko. — Sam wiele razy się zastanawiałem.

Powoli otworzyła oczy. Nigdy przedtem nie wydawały mi się tak łagodne.

— Dziękuję. Bałam się, że się zmieniłeś. Nic nie powiedziałem.

— Jak twoi rodzice? — zapytała po chwili.

— Ojciec zmarł dwa lata temu. Atak serca — odparłem, patrząc w innym kierunku.

— Tak mi przykro — szepnęła. — Nie wiedziałam. A matka? Zerknąłem szybko, chcąc odgadnąć, czy zdaje sobie sprawę

z uczuć, jakimi darzy ją matka. Znowu spojrzałem w bok. Nie domyślała się. Skąd miałyby wiedzieć?

— Mama w porządku. Jest teraz na wsi. Wróci za parę tygodni.

Znowu milczeliśmy. Papierosy spaliły się i wyrzuciłem swój przez okno.

Wydawało się, że zabrakło nam tematu do rozmowy.

— Słyszałem, że masz córkę.

— Tak — uśmiechnęła się.

— Musi być bardzo ładna. Każde twoje dziecko musiałyby być takie.

Popatrzyła dziwnie i bardzo cicho powiedziała:

— Ona jest ładna.

Ponownie zapanowała cisza. Chciałem opowiedzieć milion rzeczy, zadać tysiąc pytań, ale milczałem speszony upływem czasu i okolicznościami. Chrząknąłem.

— Co, Mike?

— Nic nie mówiłem — stwierdziłem zakłopotany.

— Aha.

Nadjechał wóz policyjny i zaświecił nam do wnętrza samochodu. Zwalczyłem odruch, żeby podnieść ręce i zasłonić twarz. Pojechali dalej.

— To szaleństwo — powiedziałem.

— Lubię szalone rzeczy.
— Ja nie. To zawsze była jedna z różnic między nami.
— Nie praw mi kazań. Nasłuchałam się ich dosyć przez parę ostatnich tygodni.
— Dlaczego, Marjo? Dlaczego?
— Stało się. — Wzruszyła ramionami.
— Ale dlaczego to się nie przytrafiło jakiejś innej parze ludzi? Dlaczego akurat nam?

Nie odpowiedziała.

Przechyliłem się i ze złością przekręciłem kluczyk w stacyjce.

— Jedziemy.

Posłusznie ruszyła. Wyjechaliśmy na główną ulicę.

— Dokąd?

— Możesz mnie wysadzić na rogu Broadwayu i Canal. Złapię taksówkę.

— Dobrze.

Po paru minutach dotarliśmy na miejsce i zjechaliśmy na pobocze. Byłem już jedną nogą na ulicy, kiedy zaczęła mówić. Spojrzałem na nią. Światła padające z pobliskiej wystawy tańczyły po jej twarzy. Widziałem szerokie kości policzkowe, duże usta i poruszające się lekko nozdrza.

— Chciałabym, żeby to była inna para ludzi, Mike.

— Za późno o tym mówić.

— O tym nie. — Nabrała głęboko powietrza.

— O czym?

Pochyliła się szybko i musnęła mój policzek.

— Kocham cię. Zawsze byłeś tylko ty. Bez względu na to, co się działo. Nigdy nie znałam nikogo lepszego.

Samochód ruszył z rykiem silnika i zostałem na ulicy, patrząc w ślad za nim.

Tylne światła zniknęły za rogiem i poszedłem na postój taksówek.

Nadal czułem delikatny dotyk ust i zapach perfum. Nie rozumiałem. Nigdy nie miałem zrozumieć. Im więcej ją znałem, tym znałem ją mniej.

Na przykład wtedy podczas wojny. To był cudowny weekend. Miała wtedy być moja. Wiedziałem tó. Czułem. Ale wyjechała z Rossem. Potarłem grzbiet nosa. Nie potrzebowałem lepszej pamiątki. To Ross mi go złamał.

Wsiadłem do taksówki i podałem kierowcy adres. Rozsiadłem się wygodnie. Tyle lat. Tyle rzeczy się zmieniło. Ross nie żyje. Nic nie jest takie samo.

Nic, oprócz tego, co do niej czułem.

CZĘŚĆ TRZECIA
M A R Y A N N

Rozdział 1

Pucybut już czekał, kiedy Henry Vito dotarł do biura. Wszedł żywym krokiem, rzucił palto na małą, skórzaną kozetkę i usiadł za biurkiem.

— Dzień dobry, Tony — powiedział, stawiając stopę na stołeczku pucybuta i biorąc pierwszą gazetę z wysokiego stosu.

— Bon giorno, Signor Vito — odpowiedział chłopiec, polerując but gałgankiem.

Vito rzucił okiem na gazetę. Tytuły na pierwszej stronie były takie same jak wczoraj. Niemcy wycofali się w Północnej Afryce albo parli do przodu, i tak w kółko całą wiosnę 1943 roku. Cisnął gazetę do kosza i zabrał się za poranną pocztę. Nic ważnego. Słyszając pukanie chłopca w stołeczek, nerwowo zmienił nogę i spojrzał w okno.

Po drugiej stronie ulicy był park, a za parkiem szare gmachy sądu. Poczul się jak gladiator spoglądający na arenę. Zawsze tak było od czasów, kiedy wyrósł z dzieciństwa spędzonego we włoskiej dzielnicy. Występować w imieniu władzy — oto prawdziwe wyzwanie. Okpić prawo można stosunkowo łatwo, ale najlepsza zabawa jest dopiero wtedy, kiedy uda się je przechytrzyć za pomocą jego własnych norm i paragrafów. Uwalnianie sumień od poczucia winy okazało się intratną profesją.

Następne pukanie w stołeczek oznajmiło koniec czyszczenia butów. Rzucił chłopcu ćwierćdolarową monetę i wrócił do biurka. Zadzwoił telefon.

— Jakaś Maryann Flood chce się z panem zobaczyć — odezwał się głos recepcjonistki.

Nazwisko brzmiało obco.

— A czego chce?

— Klientka — zabrzmiała lakoniczna odpowiedź. — Twierdzi, że ktoś jej pana polecił.

— Kto?

— Powie, jeżeli pan ją przyjmie. Poza tym płaci w gotówce, i z góry.

Vito uśmiechnął się do siebie. Kimkolwiek była, wiedziała, jak załatwić interesy.

— Przyjmę ją.

Po chwili otworzyły się drzwi i weszła sekretarka, a za nią młoda kobieta. Vito podniósł się.

— Pan Vito, panna Flood — dokonała prezentacji sekretarka. Kobieta podeszła z wyciągniętą ręką. Uścisk był silny

i niewymuszony, jak uścisk ręki mężczyzny, jednak elektryzujące ciepło dłoni świadczyło niezbicie, że miało się do czynienia z kobietą.

— Dziękuję, że zechciał mnie pan przyjąć. — Głos miała niski i pięknie modulowany.

— To dla mnie przyjemność — powiedział, wskazując krzesło po drugiej stronie biurka. — Proszę usiąść.

Sekretarka wzięła palto Vito z kanapki i wyszła. Usiadł i przyglądał się klientce.

Ubrała się w lekki tweedowy kostium, odpowiednio dobrane palto i białą, jedwabną bluzkę widoczną pod spodem. Ani śladu biżuterii i makijażu, jeżeli nie liczyć delikatnego cienia szminki na ustach. Osadzone szeroko wielkie oczy były ciemnobrązowe, prawie czarne. Spod miękkiego, kremowego beretu wymykały się pasemka jasnych włosów.

Vito szczyił się swoją umiejętnością oceniania klientów. Ta dziewczyna miała klasę. Zjawiała się w sprawie brata albo innego znajdującego się w opałach krewnego. Takie sprawy lubił. Oznaczały duże pieniądze. Uśmiechnął się.

— Czym mogę służyć, panno Flood?

Młoda kobieta nie od razu się odezwała. Wyjęła papierosa i czekała na ogień.

Obsłużył ją, upewniając się co do trafności swojego osądu. Tylko dziewczyny o wspaniałym pochodzeniu posiadały ten wielkopański zwyczaj czekania na ogień. Patrzył, jak delikatnie zaciąga się dymem.

— Słyszałam, że jest pan dobrym prawnikiem — powiedziała cicho. —

Najlepszym w Nowym Jorku.

Poczuł się dumny jak paw.

— To, co pani mówi, bardzo mi schlebia, panno Flood — odrzekł skromnie — ale niezupełnie odpowiada prawdzie. Po prostu robię, co mogę.

— Jestem pewna, że to więcej, niż ktokolwiek inny mógłby zrobić.

W oczach kobiety widać było rozbawienie.

Zauważył to i przeszedł do obrony. Nie chciał, żeby całe towarzystwo wzięło go na języki.

— Bardzo się staram, panno Flood — oświadczył lodowatym tonem.

— Dlatego do pana przyszłam, panie Vito — odparła, patrząc mu w oczy. — Potrzebuję adwokata, i to najlepszego.

— Dlaczego? — zapytał.

— Dzisiaj rano zadzwonił do mnie jeden z przyjaciół. Wydano nakaz aresztowania mnie. Ma to nastąpić dziś po południu — powiedziała zwykłym, pozbawionym emocji głosem.

Vito przeżył szok.

— Pani ma być aresztowana? Na jakiej podstawie? Nadal spoglądała adwokatowi prosto w oczy.

— Poważna kradzież po dopuszczeniu się aktu prostytucji. Przez chwilę Vito nie mógł wydobyć z siebie głosu.

— Co? — wykrztusił z trudem.

Uśmiechnęła się z prawdziwym rozbawieniem w oczach i powtórzyła stawiane jej zarzuty.

— Dlatego tutaj jestem.

Jeszcze nigdy tak bardzo się nie pomylił w ocenie klienta. Sięgnął po nowe cygareto, odgryzł czubek i przypalał tak długo, aż rozjarzyło się wiśniowym żarem. Odłożył zapalniczkę. Opanował się.

— Proszę opowiedzieć, co się stało — poprosił spokojnie.

— Wczoraj wieczorem, około jedenastej, byłam w barze w hotelu „Sherry”.

Chciałam wypić drinka przed pójściem spać. Podszedł do mnie jakiś mężczyzna. Był pijany i upierał się, żeby mi postawić drinka. Powiedział, że jest bardzo bogaty i dla podkreślenia swoich słów pomachał mi przed oczami plikiem banknotów. Wypiliśmy parę drinków. Potem poszliśmy do mnie i piliśmy dalej — mówiła obojętnym tonem, jak gdyby opowiadała o kimś innym. — Wyszedł około czwartej trzydzieści. Dał mi dwadzieścia dolarów, a ja mu całusa na dobranoc.

— Co się stało potem?

— Poszłam spać. Rano zadzwonił znajomy z policji. Powiedział, że ten mężczyzna zgłosił się rano do nich i wyklócił o nakaz aresztowania mnie.

— Wzięła pani pieniądze?

— Nie. Schował plik do kieszeni po odliczeniu dwudziestki dla mnie.

— Kto mnie polecił?

— Detektyw porucznik Millersen z posterunku przy Pięc

dziesiątej Czwartej Ulicy. Znam go od pięciu lat. On wie, że nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła.

Znał Millersena. Dobry policjant. Nie podsunałby mu śmierdzącej sprawy. Ale glina też może się mylić. Rzucił kobiecie bystre spojrzenie. , . ,

— Na pewno nie wzięła pani pieniędzy? Może pani mówić szczerze. Nie obchodzi mnie, czy pani wzięła czy nie. I tak poprowadzę sprawę. Chcę wiedzieć dla siebie. Wpatrywała mu się w oczy, nie zmrużywszy powiek. Powoli zdjęła beret i włosy złota, połyskliwą masą opadły wokół twarzy.

— Panie Vito — oznajmiła niskim, matowym głosem. — Jestem dziwką, a nie złodziejką.

Rozdział 2

— Panie Bell, ile pan wypił tego wieczoru, jeszcze przed spotkaniem panny Flood?

— Głos Vito był wyraźny i pozbawiony emocji. . .

Przysadzistej budowy mężczyzna, zajmujący miejsce dla świadków, spojrzał niepewnie na sędziego. Sędzia patrzył wprost przed siebie. .

— Nie wiem — odpowiedział Bell z napięciem. — Dużo piłem tego wieczoru. †

— Dziesięć drinków, dwanaście, dwadzieścia? — pytał Vito cierpliwie.

— Może dziesięć — przyznał świadek.

— Może dziesięć. — Vito odwrócił się do swojej klientki. Powoli skinęła głową.

Odwrócił się na powrót do świadka. — A ile drinków wypiliście razem w barze?

— Cztery? — odrzekł mężczyzna pytającym tonem.

— Zapewniam pana, że nie wiem, panie Bell — powiedział Vito złośliwie. — To pan tam był, nie ja.

— Kiedy nie jestem pewien.

— Nie jest pan pewien — powtórzył Vito. — Nie jest pan pewien, ile pan wypił przed spotkaniem mojej klientki, nie jest pan pewien, ile drinków wypiliście razem w barze. Czy przez przypadek pamięta pan, ile drinków wypiliście w jej mieszkaniu?

— Nie... nie wiem. Nie jestem pewien. Dużo wypilem tej nocy.

Vito uśmiechnął się.

— Tego wszyscy jesteście pewni, panie Bell.

Śmiech zabrzmiał na prawie pustej sali rozpraw. Vito odwrócił się do świadka.

— Zdaje się, że nie jest pan pewien niczego, co zdarzyło się tej nocy, panie Bell, prawda?

Bell poczerwieniał.

— Miałem w kieszeni tysiąc pięćset dolarów, kiedy noc się zaczynała — stwierdził ze złością. — Nie miałem pieniędzy następnego ranka.

— Kiedy pan zauważył ich brak, panie Bell?

— Gdy się obudziłem. Spojrzałem na stolik i wtedy zobaczyłem, że nie ma tam pieniędzy. Przeszukałem kieszenie. Zniknęły.

— Gdzie to było i o której godzinie?

— W moim hotelowym pokoju, o dziewiątej trzydzieści rano.

— I natychmiast zadzwonił pan na policję i zawiadomił o kradzieży?

— Nie. Ubrałem się i zjechałem do recepcji, żeby się dowiedzieć, czy ktoś nie znalazł tych pieniędzy.

— Wówczas zadzwonił pan na policję — powiedział Vito łagodnie.

— Nie. Zadzwoniłem do przedsiębiorstwa komunikacyjnego, poprosić, czy któryś z kierowców taksówek nie znalazł pieniędzy.

— Czy to były wszystkie pieniądze, jakie miał pan przy sobie, panie Bell?

Bell skinął głową.

— Tak. Nigdy nie trzymam w kieszeni drobnych. To za duży kłopot. Nie biorę reszty. Zawsze każę zatrzymać.

— To wszystko, panie Bell. — Vito odwrócił się i odszedł na miejsce.

Bell rozejrzał się zakłopotany, potem niezgrabnie podniósł się z krzesła dla świadków i wrócił do swojej ławki. Vito odczekał chwilę, potem wywołał następnego nazwisko. Powstał niski, chudy mężczyzna i wszedł za barierkę. Woźny przyjął przysięgę i świadek usiadł.

— Jaki jest pana zawód, panie Russo? — zapytał Vito.

— Jestem kierowcą taksówki — odpowiedział mężczyzna gardłowym głosem.

— Gdzie pan pracuje?

— W Shaggy Dogs Cab Company. Jeżdżę nocami.

— Czy rozpoznaje pan kogoś na tej sali?

— Tak, proszę wysokiego sądu — odrzekł Russo, rozglądając się dookoła. — Jego.
— Wskazał na Bella.
— Czy znał pan tego człowieka osobiście przed wejściem na tę salę?
— Nie. Rozpoznałem go, ponieważ wiozłem go pewnej nocy.
— Kiedy to było?
Russo popatrzył na przyniesiony arkusz papieru.
— Mam moją kartę drogową na tę noc. To było we wtorek w nocy, tydzień temu.
Vito wziął arkusz papieru z rąk świadka.
— Co to jest?
— To moja karta drogową. Zapisuję, gdzie ktoś wsiada i gdzie wysiada i ile wskazuje licznik. W ten sposób szef orientuje się w ilości przejechanych mil i wie, ile przejechałem bez pasażera. Zapisuję też czas każdej jazdy.
— Czy jazda z panem Bellem również znajduje się na tej karcie?
— Tak. Tutaj. Czwarta czterdzieści rano.
— Czwarta czterdzieści rano — odczytał Vito. — Róg Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy i Central Park West do hotelu „Sherry”. — Zerknął na świadka. — Czy to ten kurs?
— Tak.
— Sześćdziesiąt centów — odczytał Vito.
— Tyle było na liczniku — powiedział kierowca szybko.
— Jak pasażer panu zapłacił? — zapytał Vito, patrząc na świadka.
— Wyciągnął dolarowy banknot z całego pliku i kazał mi zatrzymać resztę.
Vito spojrział niewinnie na sędziego.
— Jeszcze jedno pytanie, panie Russo. W jakim stanie był pana pasażer? Czy był nietrzeźwy?
— Był pijany jak bela — odparł kierowca pośpiesznie.
— To wszystko, panie Russo. Dziękuję — powiedział Vito wpatrując się ciągle w sędziego.
Kiedy świadek opuścił już swoje miejsce, Vito pozwolił sobie na lekki uśmiezek. Rozbawiony sędzia odpowiedział porozumiewawczym błyskiem oka. Nieznacznie skinął głową w stronę adwokata.
Vito uśmiechnął się szeroko.
— Wnioskuje o oddalenie sprawy przeciw mojej klientce na podstawie zupełnego braku jakichkolwiek dowodów przestępstwa.
— Sąd przychyliła się do wniosku obrony. Sprawa oddalona.

— Dziękuję wysokiemu sądowi. — Vito odwrócił się do Maryann, podczas gdy sędzia opuszczał salę.

Uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę.

— Dziękuję, Hank.

— Powiedziałaś, że jestem najlepszy. Nie mogłem zawieść. Wstała, a Vito podał jej płaszcz. Kątem oka widział, że

Bellowi wręczono jakiś dokument. Zaśmiał się pod nosem, kiedy ruszyli do wyjścia.

Bell przepychał się w ich kierunku.

— Panie Vito — rzucił ze złością, wymachując otrzymaną kartką papieru. — Co to ma znaczyć?

— Co? — spytał Vito spokojnie.

— Ta sprawa o fałszywe oskarżenie. Zniesławienie ze szkodą dla opinii klientki.

Dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów. — Głos Bella drżał z gniewu.

Vito przepuścił Maryann przed sobą, zanim odrzekł:

— Następnym razem, kiedy obrazi pan jakieś niewinne biedactwo, będzie pan pamiętał, że istnieje prawo, które ją broni.

Maryann śmiała się, kiedy wychodzili z sali:

— Miałeś ten papier przygotowany. A gdybyśmy przegrali?

— Nie mogliśmy przegrać.

— Nie mogliśmy? — powątpiewała. Nie odpowiedział.

— Umówimy się na obiad? — zapytał. Przytaknęła.

— O której?

— Wpadnij po mnie. O siódmej trzydzieści.

— Dobrze. Muszę wrócić do biura. Złapię ci taksówkę. Pomachał ręką i taksówka zatrzymała się. Otworzył drzwi.

— Co miałaś na myśli, mówiąc, że nie mogliśmy przegrać? — spytała wsiadając.

— Gdybyś nie znalazł tego taksówkarza, nie byłoby tak łatwo.

— Kto znalazł taksówkarza? — zapytał niewinnie.

— Chcesz przez to powiedzieć, że... — przerwała, zaczynając pojmować.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

— Kto mógłby zaprzeczyć? Bell był tak pijany, że nie pamiętał, z jakim kierowcą jechał. Co za problem postarać się o kierowcę z tego samego przedsiębiorstwa, który jest w stanie przypomnieć sobie więcej niż Bell. Szczególnie człowieka pracującego nocami i chętnego do zarobienia paru dolarów za łatwą, popołudniową robotę.

— Jesteś najlepszy.

— Siódma trzydzieści, punktualnie — odpowiedział, zamknął drzwi i odszedł gwizdząc.

Spojrzał na zegarek. Była prawie szósta. Podniósł słuchawkę i powiedział do sekretarki:

— Zadzwoń do fryzjera i powiedz, żeby zaczekał. Za parę minut zejść, żeby mnie ogolił.

— Dobrze, panie Vito.

Chciał już odłożyć słuchawkę, jak sekretarka mówiła dalej:

— Mam pana Drego na linii.

— Nie dzwoniłem do niego.

— Zadzwoił w momencie, kiedy podniósł pan słuchawkę — wyjaśniła dziewczyna.

Vito nacisnął odpowiedni guzik.

— Słucham, Ross?

— Muszę się z tobą dzisiaj zobaczyć, Hank. — Głos Rossa brzmiał poważnie.

— Nie możesz się z tym trochę wstrzymać? Stara dała mi dziś wolny wieczór i jestem umówiony z pięknym kociakiem. W każdym innym terminie.

— To musi być dzisiaj, Hank. Chca, żebym pojechał na zachód w przyszłym tygodniu. Musimy najpierw wyjaśnić kilka spraw.

— Chryste! Nie mam szczęścia — jęknął Vito.

— To nie potrwa długo — zaśmiał się Ross.

— Tak.

— To musi być niezła dziewczyna. Nigdy żadną tak się nie przejmowałeś.

— Nie ma takiej drugiej na świecie. Urodziła się, żeby być kobietą.

— Muszę ją wobec tego zobaczyć — orzekł Ross.—Weź ją ze sobą, jeżeli potrafi trzymać język za zębami.

— Dobrze — zgodził się Vito. — Będziemy u ciebie o ósmej trzydzieści. Też przyjdź z dziewczyną. Jeśli nas ktoś zobaczy, to stwierdzi, że się po prostu bawimy.

— Dobrze — odparł Ross i odłożył słuchawkę.

Bystry chłopak z tego Rossa. Czasami aż nazbyt bystry. Podniósł znowu słuchawkę i wykreślił numer.

— Poproś Jokera — powiedział.

Rozdział 3

Wysiadł z taksówki przed domem z piaskowca na Siedemdziesiątej Trzeciej Zachodniej Ulicy. Zapłacił i ruszył schodami w górę. W holu paliło się przyćmione światło i musiał zapalić zapalną, żeby odnaleźć nazwisko. Maryann Flood.

Nacisnął dzwonek.

Prawie natychmiast odezwał się brzęczyk. Pchnął drzwi i znalazł się w staroświeckim holu. Drzwi Maryann, oznaczone złotą literą C, mieściły się u szczytu kilku stopni. Miał właśnie zapukać, kiedy się otworzyły.

— Wejdz — powiedziała uśmiechnięta i cofnęła się, żeby zrobić mu miejsce.

Wszedł do pokoju, zdejmując kapelusz. Stał zdumiony. Umeblowanie było schludne i proste, a jednak czuło się powiew egzotyki. Gruby, puszysty dywan przykrywał podłogę, a na ścianach wisiały dziwaczne ozdoby: szabla, stary pistolet i dziewięciorzemienny bat. Na ciemnokasztanowe ściany i sufit padało łagodne światło. Ścianę pod oknami zajmowały półki pełne książek i bibelotów.

— A płaszcz? — zapytała z uśmiechem.

— Ach... jasne. — Rozebrał się i podał okrycie Maryann.

— Na stoliku masz lód i whisky. Za parę minut będę gotowa.

Podszedł do małego barku. W sąsiedztwie eleganckich szklanek stał srebrny kubek do lodu. Szkocką reprezentował Johnnie Walker Black Label, żytniówkę

— Canadian, bur-bona — Old Grand-dad, a dżin — House of Lords.

— Nieźle ci się powodzi — zauważył Vito.

Zielona podomka z pikowanego aksamitu zawirowała, kiedy Maryann odwróciła się.

— I tak powinno być — odrzekła. — To jedyne wynagrodzenie za mój zawód. Nie ma też żadnych gwarancji, że to potrwa, korzystam więc, jak mogę.

Napełnił szklanke i podszedł do półek z książkami. Współczesne powieści.

Niektóre dobre, inne złe.

— Przeczytałaś to wszystko? — zapytał ciekawie.

— Muszę przecież jakoś zabijać czas przez cały dzień.

— Mam ci zrobić drinka? — spytał, upijając whisky.

— Nie, dziękuję. Sama sobie zrobię.

Nalała do szklanki trochę creme de cassis, dodała parę kostek lodu i trochę wody sodowej. Podniosła szklaneczkę.

— Za najbystrzejszego adwokata w Nowym Jorku.

— Dziękuję — powiedział, unosząc szklanę. — Za najbardziej fascynującą klientkę, dla jakiej miałem szczęście pracować.

- Dziękuję. — Odstawiła drinka i poszła do sypialni. — Jak mam się ubrać? Dokąd idziemy?

Poszedł za Maryann i zatrzymał się w progu.

— Wystrój się. Idziemy do klubu „Shelton”. Muszę spotkać się z klientem.

— Klub „Shelton”? — zapytała, unosząc brwi. — Naprawdę się nam powodzi.

— Wszystko w najlepszym stylu.

Zrzuciła podomkę i usiadła przy toalecie. Zrobiła to tak od niechcienia, że aż wstrzymał oddech. Siedziała w stanikii bez ramiączek, majteczkach i długich, jedwabnych pończochach przytrzymywanych przez wąziutki pasek z podwiązkami, noszony w talii. Rzuciła Vito figlarne spojrzenie.

— Wybacz, mój strój roboczy. Zasłonił oczy rękami.

— Zaraz mi przejdzie — rzekł. — Po prostu nie jestem przyzwyczajony do kobiet. Roześmiała się i zaczęła nakładać makijaż.

— Miły jesteś, Hank. Lubię cię.

— Dziękuję.

— Mówię szczerze. — Odwróciła się do Vito. — Jest bardzo mało mężczyzn, których lubię. W większości to zwierzęta.

Vito spoważniał. Musiała wiedzieć więcej mż przeciętna dziewczyna.

— Mam nadzieję, że możemy być przyjaciółmi — powiedział.

— Ja też mam taką nadzieję — odparła otwarcie — ale wątpię w to.

— Dlaczego? — zdumiał się.

Podniosła się i zwróciła twarzą do Vito. Wydawała się zupełnie inna. W skroniach zapulsowała mu krew. Wpatrywał się w oblaną łagodnym światłem postać kobiety jak na pełną erotyzmu rzeźbę. Piersi miała pełne i sterczące, wklęsły brzuch emanował ciepłem i zdawał się zapraszać, a nogi przypominały kwiaty na długich łąkach. Poczul suchość w ustach i przyłożył do warg szklanę. Nie pił. Wystarczyła mu chłodna wilgoć szklanki.

— Jesteś piękna — szepnął.

— Tak? — zapytała z półuśmiechem. — Nie całkiem. Mam za długie nogi, za pełny biust, za szerokie ramiona, za duże oczy. Mój podbródek jest zbyt kwadratowy, kości policzkowe za

szerokie, a usta za duże. Nic nie zgadza się z modą. A ty mi mówisz, że jestem piękna.

— Bo jesteś.

Przeszyła go wzrokiem na wylot.

— Masz na myśli coś innego, nie urodę. Myślisz, że jestem dobra do pewnych rzeczy, prawda?

— A jak inaczej zmierzyć piękno? Przestała się uśmiechać.

— To właśnie chciałam powiedzieć. Dlatego wątpię, czy możemy zostać przyjaciółmi. Zawsze kończy się tym samym.

— Znam cię — stwierdził Vito miękko. — Nie chcesz przecież, żeby się stało inaczej. To twoja jedyna broń. Tylko w ten sposób możesz wyrównać rachunki. Patrzyła przez chwilę na Vito, potem usiadła przed lustrem. Wyciągnęła w stronę mężczyzny puder i puszek.

— Przypudruj mi plecy. Może okażesz się inny od reszty. Jesteś inteligentniejszy. Zerknął na puder i puszek, potem odwrócił się.

— Jeżeli mamy zostać przyjaciółmi, to upudruj się sama. Jestem w końcu tylko człowiekiem.

Kiedy wyszła z sypialni, wstał i aż gwizdnął. Miała na sobie prostą, dopasowaną i sięgającą do łydki sukienkę ze złotej lamy bez ramiączek. Stroju dopełniały jedwabne pończochy i złote pantofelki. Maleńkie złote kolczyki w kształcie serduszek zdobiły jej uszy, a na szyi, na drobnym złotym łańcuszku, wisiał duży, przypominający topaz, kamień. Białoblond włosy błyszczały podwójnie na tle złotej tonacji toalety.

— Podoba ci się?

— Wyglądasz bajecznie.

Przyniosła z szafy płaszcz Vito i zarzuciła na ramiona jasną etolę z norek.

— Gotowa? — zapytał, pewien, że Rossowi oczy wyjdą na wierzch.

— Zawsze gotowa.

Gdy już wychodzili, zadzwonił telefon.

— Nie odbierzesz? — zapytał Vito.

— Automatyczna sekretarka zrobi to za mnie. To na pewno jakiś klient. Nie wie, że mam dziś wolne.

Wsiedli do taksówki i Vito podał kierowcy adres. Maryann wsunęła rękę pod ramię Vito. Poczł delikatną woń perfum.

— Czego ty chcesz od życia, Maryann? Mrok nie pozwalał odgadnąć wyrazu jej oczu.

— Wszyscy mnie o to pytają. Chcesz rutynowej odpowiedzi, czy mam być szczerą?

— Mów prawdę, jeżeli mamy być przyjaciółmi.

— Chcę tego samego, co wszyscy. Miłości. Domu. Rodziny. Poczucia bezpieczeństwa. Małżeństwa. Nie różnię się od innych dziewcząt.

— Ale... — zaczął, lecz zawahał się.

— Jestem dziwką, chciałeś powiedzieć — przerwała mu. Zdawała się czytać w myślach. Odkasznęła zażenowany.

— Ale to jeszcze nie robi ze mnie obywatela drugiej kategorii — rzekła cicho. — Czuję tak, jak każda inna dziewczyna. Krwawię, kiedy się skaleczę i tak samo płaczę, kiedy zada mi się ból. Praca w moim zawodzie jest tak samo ciężka jak praca każdej innej kobiety. Trudniej jest być fachową dziwką niż fachową sekretarką czy sprzedawczynią.

— Wobec tego, jak to się stało, że nigdy nie spróbowałaś niczego innego?

— Skąd wiesz, czego próbowałam? Dlaczego jesteś prawnikiem, a nie lekarzem? Bo w tej dziedzinie jesteś najlepszy. Cóż, ja jestem najlepsza w swoim zawodzie.

— Jestem prawnikiem dlatego, bo tego właśnie chcę.

— Jesteśmy profesjonalistami. — Uśmiechnęła się. — Całe życie z tym walczyłam. Od czasu kiedy przestałam być dzieckiem i zaczęli uganiać się za mną chłopcy, walczyłam. Ktoś kiedyś powiedział mi, że jestem stworzona do tego, żeby być dziwką. Nie wierzyłam mu, ale miał rację. Teraz to wiem. Vito poklepał lekko jej rękę. Nagle zdał sobie sprawę, jak bardzo lubi tę dziewczynę.

— Mam nadzieję, że pewnego dnia dostaniesz to, czego chcesz. Już w restauracji Maryann czekała, podczas gdy Vito oddawał w szatni płaszcz i kapelusz. Ross siedział zwrócony do nich plecami, kiedy się zbliżali. Rozmawiał z ciemnowłosą dziewczyną siedzącą obok. Vito stanął za nim i położył rękę na ramieniu Maryann.

— Ross — powiedział.

Ross odwrócił się szybko i spojrzał w górę z uśmiechem. Oczy mu błyszczały.

— Hank!

— Ross, chciałbym, żebyś poznał Maryann Flood — rzekł Hank. — Maryann, to jest Ross Dre... — Zamilkł nagle.

Twarz Rossa zbieleła. Hank sądził przez chwilę, że młody

człowiek źle się poczuł, tyle bólu malowało się na jego twarzy. Tylko oczy były pełne życia i wyrażały tak silne pragnienie, jakiego Hank nigdy jeszcze nie widział. W końcu Ross przemówił roztrzęsionym głosem:

— Mar... Marja!

Vito spojrział na Maryann. Oblicze pod makijażem miała blade, lecz wykazała więcej opanowania niż Ross. Wyciągnęła rękę.

— Ross — powiedziała matowym głosem. — To już tyle czasu.

— Siedem lat, Marjo. — Podniósł się z trudem. — Siadaj, Hank.

Usiedli wszyscy.

— Dorastaliśmy razem — wyjaśnił Ross, patrząc na Maryann. — Pamiętasz, co gadałeś przez telefon, Hank? To jedyna dziewczyna na świecie, w przypadku której zgadzam się z tym, co powiedziałaś.

Vito spoglądał to na niego, to na nią. Ta sama gniewna witalność. Mimo różnic byli do siebie tak podobni, że z łatwością mogli być odlani z tej samej formy i tylko wykończeni w inny sposób. Położył rękę na stole i pochylił się do przodu.

— Opowiedz mi o tym — poprosił.

Rozdział 4

Ciemnowłosa dziewczyna, przyprowadzona przez Rossa, była wściekła.

Poświęcano jej tak mało uwagi podczas obiadu, że równie dobrze mogła zostać w domu. Cóż ją obchodziło, co Ross i Maryann robili, kiedy byli dziećmi?

Hanka Vito obchodziło wszystko. Mógł sobie nareszcie wyjaśnić wiele spraw dotyczących Rossa i Maryann. Spraw, które nie dawały mu spokoju. W milczeniu segregował ich wspomnienia. Kolekcjonował najróżniejsze informacje o ludziach. W jego fachu takie informacje przydawały się wcale nie tak rzadko.

Jedno zauważył od razu: będzie jeszcze musiał poczekać na swoją kolejkę u Maryann. Jeżeli jakaś para nie zakończyła swoich porachunków, to była to na pewno ta dwójka. Hank spojrział na ciemnowłosą dziewczynę i uśmiechnął się.

— Co powiesz na to, żebyśmy się stąd zmyli i zostawili tę dwójkę ich wspomnieniom?

— Nic nie sprawi mi większej przyjemności, panie Vito — odpowiedziała z pełnym wdziękiem uśmiechem. — Wspomnienia innych są takie nudne.

Hank podniósł się, chociaż był zupełnie odmiennego zdania.

— Chodźmy — rzekł.

— Ale nie zaczęliśmy jeszcze mówić o interesach! — zaprotestował Ross.

— Bądź u mnie w biurze z samego rana — odparł Hank. — Dobranoc, przyjaciółko — dodał, wyciągając rękę do Maryann.

— Dobranoc, mecenasie — powiedziała z ciepłym uśmiechem.

Ross patrzył za odchodzącymi.

— Usiądź koło mnie — poprosił.

W milczeniu przeniosła się na miejsce dziewczyny. Ross nakrył jej dłoń swoją ręką.

— Napijesz się jeszcze? — zapytał.

— Nie, dziękuję.

— Ja zamówię sobie jeszcze jedną szklaneczkę. — Z daleka, gestem dłoni porozumiał się z kelnerem i po chwili miał przed sobą następną szkocką. — Jak poznałaś Hanka Vito? — spytał.

— Miałam kłopoty i potrzebowałam adwokata. Poszłam do niego.

— Poszłaś do najlepszego. Jest drogi, ale lepszego nie ma.

— Czasami, na dłuższą metę, najdroższy okazuje się najtańszym.

— Jest także moim adwokatem. Maryann pytająco uniosła brwi.

— Pracuję dla syndykatu — wyjaśnił Ross. — Wiesz, co to jest?

Pokiwała głową.

— Jestem zupełnie czysty — powiedział szybko. — Zajmuję się legalnymi operacjami. Teraz życzą sobie, żebym przeniósł się do Los Angeles i zorganizował tam przedsiębiorstwo budowlane. Dlatego chciałem zobaczyć się z Hankiem dzisiaj.

Nie odezwała się.

— Pamiętasz Jokera Martina? Skinęła twierdząco głową.

— Jest jednym z filarów. Pracowałem z nim, ale teraz jestem samodzielny. Dali się przekonać, że lepiej pracuję w pojedynkę. On właśnie dał mi robotę, kiedy Stary zostawił mnie na lodzie.

— Nieźle ci się powodzi.
— Forsa jest wszędzie, kochanie — stwierdził z satysfakcją. — A ja zawsze mam szansę się do niej dostać.
— Jeżeli nie wezmą cię do wojska.
— Nie wezmą — roześmiał się.
— Skąd ta pewność?
— Łatwo wykręcić się od powołania, jeżeli zna się odpowiednich lekarzy.
— Nawet oni nie pomogą, jeżeli już przekroczysz bramę koszar. Nie ma takiej siły na świecie, która by powstrzymała bieg sprawy.
— Jestem zabezpieczony od powołania — powiedział Ross, pociągając się za koniuszek ucha. — Mam wartą dwa i pół tysiąca dolarów dziurę w błonie bębnekowej.
— Nie zmieniłeś się ani na jotę, Ross. Na wszystko znajdziesz sposób.
Nagle Maryann poczuła się zmęczona. Ross przypomniał jej dawne minione czasy, których wolała nie pamiętać. Sięgnęła po szal.
— Robi się późno, Ross. Pójdę do domu.
— Zawiozę cię — zaproponował szybko. — Przyjechałem samochodem.
— Benzynę masz?
— Jasne — roześmiał się. — Pamiętaj kochanie, że rozmawiasz z Rossem.
Maryann ciągle nie mogła się przyzwyczaić do panującego w mieście zaciemnienia, tłumiącego wszystkie dźwięki. Podała Rossowi adres i oparła się wygodnie. Przymknęła oczy. Pędzący przez mrok samochód oddalał ją od miejsc i ludzi, których знаła.
Miała wrażenie, że jada już bardzo długo, gdy nagle zatrzymali się. Otworzyła oczy. Nie była w domu.
— Ross! — powiedziała ostro
— Popatrz, kochanie. — Wskazał na okno. — To już tyle czasu.
Odwróciła się i spojrzała na rzekę, błyskającą tu i ówdzie odbitym światłem.
Riverside Drive — miejsce, gdzie spędzili razem miłe chwile.
Poczuła rękę Rossa na oparciu za plecami.
— Przestań, Ross. Naprawdę upłynęło wiele czasu i nie możemy go cofnąć.
Zawieź mnie do domu.
Widziała, jak twarz Rossa przybiera dobrze jej znany wyraz

rozdrażnienia. Ruszyli i po krótkiej, milczącej jeździe znaleźli się przed jej domem.

— Mogłabyś zaprosić mnie na drinka — zasugerował Ross. — W imię starych, dobrych czasów.

— O.K. — zgodziła się niechętnie. — Ale tylko na jednego. Weszli do mieszkania.

— Znajdziesz alkohol na małym stoliczku — powiedziała. Położyła palto Rossa na krześle i weszła do sypialni. Wróciła

po chwili w zielonej, aksamitnej podomce. Popatrzył z uśmiechem.

— Ciągłe jesteś najwspanialsza.

— Dziękuję — odrzekła oschle. Zdziwiony zmarszczył brwi.

— Co cię gryzie, kochana? Nadal masz pretensje o to, co się między nami stało tak dawno temu?

— Już nie, Ross. Zbyt wiele wydarzyło się w moim życiu. Nie mogę być zła o tanto.

Wyciągnął rękę, ale cofnęła się.

— No, to o co chodzi? Mnie ciągnie do ciebie tak samo jak zawsze.

— Wiem. Podobnie jak i do innych dziewczyn — odpowiedziała z uśmiechem.

— Ale z tobą to coś innego, kochanie. Zawsze tak było.

— Tak, Ross. Tak. Oczywiście — skwitowała z sarkazmem. Ross odstawił drinka i błyskawicznie schwytał Maryann za

ramiona tak mocno, że nie mogła się poruszyć. Patrzyła bez strachu.

— Widzę, że lubisz się podrażnić. Tak jak kiedyś, co?

— Tak jak kiedyś, nie grzeszysz delikatnością, Ross.

— Jestem starszy. Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo jak za pierwszym razem. — Przyciągnął ją do siebie.

Objęła Rossa za szyję.

— To już lepiej, kochanie — powiedział z uśmiechem i pochylił się, żeby ją pocałować.

Nagły, oślepiający ból przeszył mu skronie. Z przekleństwem na wargach osunął się na podłogę. Spojrzał w górę na Maryann. Ból głowy ustąpił, kiedy tylko ją puścił, ale nadal bolała go szyja.

— Ty dziwko — warknął. — Co mi zrobiłaś?

— To judo. Trzeba wiedzieć, gdzie nacisnąć. Mam przyjaciela, który służy w wojsku. Nauczył mnie — wyjaśniła z uśmiechem.

Wstał i sięgnął po szklanke.

— Zupełnie się nie zmieniłaś, prawda?

Bez słowa podeszła do barku, żeby zrobić sobie drinka. Obserwował ją.

— Co to jest? — zapytał.

— Cassi i woda sodowa.

— To musi smakować jak lekarstwo — wykrzywił się.

— Mnie odpowiada.

— Ładnie mieszkasz — stwierdził, rozglądając się po pokoju.

— Dziękuję.

— Musi ci się nieźle powodzić.

— Radzę sobie.

— Czym się zajmujesz?

Spoglądała na Rossa w milczeniu. Właśnie wtedy zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę, zakryła ją dłonią i, patrząc Rossowi prosto w oczy, powiedziała:

— Jestem dziwką.

Ross przestał oddychać. Jakby z oddali słyszał głos Maryann.

— Nie, kochanie. Nie w tej chwili. Jestem zajęta. Spróbuj zadzwonić jutro, dobrze?

Odłożyła słuchawkę, przeszła przez pokój i wzięła palto Rossa z krzesła.

— Idź już, Ross. Jestem zmęczona.

Nie poruszył się. Nie spuszczał wzroku z jej twarzy. Wyjął z kieszeni plik pieniędzy, strzelił palcami i kaskada banknotów posypała się wokół dziewczyny.

— Właśnie zapłaciłem za resztę nocy — rzekł.

Leżeli spokojnie. Przez zamknięte okna przedostawały się odległe dźwięki miejskiego gwaru. Odwrócił się w stronę Maryann. Ognik papierosa rozżarzał się i przygasał, rzucając delikatne czerwone światło na jej twarz.

Odczuwał wewnętrzny ból. Wyciągnął rękę. Dłoń miała miękką i chłodną.

Wspomniał dotknięcie tej dłoni i dzikie pożądanie, jakie potrafiło wzbudzić.

— Marjo — szepnął.

Poczuł, jak w odpowiedzi ściska jego rękę palcami.

— Marjo — szepnął cicho — nic nie czułaś? Zupełnie nic?

— Oczywiście, kochanie, że tak. Potężny z ciebie mężczyzna — odpowiedziała matowym głosem.

— Marjo, przecież nie to miałem na myśli — szeptał rozpaczliwie.

Nagle jakaś tama wewnątrz puściła i zapłakał. Tak wiele stracił. Rozpaczliwe łkanie wstrząsało całym jego ciałem. Objęła go ramionami i przyciągnęła głowę do piersi.

— Cicho, kochany, cicho — szeptała uspokajająco.

Rozdział 5

Rozgrzany prysznicem wychodził z łazienki, kiedy uderzył go w nozdrza zapach smażonego boczku. Wytarł się energicznie i wkroczył do kuchni, owinięty w pasie ręcznikiem kąpielowym.

Maryann, w prostej sukience, wbijała jajka na patelnię. Obrzuciła Rossa szybkim spojrzeniem.

— Ubierz się — powiedziała. — Śniadanie będzie za chwilę gotowe.

Stał i się jej przyglądał. W pojaśnionych oczach nie dostrzegł ani śladu długiej i gniewnej nocy. Nieumalowana twarz promieniała zdrowym rumieńcem, tak jak zawsze.

— Po co? — spytał. — Nigdzie się nie wybieram.

— Owszem, wybierasz się. — Wskazała na mały zegar wiszący nad kuchenką. — Prawie południe. Kończy się doba hotelowa.

Zaczerwienił się. Można byłoby pomyśleć, że wstydzi się zamiast niej.

— To ty ze mną kończysz — stwierdził.

— Nie bądź głupi — odpowiedziała cicho. — Nie stać cię na to.

Podszedł do dziewczyny i wziął ją za rękę.

— Marjo — rzekł błagalnym tonem — tylko tym jestem dla ciebie? Jeszcze jeden Joe?

— Na imię mi Maryann. Marja odeszła już dawno temu. Każdy chłopak dla Maryann to Joe.

Spuścił wzrok.

— Chcę wrócić do dawnych czasów. Chcę, żebyśmy zrobili wszystko jeszcze raz. Ty i ja. Jestem teraz dorosły. Możemy wiele razem osiągnąć.

— Co? Proponujesz mi małżeństwo? — zapytała złośliwie.

Znowu się zaczerwienił.

Nie dała mu czasu na odpowiedź.

— Jestem zadowolona z tego, co mam. Nie muszę się z nikim wiązać.

Zaczęła zsuwać jajka na talerz.

— Lepiej się pośpiesz — ponagliła — bo jajka ostygną. Poczuł, że ogarnia go daremny gniew.

— Gdyby to był Mike, to założę się, że nie postępowałabyś w ten sposób. —

Spostrzegł, że trafił w dziesiątkę, bo Maryann aż się cofnęła. — Co ty widzisz w tym frajerze? Nigdy nie będzie

niczym więcej jak stukniętym gliniarzem. Niech tylko wróci z wojska.

— Mike jest w wojsku? — zapytała cicho.

— Tak. Zgłosił się w dzień po Pearl Harbour, a już w tydzień później był w armii.

— Och... i nie ma go w kraju? — spytała.

— Skąd, do cholery, mam wiedzieć? — warknął. — Są lepsze zajęcia niż pilnowanie Mike'a.

Zawrócił do sypialni.

— Może chcesz, żebym go tobie poszukał? — rzucił zjadliwie przez ramię. —

Powiem mu, że dla chłopaków z wojska masz specjalne stawki.

Joker Martin wszedł do restauracji i zbliżył się do stolika zajmowanego przez Vito. Kiedy siadał, Vito przywołał kelnera.

— Wyglądasz na zmartwionego, Joker.

— Bo też jestem. Nie mogę nakłonić Rossa do pozostania na zachodzie. Uparcie wraca co drugi miesiąc. Właśnie dostałem depeszę. Jest w drodze.

Vito zamówił drinki.

— Może weźmiemy kogoś innego? — zapytał.

— Też o tym myślałem — powiedział Joker, patrząc w stół. — Ale kto mógłby się nadać? Tam lubią Rossa. Jego pochodzenie stanowi wspaniały parawan. Poza tym, nikt nie jest tak sprytny, a jeżeli nawet tak, to nie można mu ufać.

Vito leniwie skrobał ołówkiem po obrusie.

— To wszystko trwa od mniej więcej pięciu miesięcy? — spytał.

Joker pikiwał głową.

— To ta dziewczyna — orzekł Vito, rzucając ołówek.

— Jaka dziewczyna? — Joker spojrzał bystro na kolegę.

— Maryann. Powiedziała mi, że Ross nakłania ją, by pojechała z nim na zachód, ale ona nie chce.

— Maryann? — zastanawiał się Joker. — Kto to taki? Ross chce się z nią ożenić?

— Nie, nie chce się z nią ożenić — zaprzeczył Vito. — Przynajmniej nigdy mi o tym nie mówiła. Po prostu wpadł po uszy, to wszystko — roześmiał się. — Trudno go winić, ze mną było prawie to samo.

— Ross nigdy nie wspominał mi o dziewczynie — powiedział Joker. — Co to za dziwka?

— To specjalny rodzaj dziwki — odpowiedział Vito. — Jest do swojego fachu stworzona. Dziwka z zasadami.

— Żadna prostytutka nie ma zasad — stwierdził Joker. — Tylko jedno do nich przemawia — forsa.

— Nie znasz Maryann. Możesz kupić jej czas, ale nie kupisz jej samej.

— Maryann — powtórzył Joker cicho. — Dziwne imię jak na prostytutkę.

— Maryann Flood — uzupełnił Vito. Twarz Jokera nagle poczerwieniała.

— Blondynka z wielkimi brązowymi oczami, które przewiercają cię na wylot?

— Tak — odparł zaciekawiony Vito. — Znasz ją? Joker milczał. Cicho uderzał pięścią w stół.

— Sukinsyn — zaklął. — Podły sukinsyn.

— Co cię naszło? Dlaczego się wściekasz?

— Powinienem być się domyślać. Marja Flood.

— Właśnie tak Ross ją nazywa — powiedział zdziwiony Vito. — Więc jednak ją znasz?

— Tak — przytaknął Joker — znam ją dobrze. Pracowała u mnie w „Golden Glow”, kiedy była jeszcze dzieciakiem. Przez nią, do cholery, prawie straciłem licencję. Była małoletnia.

— O! — zdumiał się Vito.

— Przymknęli ją za napad z nożem w rękę na ojczyzna. Słyszałem potem o niej, jak tylko wyszła, ale ślad szybko się urwał. Rossa zawsze do niej ciągnęło — dodał, zamawiając następnego drinka — ale nie chciała z nim chodzić. Był inny chłopak. Kolega Rossa. Z tym właśnie się spotykała.

— I co się stało? — zapytał Vito.

— Mówiłem. Przymknęli ją. Dalej nie wiem. Po raz pierwszy od pięciu lat słyszę o niej od ciebie.

Pracowity umysł Vito lubił wiedzieć wszystko do końca.

— Pytałem o tego kolegę Rossa. Co się z nim stało?

— Został gliniarzem, a potem poszedł do wojska. Ross wspominał kiedyś o tym, jeszcze przed wyjazdem. — Joker z namysłem pociągnął drinka. — Wyglądała na dziwkę, będąc jeszcze dzieckiem. Już wtedy wiedziała, jak postępować z mężczyzną. Ciągle jest taka?

Vito roześmiał się.

— Nic nie mów. Wiem — powiedział Joker, podnosząc dłoń. Zapalił papierosa i Vito zauważył, że trzęsą mu się ręce.

— Sam wiązałem z nią wielkie nadzieje — wyjaśnił Joker.

Obudził ją przytłumiony dźwięk telefonu. Przewróciła się na drugi bok i ukryła twarz w poduszce. Telefon dzwonił dalej. Oprzytomniała. Tylko w nagłych wypadkach telefonistka łączyła z jej mieszkaniem.

— Halo — powiedziała, podnosząc słuchawkę.

— Maryann? — odezwał się ostrożny głos. — Frank. Była całkowicie przytomna. Dzwonił Frank Millersen. Detektyw porucznik Millersen.

— Znowu jakieś kłopoty, Frank? — zapytała, patrząc na zegar.

Była prawie dziesiąta rano. Frank nie dzwonił od czasu oskarżenia jej o kradzież.

— Nie — zaśmiał się cichutko. — Wszystko w porządku.

Prawie bezgłośnie westchnienie ulgi wymknęło się z jej ust. Minęło już wiele czasu od chwili, kiedy Millersen przymknął ją po raz pierwszy. Była wtedy żółtodziobem. Spędziła w pudle trzydzieści dni, ale zaprzyjaźniła się z Frankiem.

— No, więc o co chodzi? — spytała matowym głosem. — Chcesz się ze mną zobaczyć?

Znowu się roześmiał.

— Nie, dziękuję, Maryann. Z moją pensją gliniarza nie stać mnie na to.

— Wiesz, że w twoim przypadku nie ma mowy o forsie. Lubię cię.

— Nie podpuszczaj mnie, Maryann — śmiał się. — Wiemy oboje, co jest grane. Chcę ci powiedzieć, że zlokalizowałem tego eksgliniarza. Pamiętasz, prosiłaś mnie parę miesięcy temu. To ten Mike Keyes, brat koleżanki, który poszedł do wojska.

Poczuła, że ogarnia ją fala podniecenia. Zadzwoiła do Franka, kiedy tylko dowiedziała się od Rossa. Opowiedziała pierwszą lepszą historyjkę, jaka wpadła jej do głowy.

— Tak? — zapytała, starając się panować nad głosem. — Gdzie on jest?

— W szpitalu dla weteranów w St. Albans. Od trzech tygodni. Został ranny w północnej Afryce.

— Ranny? — spytała z niepokojem, którego nie umiała ukryć.

— Tak, ale nie bardzo ciężko, z tego, co wiem. Jutro rano wychodzi ze szpitala na przepustkę, na weekend. Jeżeli twoja koleżanka chce go złapać, to najlepiej niech tam będzie przed ósmą. Inaczej się spóźni. Znasz żołnierzy — zachichotał. — Siostra to ostatnia osoba, jakiej będą szukać.

— Dziękuję ci bardzo, Frank — odpowiedziała i odłożyła słuchawkę.

Sięgnęła po papierosa. W kłębach niebieskiego dymu widziała twarz Mike'a. Patrzył jak rniine zwierzę. Tak jak wtedy, kiedy go zobaczyła ostatni raz. Próbowała odgadnąć, co będzie robił w czasie weekendu. Ojciec i matka przebywali w Kalifornii, gdzie stary dostał jakąś pracę w obronie wybrzeża. Tak Jej przynajmniej powiedziano, kiedy zadzwoniła do domu, w którym mieszkali. Zastanawiała się, czy Mike ma dziewczynę, z którą będzie się chciał spotkać. Poczula ukłucie na samą myśl o tym. Prawdopodobnie nigdy więcej o niej nie myślał. Powoli zgmiotła papierosa w popielniczce. Żałowała, że poprosiła Franka o tę przysługę.

Rozdział 6

Zaparkowała na wprost od wejściu do szpitala. Na rogu czekał duży autobus, żeby zawieźć żołnierzy do miasta. Spojrzała na zegarek. Siódma trzydzieści. Wzdrygnęła się lekko i zapaliła papierosa. Już od niepamiętnych czasów nie wstawiała tak wcześnie.

Po pewnym czasie poczuła się głupio. To śmieszne zrywać się z łóżka w środku nocy i jechać taki kawał drogi, żeby na niego popatrzeć. Nie porozmawiać, nie dotknąć, tylko popatrzeć, jak przebywa odlegość kilku stóp i wsiada do autobusu. Nawet się nie dowie, że tu była.

Palila trzeciego papierosa, kiedy brama się otworzyła i nadeszła pierwsza grupa żołnierzy. Przestraszyła się. Wszyscy byli do siebie tacy podobni w tych mundurach. Czy w ogóle go rozpozna? Mógł się zmienić.

Przed bramą stała mała kuchnia polowa Czerwonego Krzyża i kobiety wręczały chłopcom pączki i filiżanki gorącej kawy. Nadszły dwa następne autobusy i zatrzymały się za pierwszym.

Skwapliwie wpatrywała się w twarze żołnierzy. Pierwszy autobus był pełen.

Zaryczał silnik, pojazd odjechał, a jego miejsce zajął następny. Dobiegł jej uszu zachrypły męski śmiech.

Odjechał drugi autobus i zbliżył się trzeci. Patrzyła nerwowo na zegarek.

Kwadrans po ósmej. Millersen pomylił się.

Mike nie wychodzi na przepustkę. Żołnierzy było coraz mniej. Ruch prawie ustał. Przypatrywała się każdej twarzy. Może nie rozpoznała go w tłumie wsiadającym do pierwszych autobusów? Jedyne kilku żołnierzy zbliżało się ścieżką. Kuchnia polowa szykowała się do odjazdu. Słyszała, jak obsługujące kobiety mówiły, że czas się zbierać. Kuchnia zniknęła.

Zdusiła papierosa i włączyła silnik. Albo nie zauważyła Mike'a w tłumie, albo wcale dzisiaj nie wychodził. Ostatni autobus skręcił na jezdnię tuż przed nią. Wrzuciła bieg i powoli ruszyła. Odruchowo zerknęła raz jeszcze na drugą stronę ulicy. Właśnie wychodził z bramy. Machinalnie nacisnęła hamulec i patrzyła. Był chudy, przeraźliwie chudy, oczy nad wystającymi kośćmi policzkowymi wyglądały jak głębokie, niebieskie jamy. Kulał lekko na prawą nogę. Widząc odjeżdżający autobus zatrzymał się i strzelił palcami, w tak znajomym geście rozczarowania. Prawie usłyszała, jak cicho zaklął.

Powoli przełożył małą płócienną torbę z prawej ręki do lewej. Zapalił papierosa, rzucił zapalniczkę do rynsztoka i wolno ruszył ulicą.

Siedziała jak sparaliżowana, nie umiając oderwać od niego wzroku. W mundurze wydawał się obcy, ale z drugiej strony można by było przypuszczać, że zawsze go nosił. Przyciągana jak magnesem wysiadła z samochodu. Zanim spostrzegła, co robi, już biegła w jego kierunku. Wyciągnęła rękę i złapała go za dłoń, w której trzymał torbę. W skroniach pulsowała jej krew, a szum w uszach zagłuszył własne słowa.

— Ponieść ci torbę, żołnierzu?

Odwrócił się niespiesznie. Widziała jak przez mgłę, niewyraźnie. Był zły?

Przestraszona powtórzyła pytanie:

— Ponieść ci torbę, żołnierzu?

Papieros wypadł mu z ust, pokulał się po klapie marynarki i upadł na chodnik. Cała drżąca czekała, aż Mike coś powie.

Poruszył ustami, lecz nie wydobył się z nich dźwięk. Zbladł i zachwiał się.

Wyciągnęła rękę, żeby go podtrzymać. I wtem ogarnął ich ogień, znalazła się w jego ramionach i całowała go, a na wargach oboje czuli smak słonych łez.

Przekreśliła klucz w zamku i pchnęła drzwi. W mroku holu spojrzała mu w twarz.

— Jesteśmy w domu, Mike.

Wszedł do pokoju. Zdażyła już wyjaśnić, że to przyjaciel odszukał go dla niej. Zamknęła drzwi i nagle poczuła się zawstydzona.

— Usiądź i odpoczywaj. Zrobię ci drinka. — Powoli podeszła do barku. — Co ci przygotować?

— Dżin z lodem — odpowiedział, śledząc ją wzrokiem. Szybko zrobiła, co trzeba i wręczyła Mike'owi szklanę.

Zdjęła mu czapkę z głowy i przyglądała się przez chwilę.

— Zmieniłeś się, Mike.

— Jestem mężczyzną, Marjo. Nie mogłem na zawsze pozostać chłopcem. Sama to powiedziałaś, pamiętasz?

Pokiwała głową, patrząc mu w oczy.

— Za te dzieci, którymi byliśmy — powiedział, unosząc szklaneczkę.

— Mike! — zawołała z nutką bólu w głosie. — Zapomnijmy o tym. Udawajmy, że właśnie się poznaliśmy. Nie ma żadnej przeszłości, tylko jasna przyszłość przed nami.

— Trochę trudno jest udawać — rzekł, krzywiąc się lekko. — Zbyt wiele rzeczy dzieje się dookoła.

— To wypijmy za te parę dni, Mike. Proszę!

Odstawił drinka i wyciągnął ramiona. Znalazła się w nich od razu i oparła głowę na jego piersi. Słyszała, jak wewnątrz dudnią jego słowa.

— Nie muszę niczego udawać, Marjo. Być z tobą, to jest to, czego zawsze pragnąłem.

Zadzwoił telefon i Mike wypuścił Maryann z objęć.

— Nie chcę go odebrać — powiedziała, potrząsając głową.

— To może być coś ważnego.

— Jedyna ważna rzecz w czasie tego weekendu to my. Kiedy telefon przestał dzwonić, podniosła słuchawkę i wykręciła jakiś numer.

— Tu panna Flood. Wyjeżdżam na weekend. Proszę przyjmować wszystkie informacje i zawiadomić o wyjeździe, jeżeli ktoś będzie chciał złożyć niezapowiedzianą wizytę.

Patrzył, jak odkłada słuchawkę.

— - Musisz mieć bardzo dobrą pracę, jeżeli stać cię na utrzymanie takiego mieszkania.

Miała szczęście — uśmiechnęła się.

I dużo sprytu — stwierdził z nutką dumy w głosie. — Nie można posiadać takich rzeczy, nie mając sprytu.

Nagle ostrożna, zerknęła mu w twarz. Czy mógł się czegoś domyślać? Nabrała głęboko powietrza.

— Nie chcę mówić o pracy. Mam tego dosyć przez cały tydzień. Ten weekend jest dla mnie.

Była prawie północ, kiedy śmiejąc się z czegoś, co Mike powiedział w taksówce, wrócili z obiadu. Dojrzała jednak, że twarz Mike'a jest wymizerowana i zmęczona. Natychmiast poczuła skruchę.

— Bawię się na całego i zapominam, że dopiero wyszedłeś ze szpitala — powiedziała.

— Czuję się świetnie.

— Nieprawda — uparła się. — Pościelę ci łóżko i przygotuję kąpiel. Natychmiast idziesz spać.

— Marjo — zaprotestował — czuję się teraz jak dziecko.

— W czasie tego weekendu — odrzekła z uśmiechem — właśnie nim jesteś. Moim dzieckiem.

Odrzuciła kołdrę na łóżku i poszła do łazienki przygotować kąpiel. Kiedy wróciła do sypialni, stał w progu i spoglądał na nią.

— Nie musisz odstępować mi łóżka — powiedział. — Mogę spać na kanapie.

Poczuła, jak płomień obejmuje jej twarz. Przeszła przez pokój i zarzuciła Mike'owi ręce na szyję.

— Mike — szepnęła — jaki z ciebie głupiec. Pocałowała go.

Przez chwilę stał bez ruchu, potem objął ją tak mocno, że z ledwością mogła oddychać. Przed oczami kolorowe światła zataczały kręgi, a pokój wirował dookoła. Czowała naprężone mięśnie jego ciała. Zamknęła oczy. Tak nie było jeszcze nigdy. Nigdy. Dopiero teraz była sobą. Teraz czuła, teraz żyła. To był jej początek i zarazem koniec. Cały świat i wszystkie gwiazdy eksplodowały w jej ciele.

— Mike! — zawołała. — Kocham cię, Mike.

Rozdział 7

Leżała bez ruchu i obserwowała śpiącego. Szare, poranne światło przedzierało się przez zasłony. Zabłąkany promyk słońca przecinał mu usta. Zdawał się uśmiechać. Oparła głowę o poduszkę, ledwo oddychając w obawie, że mu przeszkodzi. Weekend tak szybko stał się przeszłością. Zamknęła powieki, żeby lepiej wszystko spamiętać.

— Moglibyśmy się pobrać, zanim tam wrócę — powiedział cicho.

Zdumiona otworzyła oczy.

— Myślałam, że śpisz.

— Mamy dosyć czasu. Nie muszę się meldować przed południem — odrzekł, patrząc jej w twarz.

Nie odpowiedziała.

— Coś nie tak, Marjo? — zapytał, szukając jej ręki.

— Nie. Nic. — Potrząsnęła głową.

— Coś jest nie tak. Czuję to. Od czasu, kiedy wczoraj cię o to zapytałem. Nie chcesz za mnie wyjść?

— Znasz przecież odpowiedź.

— No, więc o co chodzi? Prosto stąd idę do szkoły oficerskiej. Porucznik dostaje całkiem sporo pieniędzy. To nam powinno wystarczyć. Przynajmniej razem do momentu, kiedy znowu wyjadę na front.

— Mike — szepnęła — proszę, przestań. Nie zadawaj mi więcej pytań.

— Ale przecież ja cię kocham. Chcę, żebyś zawsze ze mną była. O co chodzi? O pracę? O to, ile zarabiasz?

Potrząsnęła głową.

— Kiedy wyjdę z wojska, zamierzam studiować prawo. Prawnikom świetnie się powodzi.

— Nie, Mike. Nie.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował.

— Jeżeli czegoś się obawiasz, kochanie, to mi powiedz. Bez względu na to, co to jest. Nic, co możesz zrobić ani co zrobiłaś, nas nie rozdzieli. Za bardzo cię kocham.

— Naprawdę tak myślisz? — szepnęła spoglądając mu w oczy.

Skinął głową.

— Już raz ktoś powiedział coś takiego, ale naprawdę tak nie myślał.

— Nie kochał cię tak jak ja. Nikt tak cię nie kochał ani nie będzie kochał.

— Chciałabym móc w to uwierzyć. Może kiedyś — westchnęła głęboko.

— Wyjdź za mnie, to zobaczysz — odpowiedział z uśmiechem.

Dzwonek u drzwi zadzwonił ostro. Mike popatrzył na dziewczynę.

— Spodziewasz się kogo?

Pokręciła przecząco głową, ale dzwonek zadzwonił jeszcze raz.

— To pewnie mleczarz. Pójdzie sobie. Dzwonek nie milkł.

— Lepiej idź i zobacz, kto to jest.

— No, dobrze — odrzekła, sięgając po szlafrok. Wyszła, zamykając za sobą drzwi do drugiego pokoju.

Otworzyła drzwi prowadzące do holu.

— Tak?

— Wiedziałem, że jesteś w domu — powiedział Ross — chociaż nie odbierałaś telefonu przez cały weekend.

Stopą przytrzymała drzwi.

— Nie możesz wejść — szepnęła. — Mówiłam ci, żebyś nie przychodził bez porozumienia.

Spojrzał złowrogo.

— Jak można się z tobą porozumieć, jeżeli nie odbierasz telefonu?

— Przyjdź po południu — odparła i miała zamiar zamknąć drzwi.

Popchnął je i musiała się cofnąć. Wszedł do mieszkania. Poczula zapach alkoholu.

— Nie przyjdę dziś po południu. Wyjeżdżam na zachód na stałe, a ty jedziesz ze mną.

— Ross, zwariowałeś! — stwierdziła gniewnie. — Nigdzie z tobą nie jadę.

Złapał ją za ramię.

— Jedziesz! — krzyknął.

Drzwi do sypialni otworzyły się i stanął w nich Mike. W pierwszej chwili nie rozpoznał Rossa.

— Potrzebujesz pomocy, Marjo? — zapytał. Ross poznał go natychmiast.

— Mike! — wrzasnął i zaczął się śmiać.

— Co mu się stało? — spytał zdezorientowany Mike.

— Jest pijany.

Ross, zataczając się, podszedł do Mike'a.

— Mój stary kumpel — rzekł. — Powiedz tej zwariowanej dziwce, że lepiej zrobi, jadąc do Kalifornii ze mną, niż zostając w tym bagnie.

— Przestań, Ross. — Głos Mike'a był chłodny. — Nie wyrażaj się w ten sposób przy Marji.

Ross zamilkł. Patrzył to na jedno, to na drugie. Zaczynał rozumieć. Momentalnie wytrzeźwiał.

— To dlatego przez cały weekend nie odbierałaś telefonów. Nie odpowiedziała.

— Ładnie tu sobie żyliście. Nadal się nie odzywała. Odwrócił się do Mike'a.

— Mam nadzieję, że tobie policzyła taniej niż mi. Sto dol-

ców za noc to masa forsy na żołnierską kieszeń. Nawet jeżeli dorzuci do tego jajka na boczku na śniadanie.

Mike wpatrywał się w dziewczynę. Twarz miał białą.

Ross spostrzegł to pytające spojrzenie.

— Czy to znaczy, że ci nie powiedziała? — zapytał złośliwie. Odwrócił się do Maryann. — To nieuczciwie, kochanie. Czekać do ostatniej chwili z wręczeniem rachunku. Może nie mieć tyle forsy.

Wyjął z kieszeni zwitek banknotów i kilka z nich wyciągnął w jej stronę.

— Bierz, Marjo. Niech to będzie na moje konto.

Nie poruszyła się. Patrzyła na niego z determinacją, jaką można mieć tylko w obliczu śmierci. Ross odwrócił się do Mike'a.

— No, żołnierzu, bierz forszę. Płacę za weekend z najlepszą dziwką w Nowym Jorku. W końcu zawsze chciałem coś zrobić dla armii.

— To nieprawda — rzekł Mike bezbarwnym głosem, spoglądając na dziewczynę.

— Powiedz mi, że to nieprawda.

Marja milczała, lecz wtrącił się Ross:

— Nie bądź frajerem, Mike. Nie muszę kłamać.

— Powiedziałaś, że mnie kochasz — odezwał się Mike. Nic nie odrzekła.

— A kiedy cię przytulała, mówiła, jaki jesteś przystojny? — zapytał złośliwie Ross.

— Kiedy ją całowałeś w usta, prosiła żebyś całował ją gdzie indziej? A kiedy doprowadziła cię do końca, to kładła...

Z dzikim, zwierzęcym rykiem Mike rzucił się na Rossa. Za późno zauważył błysk jakiegoś przedmiotu w jego dłoni. Ostry ból przeszył mu głowę. Upadł na podłogę. Próbował się podnieść, ale rozdzierający ból za uchem pogrążył go w przyjaznej ciemności.

Ross stał nad nim i ciężko dyszał. Oczy miał szkliste z nienawiści i nadal kołysał w dłoni małą policyjną pałkę. Niebezpiecznie uderzył Mike'a w twarz.

— Od dawna byłem ci to winien — powiedział. Jeszcze bardziej wściekły kołysał się dziko na boki.

— Przestań Ross, przestań! — krzyczała Marja, chwytając go za ręce. — Zabijesz go!

— Właśnie to chcę zrobić — odparł współprzynomny. — Od dawna tego chciałem.

— Zamierzył się znowu.

— Pojadę z tobą, jeżeli przestaniesz! — krzyczała. Powstrzymał rękę wzniesioną do ciosu. Potrząsnął głową, żeby oprzytomnieć.

— Co powiedziałaś?

— Pojadę z tobą, jeżeli przestaniesz — powtórzyła tym razem wyraźnie.

Powoli opuścił dłoń. Spojrzał na pałkę, zdumiony jej widokiem. Schował ją do kieszeni. Patrzył przytomnie i głos miał spokojny, jakby nic się nie stało.

— Weź swoje rzeczy — powiedział cicho.

Ani drgnęła. Wpatrywała się w rozciągniętego na podłodze Mike'a. Podażył za jej wzrokiem.

— Chryste! Ale potłuczony — stwierdził z niedowierzaniem w głosie.

Pochylił się i złapał Mike'a pod ramiona.

— Połóż go na łóżku i trochę opatrzę, a ty w tym czasie się pakuj.

Było prawie ciemno, kiedy Mike otworzył oczy. Z nosa promieniował tępy, pulsujący ból. Zdusił w sobie jęk.

— Marja! — zawołał. Odpowiedziała mu cisza.

Niechętnie, z ociąganiem, przypomniał sobie wszystko. Wstał z łóżka na sztywnych nogach. Zakręciło mu się w głowie. Przytrzymał się krzesła, odczekał chwilę i poszedł do łazienki. Po ciemku puścił zimną wodę. Przyłożył usta do kranu i pił chciwie. W końcu suchość w gardle minęła.

Wyprostował się i zapalił światło. Z lustra nad umywalnią spoglądała na Mike'a dziwna twarz. Policzki posiniaczone i poranione, nos zmiażdżony i spłaszczony, wargi przecięte i pokaleczone. Najbardziej zmieniły się oczy. Głębokie i puste, przepełnione bólem, ale nie tym odczuwalnym fizycznie. Szybko je zamknął i znowu otworzył, żeby zobaczyć, czy ich wyraz zniknie. Nie zniknął. Tkwił w nich nadal.

Miał tam pozostać zawsze. Taki jak w tej chwili. Wyraz bólu tak ogromnego, że nie mogły go zmyć żadne łzy.

Rozdział 8

Jasne, kalifornijskie słońce zaczynało zsuwać się za błękitno-czarne cienie wzgórz, kiedy wysoki, siwowłosy mężczyzna wszedł po stopniach wiodących do domu i nacisnął przycisk dzwonka. Głęboko wewnątrz domu odezwało się echo gongu.

Wychylił się i wzdłuż szczytowej ściany spojrzął na tyły budynku.

Z akwamarynowej wody basenu unosił się pióropusz wodnego pyłu, którego kropelki migotały w słońcu jak diamenty. Słysząc było cichy śmiech dziecka, pluskającego się w wodzie, i łagodnie strofujący głos kolorowej bony, czuwającej nad brzegiem basenu. Z zadowoleniem kiwał głową, kiedy drzwi się otworzyły. Na progu stanął stary, czarnoskóry człowiek. Uśmiechnął się uprzejmie, rozpoznając gościa.

— Proszę wejść, panie Martin — powiedział niskim, pięknym głosem. — Powiem pani Drego, że pan przyszedł.

Joker podążył za starym człowiekiem do obszernego salonu i podszedł do dużego ozdobionego witrażami okna, wychodzącego na basen. Mała dziewczynka wychodziła właśnie z basenu, a jej białozłote włosy lśniły w słońcu. Bona otuliła dziecko dużym frotowym ręcznikiem i zaczęła je wycierać.

Córka zupełnie przypomina matkę, pomyślał. Nie ma w niej nic z Rossa. To aż dziwne, żeby mężczyzna tak silny jak Ross nie pozostawił na dziecku żadnego śladu. Joker uśmiechnął się lekko. Ale czy Michelle jest rzeczywiście Rossa? Tylko Marja знаła odpowiedź i wiedział, że lepiej nie pytać. Podejrzał, że Ross także wie. To pewne, że jeśli Ross kiedykolwiek o to zapytał, Marja wyjawiała mu prawdę, nawet jeżeli ta odpowiedź nie miała mu przypaść do gustu.

Słyszając, że ktoś się zbliża, Joker odwrócił się. Widok Marji poruszył go tak jak zawsze. Czas niczego jej nie ujął, jeżeli już, to raczej dodał. Nosila w sobie bogactwo czegoś tak pierwotnego i zasadniczego, że prawie czuło się dotyk niepohamowanej witalności. Przestał się uśmiechać i wyciągnął rękę.

— Maryann.

Podala mu dłoń. Ciepłą i silną. Równe, białe zęby błysnęły w uśmiechu.

— Joker. Dawno się nie widzieliśmy.

— Cztery lata. — Wskazał za okno. — Michelle miała dopiero dwa lata. To już duża dziewczynka.

— Ma w końcu sześć lat — uśmiechnęła się Maryann.

— Zupełnie podobna do matki. Będzie łamać męskie serca — zaśmiał się Joker.

— Och, Boże. Mam nadzieję, że nie — powiedziała Maryann żarliwie, ze zmienionym wyrazem twarzy.

— Nie jest ci chyba źle — stwierdził Joker, sięgając po papierosa.

— To zależy, do czego się dąży — odparła z nagłym cieniem w oczach. — Każdy szuka czegoś innego.

— Racja.

Pociągnęła za sznurek dzwonka.

— Czy mogę ci zaproponować drinka, kiedy będziesz czekał? Ross nie wróci wcześniej niż za godzinę.

— Dziękuję. Jednego zdążę wypić.

— Coś się stało? — zapytała ostro.

— To zależy, czego oczekujesz, Maryann — odrzekł, patrząc przenikliwie. Przypalił papierosa. — Tym razem nie przyszedłem do Rossa. Przyszedłem do ciebie.

— Tak? — spytała z nieodgadnionym wyrazem twarzy i odpowiednią porcją uprzejmego zainteresowania w głosie.

Wszedł stary służący.

— Słucham, pani Drego?

— Przyniesz szkocką dla pana Martina. Joker spoglądał za oddalającym się służącym.

— Ciągle ten sam, jak widzę.

— Nie wiem, jak bym sobie bez niego poradziła. To prawdziwy przyjaciel.

— Pracował u tego milionera, który zginął w katastrofie lotniczej, tak? Jak on się nazywał?

— Gordon Paynter — odpowiedziała. — Kiedy tylko przeczytałam o wypadku, pojechałam odszukać Toma. Miałam szczęście, że zgodził się przyjechać. Gordon dobrze go zabezpieczył.

— To znaczy, że znałaś Payntera? — zapytał uprzejmie.

— Znałam go — przyznała beznamiętnym głosem. — Niewiele brakowało, a wyszłabym za niego.

Wrócił Tom, niosąc szkocką, szklanki i lód.

— Mam przygotować drinki, proszę pani?

Maryann skinęła głową. Milczeli do czasu, gdy Tom podał Jokerowi szklankę i wyszedł.

— Twoje zdrowie — powiedział Joker.

— Dziękuję.

Usiadła na krześle naprzeciw kominka i patrzyła na Martina z wyczekiwaniem. Właśnie w takich chwilach przypominała mu kota—czy to z koloru oczu, czy ze sposobu, w jaki siedziała, czujna i napięta.

— Zauważyłaś, że Ross jest ostatnio jakiś inny? — zapytał zniechęca.

Wyraz oczu Maryann zmienił się lekko. Stał się ostrożny.

— Co masz na myśli?

— Dobrze wiesz, co — powiedział szorstko.

Milczała.

— Ross obrasta w piórka. Nio wszystkim to sio podoba.

— Jest bardzo nerwowy. Dużo pracuje.

— To tak jak ja — oznajmił Joker. I jak bardzo wielu ludzi, ale oni nie postępują tak jak Ross.

— Znasz go przecież — tłumaczyła. Pod wieloma względami przypomina dziecko.

— Znam. I dlatego tutaj jestem.

— Czego się po mnie spodziewasz? — zapytała, patrząc Jokerowi w oczy.

Odwrócił się do barku i przyrządził następnego drinka. Spojrzał w okno.

Dziewczynka i bona zbliżyły się do domu. Zniknęły za węglem.

— Kochasz Rossa? — spytał.

— Joker, czy to nie głupie pytanie? — odparowała z lekką naganą w głosie.

Odwrócił się od okna i zerknął na nią.

— Nie wiem. Powiedz mi. Jest głupie? Nie odpowiedziała.

— Żyjesz z nim siedem lat. Musisz coś do niego czuć. W innym przypadku dawno by cię tutaj nie było. — Pociągnął drinka. — Chcę wiedzieć tylko jedno, czy to miłość, czy nie?

— Lubię Rossa, jeżeli już koniecznie chcesz wiedzieć.

— Nie o to mi chodzi — potrząsnął głową. — Chcę wiedzieć, czy go kochasz.

— Nie, nie kocham go — odrzekła, a oczy jej pociemniały. Odetchnął głęboko.

Liczył na taką odpowiedź. To ułatwiało

sprawę. Usiadł naprzeciw Maryann.

— Ross cierpi na nieuleczalną chorobę — powiedział powoli. — Przerost ambicji. To go zabije.

Widział, jak twarz Maryann blednie pod opalenizną.

— Naprawdę jest nieuleczalna, czy tylko niektórzy tak myślą?

— Posunęła się za daleko. Za późno na leczenie. Nikt nie pokłada w pacjencie nadziei.

— Chodzi o ten ostatni hotel? „Shan Du”? — zapytała.

— I o ten hotel i o inne rzeczy. Miara się przebrała. Powinien był mieć na tyle rozumu, żeby nie wykorzystywać naszych pieniędzy do swoich celów.

— Przecież wszystko spłacił.

— Owszem. Pieniądze. Poza pieniędzmi nie posiada innych udziałów. Nie umieściliśmy go tutaj po to, żeby się usamodzielniał. Zbyt ryzykowaliśmy.

— A gdybym z nim porozmawiała?

- To by w niczym nie pomogło. Już się zdecydowali.
- Chcesz powiedzieć, że ty się zdecydowałeś — warknęła.
- Nie — zaprzeczył, powoli kręcąc głową. — Chciałem tylko dopilnować, żeby tobie nic się nie stało.

Rozdział 9

- Stajesz się zbyt powszechnie znany, Ross — powiedział Joker, sięgając po następną bułkę. — Będziesz musiał trochę przystopować. Wszystkie oczy są zwrócone na ciebie. Gazety śledzą każdy twój krok.
- Ross podniósł do ust kolejny kawałek steku.
- A cóż to za różnica? — zapytał cierpko. — Robię, co jest do zrobienia.
- Nie potrzebujemy rozgłosu — powtórzył Joker. Ross ze złością rzucił widelec na stół.
- Co was tam gryzie na wschodzie, może mi powiesz? Jedyne sposobem, żeby tutaj coś osiągnąć, to narobić dużo hałasu. Wtedy wszyscy wiedzą i garną się do pomocy.
- Razem z glinami, fiskusem i FBI — dodał Joker, uśmiechając się.
- Nikt niczego mi nie udowodnił, prawda? — spytał Ross.
- To zależy, o kim mówisz. I o czym.
- Ross spojrział na niego szybko i odsunął talerz zdecydowanym ruchem.
- Nie przyleciałeś tutaj, żeby dać mi lekcję dobrego zachowania — warknął. — O co ci chodzi?
- Maryann wybrała ten moment, żeby wstać.
- Idę zobaczyć, czy dziecko już w łóżku — wyjaśniła. Ross nawet nie drgnął. Patrzył na Jokera.
- No i? — zapytał.
- „Shan-Du”, po pierwsze — powiedział Joker łagodnie.
- O co chodzi. Jest mój.
- Nie rozumiesz, dzieciaku. — Joker potrząsnął głową. — W tym tkwi błąd. Mamy dostateczną ilość przeciwników, nie potrzebujemy ich w naszym gronie.
- W Vegas jest jeszcze miejsce na dwadzieścia następnych hoteli.
- Zgadza się — potwierdził Joker. — Dlatego zaczęliśmy

działać tak dawno temu. Tak wiele z nich, jak to tylko możliwe, ma należeć do nas. Ross wstał.

— Chcesz powiedzieć, że nie mogę mieć nic dla siebie? Joker uniósł obydwie ręce.

— Nie zrozum mnie źle, Ross. Możesz mieć wszystko, czego zapragniesz. Po prostu myślę, że to niezbyt mądrze.

— Zarobiłem dla was, chłopcy, masę forsy. Joker wstał i wpatrywał się w Rossa.

— Dostałeś swoją część — rzekł ochryple. — Więcej niż wynikało z ustalonego procentu. Problem w tym, że zawsze zagarniasz za dużo. Już będąc dzieckiem byłeś taki. Zawsze chciałeś więcej, niż powinieneś dostać. Tym razem starałeś się za bardzo.

Joker odwrócił się, żeby wyjść z pokoju.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zawołał Ross, chwytając go za ramię.

Oczy Martina były szare i zimne.

— Pamiętasz, jak przyszedłeś pograć w kości na tyłach sali tanecznej? Kiedy po raz pierwszy przyprowadziłeś Marję?

Ross skinął potakująco głową.

— A co to ma wspólnego z tą sprawą?

— Myślałeś, że jesteś sprytny. A wcale nie byłeś. Nie wydałem cię, bo myślałem, że się czegoś nauczysz. Nie mogę cię więcej kryć. — Wyrwał ramię z uścisku Rossa i wyszedł z pokoju.

Po schodach zbliżała się Maryann.

— Już idziesz? — zapytała.

— Tak. Nie mogę czekać. Muszę się zobaczyć z pewnymi ludźmi.

— Nie ma innego wyjścia?

Prawie niedostrzegalnie pokręcił głową. Zawahał się, a potem powiedział bardzo cicho:

— Na twoim miejscu zabrałbym dziecko i wyjechał na jakiś czas.

— Jest aż tak źle? — spytała, stojąc bez ruchu.

— Jest aż tak źle. Wyjedziesz?

— Nie. Nie mogę go teraz zostawić. Rano wyślę dziecko. Spoglądał na nią z podziwem.

— Dpbrze. Ale bądź ostrożna. Nie zbliżaj się do otwartych okien. — Podeszedł do drzwi i otworzył je. — Zadzwoń do ciebie.

Patrzyła, jak drzwi się zamykają, potem wróciła do salonu. Ross nalewał sobie drinka.

— Czego chciał Joker? — zapytała.

— Niczego.

— Niczego? To do niego niepodobne. Nie przebył takiej-długiej drogi bez powodu. Ross opróżnił szklanę jednym haustem.

— Powiedziałem: niczego, i to właśnie miałem na myśli. — Z hukiem odstawił szklanę. — Zostaw mnie — powiedział ze złością. — Muszę pomyśleć.

Przez chwilę przypatrywała się Rossowi, po czym wyszła z pokoju.

Kiedy zniknęła, Ross podszedł do telefonu i szybko wykręcił jakiś numer. Ktoś odebrał.

— Pete — rzekł Ross — natychmiast dawaj tu dwóch chłopaków. Joker właśnie wyszedł.

W słuchawce zatrzeszczało. Ross roześmiał się nienaturalnie.

— Kiedyś musiało do tego dojść — stwierdził. — Nie możemy ciągle im płacić...

Nie, nie martwię się. Nie ośmielą się. Wiedzą, że wszyscy mnie obserwują. Po prostu jestem ostrożny.

Odłożył słuchawkę i przygotował następnego drinka. Zatopił się w fotelu i popijał powoli. Zastanawiał się, ile wie Marja. Nigdy nie mógł jej rozgryźć. Można ją było poznać tylko do pewnego stopnia, potem trafiało się na mur nie do przebycia.

Przypomniawszy sobie moment, kiedy dowiedział się, że Marja jest w ciąży. Ile to już czasu minęło. Przebywali wtedy tutaj zaledwie od dwu miesięcy.

Wrócił akurat do apartamentu, który wynajmowali w trakcie poszukiwania odpowiedniego domu. Apartament w jednym z dużych hoteli był wygodny i bogato urządony. Szukając Marji, wszedł do sypialni. Na łóżku stała walizka, a Marja układała w niej swoje rzeczy. Szybko przebiegł pokój.

— Gdzie się wybierasz?

— Odchodzę — odpowiedziała bezbarwnym głosem.

— Dlaczego? Dobrze cię traktuje.

— Nie skarzę się.

— Więc dlaczego?

— Będę miała dziecko — oświadczyła, patrząc mu prosto w oczy.

— Ach, taki — Poczul dziwną ulgę. — To się da załatwić. Znam takiego lekarza...

— Nie. — Poręciła głową. — Chcę urodzić to dziecko. Uśmiechnął się dumnie.

— Zrób to. Pobierzemy się i...

— Nie chcę za ciebie wychodzić.

— Powiedziałaś, że chcesz tego dziecka. — Zdumiał się.

— Chcę.

Zatrzasnęła wieko walizki i z szafy przyniosła następną. Przyglądał się, jak zaczyna ją zapełniać.

— To dlaczego nie chcesz za mnie wyjść? W końcu, jeżeli mam zostać ojcem, wszystko może się jeszcze ułożyć.

Patrzyli na siebie ponad łóżkiem.

— O to właśnie chodzi. To nie twoje dziecko.

Stał bez ruchu i czuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Był blady jak ściana.

— A czyje? — zapytał ochryple, czując, jak głos więźnie mu w gardle.

Obojętnie wzruszyła ramionami.

— Co to za różnica, jeżeli nie jest twoje? Przechylając się przez łóżko, złapał ją za ramię i brutalnie

przyciągnął do siebie. Upadła na łóżko i wpatrywała się w Rossa. W oczach miała ból, lecz ani śladu strachu.

— Mike'a? — wypluł z siebie. Nie odpowiedziała.

Zamierzył się wolną ręką i uderzył ją z całej siły w twarz. Widział, jak białe ślady jego palców powoli podbiegają krwią. W skroniach pulsowała mu krew..

— To Mike'a, tak? — warknął. Uśmiechnęła się boleśnie i szyderczo.

— Co za różnica? Było ich wielu.

Padł następny cios. Jęknęła cicho, odwracając głowę. Z kącika ust spływała krew.

— Kurwa!

Spojrzała na Rossa powoli.

— Nigdy ci nie zabroniłam nazywać mnie po imieniu. Jeszcze raz trzasnął ją dłonią w poprzek twarzy. Zsunęła się

z łóżka na podłogę i leżała skulona. Obszedł mebel dookoła i patrzył. Nie poruszyła się.

Wysunął stopę i po grubiańsku przewrócił ją na wznak. Leżała rozciągnięta na dywanie i spoglądała na Rossa obojętnym wzrokiem. To było najgorsze ze wszystkiego. Brak jakiegokolwiek uczucia. Chciałby nienawiści.

— Nigdzie nie pojedziesz — powiedział — aż dobrze stanę na nogach i sam ci dam kopniaka.

— Tó dziecko Mike'a — wyznała bezbarwnym głosem.

— Nie obchodzi mnie to. Wszystko jedno czyje. Ty jesteś moja. Chodzi mi tylko o ciebie.

Rozdział 10

Pił kawe, kiedy zszedł na śniadanie. Oczy go piekły, a powieki miał ciężkie jak z ołowiu. Nie spał całą noc. Bez słowa usiadł przy stole.

— Dzień dobry — burknął.

— Dzień dobry — odpowiedziała z uśmiechem.

Wstała i wyszła do kuchni. Za chwilę wróciła, niosąc tacę z grzankami i dzbankiem gorącej kawy.

— Gdzie Bunny? — spytał zdziwiony, rozglądając się za pokojówką.

— Wysłałam ją razem z Michelle. Pomyślałam, że lepiej będzie, jeżeli na jakiś czas wyjadą do Arrowhead. Mała mizernie wygląda.

Spojrzał na Maryann zdumiony. Twarz nie wyrażała niczego. Musiała wiedzieć. Był pewien.

— Dobry pomysł — zgodził się. — Tom też pojechał?

— Nie. Nie chciał.

Nalała Rossowi kawy. Wypił szybko. Potrzebował czegoś, co postawiłoby go na nogi. Całnocne przewracanie się w łóżku wykończyło go. Nadgryzł kawałek grzanki. Nie miała żadnego smaku. Żuł powoli.

— Twoje psy łańcuchowe czekają w samochodzie przed domem — powiedziała.

Znowu się zdumiał. Rzadko się zdarzało, żeby czegoś nie zauważyła.

— Nie puszczę tego Jokerowi płazem — stwierdził pyszał-kowato.

Nie odpowiedziała.

— Słyszałaś? — mówił z nutką hysterii w głosie. — Joker nic nie może mi zrobić.

— Ja słyszałam — rzekła cicho — ale czy Joker słyszał?

— Za długo dawałem sobą pomiatać. Nic. nie powiedziała.

Przez chwilę patrzył na Maryann, potem wyszedł z pokoju. Za moment wrócił z automatycznym pistoletem w dłoni. Szybko sprawdził magazynek i wsunął broń do kieszeni. Usiadł przy stole i podniósł do ust filiżankę. Trzęsły mu się ręce i kawa się rozlała.

— Daj mi pistolet, Ross — poprosiła cicho.

— Po co? — spytał, marszcząc brwi.

— Nie znasz się na pistoletach i jesteś taki nerwowy, że możesz zranić kogpś Bogu ducha winnego.

Przesunął broń po blacie stołu i Maryann schowała ją do szuflady.

— Teraz lepiej się czuję — stwierdziła.

— Może też powinnaś pojechać do Arrowhead.

— Nie ja — uśmiechnęła się. — To ohydne i nie w moim stylu. Mówiłam ci tysiąc razy.

— Może ci się coś stać.

— Równie dobrze mogę spaść ze schodów.

Nie odpowiedział ani na nią nie spojrzał. Nigdy jej nie zrozumie. Odstawił filiżankę.

— Muszę iść.

— Będę na ciebie czekała, Ross — rzekła, wstając. Popatrzył z wdzięcznością.

— Dzięki, Marjo — odparł prawie z pokorą w głosie. Wsiadł do samochodu i zajął miejsce między dwoma mężczyznami.

— Jakie macie najnowsze wiadomości? — zapytał, kiedy ruszyli.

— Rozmawiałem z Petem pół godziny temu — odpowiedział jeden z mężczyzn. — Martin nie wystawił nosa z hotelu od pierwszej w nocy.

— Dobrze — powiedział Ross zadowolony. — Zabieramy się za niego.

Wysoki, brodaty mężczyzna zbliżył się do samochodu, kiedy tylko Ross wysiadł.

— Nadal jest u siebie — szepnął. — Pilnowałem całą noc.

— Dzięki, Pete.

— Mam klucz i zapłaciłem chłopcu z windy towarowej, żeby przy niósł kawę — kontynuował Pete.

— Pomyślałeś o wszystkim.

— Robię to, za co mi płacą — odpowiedział Pete obojętnie. Ross skinął na mężczyzn w samochodzie. Wysiedli powoli

i weszli do budynku. Ross czuł, jak mocno wali mu serce. Nadszedł ten moment. Ten wielki moment. Nie mógł sobie pozwolić na spartaczenie roboty. Jeżeli tym razem się nie uda, będzie skończony.

Szli długim, pomalowanym na szaro, wycementowanym korytarzem w podziemiach hotelu. Pete zatrzymał się przed jakimiś drzwiami i nacisnął guzik. Drzwi rozsunęły się, ukazując wnętrze windy. Szybko wsiedli.

Pete nacisnął guzik, drzwi zamknęły się i winda ruszyła w górę. W milczeniu obserwowali zapalające się cyferki, ozna-

czające piętra. Na piątym winda stanęła i drzwi znów się otworzyły.

— Zostań i przytrzymaj windę — powiedział Pete do jednego z mężczyzn.

Pozostali ruszyli korytarzem. Pete sprawdzał numery pokoi. Wreszcie skinął głową. Ross szybko rozejrzał się po korytarzu. Był pusty.

Pete wyjął z kieszeni policyjny pistolet. Lewą ręką szybko przykręcił tłumik do lufy. Rossowi wręczył klucz.

Ross popatrzył na błyszczący przedmiot w swojej dłoni, nabrał głęboko powietrza. Czuł, że pot spływa mu po twarzy. Wiedział, że Pete bacznie go obserwuje.

— Gotowy? — zapytał ochryple. Pete skinął głową.

Ross włożył klucz do zamka. Miał wrażenie, że obracając się, klucz robi wielki hałas. Szybko pchnął drzwi i Pete wskoczył do pokoju. Ross za nim, popychany przez następnego mężczyznę.

Pete zaklął po cichu i wpadł do drugiego pokoju. Ross pobiegł za nim po to tylko, by usłyszeć wiązaną przekleństw.

— O co chodzi?

Nie musiał czekać na odpowiedź. Pot znowu mu zraszał twarz. Patrzył głupawo na Pete'a.

— Co się, do diabła, stało?

— Nie wiem.

Rozejrzeli się po pokoju. Był czysty. Posprzątany i pusty. Joker się wyniósł.

Warkot silnika usypiał Jokera. Zawsze było tak samo. Nie wiedział tylko, czy tak działa na niego dźwięk wydawany przez silniki czy drammamina, którą zażywał, żeby zapobiec chorobie lotniczej. W każdym bądź razie zwykle przesypiał całą podróż. Zamknął powieki.

Przed oczami miał jej twarz. Poruszył się niespokojnie. Dziewczyny nigdy tak na niego nie działały. Przypomniawszy sobie, jak mu się przyglądała bardzo dawno temu, kiedy jeszcze była dzieckiem. Była zbyt młoda. A może on okazał się głupcem? Nigdy nie była za młoda.

Pamiętał tę chwilę, kiedy wyszła z domu poprawczego. Spóźnił się zaledwie o parę minut. Odetchnął głęboko. Teraz to już nie potrwa długo. Nadchodzi jego kolej. Dziecko stanowiło problem. Jeżeli jego ojcem nie był Ross, musiał to być ktoś inny. Zastanawiał się, kto. Nie była przecież

naiwniaczka. Zanim wsiadł do samolotu, dowiedział się, że odesłała małą do Arrowhead o piątej rano.

Uśmiechnął się lekko. To u niej lubił. Była bystra. Gdyby Ross miał choć połowę jej rozumu, nie byłby teraz w takim położeniu.

Rozdział 11

Prawie miesiąc minął od wyjazdu Jokera i Ross zaczął czuć się pewniej.

Utwierdził się w przekonaniu, że ma rację. Nie mogą mu niczego zrobić, cieszy się zbyt wielkim zainteresowaniem opinii publicznej. Wcześniej czy później będą musieli go wezwać i zgodzić się na stawiane warunki.

Wszedł do domu, pogwizdując. Maryann, czekająca w holu, aż się zdumiała. Co za odmiana po ostatnich nerwowych tygodniach. Wyrzała przez otwarte jeszcze drzwi. Nikogo nie dojrzała.

— Gdzie twoja ochrona?

— Odesłałem ich — powiedział, uśmiechając się. — Męczyli mnie tą ciągłą obecnością.

— Myślisz, że to mądra decyzja?

Ross wszedł do salonu i nalał sobie drinka.

— Joker wie, że poniósł klęskę. Na nic się nie odważa. Patrzyła na Rossa w milczeniu.

Wychylił drinka. Whisky piekła i rozgrzewała. Wieczorami było chłodno.

— Jutro pojedziemy do Arrowhead po małą i skoczmy do Vegas na krótki urlop.

— Myślę, że powinniśmy jeszcze trochę zaczekać.

— Męczy mnie to nieróbstwo. Nie muszę się bać. Jutro wyjeżdżamy.

— Pójdę zobaczyć, czy Tom może już podawać obiad — powiedziała, wychodząc z pokoju.

Patrząc, jak wychodzi, nalał sobie, następnego drinka. Nigdy jej nie rozumie.

Jeżeli się boi, to po co z nim została. Nic jej tutaj nie trzymało. Nie byli małżeństwem. Nie mógłby jej winić, gdyby wyjechała. Pił powoli. Może kiedyś się dowie. Może któregoś dnia przekroczy dzielącą ich barierę porozumienia.

— Obiad gotowy — oznajmiła, wchodząc.

Stał przez chwilę. Czuł, że nagle wszystko pojał. Przeszedł przez pokój i wziął ją za rękę.

— Marjo — rzekł delikatnie — pobierzmy się jutro. Będziemy mieć prawdziwy miesiąc miodowy.

Spojrzała Rossowi w oczy. Czuła w sobie narastający ból.

— Naprawdę tego chcesz, Ross?

— Tak. Teraz o tym wiem. Potrzebuję cię. Nic już nie jest tak, jak przedtem.

Zerknęła w dół na swoją dłoń. Silne, brązowe palce obejmowały ją mocno.

Wiedziała, co to znaczy. Coś się w nim zmieniło. Miała wrażenie, że Ross, którego zawsze знаła, nagle stał się dorosły. Po raz pierwszy dostrzegła w jego wzroku pustkę i samotność. Poczuła, że coś ją ściska w gardle.

— Dobrze, Ross — szepnęła. — Jutro się pobierzemy. Przygarnął ją i pocałował.

— Nie będziesz żalowała.

Obiad minął im wesoło. Snuli wielkie plany i poprosili Toma, aby otworzył butelkę szampana. Radość i podniecenie ogarnęły także Maryann.

— Zbudujemy dom — powiedział Ross.

— A temu czego brakuje? — śmiała się.

— Chcę, żeby to był nasz dom, pełen naszych pomysłów. Poza tym tego nie możemy kupić. Właściciel nie chce go sprzedać. Tylko wynajmuje.

— Możemy trochę poczekać. Pokręcił głową.

— Zrobimy to natychmiast. Mam na oku posiadłość na wzgórzach. Półtora akra. Wszystko musi być porządne.

Maryann przybrała poważny wyraz twarzy.

— Ty tu rządzisz.

Ross odstawił filiżankę kawy, wstał i podszedł do niej.

— Chcę, żebyś była szczęśliwa. To jedyna rzecz, która się teraz liczy.

— Będę — przyrzekła.

Zegar bił dziesiątą, kiedy przyszli do salonu. Ross wyciągnął się na kanapie i wyjął papierosa.

— Tak mi dobrze — stwierdził. — Czuję, że wszystko się Znakomicie ułoży.

Zapaliła mu papierosa.

— Będzie wspaniale, Ross. Musimy się tylko postarać, żeby tak było.

— Postaramy się. — Pociągnął ją na kanapę i pocałował w policzek. — Nigdy ci nie mówiłem, jaka jesteś wspaniała, prawda, kochanie?

Pokręciła głową.

Ross przyciągnął Maryann do siebie, tak że leżała z policzkiem na jego piersi.

— Kocham cię — powiedział. — Wiesz o tym, prawda? Myśle, że zawsze cię kochałem, ale nigdy tego nie wiedziałem naprawdę. Myślałem, że przyznanie się do miłości w jakiś sposób mnie osłabi.

Nie odezwała się.

— Pamiętam, co czułem, patrząc na ciebie. Prawie mnie rozsadzało.

Roześmiała się.

— Nie musisz być taki miły, Ross — drażniła go. — Już powiedziałam „tak”.

Patrzył na Maryann i uśmiechał się.

— Mówię, jak jest — rzekł poważnie. — Jest tyle rzeczy, które chciałem tobie powiedzieć, ale nigdy tego nie zrobiłem. Całego życia mi nie starczy, żeby sobie wszystko przypomnieć.

Spoglądała na niego łagodnie.

— Dziękuję, Ross. — Pocałowała go w policzek. Chrząknął zakłopotany. Nie był przyzwyczajony do tego, żeby mu dziękowała. Usiadł.

— Pooglądamy telewizję? Możemy przecież trochę potrenować zachowanie pary małżeńskiej.

— O.K. — Uśmiechnęła się.

Przeszedł przez pokój i włączył telewizor. Pokręcił galkami.

— Jaki obraz? — zapytał przez ramię.

— Całkiem niezły — powiedziała, zerkając na chwiejące się postacie na ekranie.

— Lepiej się nie da — stwierdził, siadając na kanapie.

— Nie skarżę się.

Usiadł bliżej i wziął Maryann za rękę. W milczeniu oglądali komika na ekranie. Nie był zbyt zabawny, ale mocno się starał. Dwa tygodnie wcześniej to samo przedstawienie odbyło się „na żywo” w Nowym Jorku. Teraz brakowało, w nim spontaniczności.

Przyglądała się Rossowi zapatrzonemu w ekran. Czarne włosy opadały mu na czoło. Oczy nie były już zimne, metalicz-noniebieskie, jak dawniej, patrzyły łagodnie i wydawały się cieplejsze. Uśmiechnęła się do siebie. Dużo czasu trwało jego dorastanie.

Gdzieś w głębi domu rozdzwonił się telefon. Ross nawet nie usłyszał. Nagle telefon przestał dzwonić i słychać było cichy głos Toma, lecz słów nie dało się rozróżnić. Spojrzała znowu na ekran.

— Pani Drego. — Głos Toma dochodził z holu.
— Tak?
— Telefon do pani. Wstała.
— Wracaj szybko, kochana — powiedział Ross z uśmiechem, odprowadzając ją wzrokiem.
— Dobrze, kochany. — Impulsywnie pocałowała go w czoło. Przeszła przez hol do małej biblioteki i podniosła słuchawkę.
— Halo.
Nie było odpowiedzi, dosłyszała jednak jakiś przyciszony dźwięk.
— Halo, halo! — zawołała, czując, jak przebiegają lodowaty dreszcz.
— Marja? — rozległ się znajomo brzmiący szept.
— Tak. Kto mówi?
— Marja? — powtórzył ktoś, tak jakby wcale nie odpowiedziała.
Palce jej zbieleły, tak mocno ścisnęła słuchawkę. Znała ten głos. Wiedziała, dlaczego ją odwołano do telefonu.
— Ross! — krzyknęła rozdzierająco. — Ross!
Z salonu dobiegł odgłos suchego kaszlu, zagłuszony brzękiem tłuczonego szkła. Telefon wypadł jej z rąk. Pomknęła do salonu.
Ross siedział dalej na kanapie, odchylony do tyłu, z pobieloną twarzą, oczy miał pełne bólu i bezgranicznego zdumienia. Ręce przyciskał mocno do piersi.
— Marjo! — wyszeptał ochryple.
Widziała, jak krew wypływa mu spomiędzy palców. Spojrzała na wielkie okno naprzeciw kanapy. Połowa, strzaskana, wpadła do pokoju.
Podbiegła do Rossa.
— Tom! — krzyknęła. — Wezwij lekarza.
Ross zaczął przechylać się do przodu. Zdażyła go złapać i ułożyć z głową na swojej piersi.
— Kochany, kochany, kochany — płakała.
Czuła, jak drżał z bólu. Powoli odwrócił twarz w jej kierunku.
— Myliłem się — szepnął.
— Nie, kochany.
Mówił powoli, jak gdyby każde słowo musiało przebyć długą drogę, żeby dotrzeć do warg.
— Myliłem się, ale tak bardzo się starałem.
— Wiem.

Łzy spływały jej po policzkach. Całowała czarne włosy, świecące i mokre od potu. Popatrzył w górę.

— Marjo.

— Tak, Ross.

— Cieszę się, że zadzwonił telefon. Tak bardzo cię Kocham. — Jego głos, jak echo, odbijał cały ból.

— Ja też cię Kocham — mówiła płacząc.

— Naprawdę? — zdumiał się.

— A jak myślisz, dlaczego zostałam? — zapewniała go gwałtownie.

Zmęczony przymknął oczy.

— Zostałaś.

Milczał chwilę, potem znowu otworzył powieki. Malował się w nich dziwny wyraz zadowolenia.

— Cieszę się, że zostałaś — szepnął. — Bałbym się, gdyby tu Ciebie nie było.

— Zawsze z tobą będę, Kochany — płakała, odwracając jego głowę w swoją stronę.

Zakaszła i cienka strużka krwi popłynęła mu z ust na jej białą bluzkę. Głowa uciekała mu do przodu, a oczy miał puste i niewidzące.

Spojrzała w dół na swoją bluzkę. Mała plamka krwi rosła i rosła. Telewizor ryknął salwą śmiechu publiczności. Delikatnie ułożyła głowę Rossa na kanapie.

Podniosła się.

W drzwiach stał Tom. Jego czarna twarz była popielatoszara.

— Wezwałem doktora, panno Maryann.

— Dziękuję — powiedziała zmęczona i przeszła przez pokój, żeby wyłączyć telewizor.

Rozdział 12

Mike wszedł do biura, zdjął kapelusz i cisnął go na krzesło, stojące naprzeciw biurka. Czoło lśniło mu od potu. Usiadł ciężko.

Joel podniósł głowę znad drugiego biurka.

— Ciepło — stwierdził.

— Bardzo ciepło jak na maj — powiedział Mike, uśmiechając się. — Jak tak dalej pójdzie, to lato ładnie da nam w kość.

Joel odchylił się do tyłu na swoim krześle, wyraźnie znużony.

— Ja mam już dosyć. To było piekło, a nie weekend. Dłużej tego upału nie wytrzymam. A myśleliśmy, że Stary zgodzi się na założenie klimatyzacji w biurach.

Mike wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Kiedy on zakłada, że dobrzy prawnicy są wydestylowani z własnego potu.

— Nie sędzę, żeby sam się kiedyś spocił, ma w sobie za mało krwi — użalał się Joel. Wziął skrawek papieru ze swojego biurka i wręczył Mike'owi. — To czekało na ciebie.

Mike rzucił okiem na wiadomość.

— Jasna cholera! — zaklął.

— Co się stało, kochany? — zaśmiał się Joel.

Mike popatrzył na niego, powoli wstał i sięgnął po kapelusz.

— Nie wydurniaj się. Przecież czytałeś.

— I czego się skarżysz? — śmiał się Joel. — Jedziesz na małą przejażdżkę samochodową do centrum miasta. Spędzisz parę godzin w miłym, chłodnym i pachnącym czystością szpitalu. Masz szczęście, że nie musisz siedzieć w tym dusznym, starym biurze.

Mike był już przy drzwiach.

— Pieprzysz — powiedział i wyszedł na korytarz, goniony ochryplym śmiechem kolegi.

Czekając na windę, jeszcze raz spojrział na kartkę. *Podejrzenie aborcji.*

Drzwi windy rozsunęły się i Mike wszedł. W drodze na dół przeczytał:

Florence Reese. Przyjęta do Szpitala im. Roosevelta o7¹⁰, 10 maja 1954.

Wewnętrzny krwotok spowodowany zabiegiem usunięcia ciąży. Stan krytyczny.

Drzwi otworzyły się i Mike wyszedł. Przeszedł przez korytarz, gdzie kilku mężczyzn zerknęło na niego znad rozpostartych gazet. Podeszedł do drzwi z napisem KAPITAN F. MIL-LERSEN na tabliczce z matowego szkła. Otworzył je i wszedł.

— Cześć, Mike — powiedział niskim głosem ciemnowłosa mężczyzna siedzący za biurkiem.

— Cześć, Frank. Daj mi kogoś, żeby ze mną pojechał do" Szpitala im. Roosevelta. Podejrzenie aborcji. — Położył na biurko kartkę.

Kapitan Millersen ledwie na nią spojrział.

— Jedna z tych..., co? — zapytał. Mike przytaknął.

Detektyw wstał.

— Myślę, że tym razem sam się z tobą wybiorę.

Mike ze zdumienia szerzej otworzył oczy. Millersen nigdy nie zajmował się sprawą, jeżeli nie była dostatecznie poważna. Mówiono nawet, że ma niesamowity dar do przewidywania, która sprawa okaże się poważna. Czuł to na odległość.

— Idziesz ze mną, Frank? — spytał Mike z niedowierzaniem.

— Tak, trochę już mnie męczy siedzenie za biurkiem i wygrzewanie tyłka.

— Wiesz o czymś w tej sprawie, czego ja nie wiem? — zapytał Mike sceptycznie. Millersen włożył cygaro do ust.

— Nic nie wiem. Mam dosyć" siedzenia. Idziemy.

Szli długim, pomalowanym na zielono korytarzem, wśród zapachu środków dezynfekcyjnych. Pielęgniarka wprowadziła ich na oddział. Łóżko stojące na samym końcu sali odsłonięto parawanami.

— To tutaj — powiedziała pielęgniarka, odsuwając parawan.

— Jest w stanie mówić? — zapytał Mike.

— Proszę ostrożnie. Jest bardzo słaba.

Weszli za zasłonę i stanęli obok łóżka. Milcząc, patrzyli na młodą dziewczynę. Wydawało się, że śpi. Oczy miała zamknięte, twarz blada, a właściwie białobłękitną, bez kropli krwi pod skórą. Rozchylone wargi tylko trochę ciemniejsze od policzków.

Mike spojrział na detektywa. Millersen kiwnął głową.

— Panno Reese — odezwał się Mike cicho. Dziewczyna nie reagowała. Spróbował powtórnie. Tym razem

leciutko drgnęła. Powoli otworzyła oczy. Mike nie mógł określić ich koloru, tak bardzo były przepełnione cierpieniem. Poruszyła wargami, ale nie wydobył się pomiędzy nich żaden dźwięk. Mike podszedł bliżej.

— Słyszysz mnie pani, panno Reese? Lekko skinęła głową.

— Jestem Mike Keyes, a to kapitan Millersen, przychodzimy z biura prokuratora okręgowego.

W oczach dziewczyny pojawił się strach.

— Wszystko w porządku, panno Reese — powiedział Mike, aby ją uspokoić. — Nie będzie pani miała żadnych kłopotów. Musimy tylko zadać kilka rutynowych pytań, tak żeby można było pani pomóc.

Powoli strach zaczął się oddalać. Mike chwilę odczekał. Jego

własne słowa brzmiały mu w uszach szyderczym echem. Żadnych kłopotów. Przecież miała wielki kłopot. Umierała. Uśmiechnął się pocieszająco.

— Czy ma pani jakichś krewnych? Zawiadomimy ich. Pokręciła głową.

— W mieście, albo gdzie indziej?

— Nie — szepnęła.

— Gdzie pani mieszka, panno Reese?

— W hotelu „Allingham”.

Mike pokiwał głową. To jeden z niedrogich hoteli dla kobiet, w zachodniej dzielnicy.

— Pracuje pani, panno Reese? Potrząsnęła głową.

— Co pani robi?

— Jestem modelką. — Głos ledwie było słyhać.

Mike wymienił porozumiewawcze spojrzenie z detektywem. Połowa bezrobotnych dziewczyn w Nowym Jorku to modelki, druga połowa to aktorki.

— Pracuje pani samodzielnie czy w agencji?

— W agencji.

— Jakiej?

— Park Avenue Models — odpowiedziała.

Po raz pierwszy w czasie dalszej rozmowy wyraz twarzy dziewczyny trochę się zmienił.

— Zawiadomcie Maryann...

Mike'owi zdawało się, że dostrzega cień nadziei na obliczu chorej.

— Zawiadomimy — obiecał. — Maryann, a nazwisko i adres?

Dziewczyna zbierała siły, żeby jeszcze coś powiedzieć.

— Maryann... w agencji. Ona wie, co zrobić. Ona... — Głos ją zawiódł, a głowa opadła na jedną stronę.

Pielęgniarka podeszła szybko do wezglowia łóżka. Zbadła puls dziewczyny.

— Śpi — ogłosiła. — Będą panowie musieli skończyć później.

Mike odwrócił się do Millersena. Twarz detektywa była niemal tak biała jak umierającej dziewczyny. Mike natychmiast zmienił swoje zdanie o Millersenie. Słyszał, że jest twardy jak skała.

Millersen skinął głową i wyszedł z za parawanu. Mike za nim.

— I co o tym myślisz, Frank? — zapytał.

— Niczego się nie dowiemy — powiedział Millersen.

— Skąd takie wnioski? — zdziwił się Mike. Millersen uśmiechnął się smutno.
— Zbyt wiele tego widziałem. Zazwyczaj ślady prowadzą donikąd.
— Ale ona umiera — stwierdził Mike. — Musimy coś zrobić, żeby się dowiedzieć, kto ten zabieg wykonał. Przecież ten rzeźnik będzie skłonny zabrać się do następnej.
Detektyw uspokajająco wyciągnął rękę.
— Nie panikuj, Mike. Będziemy szukać, ale nie znajdziemy. Chyba że dziewczyna nam powie.
— Dzwonię do agencji. Może będą mieli jakieś wiadomości. Mike ruszył przejściem między łózkami.
Millersen złapał go za ramię.
— Ja zadzwonię, Mike — rzekł szybko. — Ty poczekaj. Porozmawiaj z dziewczyną, kiedy już będzie można. Z tobą już się oswoiła.
— Dobry pomysł — pokiwał głową Mike.
Patrzył, jak Millersen wychodzi z oddziału, potem wrócił do dziewczyny. Pielęgniarka właśnie opuszczała pokój. Uniosła brwi na widok Mike'a.
— Zaczekam, aż będzie mogła mówić — wyjaśnił.
— Może pan poczekać przy moim biurku w korytarzu — oświadczyła. — To trochę potrwa, zanim będzie mówić. O ile w ogóle będzie.

Rozdział 13

Tom delikatnie otworzył drzwi, balansując tacą niesioną w drugiej ręce.
— Obudziła się pani, panno Maryann? — spytał cicho.
Z dużego podwójnego łóżka nie padła żadna odpowiedź.
Przeszedł cicho przez pokój i postawił tacę na małym stoliku. Nie patrząc na łóżko, podszedł do okna i odsunął zasłony. Słońce zalało pokój. Chwilę wyglądał przez okno.
Daleko w dole widział East River, wijącą się w kierunku ujścia do Hudson River. Migotliwa zieleń parku Gracie Square kontrastowała z szarymi ścianami otaczających park budynków. Zauważył długą, czarną limuzynę, skręcającą w dojazd do Gracie Mansion. Spojrzał na zegarek. Ósma. Burmistrz miasta wcześniej wyjechał do pracy. Odwrócił się w stronę pokoju.

Już się obudziła i z poduszki śledziły go leniwie wielkie, brązowe oczy. Powoli przeciągnęła się, ukazując silne, opalone ramiona.

— Dzień dobry, panno Maryann — powiedział, podchodząc do łóżka.

— Dzień dobry, Tom. Która godzina?

— Ósma — odpowiedział, stawiając tacę na łóżku. — Czas wstawać.

Wykrzywiła się i usiadła. Tom zdjął jedwabną lizeskę z krzesła i zaczął, aż Maryann zarzuci ją na ramiona.

— Co mamy ha śniadanie, Tom? — zapytała.

— Dzisiaj dieta, panno Maryann. Sok i kawa.

— Kiedy jestem głodna — protestowała.

— Taka pani dzisiaj śliczna, panno Maryann. Nie chce pani tak dłużej wyglądać?

— Tom, ty stary lizusie — roześmiała się.

— Proszę zabrać się za śniadanie — rzekł Tom z uśmiechem. — Pan Martin powiedział, że będzie tu o dziesiątej, żeby zabrać panią do biura.

Podniosła szklanke soku pomarańczowego do ust i piła powoli.

— Niedługo będziesz rządził całym moim życiem, Tom.

— Nie ja — odparł, potrząsając kędzierzawą, gdzieniegdzie przyprószoną siwizną czupryną. — Ale chciałbym zobaczyć takiego, któremu to się uda.

Maryann, śmiejąc się, wypila resztę soku.

— Jest jakaś poczta?

— Pójdę na dół zobaczyć. — Odwrócił się i wyszedł z sypialni.

Leniwie podniosła gazetę leżącą na tacy i przejrzała tytuły. Zwyczajne wiadomości: gwałt, podpalenie, morderstwo i wojna. Pijąc kawę, przeglądała komiksy. Wrócił Tom z listem w ręce.

Niecierpliwie rozdarła kopertę.

— To od Michelle — oznajmiła radośnie.

— Tak, proszę pani — powiedział, chociaż wiedział pierwszy. Przepadał za chwilami, kiedy była szczęśliwa. Zdaniem Toma, Maryann była najsmutniejszą i najpiękniejszą kobietą na świecie.

— Zdała połówkowe egzaminy na drugim miejscu w klasie — mówiła podekscytowana Maryann. — Nie może się doczekać czerwca. Jedziemy do niej na wakacje.

— Na pewno możemy pojechać? — zapytał Tom z dziwnym wyrazem twarzy.

— Chciałabym widzieć tego, kto próbowałby nas zatrzymać.
— Ale pan Martin mówi, że pani może być bardzo zajęta tego lata.
— Pan Martin może się wypchać — stwierdziła zdecydowanie. — Zatrzymał mnie w zeszłym roku, ale teraz mu się to nie uda.
Czekał w salonie, gdy zeszła schodami podwójnego apartamentu.
— Dzień dobry, Maryann — powiedział z uśmiechem.
— Dzień dobry, Joker. Mam nadzieję, że długo nie czekałeś. Uśmiechnął się jeszcze szerzej.
— Długo czekałem, Maryann. Parę minut nie sprawia mi różnicy.
— Zawarliśmy układ — rzekła, patrząc mu w oczy. Przytaknął.
— Układ to układ — powtórzyła.
— Czasami wydaje mi się, że jesteś zimna jak lód.
— Nie zimna, Joker. Po prostu znudzona. Dostatecznie znudzona, żeby sobie nie zawracać głowy.
— Nawet mną?
— Nawet tobą. Pamiętasz naszą umowę? Skinął głową. Pamiętał. Aż za dobrze.
Przyszedł do domu i Tom wprowadził go do salonu. W duże okno wstawiono nowy szyby. Widział skraj basenu, tyle tylko że tym razem nie pluskało się w nim żadne dziecko. Odwrócił się, słysząc kroki.
Stała w drzwiach, ubrana w prostą, czarną sukienkę. W gasnącym świetle dnia zabłysnęły blond włosy, kiedy się zbliżała.
— Cześć, Joker — powiedziała z kamienną twarzą, nie wyciągając ręki.
— Maryann.
Nie spuszczała wzroku z twarzy Jokera.
— Dziękuję za telefon.
— Jaki telefon?
— Nie udawaj — powiedziała spokojnie. — Rozpoznaję twój głos, nawet kiedy mówisz szeptem.
Podszedł do kanapy.

— Co masz zamiar teraz robić? — zapytał.
— Nie wiem. — Wzruszyła ramionami. — Iść do pracy, jeżeli coś znajdzie.
— Myślałem, że Ross dobrze cię zabezpieczył — zdziwił się Joker.
— Nic mi nie zostawił — odrzekła bez goryczy.
— Przecież jesteś wdową po nim. Nawet ubierasz się na czarno.
— Mogę być wdową po Rossie, ale nigdy nie byłam jego żoną. A tylko za to płacą
— uśmiechnęła się lekko. — Poza tym nie noszę żałoby. Tak się składa, że dobrze mi w czarnym.
— Bezsprzecznie. — Uśmiechnął się.
Jak zwykle, a jednak ku zdumieniu Jokera, Maryann przeszła od razu do meritum sprawy.
— Nie przyszedłeś mi mówić, że dobrze wyglądam. Po co właściwie przyszedłeś?
— Chłopcy martwią się o ciebie. Oczy Maryann straciły wszelki wyraz.
— O nic nie muszą się martwić. Przeszłam przez całe śledztwo i niczego nie powiedziałam.
— Mimo to martwią się. Obawiają się, że możesz mieć kłopoty i wtedy zdecydujesz się powiedzieć nieco więcej.
— Chyba ja wiem lepiej.
— Tak — zgodził się Joker — ale oni nie są o tym przekonani.
— Co muszę zrobić, żeby ich przekonać?
— Wrócić ze mną na wschód. Mają dla ciebie pracę.
— Jaka pracę? — zapytała podejrziwie.
— Masz prowadzić agencję modelek. Będą się lepiej czuli, mając cię na oku.
— Agencja modelek? — spytała. — A co ja o tym wiem?
— Nie bądź naiwna, Marjo.
— A co się stanie, jeżeli nie wrócę?
Wydobył paczkę papierosów z kieszeni i wyciągnął w kierunku Maryann.
Potrząsnęła głową. Zapalił papierosa, włożył paczkę z powrotem do kieszeni, wyjmując w zamian małą fotografię. Błysnął zdjęciem w stronę Maryann.
Spojrzała. Fotografia przedstawiała małą, jasnowłosą dziewczynkę, bawiącą się na trawniku z boną.
— To Michelle — stwierdziła Maryann z przerażeniem.
— Tak. Nie martw się. Nic się nie stało. Pomyśleliśmy, że chciałabyś mieć to zdjęcie. Zostało zrobione w Arrowhead, w zeszłym tygodniu.
Przez chwilę stała milcząca, potem podeszła do okna.

- Nic innego ich nie zadowoli? — zapytała głosem pustym i pełnym rezygnacji.
— Nic.
— Jeżeli to zrobię, nie będzie innych zobowiązań?
— Co masz na myśli?
Odwróciła się i popatrzyła na Jokera z powątpiewaniem -
— Teraz ty jesteś naiwny. Poczuł, że się czerwieni.
— Nie będzie innych zobowiązań — odrzekł. — Ale nie możesz mi zabronić mieć nadzieję.
— O.K. — odparła z westchnieniem.
— Więc tak się umawiamy? — zapytał. Skinęła głową.
— Cieszę się, Maryann — powiedział. — Miałem nadzieję, że nie będziesz się upierać.
— Nie mów do mnie Maryann — odpowiedziała. — Mów mi „pani”.

Rozdział 14

- Wsiądę na rogu Park Avenue i Trzydziestej Ósmej Ulicy oświadczyła. — Dalej się przejdę.
— Dobrze — odrzekł, zjeżdżając na skraj jezdni. Przechylił się przez fotel i otworzył drzwiczki samochodu. — Zjemy razem obiad?
Kiwnęła głową.
— Wpadnę po ciebie o ósmej.
— Zgoda — odparła i zamknęła drzwi.
Patrzył, jak zanurza się w tłumie ludzi na rogu i przechodzi przez jezdnię tuż przed maską jego samochodu. Podobał mu się sposób, w jaki się poruszała. Chód miała tak samo młodzieńczy jak niegdyś. Uśmiechnął się, widząc, jak mężczyźni minawszy ją, oglądają się, żeby spojrzeć jeszcze raz. Trudno było ich winić. Gdzieś za nim odezwał się klakson. Zerknął w górę i stwierdził, że światło się zmieniło. Ruszył.
Dom, nieco cofnięty w głąb w stosunku do pozostałych, był jednym ze staromodnych budynków z piaskowca, które już dawno ze względów ekonomicznych przekształcono w biurowce. Wszystkie te domy pełne były małych agencji reklamowych, biur drobnych oszustów, podających się za hand-

lowców i dziesiątków innych osób, które były gotowe płacić nieco więcej pieniędzy za nieco mniejszą przestrzeń po to tylko, by w adresie mieć dwa słowa: Park Avenue.

Wypolerowana mosiężna tabliczka przy drzwiach nosiła napis: 79 PARK AVENUE. Niżej, na mniejszej tabliczce, widniały nazwiska lokatorów. Za tabliczkę płacono się miesięcznie pięć dolarów więcej. Otworzyła wielkie, zewnętrzne drzwi i weszła do staromodnego korytarza. Drzwi po prawej były oznaczone napisem PARK AVENUE MODELS. INC., dalej zaś schody prowadziły do innych biur.

Minęła schody i podeszła do drzwi nie oznaczonych żadnym nazwiskiem. Weszła do wygodnego biura. Strząsnęła z ramion lekkie palto i usiadła za biurkiem. Zasłony na oknach były pozaciągane. Zapaliła lampę i wnętrze ożyło. Ściany zdobiły dwa dobre obrazy i kolorowe fotografie dziewcząt. W koszyku na biurku widać było jeszcze więcej zdjęć, a obok leżał spis modelek.

Nacisnęła guzik. Po chwili weszła wyraźnie zdenerwowana kobieta w średnim wieku.

— Panno Flood—rzekła. — Jak to dobrze, że pani przyszła. Dzwonili z policji.

— Co takiego?

— Z policji, panno Flood — powtórzyła kobieta.

— W jakiej sprawie, pani Morris?

— Florence Reese. Jest w szpitalu. Sztuczne poronienie. — Pani Morris z ledwością mogła oddychać. — Chcieli wiedzieć, czy u nas pracuje.

— Co im pani powiedziała?

— Powiedziałam, że nie, oczywiście. Taka popularność mogłaby nas zrujnować. Mamy problemy ze znalezieniem pracy dla legalnie zatrudnionych.

Maryann stała pogrążona w myślach.

— Nie trzeba było kłamać, pani Morris. Może biedactwo ma prawdziwe kłopoty i potrzebuje pomocy.

Pani Morris spojrzała oburzona na Maryann.

— Wie pani, co myślę o takich dziewczętach, panno Flood. Nie powinna pani tracić dla nich ani minuty. Nie doceniają tego. Przynoszą wstyd sobie i wszystkim, z którymi się stykają.

Maryann patrzyła w blat biurka. To właśnie czyniło z pani Morris tak wspaniałą fasadę — jej szczere oburzenie. Umarłaby z wrażenia, wiedząc, jakie rozmowy przeprowadza się z dwóch prywatnych telefonów, stojących na biurku Maryann. Ale w tej chwili Maryann nie miała czasu na święte oburzenie

pani Morris. Chciała zadzwonić do Hanka Vito i dowiedzieć się, co może zrobić.

— O.K., pani Morris. Dziękuję. Były inne telefony?

— Dwa, panno Flood. Jeden od pana Gellarda. Na dzisiejsze ..popołudnie potrzebuje trzy specjalne dziewczyny. Przyjechali jacyś handlowcy i pan Gellard chce dla nich zorganizować pokaz. Zaproponowałam kilka dziewczyn, ale upierał się, że najpierw chce porozmawiać z panią. Drugi telefon to sklep z futrami przy Czternastej Ulicy. Posłałam Raye Marnay.

— Dobrze — odrzekła Maryann, sięgając po telefon. — Zadzwonię do pana Gellarda.

Zaczekała, aż kobieta zamknie za sobą drzwi i dopiero wtedy wykręciła numer.

Pograżona w myślach czekała, aż ktoś odbierze.

Biedna Flo. Dokładnie tydzień temu mówiła jej, żeby nie próbowała usuwać ciąży, że czekała za długo. Kończył się trzeci miesiąc. O wiele mądrzej byłoby urodzić dziecko i oddać je do adopcji. I ucziwiej, a poza tym Hank zadbałby, żeby Flo przy okazji zarobiła parę dolarów. Widocznie nerwy ją zawiodły i znalazła się w rękach jakiegoś rzeźnika. Maryann czuła, jak rośnie w niej gniew. Cóż to mógł być za lekarz, jeżeli podjął się takiego ryzyka? Była prostytutką, ale także człowiekiem.

W słuchawce odezwał się męski głos.

— Maryann — powiedziała.

— O! — W głosie mężczyzny słychać było ulgę. — Już się bałem, że nie zastanę cie przed lunchem. Mam tych trzech teksańczyków. Aż się rwą, żeby użyć trochę wielkiego świata. Teraz są w hotelu. Obiecałem im lunch z atrakcjami.

— To bardzo krótki termin, John — stwierdziła Maryann.

— Nic na to nie poradzę, kochana. Sam o tym nie wiedziałem przed przyjściem do pracy.

— Cały zakres usług? Przyjęcie i stosunek?

— Tak.

— To będzie sporo kosztować.

— Ile?

— Tysiąc. Aż gwizdnął.

— Nie przejmuj się, kochana — rzekł. — Taki rachunek musi być wysoki.

— Tak. Nic nie da się zrobić. Po procesie tej Jelke trudno o atrakcyjne dziewczyny.

— Dobrze — zgodził się po krótkim wahaniu. — Powiem ci, gdzie je wysłać.

Zanotowała, co trzeba i odłożyła słuchawkę. Odczekała

chwile i wykreciła następnny numer. Tym razem odpowiedziała kobieta.

Maryann mówiła szybko:

— Spotkanie w czasie, lunchu, Cissie. Bierzesz Esther i Millie. Pełna usługa. Płatne na miejscu.

— Mam inne zamówienie — odparła kobieta.

— Odwołam je. Idziesz tutaj. — Maryann odłożyła słuchawkę. Zanim zdążyła ją podnieść, telefon zadzwonił.

— Słucham.

— Maryann?

— Tak — rzekła, słysząc znajomy głos.

— Frank.

— Coś się stało?

— Ta dziewczyna w szpitalu Roosevelta. Florence Reese. W twoim biurze powiedziano, że dla was nie pracuje. Dziewczyna mówi, że tak. Takie sprzeczne zeznania powodują kłopoty. Masz głupią pracowniczkę. Gdyby nie zaprzeczyła, ukreśliłbym głowę tej całej sprawie, ale teraz zbyt wiele osób się tym interesuje.

— Co mam robić?

— Nie wiem.

— A co z Florence?

— Umiera — powiedział apatycznie.

— Biedactwo. Mówiłam jej, żeby tego nie robiła.

— Nie martw się o nią. Za późno na to. Musisz coś wymyśleć.

— Dobrze, Frank. Zadzwoń do Vito. On będzie wiedział, co robić. — Zaciągnęła się mocno papierosem.

— Lepiej, żeby wiedział — zauważył Frank. — Pracuję nad sprawą z jednym z bystrych chłopców prokuratora okręgowego. Aż się pali do roboty.

— Kto taki? — zapytała z roztargnieniem.

— Keyes. Mike Keyes.

— Mike Keyes? — powtórzyła ze ściśniętym gardłem.

— Tak — zawahał się. — Skądś to nazwisko wydawało mi się znajome. Był kiedyś gliną. Czy to nie ten facet, którego szukałaś dla jakiejś koleżanki w czasie wojny?

— Ja... Nie pamiętam — zająknęła się. — To już tak dawno. Powoli odłożyła słuchawkę. Patrzyła na drzwi.

To już tak dawno, że właściwie mogło się wydarzyć w innym świecie.

Rozdział 15

Dochodziła czwarta po południu, kiedy pielęgniarka wyszła z oddziału i podeszła do Mike'a, siedzącego przy biurku. Popatrzył wyczekująco.

— Może pan wracać do biura, panie Keyes. Już po niej — powiedziała obojętnie. Mike powoli wstał.

— Tak po prostu — stwierdził zmęczonym głosem.

— Nie miała żadnych szans — przytaknęła. — Była rozdarta na pół. — Po raz pierwszy cień uczucia zabrzmiał w jej głosie. Ten sukinsyn musiał chyba używać szydełka.

Mike wziął kapelusz z biurka.

— Proszę zatrzymać ciało do sekcji. Zgłoszę się po wyniki.

Powlókł się korytarzem, a nogi ciążyły mu jak ołów. Florence Reese. Była prawie dzieckiem. Właśnie wchodził na schody, kiedy nadszedł kapitan Millersen.

— Dowiedziałeś się czegoś, Mike? — zapytał.

— Już nic nie powiedziała. A ty?

Twarz Millersena przybrała nieodgadniony wyraz.

— Rano rozmawiałem z rejestratorką w agencji. Nic nie wie o dziewczynie. Sprawdziłem w hotelu. Przyjechała z jakiejś zapadłej dziury w Pensylwanii, około roku temu. Przez sześć miesięcy marnie jej się wiodło. Potem widać było, że gdzieś się zahaczyła i zaczęła wychodzić na swoje.

— Rodzice żyją? — zapytał Mike, idąc za Millersenem do samochodu.

— Rozmawiałem z nimi godzinę temu. Przyjeżdżają — roześmiał się. — Myśleli, że ich córka czuje się w Nowym Jorku jak w niebie.

— Byli bliscy prawdy — odrzekł Mike ponuro.

Wszedł do biura i rzucił kapelusz na krzesło. Joel Rader spojrzał na Mike'a.

— Kto? — zapytał Mike, patrząc znużonym wzrokiem.

— Jakaś kobieta z tej agencji. Park Avenue Models. Frank ją sprawdzał.

Dziewczyna wykonywała dla nich jakąś pracę i kobieta chciała wiedzieć, czy może w jakiś sposób pomóc.

Mike wziął pióro i zaczął wypełniać raport.

— Nikt w niczym jej nie pomoże. Ona nie żyje.

— To fatalne — odparł Joel. — Ładna była? Mike wzruszył ramionami.

— Trudno powiedzieć, że była ładna, kiedy ją widziałem. Ale w ogóle, chyba tak. W każdym razie była młoda.

Skończył pisać raport, złożył podpis i wstał.

— Chyba na tym skończę. Mam dosyć.

— Uważaj, żeby Stary cię nie zobaczył. — Wyszczrzył zęby joi. _ Wstąpił na ścieżkę wojenną. Tak dał popalić Alecowi, że głowa boli.

— Biedny Alec — roześmiał się Mike. — Zawsze mu się dostanie.

Zostawił raport na biurku Joela.

— Oddaj to, komu trzeba.

— Jasne.

Joel okręcił się na krześle w stronę Mike'a.

— Doszedłeś do czegoś w sprawie tej dziewczyny? Ten przypadek aborcji w zeszłym tygodniu.

— Nic nie wiemy. — Wzruszył ramionami Mike. — Dziewczyna umarła. Dlaczego pytasz?

— Spójrz na to — powiedział Joel, wręczając Mike owi gazetę.

Notatka prasowa mówiła o aresztowaniu i zwolnieniu. Podczas pewnego przyjęcia obyczajówka aresztowała kilka dziewcząt. Jedna z nich początkowo twierdziła, że jest zatrudniona w agencji Park Avenue Models, Inc. Później zmieniła zeznanie.

Wszystkie dziewczyny zostały zwolnione rano za kaucją. W sądzie reprezentował je adwokat z biura Henry'ego Vito. Przyjęcie odbywało się w mieszkaniu przemysłowca Johna Gallarda. Policja interweniowała w oparciu o skargi osób nie wymienionych w notatce. W swoich skargach świadkowie podkreślali, że Gallard chełpił się powiazaniami z bliżej nieokreślonymi kołami przestępczymi. Podszuch zainstalowany tego właśnie popołudnia ujawnił, że mające się odbyć przyjęcie będzie imprezą otwartą. Pan Gallard również został zwolniony za kaucją. W sądzie reprezentował go sam Henry Vito.

Joel czekał, aż Mike skończy czytać.

— Czy agencja Park Avenue Models to nie ta sama, o której wspomniała ta dziewczyna?

Mike w milczeniu skinął głową. Jeszcze raz przeczytał notatkę.

— I co o tym myślisz? — zapytał Joel.

— Zbyt podobne sprawy jak na zbieg okoliczności — odpowiedział Mike i wstał. Idę na dół do Millersena. Może on będzie coś wiedział.

— Daj mi znać, co się dzieje — poprosił Joel, odwracając się do swojego biurka.

Frank Millersen spojrział na wchodzącego.

— Jak się masz, Mike? Co mogę dla ciebie zrobić?

— Zerknij na to, Frank. — Mike rzucił notatkę na biurko. Frank wziął ją do ręki i pobieźnie przebiegł wzrokiem.

Zachował obojętną twarz, kiedy znów popatrzył na Mike'a.

— No, i co?

— Wiesz o tej sprawie coś więcej? Millersen włożył do ust fajkę.

— Nic wielkiego — powiedział, zapalając ją. — Rutynowe postępowanie obyczajówki — zaśmiał się. — Rozmawiałem z jednym z chłopców. To musiała być niezła impreza. Mówił mi, że kiedy się tam zjawili, wszystkie dziewczyny były...

— Nie to miałem na myśli — wtrącił Mike. — Jedna ze wspomnianych dziewczyn wymieniła agencję Park Avenue Models. Florence Reese też mówiła, że pracuje dla tej agencji.

— Nie sądzę, żeby to miało jakieś znaczenie — rzekł Frank przez chmurę dymu.

— Prawdopodobnie wiele dziewczyn zna tę nazwę.

— Być może — przyznał Mike. — Ale dlaczego potem zaprzeczyła? To właśnie wydaje się dziwne. Jeszcze coś nie daje mi spokoju. W jaki sposób mogły sobie pozwolić na zatrudnienie biura Vito? Vito nie bawi się w dobroczynność. Podrzędna dziewczyna nie ma możliwości zbliżyć się do niego.

— Według raportu bronił Gellarda — powiedział Frank. — I to Gellard prawdopodobnie zapłacił za dziewczyny. W ramach samoobrony.

— No, nie wiem. — Kręcił głową Mike. — Coś mi tu nie gra.

— Daj sobie spokój, Mike — uśmiechnął się Frank. — Kiedy pobędziesz tu trochę dłużej, to zobaczysz tyle zbiegów okoliczności, że przestaniesz sobie zawracać nimi głowę.

— Kiedy nie mogę — zaproponował Mike. — Pamiętam tę biedną dziewczynę w szpitalu i to, jak wyglądała. Nie po to przyjechała do tego miasta.

Frank pokiwał głową.

— Nie po to. Ale jeżeli dziewczyna jest porządna, to nigdy nie ma problemów tego rodzaju. Rozmawiałem z jej starym, kiedy przyjechał po ciało. Zawsze była niezrównoważona.

— Jest spora różnica między niezrównoważoną a złą — stwierdził Mike. Podniósł z biurka raport i jeszcze raz mu się przyjrzał. — Chciałbym móc o tym zapomnieć.

— Co zamierzasz zrobić? — zapytał Frank.

Mike zerknął znad raportu. W oczach Franka czaiło się coś dziwnego. Tknięty nagłym przeczuciem odpowiedział ostrożnie:

— Nie wiem. Najpierw się prześpię. Jeżeli jeszcze coś wpadnie mi do głowy, zadzwonię do ciebie rano.

Frank wstał z uśmiechem na ustach.

— Mądrze robisz. Może dobrze przespana noc wszystko zmieni. W końcu jutro też tutaj będę, gdybyś chciał nadać sprawie dalszy bieg.

— Dzięki.

Mike wyszedł z biura Franka, lecz zbliżając się do windy zauważył, że razem z raportem zgarnął z biurka jakiś inny dokument. Zawrócił. Otworzył drzwi.

— Frank — powiedział i dopiero spostrzegł, że detektyw rozmawia przez telefon.

— Zaczekaj chwilę, Mary — rzekł Frank i szybko przykrył słuchawkę dłonią.

Mike spojrział na niego z ciekawością. Twarz Millersena zwykle rumiana, nagle zbladła.

— Przepraszam, Frank — usprawiedliwił się odruchowo — Nie wiedziałem, że z kimś rozmawiasz. Zabrałem to przez pomyłkę. — Położył dokument na biurku. Frank uśmiechnął się z wysiłkiem.

— W porządku, Mike. Rozmawiałem z moją połowicą. Dziękuję.

Mike skinął głową i wyszedł, ostrożnie zamykając za sobą drzwi. Dopiero kiedy się już trochę oddalił, usłyszał, że Frank kontynuuje rozmowę. Wrócił do swojego biura, usiadł ciężko i wpatrywał się w notatkę.

— No, i co? — zapytał Joel. Mike zmarszczył czoło.

— Millersen uważa, że to nic takiego.

— Frank powinien wiedzieć — zauważył Joel. — W końcu jest ekspertem.

Mike znowu zaczął czytać. Po chwili odwrócił się do Jo-ela:

— Nie wiesz przypadkiem, jak się nazywa żona Franka?

— Jasne. — Joel wyszczerzył zęby do uśmiechu. — Pani Millersen.

— Nie żartuję — powiedział Mike. — Wiesz?

— Dlaczego pytasz?

— Z ciekawości. Frank rozmawiał z nią przez telefon, kiedy wszedłem.

— Elizabeth — odrzekł Joel. — Wypiłem kiedyś z nimi parę drinków. Nazywa ją Betty.

Mike zapalił papierosa. Okręcił się na krześle i popatrzył w okno. W dole, na ulicy, mężczyźni chodzili już w samych

koszulach. Do Nowego Jorku zbliżało się lato, upalne jak piekło. Betty. Dlaczego Millersen skłamał?

Mike odwrócił się do biurka i podniósł notatkę. Park Avenue Models. Co to za paczka? Nigdy przedtem nie słyszał o takiej firmie, a teraz w czasie kilku tygodni dwa razy natknął się na tę nazwę. Sięgnął po telefon.

— Połącz mnie z Alekiem Tempie — powiedział.

— Tak, Mike? — odezwał się Alec.

— Zrób mi przysługę — poprosił. — Chcę, żebyś dyskretnie sprawdził pewną firmę. Park Avenue Models, Inc. 79 Park Avenue, City. *

— Co chcesz wiedzieć? — zapytał Alec.

— Wszystko, czego będziesz mógł się dowiedzieć — odparł Mike. — I jedna ważna rzecz. Nie chcę, żeby choć jedno słowo przedostało się piętro niżej. Millersen nie powinien nic wiedzieć. Mamy świetną okazję, żeby im wreszcie pokazać.

— Dobrze, Mike — zaśmiał się Alec. Zawsze istniała przepaść między policjantami przypisanymi do biura prokuratora i prawnikami. — Rozumiem.

— Działaj tak szybko, jak tylko możesz, Alec.

— Na jutro rano wystarczy?

— Będzie świetnie. Dzięki. — Mike odłożył słuchawkę. Gasił papierosa, kiedy zadzwonił telefon.

— Keyes — powiedział.

— Mike, mówi Frank Millersen.

— Tak, Frank?

— Zastanawiałem się i tak myślę, że może powinniśmy zajrzeć do tej agencji, jeżeli chcesz — rzekł Millersen przepraszającym tonem.

— Nie zwracaj sobie głowy, Frank. Prawdopodobnie masz rację. To zwykły zbieg okoliczności. Wybacz, że cię niepokoiłem.

— O.K. — odpowiedział Millersen z wahaniem. — Jeżeli jesteś pewien...

— Jestem pewien. Mimo wszystko dziękuję.

— Nie ma za co.

Frank odłożył słuchawkę, a Mike próbował odgadnąć, czy to, co usłyszał w głosie Millersena, było westchnieniem ulgi.

Rozdział 16

Prokurator okręgowy przyglądał się Mike'owi bystro spoza swych wielkich okularów w rogowej oprawie. Złotym ołówkiem pukał w plik papierów, leżących przed nim na biurku.

— Więc chcesz zrezygnować? — zapytał cicho.

— Tak, sir — przytaknął Mike.

— Dlaczego?

— Z powodów osobistych, sir — odpowiedział Mike z uporem.

— Stary odchylił się do tyłu i spojrzał przez okno.

— Źle się tutaj pracuje?

— Nie, sir.

Stary zamilkł i przez dłuższą chwilę słysząc było jedynie jego chrapliwy oddech.

W końcu przemówił:

— Nigdy nie podejrzewałem cię o tchórzostwo. Mike nic nie odrzekł.

— Wykonałeś kawał dobrej roboty w związku z aferą Park Avenue Models. To jedna z najważniejszych spraw, jakie prowadziliśmy. Ale cóż, wolisz się wycofać, bo afera dotarła do wpływowych kół.

Mike nadal milczał.

— Jak myślisz, Mike? — zapytał nagle Stary. — Jak ja się teraz czuję, wiedząc, że mój główny detektyw jest osobiście zamieszany w sprawę? Nie sądzisz, że też chciałbym zrezygnować? — Nie czekał na odpowiedź Mike'a. — Ale nie mogę. Składałem przysięgę. Ty również ją składałeś, kiedy zacząłeś u mnie pracować. Nie możemy zrezygnować.

— To nie ma z tym nic wspólnego, sir — protestował Mike.

— Bzdury — wybuchnął Stary. — I co z tego, że tuzin śmierdzących polityków i bogatych biznesmenów maczało palce w sprawie? Boisz się, że zrujną twoją karierę?

Mike nie odpowiedział.

— Nie będą nawet mieli czego tobie zrujnować, jeżeli teraz odejdziesz. Wszyscy będą wiedzieli, że stchórzyłeś.

Mike nabrał głęboko powietrza.

— Przepraszam, sir. Czy to już wszystko?

Stary pochylił się nad biurkiem, oddychając ciężko.

— Nie rozumiesz, Mike. To twoja życiowa szansa. Pomyśl, jak daleko zaszedł Tom Dewey dzięki podobnej sprawie. Potem sam możesz decydować, możesz iść, gdzie chcesz. Nie marnuj takiej okazji, synu.

— Czy mogę już odejść, sir? — spytał Mike. W głosie Starego rozbrzmiała pogarda.

— Rzadko mi się zdarza źle kogoś ocenić, ale w twoim przypadku chyba się przeliczyłem. Mamy więc dowód, że nie każdy facet, który szedł naprzeciw kulom, to zaraz chłop z jajami.

Twarz Mike'a pokryła się szkarłatem. Zagryzał wargi, żeby nie odpowiedzieć.

— Muszę przełknąć gorzką pigułkę, jaką jest sprawa Mil-lersena, ale jeszcze gorszy jest fakt, że okazałeś się tchórzem. — Głos Starego gwałtownie się zmienił.

— Jestem już stary, Mike. Większą część życia spędziłem w tym biurze. Zawsze chciałem tylko jednego, wykonywać swoją pracę dobrze i uczciwie i bronić ludzi, którzy mi zaufali. Teraz po raz pierwszy czuję, że ich zawiodłem.

— Nie zawiodł ich pan, sir — stwierdził Mike. — Wszystkie informacje są tutaj, na tym biurku.

— Odpowiadam za każdego pracownika mojego biura — rzekł Stary. — Zapłacę za Millersena, zapłacę i za ciebie. Być prokuratorem okręgowym to coś więcej niż stanąć przed ławą przysięgłych i odczytać akt oskarżenia, to coś więcej niż uzyskać skazanie oskarżonego. To duma. Duma z faktu, że wykonuje się swój obowiązek bez strachu, bez stronnictwa. Kiedy odejdziesz, to tak jak gdybym ja sam odszedł. Cały świat się dowie.

Mike nic nie mówił.

— W porządku — powiedział Stary. — Odchodź, jeżeli chcesz, ale przynajmniej miej tyle uczciwości, żeby wyjaśnić mi, dlaczego. Wiem, że nie jesteś tchórzem.

Mike głęboko nabrał powietrza. Nagle zdał sobie sprawę, że ręce mu się trzęsą.

— Powiedz mi, Mike — nalegał Stary łagodnie. — Byłeś dobrym policjantem i dobrym asystentem. Dlaczego rezygnujesz?

Mike spojrzał Staremu w oczy.

— Ona była moją dziewczyną, sir — odrzekł bezbarwnym głosem.

— Ona? — Stary był zaskoczony. — Kto?

— Marja. To znaczy Maryann Flood.

— Ta Maryann Flood? Mike skinął głową.

— Ale jak, co? — Stary był zmieszany.

— Nie wiedziałem, że jest zamieszana w tę aferę, kiedy trzy tygodnie temu poprosiłem Aleca, żeby sprawdził agencję Park Avenue Models. — Mike zamilkł, aby zapalić papierosa. — Gdybym wiedział, to być może nie rozkręcałbym sprawy.

Prokurator okręgowy podniósł wzrok na Mike'a. W jego oczach malowało się zrozumienie.

— Miałem rację — stwierdził prawie szeptem. — Nie myliłem się co do ciebie. Mike mówił dalej tak, jak gdyby nie słyszał słów Starego.

— Później, kiedy miałem już raport, musiałem kontynuować sprawę. Dostałem zresztą pozwolenie. Zainstalowaliśmy podsłuch i sprawdzaliśmy. Wszystko zaczęło pasować. Dowiedzieliśmy się o rzeczach, o których nam się nawet nie śniło. Na przykład, dlaczego naloty na lokale nigdy się nie udawały. I wiele innych rzeczy. Szczególnie, kiedy wróciliśmy do pierwszego aresztowania i dowiedzieliśmy się, że dokonał go Frank Millersen. Nabraliśmy pewności, gdy się okazało, że rocznie odkłada prawie dwadzieścia tysięcy. Nie ma na świecie gli-niarza, który może tyle zaoszczędzić ze swojej pensji. Potem znaleźliśmy biznesmenów, którzy pomagali jej utrzymać firmę, polityków, którym płaciła, a na końcu policjantów i detektywów, których zabawiała jej panienki. Wreszcie śledztwo się skończyło, tak nagle jak się zaczęło. Wszystko było gotowe, żeby stanąć przed sądem i oddać sprawę przysięgłym. Właśnie wtedy stwierdziłem, że nie jestem w stanie tego zrobić. Poprosiłem Joela Radera, aby mnie zastąpił. . Stary zerknął na Mike'a.

— Zawiadomiłeś nas, że jesteś chory.

— Byłem chory. Chory od wewnątrz.

— Ale przyszedłeś tutaj, podczas gdy Joel nadal jest na sali sądowej.

— Tak. Chcę stąd wyjść, zanim się dowiem, ile krzywdy jej wyrządziłem.

— Nie możesz przed tym uciec — powiedział Stary łagodnie.

— Ale mogę spróbować. — Mike zaciągnął się głęboko papierosem.

— Nadal ją kochasz. — Bardziej stwierdził, niż zapytał Stary. Mike milczał.

Wtem drzwi do gabinetu otworzyły się i wpadł Joel mocno podekscytowany.

— Postawiłeś na swoim, Mike! — zawołał. —: Mamy oskarżenie i przeciw Flood, i przeciw Millersenowi. Jeszcze nie było takiej sprawy w tym mieście.

Odwrócił się do prokuratora okręgowego nadal siedzącego za biurkiem.

— Mam nakazy aresztowania. Idziemy na dół po Millersena.

Prokurator okręgowy wstał.

— Pójdę z wami. — Popatrzy! na Mike'a. — Idziesz też, glino?
Frank Millersen włożył do ust fajkę i zapalił. Zabrał się za przeglądanie papierów na biurku. Nic specjalnego. Mógł w spokoju czekać na odprężający weekend z Betty i dziećmi. Pierwszy od bardzo długiego czasu.
Ktoś zapukał do drzwi.
— Proszę! — zawołał.
Spojrzał dopiero, gdy usłyszał szuranie kilku par stóp. Przed biurkiem stał prokurator okręgowy, a za nim Keyes i Rader. W otwartych drzwiach zauważył policjanta w niebieskim mundurze. Poczł nieznaną do tej pory ucisk w klatce piersiowej, lecz zmusił się do uśmiechu. Wstał i wyciągnął rękę.
— Już dawno nie schodził pan na dół, szefie — powiedział. Ręka zawisała w pustej przestrzeni. Prokurator nie zrobił żadnego ruchu. Millersen udał, że podniósł dłoń, żeby wyjąć z ust fajkę. Nie wypadło to przekonywająco.
— Mamy nakaz twojego aresztowania, Frank — stwierdził prokurator cicho. Millersen poczuł, że blednie.
— Na jakiej podstawie, sir? — zapytał, ale twarz Mike'a wyjaśniła mu wszystko.
— Muszę ci mówić, Frank? — spytał Stary łagodnie.
Millersen zgarbił się i skulił na krześle. Stał się nagle starym człowiekiem. Popatrzył na biurko. Bezmyślnie zaczął przekładać papiery.
— Nie — pokręcił głową.
Choć nie podniósł wzroku, wiedział, że prokurator okręgowy wyszedł z biura. Głos Radera smagnał go jak batem:
— Lepiej chodź z nami, Frank.
— Dajcie mi minutę, żebym się pozbierał — poprosił z umęczonym wyrazem oczu.
— Zaraz wyjdę.
Joel spojrzł na Mike'a. Ten skinął głową.
— Dobrze — zgodził się Joel. — Zaczekamy.
Ruszyli do drzwi. Głos Millersena zatrzymał Mike'a. Odwrócił się. Millersen uśmiechnął się z przymusem.
— Powinienem być pamiętać, że byłeś piekielnie dobrym gliną przed pracą w prokuraturze. Sam lepiej nie rozwiązałbym tej sprawy.
— Przykro mi, Frank — odrzekł Mike przez zdrętwiałe wargi.
— To był twój obowiązek — powiedział Frank cicho.

Mike pokiwał głową i wyszedł za Joelem. Millersen patrzył, jak zamykają się za nimi drzwi. Włożył fajkę do ust i się zaciągnął mocno. Ciężki dym wypełnił mu płuca.

Nie czuł żalu, wyjmując z szuflady biurka błękitnoszary rewolwer. Wielkim smutkiem przepełniała go jedynie myśl o Betty i dzieciach, kiedy ciepłą fajkę zastąpił w ustach chłodną, metalową lufą rewolweru.

Rozdział 17

Kiedy znużony otworzył drzwi, usłyszał głos matki rozmawiającej z kimś w kuchni. Powoli przeszedł do swojego pokoju. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek przedtem był tak zmęczony, tak całkowicie wyczerpany.

— To ty, Mike? — zawołała matka z kuchni.

— Tak, mamó. — Z wysiłkiem podniósł głos. Zamknął drzwi, zdjął marynarkę i zatopił się w fotelu przy

oknie. Zapalił papierosa i patrzył niewidzącymi oczami. Drzwi otworzyły się, ale się nie odwrócił.

— Wszystko w porządku, synu?

— Tak, mamó.

Obeszła fotel i spojrzała na Mike'a.

— Wcześniej wróciłeś. Stało się coś? Popatrzył na matkę. Widział, że się martwi.

— Nic się nie stało, mamó.

— Marnie wyglądasz. Zrobię ci herbaty. Mike zaczął tracić cierpliwość.

— Zostaw mnie, mamó — powiedział ostro. — Nic mi nie jest.

Sięgnął po rękę matki, spostrzegłszy, że ją uraził.

— Przepraszam. Nie chciałem być niegrzeczny.

— W porządku, synu. Rozumiem.

— Nie, mamó.

Nikt nie mógł zrozumieć. Tylko on jeden wiedział, co czuje.

— Znam ten wyraz twojej twarzy — rzekła z wahaniem.

— Jaki wyraz? — zapytał z roztargnieniem, spoglądając w okno.

— Ta dziewczyna. Wróciła. Widzę to po twoich oczach. Zerknął szybko, ale nic nie powiedział.

— Patrzysz tak samo jak wtedy, kiedy pojechałeś do

Bronxu, żeby ją przywieźć i wróciłeś sam. — Głos matki pełen był bólu. — Nie możesz przestać o niej myśleć, prawda, synku?

— Staralem się, mamó. Nie wiem, co to jest. Ona jest chyba częścią mnie samego.

— Widziałeś ją?

— Nie.

— To o co chodzi?

— Policja jest właśnie w drodze, żeby ją aresztować. Opracowałem akt oskarżenia, dzięki któremu znajdzie się w więzieniu.

— Taka jest twoja praca — stwierdziła matka po chwili.

— Nie mów tak — odparł Mike gniewnie. — Millersen też tak mówił, a teraz nie żyje.

— Już dawno temu powiedziałam ci, że ta dziewczyna nie jest dla ciebie. Może teraz mi uwierzysz.

— A co mam robić, skoro wiem, że oprócz niej nikt dla mnie nie istnieje? — zapytał udręczony głosem.

Maryann spojrzała znad biurka. Zobaczyła Toma. Stał i uśmiechał się.

— Taksówka już czeka, panno Maryann. Mamy zaledwie godzinę, żeby dostać się na lotnisko.

— Jeszcze tylko parę minut. — Uśmiechnęła się.

— Będę na zewnątrz. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę moją małą, jasnowłosą panienkę.

— Ja też — powiedziała Maryann.

Tom wyszedł z biura i drzwi zamknęły się za nim. Maryann popatrzyła na fotografię Michelle, stojącą na biurku, zabrała papiery i przejrzała je szybko. Te rachunki mogą poczekać, aż wróci za dwa tygodnie. Złożyła je razem i umieściła w koszyku na biurku. Zamknęła szufladę na klucz i wstała.

Biorąc palto z krzesła, rzuciła ostatnie spojrzenie na pokój. Zadzwonił telefon. Zawahała się, skrzywiła i ruszyła w stronę drzwi. Jeżeli to Joker, to niech lepiej jutro stwierdzi, że wyjechała. Do diabła z Jokerem! Przecież wkrótce wróci. Tym razem postanowiła dotrzymać obietnicy danej Michelle.

Miała właśnie położyć rękę na klamce, kiedy drzwi otworzyły się, i stanęła oko w oko z wysokim mężczyzną. Odruchowo zerknęła na jego stopy. Czuła, jak włosy unoszą jej się na głowie. Gliniarz!

— Słyszał pan kiedyś, że przed wejściem należy zapukać? — spytała lodowatym tonem.

Wszedł do biura i wtedy zauważyła, że było ich kilku.

— Wybierasz się gdzieś, ślicznotko? — zapytał pierwszy.
— Nie twój interes — odpaliła.
— Przestań się wygłupiać, George—powiedział ostro niski, ciemnowłosa mężczyzna, przepchnąwszy się na czoło grupy.
— Jestem Joel Rader z Prokuratury Okręgowej. Ci panowie są z policji. Chcielibyśmy, żeby poszła pani z nami.
Cofnęła się i oparła o biurko.
— Czy to aresztowanie?
— Oczywiście, laleczko — odezwał się ochryple wysoki mężczyzna. Zignorowała go i zapytała niskiego, ciemnowłosego:
— O co jestem oskarżona, panie Rader?
— Ten nakaz aresztowania wszystko wyjaśni, panno Flood — odrzekł, wręczając jej złożony arkusz papieru.
Przebiegła go szybko wzrokiem.
— Czy mogę porozumieć się z moim adwokatem? — spytała obojętnie. Joel skinął głową. Patrzył z podziwem, jak okrażała biurko i podnosiła słuchawkę. Szybko wykręciła numer. Nic dziwnego, że taka kobieta była w stanie robić to, co robiła. Miała stalowe nerwy.
Jakiś mężczyzna odebrał telefon.
— Hank? — powiedziała cicho. — Właśnie zostałam aresztowana. ...Nie, jeszcze jestem w biurze. Tak... Tam się zobaczymy.
Odłożyła słuchawkę i spojrzała na Joela.
— Jestem gotowa.
Odstąpił o krok, żeby ją przepuścić. Przeszła do zewnątrz-nego biura. Czekał na nią czarnoskóry człowiek o poszarzałej twarzy. Przystanąła.
— Nie martw się, Tom. Wracaj do domu i przygotuj obiad. Wyślij telegram do malej, że zatrzymały nas interesy.
— Czy panna Maryann ma duże kłopoty? — zapytał Tom ze zmartwionym wyrazem twarzy.
Joker zerknął na Vito, potem z powrotem na Toma.
— Bardzo duże.
— Wszystko z powodu tego prawnika? Tego, o którym piszą w gazetach, że przygotował oskarżenie? Tego pana Keyesa? Tego, który pojechał sobie na wakacje, kiedy panna Maryann jest w tarapatkach? — Głos Toma trząsł się z oburzenia.
— To ten facet — stwierdził cicho Joker.

— To podły człowiek, panie Joker — oświadczył Tom poważnie. — Zrobić coś takiego pannie Maryann, tylko dlatego, że nie chciała za niego wyjść.

— Co?—Joker aż wychylił się do przodu. — Co chcesz przez to powiedzieć? Trapiło go jakieś niejasne, męczące wspomnienie. Ten przyjaciel Rossa, ten chłopak, który przychodził po Maryann po pracy na sali tanecznej. Też miał na imię Mike. Popatrzył na Toma.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — powtórzył.

— On jest ojcem Michelle — odrzekł Tom.

— Skąd wiesz? — zapytał Vito. — Ona ci mówiła?

— Nigdy — potrząsnął głową Tom.

— To skąd wiesz? — dopytywał się Vito. — Gdybyśmy mogli to udowodnić, z łatwością bym ją wybronił. Każda ława przysięgłych na świecie uwierzy, że cała sprawa została sfingowana.

— Panna Maryann trzyma świadectwo urodzenia Michelle w komodzie, w domu. Jego nazwisko jest napisane koło słowa „ojciec”. Zawsze to widzę, kiedy sprzątam.

Vito zerwał się z miejsca, podekscytowany.

— Jedź prosto do domu i przywieź to świadectwo. Nie dawaj go nikomu innemu, tylko mnie. Rozumiesz?

Tom był już przy drzwiach. Obejrzał się, szeroko uśmiechnięty.

— Tak. Oczywiście, panie Hank. Rozumiem.

Kiedy drzwi się zamknęły, Vito odwrócił się do Jokera.

— Kapujesz coś z tego?

— Niech mnie szlag trafi — powiedział Joker. — I przez ten cały czas nie pisnęła ani słówkiem.

— Myślisz, że nadal coś do niego czuje? Joker wzruszył ramionami.

— Od dawna nie staram się jej rozgryźć.

— Nie ujawnię tego faktu aż do procesu — rzekł Vito. — Nie chcę, żeby prokuratura wyskoczyła z tym przed nami. — Zastanowił się przez chwilę. — Myślisz, że Keyes wie?

Joker potrząsnął głową.

— Nie sądzę, żeby komukolwiek powiedziała. Może z wyjątkiem Rossa. A on już nikomu nic nie powtórzy.

— Nie rozumiem tej kobiety — stwierdził Vito zdumionym głosem. — Dzisiaj rano widziałem ją w więzieniu. To już trzeci dzień, a nie pisnęła ani słowa.

Zastanawiam się, czy wie, że ta sprawa może również wypłynąć.

— Nawet jeżeli wie, to i tak nic nie powie — uśmiechnął się

Joker. — Pamiętasz, co mi powiedziałeś dawno temu, Hank? Kiedy po raz pierwszy o niej mówiłeś?

— Nie. — Vito pokręcił głową.

— To szczególny rodzaj dziwki — zacytował Joker. — To dziwka z zasadami.

Obywatele stanu Nowy Jork

przeciw

Maryann Flood

Kiedy wszedłem do biura, Joel wstał zza biurka. Dostrzegłem, że jest zmartwiony.

— Stary wrzeszczał z twojego powodu jak szalony — powiedział. — Lepiej biegiem pędź na górę.

— A czego chce? — zapytałem, zrzucając płaszcz i kapelusz.

— Nie wiem. Słyszałem, że Vito był u niego. Nie podoba mi się to.

— Vito?

— Lepiej od razu się za to zabierz — ponaglił Joel. Sekretarka Starego pokazała na migi, żebym natychmiast

wchodził. Stary tkwił za biurkiem, a oczy miał jak z lodu. Vito siedział naprzeciw. Odwrócił się, kiedy wszedłem. Zbliżyłem się do biurka.

— Pan po mnie posyłał, sir. Stary skinął głową.

— Nie opowiedziałeś mi wszystkiego o sobie i panie Flood. — Głos miał równie lodowaty jak i spojrzenie.

Czułem, jak wzbiera we mnie gniew. Na takie pytanie nie byłem przygotowany.

Powiedziałem Staremu wszystko, co miało związek ze sprawą. To on mnie prosił, żebym został, kiedy chciałem odejść. Odrzekłem więc tonem tak samo chłodnym:

— Obawiam się, że pana nie rozumiem.

— Jeden Frank Millersen mi wystarczy. Na całe życie! — krzyczał Stary, waląc pięścią w biurko.

Staralem się mówić spokojnie, chociaż wszystko we mnie się gotowało.

Przechodziłem piekło przez ostatnie dni i ten stary skurwiel nie musiał jeszcze na mnie wrzeszczeć.

— Nadal nie rozumiem, o czym pan mówi.

— Może nie wiesz o tym? — zapytał Stary z sarkazmem, popychając w moją stronę jakąś kartkę papieru.

Podniosłem i spojrzałem. Świadectwo urodzenia. Michelle

Keyes. Czytałem dalej, czując, jak krew odpływa mi z twarzy. Matka — Maryann Flood, Ojciec — Michael Keyes. Sprawdziłem datę. Czułem, jak wali mi serce. To musiała być prawda. Szybko dokonałem obliczeń.

Teraz pojąłem wiele rzeczy. Dziwne spojrzenie, jakim mnie obdarzyła poprzedniego wieczoru, kiedy zapytałem o córkę. Nie podejrzewałem, że dziecko jest moje.

Stary wycharczał mi w ucho:

— Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

Popatrzyłem na Starego i usiłowałem odpowiedzieć spokojnie:

— Jak? Po raz pierwszy o tym słyszę. Stary aż prychnął.

— Chyba nie sądzisz, że w to uwierzę? W końcu nie wytrzymałem.

— Gównu mnie obchodzi, w co pan wierzy! — krzyknąłem.

— Wiesz, jaki to będzie miało wpływ na sprawę? — zapytał Stary. — To nas rozłoży na obie łopatki.

Rzuciłem mu piorunujące spojrzenie. To on twierdził, że jedyny sposób, żeby wygrać, to trzymać się prawdy.

— A to dlaczego? — spytałem chłodno. — Vito nie jest w stanie obalić żadnego z punktów oskarżenia.

— A po co mam się wysilać? — Vito odezwał się po raz pierwszy od momentu mojego przyjścia. — Jaki sąd uwierzy w twoje oskarżenie, kiedy zobaczy ten dokument? Od razu będzie jasne, że ją wrobiłeś. Osobista wendeta.

— Słyszałem, że jest pan dobrym prawnikiem, Vito — odparłem z szyderczą nutką w głosie. — Jednym z najlepszych. Nie wiedziałem tylko, że w swoim arsenale sztuczek ma pan również szantaż.

Vito zerwał się z krzesła, lecz jednym pchnięciem osadziłem go na miejscu. Siedział więc i zabijał mnie wzrokiem.

Odezwał się interkom na biurku Starego. Ten nacisnął guzik i wyszczekał:

— O co chodzi?

— Przyszła panna Flood — zabrzmiał głos sekretarki.

— Niech wejdzie.

Drzwi otworzyły się i Marja weszła. Złote włosy opadały luźno dookoła twarzy. Miała na sobie ten sam puszysty, niebieski płaszcz, który nosiła w czasie całego procesu. Weszła swoim zwykłym, pewnym krokiem odróżniającym ją od innych kobiet.

Zignorowała mnie zupełnie i zwróciła się do Vito:

— O co chodzi?

Vito uśmiechnął się nieznacznie pod swym eleganckim wąsikiem.

— Wydaje mi się, że prokurator jest gotowy pójść na pewien układ.

Marja zerknęła na mnie rozjaśnionym wzrokiem.

— Mike, naprawdę?

— Powiedziałem prokurator, a nie twój chłopak — odrzekł Vito ostro.

Blask w oczach Marji zgasł tak samo szybko, jak się pojawił. Patrzyła na Vito.

— Jako to?

W milczeniu wręczyłem jej świadectwo urodzenia. Dojrzałem w jej oczach, jak cierpi.

— Skąd to masz? — zapytała drżącym głosem. Wskazałem na Vito.

— Jak to zdobyłeś, Vito? — Głos zabrzmiał lodowato.

— Tom mi przyniósł — odparł z uśmiechem.

— Dlaczego nic nie powiedziałeś?

— Gdybym powiedział, byłabyś gotowa przegrać sprawę, żeby go bronić. Ja jestem twoim adwokatem. Mam bronić ciebie. Nawet wbrew tobie samej.

— Tu nie chodzi o niego. Gdybym chciała, żeby wiedział, powiedziałabym mu dawno temu. To Michelle jest ważna. Jest teraz szczęśliwa. Myśli, że jej ojciec zginął na wojnie. Jak sądzisz, co będzie czuła, kiedy pozna prawdę?

— Myślisz, że wolałaby dowiedzieć się, że jej matka siedzi w więzieniu? — zapytał Vito.

— To lepsze niż wiedzieć, że jest się bękartem — wyrzuciła z siebie Marja.

Vito wstał.

— Zrobisz tak, jak powiem — stwierdził. — Stawka jest za wysoka, żeby się wycofywać.

Odwrócił się do prokuratora okręgowego.

— No, John, co na to powiesz?

Stary przyglądał mu się, ale nic nie mówił.

— Zawieramy umowę? — nalegał Vito.

— Keyes prowadzi tę sprawę — powiedział Stary, patrząc na mnie. — Mam zasadę nie wtrącać się do spraw prowadzonych przez moich asystentów. Jego zapytaj.

Vito spojrzał na mnie pytająco.

— Żadnych układów — odrzekłem.

— Pożałujesz, Mike — zagroził Vito. — Postawię cię na miejscu dla świadków, a kiedy już z tobą skończę, nie będziesz wiedział, gdzie się podziać. Będzie po tobie.

— Zaryzykuję — odparłem ponuro. Vito zwrócił się do Starego:
— Możesz pożegnać się z marzeniami o stolku gubernatora. Stary patrzył nieodgadnionym wzrokiem.
— Trzymam stronę Mike'a — stwierdził.
Vito skierował się do drzwi, zły i czerwony na twarzy.
— Chodź, Maryann — powiedział. Poszła za nim.
— .Marjo! — zawołałem.
Zawróciła, wpatrując się we mnie. Wziąłem ją za rękę.
— Dlaczego mi nie powiedziałaś?
Milczała. Jej oczy błyszczały dziwnym blaskiem. Zastanawiałem się, czy to łzy.
— Dlaczego, Marjo? — powtórzyłem pytanie.
— Straciłam jedno dziecko, gdyż myślano, że nie będę umiała się nim opiekować, Mike — szepnęła. — Nie chciałam stracić i tego.
— Idziesz, Maryann? — zapytał Vito szorstko.
— Przykro mi, Mike — szepnęła, wyzwalając dłoń z uścisku i wychodząc.
Podszedłem do Starego.
— No, tak — westchnąłem. — Spaprałem całą robotę.
— Wybacz mi, że ci nie ufałem, Mike — odrzekł z uśmiechem.
— Zapomnij o tym, John. Teraz to nie ma żadnego znaczenia.
Podniósł się ciężko.
— Za parę minut rozprawa — zauważył. — Lepiej tam zejdźmy.
Czułem się jak gladiator w starożytnym Rzymie, wkraczający na arenę.
— Morituri te salutant — powiedziałem.
— Co mówisz? — zapytał Stary, wyrwany z własnych myśli. Uśmiechnąłem się. Szczycił się swoją znajomością łaciny.
Nie często udawało się go zaskoczyć, nawet jeżeli w danej chwili nie uważał.
— Idący na śmierć pozdrawiają cię — przetłumaczyłem, śmiejąc się.
Na sali panowało z trudem tłumione podniecenie. Wiedziona tajemniczym przecuciem publiczność spodziewała się czegoś niezwykłego. Nawet zblazowani urzędnicy sądowi zachowywali się nerwowo.

Sędzia spóźnił się dwadzieścia minut. Wstaliśmy, kiedy wchodził. W chwilę potem rozpoczęło się posiedzenie sądu.

Vito podniósł się ze swojego miejsca. Jego głos zabrzmiał w sali sądowej jak dzwon:

— Obrona chce powołać swego pierwszego świadka w osobie pana Michaela Keyesa z biura prokuratora okręgowego.

Nawet sędzia był zaskoczony. Zerknął w naszym kierunku, podczas gdy na sali zawrzało. Słyszałem odgłos kroków reporterów, wybiegających w pośpiechu z sali. Sędzia uderzył młotkiem. Po chwili zapanowała cisza.

— To niezwykle dziwne żądanie, mecenasie — powiedział sędzia. — Zakładam, że kierują panem ważne powody.

— Tak, wysoki sędzie — odpowiedział Vito. — Powołanie pana Keyesa na świadka jest ważne i niezbędne, abym mógł zapewnić mojej klientce sprawiedliwość. Sędzia przyglądał mi się, kiedy szedłem przez salę. Vito patrzył beznamiętnym wzrokiem.

Marja podniosła na mnie oczy, gdy mijałem jej stolik. Twarz jej była blada i ściągnięta. Po chwili miałem ją za plecami. Wszedłem na podwyższenie z miejscem dla świadka i odwróciłem się w stronę woźnego, żeby złożyć przysięgę. Błysnęły flesze, oślepiając mnie na moment.

Mrugając, usłyszałem jej głos. Silny i wyraźny.

— Wysoki sędzie, czy mogę porozmawiać z moim adwokatem? Chcę zrezygnować z obrony i przyznać się do winy.

Na sali rozległ się gwar podnieconych głosów, jeszcze głośniejszy niż poprzednie. Błyskały flesze, ale mimo to zobaczyłem, że Vito wraca do stolika obrony.

Przez moment trwała sprzeczka, po czym Vito powiedział.

— Wysoki sędzie, czy mogę prosić o dziesięciominutową przerwę? Muszę porozmawiać z moją klientką na osobności.

Sędzia grzmotnął młotkiem.

— Sąd ogłasza dziesięciominutową przerwę.

Sędzia wstał, a ja opuściłem miejsce dla świadków i wróciłem do swojego stolika. Marja i Vito zniknęli tymczasem w małej salce konferencyjnej. Rozejrzałem się. Panował taki tłok, że widzowie w ostatnich rzędach byli ściśnięci jak sardynki w puszcze. Poczulem, że ktoś ciągnie mnie za rękaw. To Stary.

— Miałeś rację — szepnął z podziwem. — To dziewczyna z charakterem. Niech mówią, co chcą.

Drzwi małej salki otworzyły się i ukazał się Vito. Sam. Rozglądał się po sali. Odniosłem wrażenie, że kogoś szukał.

Chciałem podążyć za jego wzrokiem, lecz był zbyt szybki. Skinął głową i cofnął się na powrót do małej salki.

Patrzyłem na publiczność. Po chwili ujrzałem wstającego z miejsca mężczyznę. W świetle lamp zaślniła stalowosiwa czupryna. Zaczął przepychać się do przejścia między rzędami. Rozpoznałem go natychmiast: Joker Martin. Zastanawiałem się, co on, u licha, tu robi, lecz otworzyły się drzwi i zupełnie o nim zapomniałem.

Marja wkroczyła pierwsza, z obliczem spokojnym i zdecydowanym. Vito siedł za nią. Zbliżyli się do stolika obrony i usiedli.

Za moment wznowiono posiedzenie sądu. Vito powstał i odwrócił się twarzą do sędziego. Był blady, ale spokojny.

— Moja klientka życzy sobie, aby uznać ją winną wszystkich wniesionych oskarżeń.

Sędzia spojrzał na Marję.

— Czy takie jest pani życzenie, panno Flood? Wstała powoli.

— Tak, wysoki sądzie.

Przedzieraliśmy się przez tłum w kierunku wind. Bolały mnie plecy od ciągłego poklepywania przez składających gratulacje. W końcu znalazłem się w windzie sam na sam z szefem.

— Moją rezygnację otrzyma pan jutro rano — oznajmiłem. Nie patrzył na mnie.

— Przykro mi z powodu całego zamieszania — dodałem. Nie odpowiedział.

Winda zatrzymała się na moim piętrze i wysiadłem, zostawiając go samego.

Przeszedłem do swojego biura. Joel i Alec byli jeszcze na dole. Usiadłem za biurkiem i wyjąłem arkusz papieru. Szybko napisałem rezygnację, włożyłem do koperty i wysłałem na górę, do Starego.

Zadzwonił telefon. Odebrałem.

— Keyes — powiedziałem, może już po raz ostatni.

— Mike, mówi Marja.

— Słucham cię, Marjo — odpowiedziałem znużony.

— Jestem w barze Boyd Cocktail Lounge na Broadwayu. Możesz spotkać się ze mną, zaraz?

Szybko działali. Ustalono kaucję w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów. I oto proszę, siedziała sobie w barze, kiedy ja zaledwie miałem czas wjechać na piętro! Zawahałem się.

— Proszę, Mike. To bardzo ważne.

— Dobrze. Zaraz będę.

Sięgnąłem po palto. Jutro wrócę opróżnić biurko — pomyślałem.

Zaczął padać śnieg, kiedy wchodziłem do dyskretnie oświetlonego baru.

Zobaczyłem ją przy stoliku w rogu. Usiadłem i ja. Zjawił się kelner.

— Czego się napijesz? — zapytałem.

— Cassis z wodą sodową.

— Dla mnie dzin z lodem — poprosiłem. — Ciągłe pijesz ten dziwaczny napój?

— Smakuje mi — odrzekła.

Wrócił kelner z drinkami. Podniosłem szklanę.

— Za przestępstwa — powiedziałem.

— Nie będę za to piła. Wykrzywiłem się.

— Ross zawsze tak mówił. Jestem przesadna.

— Masz lepszy toast? — spytałem. Pokiwała głową.

— Jaki?

— Za nas — powiedziała, patrząc mi w oczy. Zalała mnie fala ciepła.

— Może być — stwierdziłem i pociągnąłem drinka. Odstawiłem szklanę. —

Dlaczego chciałaś się ze mną widzieć?

Jakiś mężczyzna wszedł do baru. Spojrzała szybko na niego, potem na mnie.

— Jeśli chodzi o nas, Mike — położyła dłoń na mojej dłoni — już chyba nadszedł czas.

Dotyk sprawił, że czułem się jak porażony prądem. Starąłem się mówić spokojnie.

— Tak myślisz?

— Nie chcę nikogo innego — odparła.

— Długo myślałaś, zanim doszłaś do tego wniosku.

— Tak mi przykro, Mike. Nic na to nie poradzę. Sama nie wiedziałam. Mówiłam ci o tym wczoraj, w samochodzie.

Potrzebowałem czasu, żeby pomyśleć. W głowie mi dudniło. Zmieniłem temat.

— Kto zapłacił kaucję? — zapytałem.

Drzwi otworzyły się i wszedł następny mężczyzna. Odruchowo zmierzyła go wzrokiem.

— Joker Martin — odpowiedziała.

Więc po to był na sali rozpraw. Vito prawdopodobnie wyszedł, żeby uzyskać jego zgodę na przyznanie się do winy. Słyszałem, że trzyma w garści całe gangsterskie podziemie w mieście. Nie odezwałem się.

Pochyliła się ku mnie. Czuję zapach perfum.

— To nie potrwa długo, Mike. Wyjdę za parę lat, za dobre zachowanie.

Wyjedziemy gdzieś i zaczniemy wszystko od nowa. Nikt nic nie będzie o nas wiedział.

Wszedł kolejny mężczyzna i znowu oszacowała go wzrokiem.

— Zrobimy tak, Mike? — spytała cichym, matowym głosem. Westchnąłem głęboko. Powoli uwolniłem rękę z jej uścisku.

Spojrzała na nasze dłonie i wzrok jej się zamglił.

— O co chodzi, Mike? O to, że będę w więzieniu? Potrząsnąłem głową. Bałem się mówić.

— No, to w czym rzecz? Mam prawo wiedzieć — nalegała nieco ostrzej.

— Jaka jest moja córka? — zapytałem nieswoim głosem.

— Ach, tak — rzekła z nagłym błyskiem zrozumienia w oczach.

— Tak.

Zerknąłem na swoje ręce. Widziałem, jak nabrzmiałe żyły pulsują powoli.

— Nigdy nie mógłbym tak odciąć cię od dziecka, jak ty zrobiłaś ze mną.

— Nie było innej rady, Mike. Dzielił nas cały świat.

— A dlaczego myślisz, że teraz jesteśmy sobie bliżsi? — zapytałem brutalnie. — Całe swoje życie czekałem na ciebie. Nie było niczego, czego bym ci nie wybaczył. Zawsze bym znalazł usprawiedliwienie. Cóż, myliłem się. Zrobiłaś tę jedyną rzecz, której nie powinnaś była zrobić. Odebrałaś mi dziecko.

— To również moje dziecko, Mike. Nie zapominaj — powiedziała szybko. —

Jedyna rzecz na świecie, która jest naprawdę moja. Bardziej moja niż twoja.

— O to właśnie chodzi, Marjo. Powinna być naszym dzieckiem. Ale ty myślałaś tylko o sobie. Nie o niej. Nie o mnie. Tylko o sobie.

— Jeszcze nie jest za późno, Mike. Możemy to nadrobić.

— Nie, Marjo. — Potrząsnąłem głową. — Nie można cofnąć zegara. Sama mi to powiedziałaś. Pamiętasz?

Patrzyła szeroko otwartymi, ciemnymi oczami. Tak bardzo znajomymi, a jednak obcymi. Minęła chwila. Twarz Marji zmieniła się w maskę o nieodgadnionym wyrazie. Wstała powoli i bez słowa wyszła na ulicę.

Przez szklane drzwi dostrzegłem, jak stoi na ulicy, wśród padających, aksamitnych płatków śniegu. Podjechała długa, czarna limuzyna. Wysiadł mężczyzna. Otwierając drzwi, zdjął z głowy ciemny, filcowy kapelusz. Dojrzałem jego siwe włosy,

tak białe jak padający śnieg. To Joker Martin. Wsiadł za nią do samochodu i odjechali.

Wlałem w siebie resztę drinka i wstałem. Rzuciłem na stół parę banknotów i opuściłem bar.

Wszedłem do sądu, by po raz ostatni oficjalnie wystąpić. Musiałem się dowiedzieć, jaki zapadnie wyrok.

Widziałem jej twarz, bladą, lecz spokojną. Nie obawiała się grzmiącego głosu sędziego:

— Pierwszy punkt aktu oskarżenia: stręczenie do nierządu. Oskarżona zostaje skazana na karę więzienia od trzech do pięciu, czas nieokreślony, i na grzywnę w wysokości pięciu tysięcy dolarów.

Drugi punkt oskarżenia: przekupienie urzędników państwowych. Kara więzienia na okres jednego roku oraz grzywna w wysokości pięciu tysięcy dolarów.

Trzeci punkt oskarżenia: wyłudzenie pieniędzy za pomocą ustnych gróźb. Kara więzienia w wysokości jednego roku i pięciuset dolarów grzywny.

Szmer rozmów stał się głośniejszy, gdy sędzia skończył odczytywać wyrok.

Uderzeniem młotka przywołał pokój. Na sali ucichło.

Nie mówił głośno, ale było go słychać w najodleglejszym kącie:

— Prokurator okręgowy zwrócił uwagę sądu na fakt, że oskarżona poprzez swój akt skruchy wykazała pragnienie rehabilitacji swej osoby w oczach społeczeństwa. Dlatego też decyjąca sądu, pozwala się oskarżonej na odbycie poszczególnych okresów kary więzienia jednocześnie.

Gwar na sali był głośniejszy niż poprzednio. To dopiero była sensacja! Oznaczało to, że nie będzie w więzieniu dłużej niż dwa lata, jeżeli odliczy się czas za dobre sprawowanie. Odwróciłem się do Aleca.

— Wiedziałeś, że Stary chce to zrobić? — zapytałem. Pokręcił przecząco głową.

Popatrzyłem na Joela. Także

wyglądał na zaskoczonego. Zerknąłem na Marję. Spoglądała prosto na mnie, z wdzięcznością w oczach. Chciałem jej wyjaśnić, że to Stary, a nie ja, tak załatwił sprawę, nie miałem jednak szansy z nią porozmawiać.

Joel dogonił mnie, kiedy wyszliśmy z sali.

— Stary łagodnieje — powiedział. — Skoczmy się napić?

Pokręciłem głową i zostawiłem go przy windzie. Kiedy

wszedłem korytarzem, drzwi nagle się otworzyły i stanął w nich Stary. Wymachiwał wojowniczo jakąś kopertą.

— Chyba nie myślałeś, że to przyjmę?! — zawołał. Zobaczyłem, że trzyma moją rezygnację.

— Tak, sir — powiedziałem. — To jedyne uczciwe wyjście.

— Wobec tego jesteś głupszy, niż myślałem, Keyes! — krzyknął.

Efektownym gestem podarł list na kawałki, które rzucił na podłogę i podeptał. Małe skrawki papieru wydawały się zaskakująco białe na tle szarej wykładziny. Zbliżyłem się do niego i złapałem go za ramię.

— Dziękuję, szefie — rzekłem. Pokiwał głową rozdrażniony.

— W porządku, Mike. Nie sądziłeś chyba, że tak łatwo pozbędę się dobrego asystenta, co?

Uśmiechnąłem się.

— Nie dziękuję za siebie, tylko za Marję. Popatrzył mi w oczy i wzrok mu złagodniał.

— Nigdy nie zapominaj, Mike — odparł cicho — że sprawiedliwość należy łagodzić miłosierdziem.

Milczałem przez chwilę. Miłosierdzie. Wielkie słowo. Największe. Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek będę na tyle dorosły, żeby je okazywać.

Zanim zdążyłem zareagować, Stary klepnął mnie w ramię.

— Wracaj do swojego biura, chłopcze — powiedział. — Ktoś tam na ciebie czeka. Odszedł korytarzem, a ja skierowałem się do siebie. Powoli otworzyłem drzwi.

Nikogo nie dojrzałem. Stary już chyba nie wie, co mówi, pomyślałem. Wszedłem do środka i usiadłem za biurkiem. Do moich uszu dobiegł szmer z małej kozetki stojącej pod ścianą, za drzwiami. Spojrzałem tam.

Zbliżała się do mnie mała dziewczynka. Tak białozłotych włosów nigdy przedtem nie widziałem. Oczy miała duże, okrągłe i niebieskie — i patrząc w nie, odnosiłem wrażenie, że spoglądam w lustro. To były moje oczy. Czułem, jak coś ściska mnie w piersi. Nie mogłem oddychać.

Dziewczynka zatrzymała się przed biurkiem i wpatrywała się we mnie uroczyście. Oczy miała wielkie i ani mrugnęła.

— Jestem Michelle — powiedziała głosem młodym i dźwięcznym.

Pokiwałem głową, niezdolny wydobyć z siebie głosu.

— Mamusia powiedziała, że mam na razie z tobą zostać. Znowu kiwnąłem głową. Chciałem mówić, ale nie mogłem.

— Powiedziała, że będziesz się mną opiekował. — W pięknych, błękitnych oczach zabłysły skrywane łzy.

Odezwał się we mnie ból, widziałem jak przez mgłę. Powoli wyszedłem zza biurka i uklęknąłem obok dziewczynki. Wziąłem ją za rękę.

— Będę się tobą opiekował, Michelle.